

GŁOSY Kobiet

Ghana
Gwatemala
Polska

Poznań 2011

Wydanie pierwsze
Poznań 2011
ISBN 978-83-929024-9-2

Praca zbiorowa

Opowiadaly: Anita N. Koomson, Bridget Ruth Atterh, Carmen de Vernura,
Hannah Assifuah, Helena Hanuszczak, Josefa Perez Ajanel, María Jacinta Xón,
Mary Eshun Tawiah, Monica Yankey Ansah, Monika Więckowska,
Odilia Elmida Guarcas Guarcas, Ruth Mendez,
Stefania Michocka, Zofia Kaźmierczak.
Opowieści wysłuchały: Eliza Zadłużna, Monika Więckowska, Magdalena Janaszek.
Z angielskiego przełożyła: Magdalena Janaszek.
Z hiszpańskiego przełożyła: Aneta Cruz-Kąciak.

Redakcja: Aneta Cruz-Kąciak, Magdalena Janaszek
Projekt graficzny i skład: www.olika.pl
Druk i oprawa: www.totaldruk.pl
Wydawca: Stowarzyszenie „Jeden Świat”
www.jedenswiat.org.pl

Finansowanie:



polska pomoc

Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP w 2011 r.,
w ramach programu Wolontariat Polska Pomoc.



Publikacja przyjazna dla środowiska: druk ekologiczny z użyciem klejów
i lakierów wyprodukowanych na bazie olejów i żywic roślinnych,
na papierze wyprodukowanym w 100% z makulatury.



Publikacja „Głosy kobiet. Ghana. Gwatemala. Polska” jest dostępna na licencji
Creative Commons 3.0 Polska: uznanie autorstwa, użycie niekomercyjne,
na tych samych warunkach.

Wstęp

Głosy kobiet powstawały w niezwykle sposób.

Wolontariuszki Stowarzyszenia „Jeden Świat”: Eliza Zadłużna, Monika Więckowska i Magdalena Janaszek wysłuchały opowieści kobiet z Ghany, Gwatemali i Polski.

Eliza była wolontariuszką programu Wolontariat Polska Pomoc w Ghanie, zebrała historie, które opowiedziały: Anita N. Koomson, Bridget Ruth Atterh, Hannah As-sifuah i Mary Eshun Tawiah.

Historie, które opowiedziały: Carmen de Vernura, Josefa Perez Ajanel, María Jacinta Xón, Odilia Elmida Guarcas Guarcas i Ruth Mendez zebrała Monika podczas projektu Wolontariatu Polska Pomoc w Gwatemali. Sama napisała też swoją historię.

Magda zebrała opowieści kobiet z Polski: Heleny Hanuszczak, Stefanii Michockiej i Zofii Kaźmierczak.

Wszystkie opowieści zostały nagrane, spisane w oryginalnych brzmieniach (po angielsku, hiszpańsku i polsku) i autoryzowane przez ich bohaterki. Była to niezwykle współpraca, wymagająca ogromnego zaangażowania i wzajemnego zaufania. Potem opowieści zostały przetłumaczone i opatrzone przypisami, objaśniającymi obcojęzyczne nazwy, szkicującymi kontekst historyczny i zachęcającymi do dalszych poszukiwań.

Głosy kobiet to książka o sile i odwadze, o mądrości i nadziei, o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

To książka stworzona przez kobiety i to one są w niej najważniejsze.

Głosy kobiet to historie kobiet, które różni wszystko: wiek, wykształcenie, miejsce zamieszkania, kolor skóry, wyznanie, strój, ulubiony owoc...

To również opowieści kobiet, które łączy znacznie więcej, niż może się na początku wydawać...

Niebezpieczeństwo jednej opowieści

Chimamanda Adichie

Jestem opowiadaczką. Chciałabym opowiedzieć wam kilka osobistych historii o tym, co nazywałam *niebezpieczeństwem jednej opowieści*.

Wychowałam się na kampusie uniwersyteckim we wschodniej Nigerii. Moja mama mówi, że jako dwulatka nauczyłam się czytać – myślę jednak, że tak naprawdę miałam wtedy cztery lata. W każdym razie wcześniej zaczęłam czytać. I czytałam głównie angielskie i amerykańskie książki dla dzieci. Wcześniej również zaczęłam pisać. I gdy zaczęłam pisać, w wieku mniej więcej siedmiu lat – opowieści pisane ołówkiem i ilustrowane kredkami, które moja nieszczęsna matka zmuszona była czytać – pisałam dokładnie takie historie, jak te, które czytałam. Wszyscy moi bohaterowie byli biali i mieli niebieskie oczy. Bawili się na śniegu. Jedli jabłka. I dużo rozmawiali o pogodzie: jak to cudownie, że wyszło słońce. A przecież mieszkalam w Nigerii i nigdy nie byłam za granicą. Nie mieliśmy śniegu. Jedliśmy mango. I nigdy nie rozmawialiśmy o pogodzie, bo nie było takiej potrzeby. Moi bohaterowie pili również piwo imbirowe – wszyscy bohaterowie angielskich książek, które czytałam, pili piwo imbirowe. Nie miało znaczenia, że nie wiedziałam, co to jest. Jeszcze wiele lat później miałam ochotę spróbować imbirowego piwa – ale to jest już zupełnie inna historia.

Wszystko to pokazuje, jak bezbronni jesteśmy wobec opowieści, zwłaszcza będąc dziećmi, jaki mają one na nas wpływ. Ponieważ przeczytałam tyle książek, których bohaterami byli cudzoziemcy, byłam przekonana, że każda książka, z racji swojej natury, musi opowiadać o cudzoziemcach i o rzeczach, których ja osobiście nie znałam. Zmiana nastąpiła dopiero wtedy, gdy poznałam książki afrykańskie. Nie było ich wiele i nie były tak powszechnie dostępne jak książki z zagranicy. Dzięki takim pisarzom jak Chinua Achebe¹ i Camara Laye² zmieniła się moja percepcja literatury. Zdałam sobie sprawę, że ludzie tacy jak ja, dziewczyny o skórze koloru czekolady, których kręjące się włosy nie dawały się uczesać w kucyki, również mogły istnieć w literaturze. Zaczęłam pisać o rzeczach, które znałam.

Uwielbiam te amerykańskie i angielskie książki, które przeczytałam. To one rozbudziły moją wyobraźnię. Otworzyły dla mnie nowe światy. Ale niezamierzoną konsekwencją tych lektur było moje przekonanie, że ludzie tacy jak ja nie mogą być bohaterami literackimi. Odkrycie pisarzy afrykańskich uchroniło mnie przed *jedną opowieścią* o książkach.

¹ Chinua Achebe (ur. 1930) – nigeryjski pisarz i krytyk literacki, uhonorowany prestiżową nagrodą literacką Booker Man International Prize, jeden z najbardziej znanych pisarzy afrykańskich. Spośród jego książek po polsku ukazały się m. in.: *Świat się rozpada*, *Nie jest już łatwo*, *Boża strzała*.

² Camara Laye (1928-1980) – pisarz z Gwinei tworzący w języku francuskim. Po polsku ukazały się jego powieści społeczno-obyczajowe: *Czarny chłopak*, *Spojrzenie króla*.

Pochodzę z tradycyjnej nigeryjskiej rodziny z klasy średniej. Mój ojciec był profesorem. Mama pracowała w administracji. Mieliśmy, jak wszyscy, pomoc domową – najczęściej były to osoby z pobliskich wiosek, które mieszkaly z nami na stałe. Gdy miałam osiem lat, zamieszkał z nami nowy chłopiec. Miał na imię Fidego. Matka powiedziała mi o nim tylko jedno: jego rodzina jest bardzo biedna. Matka posyłała im bulwy jamu i ryż oraz nasze stare ubrania. A jeśli nie dokończyłam obiadu, mawiała: *Zjedz wszystko! Nie wiesz, że ludzie tacy jak rodzina Fidego nie mają co jeść?* Bardzo im współczułam. Pewnej soboty poszliśmy do jego wioski w odwiedziny. A ich matka pokazała nam pięknie ozdobiony kosz, który brat Fidego zrobił z zasuszonej rafii. Byłam zaskoczona. Nigdy wcześniej nie pomyślałam, że ktokolwiek z rodziny Fidego jest w stanie cokolwiek zrobić. Słyszałam tylko o tym, że byli biedni. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie ich w żaden inny sposób, tylko jako biednych. Bieda była moją *jedną opowieścią* o tej rodzinie.

Przypominałam to sobie wiele lat później, gdy wyjechałam na studia do USA. Miałam 19 lat. Moja amerykańska współlokatorka była mną zszokowana. Zapytała, gdzie nauczyłam się tak dobrze mówić po angielsku i zmieszała się, gdy odpowiedziałam, że angielski jest językiem urzędowym w Nigerii. Zapytała, czy mogłaby posłuchać mojej *plemiennej muzyki*, jak ją nazwała, i była bardzo rozczarowana, gdy włączyłam płytę Mariah Carey. Myślała, że nie potrafię używać kuchenki. Uderzyło mnie, że współczuła mi, zanim mnie w ogóle zobaczyła. Z góry przyjęła wobec mnie, jako Afrykanki, postawę protekcyjną, pełną dobrodusznego współczucia. Moja współlokatorka знаła jedną opowieść o Afryce. Opowieść o nieszczęściu. W tej jednej opowieści Afrykanie nie byli w żadnym stopniu podobni do niej. Żadne uczucie poza współczuciem nie było możliwe. Nie było żadnej możliwości nawiązania równych międzyludzkich relacji.

Muszę przyznać, że przed wyjazdem do USA nie określałam siebie jako Afrykanki. Ale w USA, gdy tylko pojawiał się temat Afryki, ludzie zwracali się do mnie. I wcale nie przeszkadzało im to, że nie miałam pojęcia o miejscach takich jak Namibia. Ale przyjęłam tę nową tożsamość i na wiele sposobów myślę teraz o sobie jak o Afrykance. Chociaż ciągle irytuje mnie, gdy Afryka traktowana jest jak jeden kraj. Ostatni taki przykład zdarzył się dwa dni temu podczas cudownego skądinąd lotu z Lagos, gdy linie lotnicze Virgin wyemitowały ogłoszenie o działalności charytatywnej w *Indiach, Afryce i innych krajach*.

Po kilku latach spędzonych w USA jako Afrykanka, zaczęłam rozumieć nastawienie mojej współlokatorki. Gdybym nie wychowała się w Nigerii i gdyby cała moja wiedza o Afryce pochodziła z popularnych obrazków, też sądziłabym, że Afryka to piękne krajobrazy, dzikie zwierzęta i ludzie, których nie sposób zrozumieć: prowadzący bezsensowne wojny, umierający z głodu i AIDS, którzy nie potrafią o siebie zadbać i czekają na ratunek ze strony miłego, białego cudzoziemca. Postrzegałabym Afrykę tak samo, jak będąc dzieckiem postrzegałam rodzinę Fidego.

Myślę, że ta jedna opowieść o Afryce ma swoje źródło w zachodniej literaturze. Oto cytat z utworu londyńskiego kupca Johna Locka, który popłynął do Afryki w 1561 r. I prowadził fascynujące notatki z tej podróży. Po tym jak określił Afrykanów jako *bestie bez domów*, napisał: *są tam również ludzie bez głów, którzy mają usta i oczy na klatce piersiowej*. Śmieję się zawsze, gdy to czytam. Trudno nie podziwiać wyobraźni Johna Locka. Ale właśnie jego pisarstwo zapoczątkowało zachodnią tradycję opowiadania historii o Afryce. Tradycję, w której Afryka Subsaharyjska jest przedstawiana w negatywnym świetle, jako zacofany region pełen różnic, zamieszkały przez ludzi, których cudowny poeta Rudyard Kipling nazwał *pół diablami, pół dziećmi*.

I zdałam sobie sprawę, że moja współlokatorka przez całe swoje życie oglądała i słuchała różnych wersji *jednej opowieści*, tak samo jak profesor, który kiedyś powiedział mi, że moja powieść nie jest *autentycznie afrykańska*. Przyznaję, że była niedoskonała, w wielu miejscach pozostawiała wiele do życzenia, ale trudno mi wyobrazić sobie, że jej wadą był brak afrykańskiej autentyczności. Tak naprawdę nie wiem, czym jest *afrykańska autentyczność*. Profesor powiedział, że moi bohaterowie byli zbyt podobni do niego, wykształconego mężczyzny z klasy średniej. Jeździli samochodami. Nie głodowali. I dlatego nie byli autentycznymi Afrykanami.

Sama zresztą muszę przyznać, że nie jestem bez winy, jeśli chodzi o wiarę w *jedną opowieść*. Kilka lat temu pojechałam z USA do Meksyku. W tamtym okresie nastroje polityczne w USA były napięte i cały czas trwały debaty na temat imigracji. I, jak to się często zdarza w Ameryce, synonimem imigracji stali się Meksykanie. W nieskończoność można było słuchać historii o Meksykanach, którzy ogałają system opieki zdrowotnej, przekradają się przez granicę, są tam aresztowani i tak dalej. Pamiętam mój spacer po Guadalajarze, gdy obserwowałam ludzi idących do pracy, przygotowujących tortille na targowiskach, palących papierosy, śmiejących się. Pamiętam to pierwsze uczucie zaskoczenia. A potem ogarnął mnie wstyd. Zdałam sobie sprawę, że tak dałam się pochłoniąć prezentowanym przez media opowieściom o Meksykanach, że miałam w głowie tylko jeden ich obraz – niechcianych imigrantów. I nie mogłam bardziej wstydzić się za samą siebie, że uwierzyłam w tę *jedną opowieść* o Meksykanach.

Właśnie tak tworzy się *jedna opowieść* – trzeba nadać ludziom jedną cechę, tylko jedną cechę, i powielać w kółko ten sam obraz, aż staną się oni właśnie tacy.

Nie można mówić o *jednej opowieści* bez nawiązania do władzy. Jest takie słowo w języku igbo, które przychodzi mi do głowy, gdy tylko myślę o strukturze władzy na świecie. Tym słowem jest *nkali* – rzeczownik, który w wolnym tłumaczeniu oznacza *bycie lepszym od innych*. Tak jak gospodarką i polityką, tak i opowieściami rządzi zasada *nkali*. Sposób opowiadania: kto, kiedy i gdzie opowiada, ile opowieści można usłyszeć – wszystko to zależy od władzy. Władza nie tylko umożliwia opowiadanie historii drugiej osoby, ale pozwala na opowiadanie jej w sposób definitywny.

Palestyński poeta Mourid Barghouti napisał, że najprostszym sposobem ograbienia ludzi jest opowiedzenie ich historii przez rozpoczęcie tej opowieści od: *po*

drugie. Rozpocznij opowieść od strzał Indian, a nie od przyjazdu Anglików i będziesz miał zupełnie inną historię. Rozpocznij opowieść od upadku afrykańskiego państwa, a nie od kolonialnych źródeł jego powstania i będziesz miał zupełnie inną historię.

Niedawno, podczas mojego wykładu na uniwersytecie, jeden ze studentów powiedział mi, że to przykre, że nigeryjscy mężczyźni stosują przemoc fizyczną, tak jak ojciec – bohater mojej powieści. Odpowiedziałam mu, że ostatnio przeczytałam powieść *American Psycho* i to przykre, że młodzi Amerykanie są seryjnymi mordercami (ale trzeba przyznać – byłam wtedy trochę zirytowana).

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, by pomyśleć, że seryjny morderca – bohater powieści, którą przeczytałam, może w jakikolwiek sposób reprezentować wszystkich Amerykanów. I wcale nie dlatego, że jestem lepsza od tamtego studenta, ale z powodu kulturalnej i gospodarczej potęgi USA, dzięki której znam wiele opowieści o Ameryce. Czytałam Tylera i Updike’a, Steinback’a i Gaitskilla. Nie znam wyłącznie *jednej opowieści* o USA.

Gdy kilka lat temu dowiedziałam się, że tylko pisarze, którzy mieli naprawdę nieszczęśliwe dzieciństwo, mogą odnieść sukces, zaczęłam zastanawiać się, czy nie wymyślić jakichś strasznych historii o tym, co złego zrobili mi moi rodzice. Ale prawda jest taka, że miałam naprawdę szczęśliwe dzieciństwo wśród najbliższych, pełne śmiechu i miłości.

Ale prawdą jest również, że mój dziadek zmarł w ośrodku dla uchodźców. Mój kuzyn Polle umarł, bo nie miał odpowiedniej opieki lekarskiej. Okolona, jedna z moich najbliższych przyjaciółek, zginęła w katastrofie lotniczej, bo w wozach strażackich nie było wody. Dorastałam pod opresyjnymi rządami wojskowymi, które dewaluowały wartość edukacji, więc czasami moi rodzice nie dostawali pensji. Jako dziecko obserwowałam, jak na śniadanie przestaliśmy jeść najpierw dżem, potem zniknęła margaryna, potem chleb stał się zbyt drogi, potem racjonowane było mleko. Ale przede wszystkim w nasze życie wdarł się strach wywołany polityką.

Wszystkie te opowieści sprawiły, że stałam się taka, jaka jestem. Ale ograniczenie się wyłącznie do tych negatywnych opowieści spłaszczyłoby obraz moich doświadczeń, pominiętych zostałoby wiele innych opowieści, które mnie ukształtowały. Pojedyncza historia tworzy stereotypy. A problemem stereotypów nie jest to, że są nieprawdziwe, ale to, że są niepełne. Sprawiają, że *jedna opowieść* staje się jedyną.

Oczywiście, że Afryka jest kontynentem pełnym nieszczęść. Tych niezmiernych, jak przerażające gwałty w Kongo. Tych przygnębiających, jak bezrobocie w Nigerii, gdzie na jedno wolne miejsce pracy przypada 5 000 chętnych. Ale nie brakuje również innych opowieści, których treścią nie są nieszczęścia. Trzeba je przywoływać – to ważne, by je opowiadać.

Zawsze wierzyłam, że nie można naprawdę związać się z miejscem czy z ludźmi bez związania się ze wszystkimi opowieściami o tym miejscu i o tych ludziach. Konsekwencją *jednej opowieści* jest ograbienie ludzi z godności – a to

uniemożliwia uznanie każdego człowieka za równego, podkreśla wyłącznie różnice i nie wskazuje podobieństw.

Co by się stało, gdybym przed wyjazdem do Meksyku, śledziła dyskusje na temat imigracji słuchając głosów obu stron: USA i Meksyku? Co by się stało, gdyby moja matka powiedziała, że rodzina Fidego jest biedna i bardzo pracowita? Co by się stało, gdyby istniała afrykańska stacja telewizyjna pokazująca na całym świecie różne afrykańskie historie?

Nigeryjski pisarz Chinua Achebe nazywa to *równowagą opowieści*.

Co by się stało, gdyby moja współlokatorka знаła mojego nigeryjskiego wydawcę, wyjątkowego człowieka, który porzucił pracę w banku, by zrealizować swoje marzenie i założyć wydawnictwo, chociaż powszechnie mówiło się, że Nigeryjczycy nie czytają książek? On się z tym nie zgadzał. Wierzył, że ludzie, którzy potrafią czytać, będą czytać, jeśli będzie ich stać na kupno książek i będą one dostępne.

Wkrótce po opublikowaniu przez niego mojej pierwszej powieści zostałam poproszona o wywiad dla jednej ze stacji telewizyjnych w Lagos. Kobieta, która pracowała tam jako goniec, podeszła do mnie i powiedziała: *Bardzo podobała mi się Pani powieść. Nie podobało mi się zakończenie. Musi Pani napisać dalszy ciąg, w którym wydarzy się...* I kontynuowała, mówiąc mi co powinnam napisać w drugiej części. Słuchałam nie tylko oczarowana, ale i bardzo wzruszona. Oto kobieta, jedna z wielu w całej masie Nigeryjczyków, którzy podobno nie czytają książek. Ona nie tylko przeczytała książkę, ale przejęła ją na własność i czuła, że ma pełne prawo powiedzieć mi, co powinno się wydarzyć w kolejnym tomie.

Co by się stało, gdyby moja współlokatorka знаła moją przyjaciółkę Fumi Onda, nieustraszoną kobietę, która prowadzi w Lagos program telewizyjny, w którym porusza tematy, o których wolelibyśmy zapomnieć? Co by było, gdyby moja współlokatorka wiedziała o operacji serca, która miała miejsce w szpitalu w Lagos w zeszłym tygodniu? Co by było, gdyby moja współlokatorka знаła współczesną muzykę nigeryjską, tworzoną przez utalentowanych ludzi śpiewających po angielsku i w pidżyn, igbo, joruba i ljo, czerpiących z twórczości artystów tak różnorodnych jak Jay-Z, Fela, Bob Marley, aż po muzykę przodków? Co by było, gdyby moja współlokatorka wiedziała o prawnicze, która niedawno w nigeryjskim sądzie rozpoczęła walkę o zniesienie absurdu prawa wymagającego zgody męża na odnowienie paszportu żony? Co by było, gdyby moja współlokatorka wiedziała o Nollywood, gdzie niezależni twórcy robią filmy mimo ograniczeń technicznych? Filmy, które stają się tak popularne, że są najlepszym dowodem na to, jak bardzo Nigeryjczycy lubią rodzime produkcje. Co by było, gdyby moja współlokatorka знаła moją cudownie ambitną fryzjerkę, która otworzyła własny salon i sprzedaje doczepiane warokoczyki? I gdyby znała miliony Nigeryjczyków, którzy zaczynają własną działalność gospodarczą i choć nie zawsze im się to udaje, nigdy się nie poddają?

Zawsze, gdy jestem w domu, doświadczam tego, co irytuje większość Nigeryjczyków: naszej niewydolnej infrastruktury, naszego nieskutecznego rządu.

Ale dostrzegam również niewiarygodną energię ludzi, którzy rozwijają się, chociaż rząd raczej im przeszkadza niż pomaga. Każdego lata prowadzę w Lagos warsztaty pisarskie. Jestem pod wrażeniem tego, ilu ludzi się na nie zgłasza, ilu ludzi chce pisać, opowiadać historie.

Razem z moim nigeryjskim wydawcą założyliśmy organizację pozarządową Farafina Trust. Naszym marzeniem jest zbudowanie bibliotek i wyposażenie tych, które już istnieją. Chcemy kupić książki dla państwowych szkół, których biblioteki są puste, a także zorganizować jak najwięcej warsztatów czytania i pisania dla wszystkich, którzy chcą zapisać ten ogrom naszych opowieści.

Opowieści są ważne. Wielość opowieści jest ważna. Opowieści były i są wykorzystywane do zawłaszczania i oczerniania. Opowieści mogą odebrać ludziom godność. Ale opowieści mogą również tę utraconą godność przywrócić.

Amerykańska pisarka Alice Walker opisała swoich krewnych z Południa, którzy zamieszkali na Północy. Pokazała im książkę, opisującą życie na Południu, które porzucili. *Usiedli razem, sami czytając książkę i słuchając mnie, gdy czytałam ją na głos i odzyskali swój raj.* Chciałabym zakończyć właśnie tą myślą: jeżeli odrzucimy *jedną opowieść*, jeśli zrozumiemy, że nie ma jednej jedynej opowieści o jakimś miejscu, odzyskamy raj.

Dziękuję.

Źródło: **www.ted.com**

Przekład: Aneta Cruz-Kęciak

hard working

GHANA

no other

way

could
remember

happy
no other
way

Anita N. Koomson

Nazywam się Anita N. Koomson. Mam czternaście lat. Mieszkam w Shama w Zachodnim Regionie Ghany. Chodzę do szkoły w Shama i jestem teraz w drugiej klasie gimnazjum. Mam tylko jednego brata, nie mam żadnej siostry. Moja mama to Efua Koomson, a mój tato nazywa się Samuel Essuman.

Kiedy miałam cztery lata, to było w pierwszej klasie, tato rozwiódł się z mamą, ponieważ nie chciała usunąć ciąży. Było to dla niej bardzo bolesne przeżycie. Była w ciąży, a ojciec chciał ją zmusić do pozbycia się dziecka. Ale mama się nie zgodziła. Urodziła chłopca, mojego młodszego brata, który teraz ma już siedem lat. Tak więc rodzice się rozwiedli, a my przeprowadziliśmy się z Assorku Essaman do domu mojego dziadka.

Babcia umarła zanim się urodziłam, więc jej nie znam. Tam, gdzie mieszkał dziadek, nie było pracy dla mamy – nie mogła nic znaleźć. Byłam wtedy bardzo mała, ale chodziłam już do szkoły i tam czasami dostawałam jakiś posiłek, najczęściej na lunch dawali mi coś do jedzenia. Niektórzy uczniowie dokuczali mi z tego powodu: oni zostawali w klasie i jedli to, co przynieśli z domu, a ja nie miałam nic do jedzenia. Nie mieliśmy za dużo jedzenia, ponieważ mama nie pracowała, a dziadka nie było wtedy z nami. Czasami mieliśmy w domu tylko jabłka.

Potem mama znalazła pracę i sprzedawała na targu *kenkey*¹ i papryki. Robiliśmy też ludziom pranie. I tak to się ciągnie od 9 lat – odkąd miałam 4 lata, aż do teraz, kiedy mam już 14. Teraz mama pomaga w sprzątaniu. Jak tylko dostanie pożyczkę w banku, to zaraz coś kupuje: jakieś ubrania i warzywa. Więc nawet kiedy ma trochę pieniędzy, to zaraz je wydaje. I dlatego co miesiąc musi iść do banku i oddać pieniądze, ponieważ ma pożyczki do spłacenia. A zarabia tylko 50 cedi². Wpłata nigdy nie starcza do końca miesiąca. I kiedy kończą się pieniądze, musimy razem wymyślić, jak je zarobić.

Moja mama jest dobrą matką i potrafi dobrze gospodarować – ktoś inny, będąc w jej sytuacji, nie byłby w stanie sobie poradzić i osiągnąć to, co ona. Ja jestem w gimnazjum, a mój brat chodzi do piątej klasy. Myślę, że mama bardzo nam pomogła. Odkąd mój ojciec ponownie się ożenił i ma dwóch synów – chociaż wcześniej chciał zmusić moją mamę do aborcji – mama nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Pamiętam, że pewnego dnia zachorowałam i zadzwoniłam do niego: *Tatusiu, jestem chora*. A mój ojciec odpowiedział: *Twoja matka cię urodziła, dała ci życie, więc teraz to ona powinna ci pomóc*. I odłożył słuchawkę. A ja byłam bardzo chora i mój wujek wysłał mnie do szpitala na leczenie. Mama bardzo się stara. Jest sama, bez męża, tylko ze mną i z moim bratem.

¹ *Kenkey* – ghańskie danie zrobione z ciasta kukurydzianego owiniętego w liście bananowca i gotowanego przez 8 godzin.

² 50 cedi to ok. 100 zł.

Czasem w czasie wakacji chodzę do miasta, żeby szyć ludziom ubrania. Oferuję im ręce chętne do pracy, żeby zarobić trochę pieniędzy i pomóc mamie. W ten sposób zdobywamy pieniądze, żeby kupić dla nas różne rzeczy.

Na początku każdego roku szkolnego nauczyciel daje nam listę podręczników do kupienia. Raz mama rozplakała się, a gdy zapytałam ją, dlaczego płacze, odpowiedziała, że płacze, bo posłała mnie do szkoły, a teraz nie ma pieniędzy, żeby zapłacić za moje książki. Utkwiło mi to w głowie i dwa tygodnie później poszłam pomóc siostrze mojej przyjaciółki, żeby kupiła mi w zamian parę książek. Wiem, że czasem mama naprawdę nie ma pieniędzy. Gdyby miała, to by mi dała, ale nie ma i muszę o tym pamiętać, doceniać to, co dla mnie robi.

Każdego dnia powtarzam sobie, że muszę się uczyć, ponieważ chcę zostać lekarzem i leczyć ludzi. Mówię mamie, że chcę z nią zostać, nawet jeśli nie mamy pieniędzy. Nie chcę iść do mojego ojca i prosić go o pieniądze albo zamieszkać z nim po tym, co mi powiedział, kiedy byłem chora i jak nas opuścił. Jeśli byłabym lekarzem, a mój ojciec by do mnie przyszedł i prosił, żebym go wyleczyła, nie pomogłabym mu i pozwoliłabym mu umrzeć. Zrobiłabym to samo, co on, kiedy byłem chora. Przez niego o mało nie umarłam. Musimy więc opiekować się sobą nawzajem z moją mamą, ale nie z moim ojcem. Tak to widzę.

Moja macocha nie chce, żebyśmy ja i mój brat kontaktowali się z nią, z naszymi przyrodnimi braćmi i z ojcem. Mieszkamy w Shama i rodzina mojego ojca też tu mieszkała, ale się wyprowadzili i nie wiem, gdzie teraz są. Muszę więc tak żyć – tylko z moją mamą. Muszę być jej posłuszna. Jesteśmy razem i tak jest dobrze, pomagamy sobie nawzajem. Czasem nawet, kiedy mama nie miała pieniędzy, pisałam listy, żeby dostać pieniądze z opieki społecznej i organizacji pomocowych. Kiedyś w telewizji był taki Pastor Chris z Kościoła Chrystusowego i napisałam do niego. Miałam adres i kod pocztowy. Napisałam do niego, że nie mamy pieniędzy i poprosiłam, by nas uratował.

Mamy szkołę podstawową i gimnazjum. Gdy mamy trzy lata, idziemy do przedszkola. Potem jest szkoła podstawowa – sześć klas, trzy klasy gimnazjum, a następnie liceum. Teraz więc jestem w ostatniej klasie gimnazjum i za rok będę już w liceum.

Szkołę zaczynamy o 7, a lekcje o 8.30. Między 7 a 8.30 sprzątamy szkołę. Wszyscy uczniowie muszą sprzątać pod okiem przewodniczącego szkoły. Jestem gospodarzem klasy i muszę pilnować, żeby wszyscy pracowali. O 8.30 dostajemy plan lekcji i stąd wiemy, jakie lekcje zaczynają się o danej godzinie. O 10.30 idziemy na lunch, a o 12 musimy wracać do klas na lekcje biologii albo angielskiego. Od 13.30 do 14 wychodzimy na przerwę. Między 15 a 15.30 kończymy lekcje i rozchodzimy się do swoich domów. W soboty też mamy lekcje. W każdą sobotę idziemy do szkoły, ale tylko do 14, a czasem nawet do 13, bo musimy pomagać mamom w praniu i innych zajęciach domowych.

Moje ulubione przedmioty to: matematyka, biologia i literatura. A ponieważ chcę zostać lekarzem, muszę znać bardzo dobrze biologię i dlatego muszę się jej dużo uczyć. A jeśli nie zostanę lekarzem, to chcę być dziennikarką, więc muszę

znać język i literaturę. W liceum muszę się przyłożyć do nauki tych przedmiotów. Dużo się uczę. Lubię pomagać mamie przy *kenkey*, ale chcę osiągnąć coś więcej, więc muszę się uczyć.

W domu też mam plan zajęć, wiem, kiedy mogę się uczyć w domu. W poniedziałki, środy, piątki i niedziele muszę pomagać mamie w sprzedawaniu *kenkey*, a w czwartki idziemy sprzedawać *kenkey* na targu i wracamy stamtąd o 21. Czasem mama kończy swoją pracę, zanim wrócę ze szkoły, więc mogę się wtedy więcej uczyć w domu. Czasami sprzedajemy też zupe, kupujemy ją taniej, a sprzedajemy drożej – kupujemy za 100, a sprzedajemy klientom za 120, i te 20 cedi to nasz zarobek.

Nie mam za dużo czasu na zabawę. W poniedziałki i wtorki mam trochę wolnego czasu, jeśli uda mi się skończyć pracę i nie mam do zrobienia nic innego, wieczorem mogę spotkać się z koleżankami. Gramy w piłkę albo w *ampe*³. Nie wychodzę jednak często ani nie oglądam telewizji – nie widzę w tym sensu, w wolnym czasie muszę się uczyć, żeby mieć dobre oceny.

Czasem w wakacje też chodzimy na lekcje. Jeśli mama nie ma pieniędzy, w wakacje chodzę do miasta i pomagam siostrze mojej przyjaciółki w handlu, żeby trochę zarobić i kupić książki albo coś do jedzenia. Kiedy mama nie ma pieniędzy, to muszę pracować w mieście Takoradi. I muszę tam dotrzeć piechotą albo wziąć taksówkę. Idę około 5 kilometrów do Shama Junction i stamtąd biorę taksówkę do Takoradi. Kiedy mieszkałam jeszcze w domu dziadka, to wieczorami sprzedawałam *apesi*⁴ i gotowane mięso. Późno w nocy przyjeżdżały pociągi, chodziłam wtedy na stację kolejową i sprzedawałam podróżnym *apesi*.

Każdego dnia pojawiają się jakieś wyzwania, z którymi muszę sobie poradzić. Każdego dnia muszę myśleć, że mój ojciec nie żyje, bo nawet jeśli nie umarł, to ja i tak nie mam ojca.

Lubię żartować. Kiedyś moi koledzy ze szkoły droczyli się ze mną, a ja tego nie lubię. I mówiłam im, żeby przestali mi dokuczać. Lubię żartować, żeby sprawić, by inni się śmiali. Jeśli ktoś płacze, staram się tę osobę pocieszyć.

Codziennie płakałam, bo ktoś mi dokuczał, że jestem biedna, że nie mam pieniędzy. Zapisałam to – napisałam list. Poszłam też do mamy, a ona powiedziała: *Zrzuć to na swoją mamę, to nie ty jesteś biedna, ty jesteś bogata*. I przestałam płakać. Kiedyś często płakałam, bo mama jest biedna, a tato powtórnie się ożenił. Myślę, że gdyby mama znów wyszła za mąż, byłoby lepiej, bo mężczyzna wspierałby rodzinę. I codziennie modlę się do Boga, by ktoś nam pomógł. Mój dziadek jest stary, więc nie możemy wyprowadzić się do innego miasta, gdzie mogłybyśmy więcej zarobić. Wcześniej to on nam bardzo pomagał, a teraz my pomagamy jemu. Płakałam i modliłam się codziennie: gdyby ktoś mógł rozwiązać mój problem, żyłabym normalnie. Tylko mama się mną opiekuje, więc muszę być dla niej pomocą.

³ *Ampe* – gra dla dziewcząt, w której stojąc w dwóch rzędach, klaskają i skaczą, wskazując kierunek jedną nogą.

⁴ *Apesi* – potrawa z gotowanego manioku.

Kiedy dorosnę, chcę być lekarką albo dziennikarką. Na studiach chciałabym studiować biologię i literaturę. Wybiorę jeden z tych dwóch przedmiotów.

Jeśli ktoś będzie chciał się ze mną ożenić, to przedstawię go mamie i bratu i zapytam ich, czy go akceptują. Jeśli zostanę dziennikarką, to chcę, żeby mój mąż był lekarzem, a jeśli zostanę lekarką, to chcę, żeby był dziennikarzem. Chcę mądrego mężczyzny, a nie tylko przystojnego, który potrafiłby zaopiekować się mną, mamą, bratem i naszymi dziećmi. Chciałabym mieć czwórkę dzieci, dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Chcę się nimi dobrze opiekować. Zapłacę za ich szkoły i będę się starała być dla nich dobrym przewodnikiem.

W przyszłości chciałabym się stąd wyprowadzić, pojechać może do Europy. Chciałabym, by Ghana stała się kiedyś bogatym krajem, jak Polska. W Ghanie mamy ropę, ale nie umiemy jej wydobywać. Każdego dnia, kiedy modlę się do Boga, to proszę, żeby nam pomógł, to znaczy całej Ghanie i żeby pomógł nam też z tą ropą, żebyśmy stali się bogatym krajem. I chcę, by w Ghanie był pokój, żeby nie było wojen, żeby ludzie się kochali.

Lubię mój kraj, ponieważ tu się urodziłam. Najbardziej kocham szkołę. Mama powiedziała mi, że gdyby szkoła kosztowała więcej pieniędzy, to siedziałabym w domu, bo nie mogłybyśmy za nią zapłacić. Mama jest biedna, więc nie płacimy czesnego tylko opłacamy dodatkowe lekcje, to 30 cedi⁵ rocznie, a mama zarabia tylko 50 cedi miesięcznie. Mój młodszy brat też potrzebuje pieniędzy na szkołę. Muszę opłacić wpisowe, dodatkowe i wieczorne lekcje. To dla mnie za dużo. A jeśli chcę dalej chodzić do szkoły, to muszę być pewna, że sama zarobię na wpisowe i czesne w liceum. Mama powiedziała mi, że po skończeniu gimnazjum nie mogę dalej się uczyć, bo nas na to nie stać. A to mój ostatni rok gimnazjum. Często płaczę z tego powodu.

W zeszłym roku nie stać mnie było na wszystkie opłaty szkolne i teraz muszę zapłacić za zeszły i za ten rok szkolny. Co roku muszę też kupować podręczniki do dziewięciu przedmiotów: do angielskiego, do biologii, do matematyki itd., a to kosztuje tak dużo, że nie wyobrażam sobie, jak mogę za to zapłacić. Mamy trzy – cztery książki tylko do angielskiego, tj.: angielska składnia, gramatyka, literatura, a także do nauk społecznych, ghańskiego i innych. A w tym roku zaczynam także lekcje francuskiego. I w większości potrzebuję nowych książek, bo to są zeszyty ćwiczeń. Wiele książek nie jest obowiązkowych, na przykład słowniki, ale i tak ich potrzebuję. Często kserujemy fragmenty podręczników, ale nauczyciele dają nam ćwiczenia do zrobienia w domu i musimy je zrobić we własnych zeszytach ćwiczeń, bo jeśli je skserujesz, nauczyciel pomyśli, że to nie ty je zrobiłaś. Dlatego musimy mieć własne nowe zeszyty ćwiczeń. I mój brat ma to samo – jest w piątej klasie i potrzebuje nowych książek. Nie może wszystkiego kserować, więc musi zapłacić za swoje ćwiczenia i za szkołę.

⁵ 30 cedi, czyli 60 zł.



Jeśli w szkole dostaniesz osiem jedynek⁶ albo dziewięć, albo dziesięć, to możesz dostać stypendium. Uczę się więc, żeby to osiągnąć, ale muszę też pomagać mamie zarabiać pieniądze i muszę sprzedawać w mieście, więc nie mam za dużo czasu na naukę, a czasami w ogóle nie mogę iść przez to do szkoły. Mam jedną nauczycielkę, Monikę, którą naprawdę kocham. Ona mi bardzo pomaga. Czasami wysyła mnie, żebym kupiła jej coś do jedzenia, a kiedy wracam, ona już tego nie chce i mi daje. Opłaca też częściowo moje dodatkowe lekcje, jeśli ma trochę więcej pieniędzy. W tym roku nie ma za wiele pieniędzy. Pensja nauczyciela nie jest wysoka. Czasem więc ona płaci połowę moich opłat albo daje mi jakieś podręczniki.

W szkole zdarza się, że nauczyciele używają trzcinki, by utrzymać dyscyplinę. Mamy regulamin szkoły. Należy nosić odpowiednie buty, a nie klapki; trzeba być posłusznym nauczycielom; nie wolno nikogo obrażać – jeśli coś takiego zrobisz, to zostaniesz ukarany lub uderzony trzcinką. Dostajemy trzcinką w dłonie albo w plecy. Myślę, że to jest dobre, ponieważ trzeba wychowywać dzieci we właściwy sposób. Należy je dobrze wyszkolić. To sprawia, że muszę przestrzegać zasad i regulaminu. Jeśli nauczyciel używa trzcinki, to wiesz, że musisz stosować się do reguł i nakazów. Raz dostałam trzcinką, ponieważ miałam na sobie klapki w szkole – miałam ranę na stopie i bolało mnie, kiedy założyłam normalne buty i skarpetki. Więc byłam za to ukarana trzcinką. W każdy poniedziałek sprawdzają, czy nosisz skarpetki i czy masz ze sobą chusteczkę do nosa. Jeśli nie masz skarpetek albo chusteczki, dostajesz trzcinką. Jako uczeń musisz nosić ze sobą chusteczkę albo jakiś kawałek szmatki do czyszczenia tablicy. Każdy nauczyciel musi używać kar. Nawet Monika musi mi to robić, bo inaczej uczniowie powiedzieliby pozostałym nauczycielom i rodzicom, że ta nauczycielka za bardzo mnie lubi i traktuje mnie lepiej niż innych. Monika nie lubi bicia trzcinką i nie robi tego często. Zresztą teraz to się zmienia, jeśli zrobisz coś złego większość nauczycieli woli poprosić rodziców o przyjście do szkoły. I ostrzegają: nie rób tego więcej. A jeśli zrobisz to jeszcze raz, to jeszcze raz cię poproszą: nie rób tego więcej. I powtórzą to może z dziesięć razy, a potem wyrzucą cię ze szkoły i już nie będziesz mogła do niej wrócić.

W klasie jest 60, może 64 uczniów. Kiedy byłam w pierwszej klasie, było nas 64, a potem kilka osób przestało chodzić, więc teraz jest może 60, może nawet mniej, pięćdziesiąt kilka. Znam ich wszystkich, ale nie ze wszystkimi się przyjaźnię. Niektórzy robią rzeczy, które mi się nie podobają, więc mam tylko dwie przyjaciółki: Francisę i Marine, które są bliźniaczkami. Lubię je, bo są dobre i zawsze mi pomagają. Kiedy mają w szkole pieniądze, starają się mi pomóc. Doradzają mi. Kocham je. Są dobre i tak jak ja dużo się uczą, nie są samolubne i są posłuszne. Spędzamy razem czas, siedzę z Marine w ławce, a Francisca siedzi zaraz za nami. Kiedy nie ma nauczyciela w klasie, razem się uczymy. Nie bawimy się w czasie przerw, a po szkole musimy sprzedawać pomidory, owoce i warzywa, a potem razem wracamy do domu.

⁶ Jedyńska to najwyższa ocena.

A w środy i w piątki chodzimy razem na wieczorne lekcje, tam możemy się spotkać i razem popracować. Lekcje dodatkowe są zazwyczaj rano, zanim rozpoczną się normalne lekcje, a lekcje wieczorne są wieczorem i zaczynają się około 18. Rano sami uczymy się tego samego, czego uczymy się na normalnych lekcjach, a na zajęciach wieczornych przerabiamy tematy, których nie rozumiemy w szkole. Nauczyciele wyjaśniają nam te zagadnienia, których nie możemy zrozumieć na lekcjach. Te zajęcia są w innej szkole, więc nauczyciele też są inni i jest tam od 40 do 50 uczniów. Za lekcje wieczorne płacimy 1 cedi za tydzień. I mamy trzy semestry, każdy trwa po trzy miesiące. To nie jest łatwe, bo każdy nauczyciel chce, żebyś uczył się jego lub jej przedmiotu. Uczysz się więc angielskiego, uczysz się matematyki, uczysz się biologii i nauki o społeczeństwie itd. – mamy dziewięć przedmiotów. To za dużo. Musimy więc siedzieć i się uczyć, uczyć, uczyć, żeby zrozumieć to wszystko i zdać te wszystkie przedmioty. Jeśli chcesz być kimś w przyszłości, musisz się tego wszystkiego nauczyć i znać to bardzo dobrze. Myślę, że ludzie nie lubią się uczyć, bo jest tego za dużo. Ludzie nie lubią się uczyć i często nie chodzą do szkoły. Jak moja mama. Mama powiedziała mi, że chodziła do szkoły i skończyła gimnazjum, ale jej rodzice nie mieli pieniędzy, żeby posłać ją do liceum, więc nie uczyła się dalej i skończyła tylko gimnazjum.

Jestem szczęśliwa. Myślę, że każdy dzień przynosi jakieś wyzwanie albo problem. I kiedy uporasz się z tymi problemami, pojawiają się nowe, z którymi musisz się zmierzyć. To nie znaczy, że jeśli mama nie ma pieniędzy, powinnam przestać się uczyć. Niektórzy ludzie tak myślą: nie mam pieniędzy, to nie chodzę do kościoła, bo nie mam co dać na ofiarę. A ofiara nie jest obowiązkowa i ja nie myślę w ten sposób. Kiedyś niektórzy uczniowie mi dokuczali, że noszę biedne ciuchy i nie mam pieniędzy, więc przestałam chodzić do szkoły. Powiedziałam mamie, że nie mogę chodzić do tej szkoły, bo inni mi dokuczają, ale ona odpowiedziała, że nie mogę przestać chodzić do szkoły tylko z tego powodu. I wróciłam do szkoły, i lubię się uczyć.

Może uda mi się dostać stypendium. Jeśli poprawię swoje oceny i będę więcej się uczyć, to może zdobędę stypendium i będę mogła zapłacić za liceum. Moje motto to: *Kim jestem: biedną czy bogatą?*

Ty mi odpowiedz...

Monica Yankey Ansah

Nazywam się Monica Yankey Ansah, ale rodzice mówią do mnie Emomela. Bardzo lubię to imię, ponieważ to imię mojej babci. I kiedy tato tak do mnie mówi, czuję się bardzo dobrze. To tak jakby przywoływał swoją mamę. Lubię to imię.

Urodziłam się w Nzema. Zostałam z babcią w wiosce Akoto, kiedy moi rodzice przeprowadzili się do Daboase. Mam dwie siostry. Moja starsza siostra została z jednym z naszych wujków na Wybrzeżu Kości Słoniowej, a ja byłam z moją babcią. Byłam bardzo mała, więc niewiele pamiętam. Moi rodzice wyprowadzili się z Nzuma i potrzebowali czasu, żeby się urządzić i znaleźć pracę. Na początku nie mieli pieniędzy, żeby się nami opiekować, więc oddali nas do różnych krewnych, żeby się nami zajęli przez jakiś czas.

Kiedy wróciłam do rodziców, miałam jakieś 5 lat. Zaczęłam więc szkołę w Daboase. Nie pamiętam, co się działo w pierwszych klasach podstawówki. Ale, powiedzmy od czwartej klasy, już pamiętam kilku naszych nauczycieli. Było, no cóż, było miło w tej szkole. Po prostu lubiłam chodzić do szkoły. Nawet kiedy byłam chora, chodziłam do szkoły. Nie wiem do końca, co mną kierowało, ale lubiłam chodzić do szkoły. Pamiętam, że raz w gimnazjum, kiedy byłam chora, musieli mnie zanieść ze szkoły do domu. Już od rana wiedziałam, że źle się czuję, ale nie chciałam zostawać w domu. Chciałam iść do szkoły, uczyć się, a potem musieli mnie nieść z powrotem. Naprawdę lubiłam chodzić do szkoły.

Byłam przeciętną uczennicą. Nie miałam zbyt wielu przyjaciół. Nie lubiłam się zaprzyjaźniać. Byłam cichą dziewczynką. Właściwie to miałam tylko jedną przyjaciółkę, Albertę. Była bardzo dobra z matematyki. Cały czas byłam z nią i ona uczyła mnie matematyki. Nie miałam żadnych bliskich przyjaciółek i mi ich nie brakowało.

Kiedy zaczynałam gimnazjum, miałam 11 lat – zaczęłam wcześniej niż większość dzieci. Nie powtarzałam żadnej klasy i po prostu zdałam do gimnazjum. Byłam bardzo młoda. Kiedy kończyłam gimnazjum, miałam 14 lat.

Pamiętam, że nie lubiłam historii i wiedzy o społeczeństwie, bo nauczyciel bił nas trzcinką. Dostawałam też trzcinką od mojej wychowawczyni. Biją nawet za to, że kiedy cię pytają, nie znasz właściwej odpowiedzi. Nawet za to. Do dziś nie lubię tych przedmiotów, trzeba zapamiętywać dużo dat i faktów: pytają cię o stolicę tego, pytają o prezydenta tamtego. Nie lubię tego ani trochę. Dużo jest kucia na pamięć. Musisz zapamiętać, żeby w razie odpytywania dać właściwą odpowiedź, żeby cię nie bili trzcinką. Nie lubiłam tego, więc nauka szła mi ciężko. Lubiłam wszystkie inne przedmioty: angielski, matematykę. Byłam całkiem niezła z matematyki, więc tam nie dostawałam trzcinką. Ale za historię i wiedzę o społeczeństwie – tak. Nie lubię tych przedmiotów.

Potem z gimnazjum przeszłam do liceum. Kiedy zaczęłam liceum miałam 14 czy 15 lat, a kiedy skończyłam – 17. W szkole nosiliśmy mundurki: jasnozielone

z białym paskiem. Lubiałam to. Mama uszyła mi mundurek, który dobrze na mnie leżał. Byłam piękną dziewczyną. W tym mundurku bardzo dobrze widać było moje kształty. Ale chłopcy się we mnie nie zakochiwali. Dopiero kiedy byłam w liceum i miałam około 17 lat, i bardzo wyrosłam. Ale kiedy zaczynałam liceum, byłam bardzo młoda i wyglądałam jak dziewczynka.

Byłam przewodniczącą szkoły i wcale tego nie lubiałam. Ale zostałam wybrana, bo uważano, że jestem mądra, byłam jedną z najlepszych w klasie. Zazwyczaj, kiedy wybierają przewodniczącego, właśnie to biorą pod uwagę. Trzeba być dobrym w nauce, wzorowo się zachowywać i dobrze mówić po angielsku. Ale ja nie lubiałam tej roli, ponieważ byłam bardzo nieśmiała, a musiałam przemawiać przed całą szkołą. Ale dałam radę, choć było ciężko. Mieliśmy przewodniczących i ich zastępców. I ja byłam przewodniczącą. Wyobrażasz sobie?! Miałam siedemnaście lat i miałam rozkazywać pozostałym uczniom, całej szkole. Musiałam prowadzić zebrania, stawać przed wszystkimi i przekazywać różne ogłoszenia itd. Nie lubiałam tego. Nie używaliśmy mikrofonów, więc musiałam głośno mówić, a oni mieli mnie słuchać. I ledwo dało się słyszeć mój słabiutki głos, gdy mówiłam: *Proszę o ciszę!* A oni szeroko otwierali oczy i patrzyli na mnie. Wiedzieli, że nie potrafię krzyczeć. To było dla mnie bardzo trudne. Ale chłopcy przewodniczący i ich zastępcy byli bardzo aktywni, więc starali się mi pomagać. Gdybym była z tym sama... Nie mogłam odmówić, nie było mowy, żeby powiedzieć: nie. Powiedzieli: *Monica nadaje się na przewodniczącą, przychodzi wcześniej do szkoły, dobrze się ubiera.* A potem było głosowanie i uczniowie mnie wybrali. Wiedzieli, że nie potrafię przemawiać, a i tak mnie wybrali. Więc zostałam przewodniczącą i miałam swoją zastępczynię. Wybory odbywały się co dwa lata.

W liceum zdałam wszystkie egzaminy – mieliśmy siedem przedmiotów. Był jeden przedmiot, fanti, którego nie lubiałam, choć to język mojej mamy. Nie wiem dlaczego, ale go nie lubiałam. Ale zdałam egzamin. Kiedy kończyłam szkołę, miałam 17 lat. Wtedy chciałam zostać nauczycielką. Kiedy przyszliśmy do liceum, nasza nauczycielka zapytała nas, kim chcemy zostać w przyszłości, a dzieci odpowiadały: „ja chcę być lekarzem”, „a ja...” i ja powiedziałam: *ja chcę być nauczycielką.* I cała klasa zaczęła się ze mnie śmiać. A ja starałam się nie zwracać na to uwagi i teraz jestem nauczycielką. Naprawdę uwielbiam uczyć. Mam ogromne klasy i to jest utrudnienie, ale naprawdę kocham uczyć.

Po egzaminach pół roku byłam u rodziców. Mamy sklep, więc pracowałam w sklepie. To jest taki sklep wielobranżowy – mamy kosmetyki, produkty spożywcze itd. Pomagałam rodzicom, po południu przygotowywałam kolację, a po niej znów szłam do sklepu. Cały czas byłam z moimi rodzicami, bo oni też przychodzili do sklepu, więc wszyscy tam byliśmy. Kiedy przychodziła pora zamknięcia, to zamykaliśmy i szliśmy wszyscy razem do domu. Byłam szczęśliwa, ale chciałam się uczyć, więc rodzice wykupili mi formularze wstępne, ale niestety nie dostałam się do szkoły. Nie wiem dlaczego, nie mam pojęcia. Kupuje się formularz, wypełnia go, a władze szkoły wybierają sobie najlepszych kandydatów, ale nie wiem na jakiej podstawie, nie wiem,

jak to robią. A po tej pierwszej selekcji, idzie się na rozmowę kwalifikacyjną i jeśli ją zdasz, to zostajesz przyjęty. Ale ja nawet nie doszłam do etapu rozmowy. Rodzice namówili mnie więc, żebym napisała egzaminy wstępne do AgriCollege, czyli akademii rolniczej – to szkoła, w której uczysz się, jak pomagać rolnikom, pracujesz w biurze, a potem idziesz do rolników i uczysz ich, jak uprawiać rośliny, radzić sobie z chorobami roślin itd. Więc miałam tam iść na studia. Napisałam egzaminy, ale wyniki się opóźniały. W trakcie czekania na wyniki, tato znalazł prywatne studium dla nauczycieli i zapytał mnie, czy chciałabym tam spróbować. I powiedziałam, że tak. Porzuciłam więc AgriCollege. Nie musiałam zdawać żadnych egzaminów, tylko wzięli moje wyniki z liceum – jeśli oceny były w porządku, to brali cię na rozmowę. Po rozmowie zostałam przyjęta. Kiedy mój tato zobaczył reklamę tej szkoły, było już blisko do rozpoczęcia nowego roku szkolnego, więc zrobiliśmy wszystko szybko. Poszliśmy tam i oni od razu przeprowadzili ze mną rozmowę. I dostałam potwierdzenie przyjęcia. Byłam szczęśliwa, że tam jestem, ponieważ nie znałam żadnego innego miejsca poza Zachodnim Regionem, a studium było gdzie indziej – w Kumasi. Cieszyłam się, kiedy przyjechałam do Kumasi, bo chciałam poznawać nowe miejsca, być w wielkim mieście, wyprowadzić się od mojej rodziny.

Szkoła była prywatna. Płaciliśmy czesne, które wynosiło wtedy 15 cedi za każdy semestr¹, czyli za każde trzy miesiące, to była olbrzymia suma. Teraz ta opłata wynosi 35 cedi. Moi rodzice za mnie płacili. To było dla nas trudne, a ja do tego miałam problemy z oczami i musiałam co miesiąc chodzić do szpitala, więc było ciężko – za szpital też musiałam płacić.

W internacie budzili nas o świcie, około 4.30 i musieliśmy wypełnić kilka obowiązków: zamiatać, szorować itd. Wszystko musieliśmy zrobić przed siódmą, a potem szliśmy do klas. Mieliliśmy jedną panią, która wszystkich pilnowała i była bardzo surowa. Jeśli do twoich obowiązków należało szorowanie wanny, trzeba było czekać, aż wszyscy się wykupią i potem szorować, a dopiero potem szło się do klasy. Każdego ranka. A w sobotę było sprzątanie generalne.

Wciąż byłam bardzo młoda i nie miałam żadnych przyjaciół. To było nowe miejsce i potrzebowałam więcej czasu. Po jakimś czasie miałam kilkoro przyjaciół, a to dzięki oczom. Miałam problemy z oczami, poważne, i przez to na lekcjach byłam bardzo smutna. Nie byłam głupia, byłam przeciętna – kiedy mnie o coś pytali, to znałam odpowiedzi, ale kiedy siedziałam trochę dalej od tablicy, nie widziałam zadań. A nasze zadania były zawsze na tablicy – mogłam je rozwiązać, ale trudno mi było odczytać je z tablicy. I tak zaczynały się moje przyjaźnie – prosiłam osoby siedzące obok mnie, żeby pisały mi, co było na tablicy i w ten sposób mogłam odpowiadać.

W szpitalu dali mi okulary, ale i tak dobrze nie widziałam, więc musiałam zmienić okulary, a potem znowu i dopiero za trzecim razem dobrze je dobrali. Mogłam czytać z tablicy.

¹ 15 cedi to około 30 zł.



Mieliśmy też drużynę kadetów, coś w rodzaju skautów, tam uczono nas, jak maszerować, jak wypełniać rozkazy i odpowiednio na nie reagować. Byłam w tej drużynie, maszerowałam w mundurze. Bawiło mnie to, ale było ciężko, ponieważ byłam w tym niezła i często brali mnie na szkolenia. Jeśli jesteś kiepski, możesz spać. Jak jesteś dobry, to biorą cię na szkolenia. W każdy weekend, w każdą sobotę, musiałam chodzić na treningi, biegaliśmy, a po biegach maszerowaliśmy. Potem robiłam jakieś drobne sprzątanie i dopiero wtedy mogłam odpoczywać.

Ponieważ szkoła była prywatna, byli tam bardzo restrykcyjni, nie miałam czasu na wyjścia. Lekcje kończyły się około 14.30 lub 15, więc byłam zmęczona, brałam tylko kąpiel i mogłam przez chwilę odpocząć. Potem około 17 – 17.30 była kolacja, a później szliśmy odrabiać lekcje około 18 i uczyliśmy się wtedy sami. Mniej więcej o 21 chodziliśmy spać. I nie mogliśmy wychodzić w nocy. Niektóre dziewczęta uciekały, ale ja do nich nie należałam. Jeśli przyłapali cię, że wychodziłaś bez pozwolenia, zostawałaś wydalona. A kiedy widzisz, ile pieniędzy twoi rodzice płacą za te studia, musisz się dostosować.

Czasem się wygłupialiśmy, niektóre dziewczęta udawały chłopców – to jak chodzą, jak mówią. A kiedy słyszałyśmy, że po schodach idzie jakiś chłopiec, wszystkie bieglyśmy do swoich pokojów i siedziałyśmy tam cicho. Było dużo śmiechu.

A kiedy popełniłyśmy jakiś błąd, nasz oficer kadetów mówił: *Jeśli jeszcze raz się pomylicie, dam wam goro!* Czyli mocny cios w policzek, tak mocny, że z ust leci ci krew. To było tylko tak na żarty – ale mówił to bardzo poważnym tonem.

Mieszkałyśmy w jednym budynku z chłopcami: oni byli na parterze, a my na piętrze. Ale nie mieliśmy tam szans na romanse – tylko w klasie, kiedy nie było nauczyciela, mogliśmy ze sobą rozmawiać. Ale poza tym byli bardzo restrykcyjni. Dziewczyny nie miały szans, żeby zejść na dół i być u chłopców w pokoju – co to, to nie. Byliśmy rozdzieleni. Chłopcy mogli tylko pisać listy miłosne do dziewczyn. Jeden chłopiec wysłał do mnie taki list, ale mi się to nie podobało. Tak zostałam wychowana – nie lubię takich rzeczy. Nigdy nie odpowiedziałam na te listy, a on wciąż je do mnie pisał i siadał koło mnie w klasie. Ale trzymałam dystans.

Egzamin promocyjny na pierwszym roku jest bardzo ważny. Zdajesz wtedy: matematykę, angielski, biologię, wuef, psychologię i R&M (naukę o religii i etyce). R&M jest obowiązkowa, na tych lekcjach omawia się wszystkie religie. Pisziesz egzamin, wypełniasz rozszerzony formularz i jeśli oblejesz, nie ma szans na powtórkę, zostajesz wyrzucona ze szkoły. Robiliśmy wszystko, żeby go zdać. Studia trwały trzy lata. Ta szkoła była bardzo wymagająca, ale cieszyłam się, że mogłam być w innej części kraju, podoba mi się region Ashanti. Byłam tam szczęśliwa. Mogłam zobaczyć po drodze tyle miast. I przyjaciele, których tam miałam, dawali mi dużo radości. W 2001 roku skończyłam studium – miałam 21 lat.

Kiedy kończysz studium nauczycielskie, praca już na ciebie czeka – musisz tylko wybrać, gdzie chcesz pracować. Masz tylko trzy wybory – wybierasz pierwsze, drugie i trzecie miejsce. Jeśli nie dostaniesz się do pierwszego, dają ci drugie.

Ja wybrałam Region Zachodni, ponieważ tam mieszkali moi rodzice, dlatego wybrałam tę część. Wysłali mnie do wioski Akyempem – mniejszej niż Shama, ale jest tam kopalnia. W tej wiosce nie było prądu. Mieszkałam tam w kwaterze nauczycielskiej. Wyobraź to sobie: nie było prądu, a ja przez tę moją nieśmiałość nie za bardzo lubiłam wychodzić z domu. Słuchałam więc radia – używałam baterii, miałam małe radyjko i słuchałam muzyki albo kazań. A kiedy nie ma światła i nie zdążysz zrobić wszystkiego na czas, musisz poradzić sobie w ciemnościach. Byli tam też inni nauczyciele, sami mężczyźni. Nie bałam się, ale nie bawiłam się z nimi za dobrze. To było spokojne życie. Spędziłam tam tylko rok. Kochałam uczyć. Nie miałam żadnych problemów z uczeniem. Zostałam wysłana do szkoły podstawowej. Uczyłam matematyki i R&M w czwartej, piątej i szóstej klasie. Po roku mój tato napisał list do władz i zostałam przeniesiona do Daboase, więc wróciłam do moich rodziców i wprowadziłam się do ich domu. Naprawdę cieszyłam się, że znów z nimi jestem. Ale po roku już marzyłam, żeby być gdzie indziej, ponieważ moi rodzice są bardzo surowi. Nie pozwalali mi wychodzić. Tak nas wychowali i dlatego nie lubię wychodzić. Tylko jeśli było jakieś święto, dawali mi szansę na wyjście – a i tak po 40 – 50 minutach wracaliśmy do domu. Nie lubiłam wychodzić, ale nie lubiłam też siedzieć w domu. Dorastałam, miałam 22 – 23 lata, a wciąż z nimi przesiadywałam – marzyłam, żeby gdzieś wyjść. Ale nie było jak i musiałam tam zostać jeszcze 4 lata. Byłam nauczycielką w podstawówce St. Martin i uczyłam w pierwszych klasach. Jeśli umiesz śpiewać, uczenie małych dzieci jest ciekawe, ale ja nie potrafię śpiewać, więc moje dzieci cały czas tylko się uczyły. Czasami musiałam poprosić innego nauczyciela, żeby przyszedł i nauczył moje dzieci jakichś piosenek. Musisz umieć śpiewać, ponieważ małe dzieci chcą się bawić podczas nauki, więc przynosisz im piosenki, a one śpiewają i tańczą. Ale ja nie umiałam śpiewać, więc recytowaliśmy wierszyki – każdego dnia recytowaliśmy wiersze. A potem zostałam przeniesiona do trzeciej klasy. Lubiłam je uczyć, kochałam moje dzieciaczki, ale byłam dla nich za poważna.

Miałam około 50 uczniów w jednej klasie. Nigdzie nie znajdziesz klasy z mniej niż 40 dziećmi. Jeśli jest 40 – 45 dzieciaków, to znaczy, że masz małą klasę. I jest tylko jeden nauczyciel, który jest w klasie, który uczy, krzyczy, bije trzcinką. Nie umiem uderzać trzcinką – pewnie byłoby lepiej, gdybym to potrafiła.

Tak więc w trzeciej klasie miałam fajną klasę i przeszłam z nimi do czwartej. I to nie było dobre dla dzieci, bo wyszłam wtedy za mąż. Postanowiłam przejść z nimi do następnej klasy – jeśli dobrze je przygotujesz, przejdą do następnej klasy, ale jeśli nie, to nie zdadzą. Postanowiłam więc przejść z nimi, bo dobrze im szło w trzeciej klasie – potrafili mówić po angielsku, umieli czytać i pisać.

Mojego męża poznałam w tej samej szkole St. Martin. Był tam na praktykach nauczycielskich. I kiedy mnie zobaczył, moja twarz wydała mu się ładna. Tego dnia miałam na sobie mój mundurek – mundurek dla nauczycieli w kolorze głębokiego brązu. Teraz już ich nie używamy, ale wtedy je nosiliśmy. Wyglądałam więc ładnie w moim mundurku. Kiedy się poznaliśmy miałam 24 lata. Przychodził do mojej

klasy, wtedy trzeciej, i starał się mi pomóc w ocenianiu prac uczniów. Codziennie przychodził do mojej klasy. Nie uczył wszystkich przedmiotów, uczył tylko biologii. Więc zawsze kiedy miał wolne, przychodził do mojej klasy i rozmawialiśmy, rozmawialiśmy, rozmawialiśmy. I nie potrafił mi powiedzieć, że mnie lubi, tylko rozmawialiśmy o szkole, pytał o moją rodzinę, a czasem nawet razem studiowaliśmy Biblię. Nie był w stanie mi powiedzieć: zakochałem się w tobie. Zajęło mu to rok. Właściwie to napisał do mnie list z pytaniem, czy za niego wyjdę. To wyglądało jak ankieta z pytaniami, miał ich mnóstwo: kiedy chcesz wyjść za mąż, jak, gdzie itd. Dał mi go w kopercie i poprosił, żebym przeczytała w domu. Kiedy czytałam tę ankietę, wiedziałam, co chciał przez nią powiedzieć. Ale był taki nieśmiały, że nie mógł tego zrobić osobiście, więc przygotował kwestionariusz. Nie odpowiedziałam na niego. Przetrzymałam go dwa tygodnie i w ogóle z nim nie rozmawiałam. Kiedy go spotykałam, po prostu go mijałam i zauważył, że zachowuję się inaczej. Zrozumiał, że potrzebuję czasu. Po dwóch tygodniach, gdy się zobaczyliśmy, zapytał: *Dałem ci coś. Czy masz już odpowiedź?* A ja odpowiedziałam: *nie*. Tak naprawdę każdej nocy czytałam ten kwestionariusz wzdłuż i wszerz, a potem zaczęłam odpowiadać. I kiedy skończyłam go wypełniać, dałam list jednemu uczniowi, żeby mu przekazał. A kiedy go przeczytał, zrozumiał, że jestem nim zainteresowana. Nie oświadczył się, tylko zapytał, kiedy chcę wziąć ślub i jak długo ma trwać nasze narzeczeństwo. A ja dałam mu bardzo mało czasu, około 6 miesięcy. 6 miesięcy to bardzo krótki okres, ponieważ on wciąż się uczył. Obiecał, że jak tylko skończy szkołę, weźmiemy ślub.

Tak więc odwiedzał mnie, kupował mi kartki, obrazki na ścianę, kwiaty i byłam naprawdę szczęśliwa. Dał mi też pierścionek – srebrny, był bardzo piękny. Przedstawiłam Matthiasa mamie. Nie przedstawiłam go tacie, ponieważ mój ojciec jest bardzo surowy i gdyby zobaczył go w naszym domu, byłaby awantura. Ojciec jest bardzo restrykcyjny i Matthias to wiedział, więc nie przychodził do mojego domu, kiedy był tam mój ojciec. Mama też trzymała to w tajemnicy przed tatą. A sama bardzo go lubiła, ponieważ on jest bardzo miły. Kiedy Matthias chciał przyjść do mojego domu, specjalnie siedł koło naszego sklepu, żeby sprawdzić, czy mój ojciec w nim jest. Jeśli tato był w sklepie, to znaczyło: droga wolna, w domu jest bezpiecznie. Byliśmy w takim związku przez rok. Od czasu kwestionariusza do małżeństwa minął rok. Dałam mu pół roku, a on powiedział, że to za krótko, więc wyszło około roku. Potem oficjalnie przyszedł ze swoimi rodzicami i innymi krewnymi, a mój ojciec zapytał mnie, czy znam tego mężczyznę i czy jestem nim zainteresowana. Powiedziałam, że tak. Ale ojciec nie wiedział, że on przychodził do naszego domu. Nigdy mu o tym nie powiedzieliśmy. Matthias przyszedł więc z napitkiem, tutaj nazywamy to *ko kooko*, czyli *ceremonia pukania do drzwi*, taki tradycyjny zwyczaj, kiedy mężczyzna zamierza poślubić kobietę. Powiedział, że jest mną zainteresowany i chce się ze mną ożenić. Przynieśli napitek, a ojciec dał im listę rzeczy, które muszą kupić. I w 2006 roku wyszłam za mąż.

Ślub był bardzo udany, ale trzęsłam się ze strachu z powodu tłumu gości. Było bardzo dużo ludzi i pięknie udekorowana sala. Miałam też piękną suknię, przysłała

mi ją jedna z moich cioć, która sama ją dla mnie uszyła. Ta sama ciocia zrobiła też dla mnie sukienkę zaręczynową. Zaręczyny odbyły się w piątek rano, a w sobotę było białe wesele. Braliśmy ślub w kościele katolickim. Ja jestem metodystką, ale ponieważ on jest katolikiem, musieliśmy wziąć ślub w katolickim kościele. I teraz wciąż chodzimy do katolickiego kościoła. Wiara jest wszędzie taka sama. Jeśli bym tego nie robiła, on nie mógłby przyjmować komunii. Więc od czasu ślubu jestem w kościele katolickim. Chciałam chodzić do mojego kościoła, ale to nie działało. Wołałam być z nim.

Po ślubie nie mieliśmy żadnego przyjęcia. Był tylko drobny poczęstunek: napoje i przekąski dla gości. Z kościoła wyszliśmy około 13 i potem poszliśmy do miejsca, gdzie podawany był poczęstunek, i tam spędziliśmy około dwóch godzin. Tam ucztowaliśmy: śpiewaliśmy, tańczyliśmy, jedliśmy i piliśmy. Na ślubie było tak dużo ludzi, że nawet kościół ich nie pomieścił i niektórzy stali na zewnątrz. Przyszli wszyscy metodyści z mojego kościoła i byli też wszyscy koledzy Matthiasa ze szkoły. Przyszli wszyscy znajomi nauczyciele. Było wielu gości, z pewnością więcej niż 300, około 500 osób. I musieliśmy ich nakarmić. W kościele metodystów mamy grupę, która nazywa się Bractwo Młodzieżowe – to młodzi ludzie, którzy spotykają się i wspólnie się modlą. I to oni byli odpowiedzialni za napoje i jedzenie na moim ślubie. Ale potem kilka osób narzekało – to jest bardzo powszechne w Ghanie, że goście przychodzą i narzekają, że nie dostali wystarczającej ilości jedzenia czy picia. Goście dają prezenty, a jeśli mają – pieniądze.

Nie wiem, jak to jest być zamężną kobietą w Ghanie – nie wiem jak to opisać. Cóż, na początku nie byłam szczęśliwa, ponieważ jako żona wstajesz rano i wszystko robisz sama, a twój mąż w tym czasie leży w łóżku. Pomyślałam wtedy: „czy tak wygląda małżeństwo?”. Pierwszy raz naprawdę płakałam. Wtedy też musiałam się stąd wyprowadzić i przenieść do szkoły w Daboose. Braliśmy ślub w kwietniu, a rok szkolny zaczynał się w październiku. Miałam więc 5 miesięcy. Kiedy wstajesz rano, musisz sprzątać i gotować, a mąż leży w łóżku. Zapytałam więc inne kobiety, które od dawna były mężatkami: *Małżeństwo – co to jest małżeństwo?* A one mnie zapytały: *Dlaczego o to pytasz?* A ja powiedziałam: *Kiedy wstaję, mój mąż jest w łóżku, a ja muszę wszystko robić sama.* A one powiedziały: *Tak właśnie jest. Wszystko robisz sama. Musisz więc się do tego przyzwyczaić. Jeśli się z tym nie pogodzisz, to codziennie będziesz płakała.* Przyjęłam więc, że tak jest i robiłam swoje. Jeśli zaczniesz się nad tym zastanawiać, to ci się to nie podoba. Więc trzeba dać sobie z tym spokój. Twój mąż rozmawia z tobą, bawi się z tobą, śmieje się z tobą. Ale kiedy chodzi o prace domowe, co to, to nie – tu ci nie pomoże. I nawet jeśli rozmawiasz o tym ze swoim mężem, to nic nie daje. Rozmawiałam o tym z Matthiasem, ale nie dało to żadnych rezultatów. Kiedy byliśmy parą, on naprawdę dużo mi pomagał, ale po ślubie wszystko się zmieniło. Myślałam więc: „Jestem z mężczyzną, który przychodził do mojego domu i pomagał. Ale po ślubie to wszystko się zmieniło. Może jest jakieś 5% mężów, którzy pomagają w domu, więc muszę pogodzić się z tym, że

tak jest i tak planować swoją pracę, żeby nie być za bardzo zmęczona”. Wstaję około 5 nad ranem. Muszę zająć się obowiązkami domowymi, przygotować śniadanie i lunch w tym samym czasie, bo potem mnie nie będzie i nie będzie miał kto tego zrobić. A potem muszę iść do pracy. Muszę tak zaplanować swoje życie, żeby było trochę bardziej znośne.

W małżeństwie cieszy mnie to, że masz kogoś, kto dotrzymuje ci towarzystwa. To jedyna dobra rzecz – masz kogoś, z kim możesz porozmawiać. Nie mogę się też doczekać dzieci – gdy będę miała piątkę, będę szczęśliwa. Moja mama urodziła tylko trójkę. A ja marzę o wielu dzieciach. Troje to za mało, chcę mieć dużą rodzinę. Będę kochającą mamą dla moich dzieci: będę się z nimi bawić, będę ich też uczyć w domu, będę kupować im ładne ubrania, wychodzić z nimi. Moi rodzice byli bardzo surowi, ale ja taka nie będę. Chcę być inną matką.

Marzę też o dalszej edukacji. Chciałabym mieć stopień magistra. Mam dyplom licencjacki z matematyki, ale z trudem go zdobyłam. Tak naprawdę to był szczyt moich możliwości, musiałam szukać pomocy dobrego nauczyciela, który mi pomógł. Nie zdawałam matematyki w szkole średniej, zrobiłam tylko naukę o rolnictwie, więc ciężko mi było zrobić licencjat z matematyki. Ale interesuje mnie matematyka, nawet ją lubię. Zrobiłam to, żeby dostać dyplom licencjacki i to było w porządku – jak na dyplom, dobrze mi poszło. Myślałam więc, że tak samo będzie z dyplomem magisterskim, ale było bardzo ciężko. Musiałam zatrudnić prywatnego nauczyciela, żeby mi pomógł, a i tak nie dałam rady. Myślę więc, że nie będę już próbowała z matematyką. Może administracja? Ale chcę to zrobić dopiero po tym, jak już będę miała pierwsze dziecko.

Chciałabym mieć, poza uczeniem, swój własny sklep. W przyszłości chciałabym mieć dwa lub trzy różne sklepy, tak żeby mieć pieniądze dla moich dzieci. Chcę być nauczycielką, bizneswoman i dobrą matką – jeśli będę zdeterminowana, wiem, że mogę to wszystko osiągnąć.

Kiedy patrzę na Ghanę, widzę wiele zmian. Teraz mamy darmową edukację, a za moich czasów szkoła nie była bezpłatna, płaciliśmy chesne. Zmienili studium nauczycielskie na studia dyplomowe, więc kiedy kończysz tę szkołę, masz już dyplom. Ciężko powiedzieć, co jeszcze zmieniło się w Ghanie, ale myślę, że dużo. I myślę, że to są zmiany na lepsze. Chcę, żeby w moim kraju był pokój, chcę też, żeby Ghana była silna ekonomicznie. I to wszystko zależy od nas. Myślę, że politycy są gdzieś tam na górze, a my tu u źródeł musimy być mądrzy. Ponieważ politycy idą do radia, telewizji i mówią coś, co rani tych na dole. I politycy pozostają bezkarni, a ci, którzy są na dole, kłócą się i ze sobą walczą. Więc my na dole musimy być mądrzy. Nie powinniśmy skupiać się na politykach, oni chcą tylko władzy. Ale niektórzy ludzie myślą: on jest moim przywódcą i jeśli ktoś coś powie przeciwko mojemu przywódcy, to trzeba go zwalczyć. Ale tak nie można. Nie lubię obecnej sytuacji politycznej w Ghanie. To akurat zmieniło się na gorsze.

Żeby mieć dobre wyniki gospodarcze, my Ghańczycy powinniśmy ciężko pracować. Niektórzy tak robią, a niektórzy są leniwi – chcą pracować za biurkiem,

ale nie chodzą do szkoły. Jeśli chcesz być na wyższym stanowisku, to musisz się dużo uczyć i chodzić do szkoły. Ale jeśli tego nie robisz – są też inne miejsca pracy. Możesz iść do szkoły zawodowej, gdzie nauczysz się zawodu itd. Tak więc każdy powinien coś robić. Dostajesz jakąś pracę do zrobienia i to ci daje pieniądze, a nie chodzisz i żebrzesz. Ale niektórzy nie robią nic. Zwłaszcza kobiety, zostają w domach i myślą, że są gospodyniami. Nie lubię tego, uważam, że trzeba coś robić. Mąż nie może ci wszystkiego kupować. Musisz pracować, żeby w razie czego mężczyzna nie mógł dyktować ci, co możesz robić, a czego ci nie wolno. Możesz sama decydować. Tego nauczę moje córki.

A jeśli chodzi o pomoc rozwojową – w niektórych regionach nie mamy ekspertów. Mamy ropę, ale nie mamy ekspertów, którzy mogliby się naprawdę zająć jej wydobyciem. Potrzebujemy więc kogoś, kto by to zrobił. W niektórych regionach brakuje szpitali, szkół i dróg. Na niektórych terenach musisz podróżować kilometrami, żeby dostać się do szpitala albo do szkoły, a nasze drogi są w bardzo złym stanie. Może w tych obszarach moglibyśmy otrzymać wsparcie z zewnątrz.

Żeby zakończyć moją opowieść: jestem szczęśliwa, że jestem Ghanijką. Dobra energia była mi dana, odkąd byłam małym dzieckiem, więc już we mnie jest. Jeśli ją masz, to kiedy się budzisz, bierzesz głęboki oddech i czujesz się szczęśliwa. Kiedy urządzasz ładnie swój pokój, dajesz jedzenie swojemu mężowi i dzieciom, to czujesz, że oni wszyscy na tobie polegają.

Mary Eshun Tawiah

Nazywam się Mary Eshun Tawiah. Moja mama urodziła mnie, kiedy moja starsza siostra miała 14 lat. Mama bardzo dużo się modliła do Maryi Dziewicy i do krzyża, i obiecała, że jeśli mnie urodzi i wszystko będzie dobrze, to zostanę księdzem. Jeśli urodziłaby syna, to on zostałby księdzem, a skoro jestem dziewczynką, to miałam zostać zakonnicą. W końcu nie zostałam zakonnicą, ale jestem katechetką.

I sprowadziła na świat dziewczynkę i nazwała ją Mary. Urodziłam się 12 września 1956 roku. 8 września były obchody narodzin Maryi Dziewicy, matki Chrystusa, a ja przyszłam na świat 12 września i mam imię po Maryi Dziewicy.

Potem dorastałam, a kiedy byłam w pierwszej klasie, zmarł mój ojciec w bardzo młodym wieku.

Kiedy byłam dzieckiem, miałam 2 – 3 lata, zostałam wysłana do siostry mamy. Wysłali mnie tam po to, żebym mogła pójść do szkoły, kiedy podrosnę. Poszłam tam do szkoły do pierwszej klasy, a później mama przyjechała i zabrała mnie z powrotem do siebie. I zaczęłam szkołę tutaj w Shama. Moja ciocia dobrze mnie traktowała. Opiekowała się mną bardzo, bardzo dobrze. Ale potem mama zabrała mnie tutaj.

Mój ojciec zmarł w młodym wieku, więc zaczęłam szkołę tu w Shama i skończyłam ją na poziomie gimnazjum. Szkołę skończyłam w 1974 roku. Byłam w szkole rzymskokatolickiej. Byłam wtedy bardzo wysportowana i grałam w siatkówkę.

Zdawałam egzaminy do szkoły średniej i zdałam, ale nie mogłam znaleźć nikogo, kto by mi umożliwił naukę. Ukończyłam gimnazjum, ale nie miałam pieniędzy, żeby pójść do szkoły średniej. Potem próbowałam jeszcze skończyć czwartą klasę. W starym systemie mieliśmy podstawówkę od pierwszej do szóstej klasy, a potem przenosiliśmy się do pierwszej klasy gimnazjum i tam byliśmy do czwartej klasy.

Moi starzy nauczyciele nadal tam uczą – to są dobrzy nauczyciele. Jeden z nich już zmarł.

Po opuszczeniu szkoły, nie zrobiłam już żadnej szkoły ponadgimnazjalnej, bo nie mieliśmy pieniędzy. Wysłali mnie więc do *Madame Ethel Jobson Mutual* – centrum kursów krawieckich w Sekondi. To było centrum mody i tam się szkoliłam. Kiedy byłam w centrum krawiectwa, szyłam suknie dla dorosłych kobiet. Miałam 16 lat. Byłam tam, kiedy nasza mistrzyni krawiectwa podróżowała za granicę i odwiedzała swoje dzieci, więc przejęła nas starsza praktykantka. I to ona nas uczyła, ale nie zdawaliśmy żadnych egzaminów w tym czasie. Kiedy ukończyłam ten kurs, wróciłam i założyłam swój sklep w Bentsir, jednej z rybackich dzielnic Shama. Moja mama dała mi pieniądze na zakup maszyny do szycia, a przyjaciółka mamy zaproponowała mi miejsce, w którym mogłam otworzyć sklep.

W czasie tych dwóch lat szkoły krawieckiej ukończyłam praktyki, a potem wróciłam do Shama i tu miałam swój sklep i bar. Zatrudniłam kilkoro dzieciaków, które odbywały u mnie praktyki. Tak się wtedy robiło. A potem otworzyli u nas

ośrodek kształcenia w zakresie krawiectwa i ogłosili to w kościele. Nasz były ksiądz – ojciec Boafu, który założył tę szkołę, został przeniesiony do Asankragua i przekazywał ją właśnie Panu Martinowi i Pani Henricie. Oni są Niemcami. Przywieźli kilka maszyn do szycia i pytali o nauczycieli, którzy by ich nauczyl, jak kształcić w tym zawodzie dzieci. Wstałam więc i powiedziałam: *Ja się tym zajmę*. Było nas troje nauczycieli. Przejęliśmy ten ośrodek krawiectwa i przenieśliśmy go do wynajętego domu w Shama. Jesteśmy tu już 5 lat i uczymy dziewczyny szycia sukienek.

Lubię swoją pracę, ponieważ, jeśli nie mam pieniędzy, zawsze mogę zarobić szyciem. Jeśli ktoś przyniesie swój materiał, mogę uszyć mu z niego ubranie i zarobić na utrzymanie dzieci. To jest bardzo ciekawa praca i bardzo ją lubię. Szyjemy torebki, sukienki i mundurki szkolne – wszystkie rodzaje.

W 1976 roku do moich rodziców przyszedł pewien mężczyzna i powiedział im, że chce mnie poślubić. Wcale go nie znałam. Nigdy wcześniej go nie widziałam. A moi rodzice się zgodzili i musiałam wyjść za mąż za mężczyznę, którego nie znałam. Nic nie powiedziałam, ponieważ musiałam być posłuszna swoim rodzicom – nie mogłam się sprzeciwić. Na początku było mi bardzo trudno się z tym pogodzić. Ale potem powiedzieli mi, że jeśli jestem dziewczyną i ktoś przychodzi, żeby się ze mną zaręczyć, muszę się zgodzić, i że tak jest lepiej, niż samej wybierać męża.

On miał wtedy 26 lat, a ja 20. Moi rodzice postąpili zgodnie z tradycyjną ceremonią zaręczyn. Kiedy rodzice zgodzili się na ślub, wręczyli temu mężczyźnie listę zaręczynową: jeden Schnapps, kilka ubrań i inne rzeczy – to jest lista rzeczy, które musi przynieść przyszły pan młody. I on na to przystał. Poszedł i powiedział o tym swoim rodzicom, razem usiedli i zdecydowali, że oni się tym zajmą. Po dwóch miesiącach przyszli i wręczyli nam wszystkie te rzeczy. W międzyczasie byłam u moich rodziców i jeszcze z nim nie mieszkalam. On był kierownikiem w *PCC GIHOC Convention of Division* w Takoradi i tam pracował. Mieliśmy tradycyjne wesele. Po weselu zamieszkałam z nim w Sekondi, a później wróciliśmy do Shama. Naprawdę nic więcej nie pamiętam.

Mam sześćoro dzieci. Moje pierwsze dziecko urodziło się w 1976 r. Moje pierwsze dziecko, córka, jest teraz we Włoszech, zabrał ją tam jej mąż, który jest Ghańczykiem, ale mieszka we Włoszech. Drugie – też córka, jest kucharką. Trzeci to chłopiec – jest stolarzem. Czwarty – też syn, pracuje w moim sklepie. Piąty – przeprowadził się do szkoły w Kumasi. I ostatnia córka jest w liceum. Moje najstarsze dziecko ma teraz 35 lat, a najmłodsze 14. Kiedyś zapewniałam im wszystko, czego potrzebowali. Zarabiałam dla nich pieniądze. Trudno powiedzieć, czy byłam szczęśliwa rodząc pierwsze dziecko. Mój pierwszy poród był bardzo ciężki, więc nie chcę o tym mówić.

Mój mąż i ja byliśmy ze sobą bardzo długo i mieliśmy dzieci. Byłam bardzo aktywnie zaangażowana w kościele katolickim i dlatego później zdecydowaliśmy, że weźmiemy ślub kościelny. Poszliśmy do księdza i powiadomiliśmy go, że zamierzamy wziąć u niego ślub. On ogłosił to w kościele i dwa miesiące później

przygotowaliśmy wesele. Pracowałam też w kościele. Ksiądz proboszcz – ojciec Marek Antoni zaprosił mnie i moją starszą siostrę na misję. I powiedział mi, że chce, żebym została tam katechetką i ja się zgodziłam. Zaczęłam pracować w kościele. Ten ksiądz został przeniesiony w inne miejsce, a później nasz były ksiądz – ojciec Boafio, kiedy przyjechał, dał mi szaty kościelne, które nosiłam w niedziele. I tak zostałam katechetką. Mieliśmy również ośrodek szkolenia katechetów i tam się uczyłam zawodu.

Wszystkie moje dzieci wzajemnie się wspierają. Jesteśmy ze sobą bardzo blisko. To duża rodzina.

Ghana to spokojny kraj. Życie w Ghanie się polepszyło. Mamy tyle nowoczesnych rzeczy. Kiedy byłam dzieckiem, nie mieliśmy radia, a teraz mamy. I jest więcej szkół ponadgimnazjalnych. Wcześniej było bardzo trudno pójść do szkoły średniej z powodu braku pieniędzy. Trzeba było zapłacić za szkołę i to było problemem. Jeśli chciałaś iść do szkoły średniej, najpierw twoi rodzice musieli wyrazić zgodę: *Moje dziecko może uczyć się w szkole średniej*. Nie było łatwo – chyba że chodziłaś do nich w kółko i gadałaś, przekonywałaś i namawiałaś ich w końcu, żeby pozwolili ci pójść do tej szkoły. Jeśli byłaś dziewczynką, miałaś być gospodynią, żoną. Taka była rola dziewczyn i kobiet w tamtych czasach. Bardzo rzadko pozwalali dziewczynie uczyć się w szkole średniej. Chłopcy mieli prawo do dalszej nauki, ale my, dziewczyny – nie. Teraz dziewczynki mają znacznie lepiej, starają się. Nawet starsi ludzie w Ghanie posyłają swoje córki do szkół, żeby zdobyły lepsze wykształcenie i zostały w przyszłości przywódczyniami.

Nigdy nie byłam w Europie. Chciałabym tam pojechać, jeśli nadarzyłaby się okazja. Może pojadę z moją córką do Włoch? Odkąd tam wyjechała, nie przyjechała mnie odwiedzić, ale rozmawiamy ze sobą przez telefon.

Mam mnóstwo marzeń na przyszłość. Chcę długo żyć. Jeśli Bóg da mi setkę, to będę wdzięczna. Muszę żyć w świętości, chcę być święta. Chcę być w życiu dobra. Kiedy spojrzysz na niektórych świętych – wczoraj obchodziliśmy święto św. Luisa – to tylko dzięki swojemu nastawieniu mogli zostać świętymi. Żyli po to, by służyć Bogu, tak samo jak moja patronka Maryja. Ona była bardzo, bardzo dobra. A zanim Maryja się urodziła, jej matka Anna i jej ojciec Joachim dużo się modlili.

Chcę uczyć dzieci jak najlepiej, tak żeby, jak już dorosną, odwiedzały swoją nauczycielkę i żeby były zawsze blisko mnie, ponieważ dobrze je traktowałam. Nie ma niczego na świecie, czego bym potrzebowała, poza Bogiem i byciem Jego dobrym sługą. A kiedy coś się dzieje, to po prostu modlę się do Boga, żeby mnie ocalił i dobrze się mną opiekował. Muszę więc wieść dobre życie, by dzieci mogły mnie naśladować.

Jestem też babcią. Zdarza się, że niektóre kobiety nie są blisko związane ze swoimi wnukami, a nawet z dziećmi. Kiedy wnuki je odwiedzają, nie okazują im żadnego zainteresowania. Ale jeśli o mnie chodzi, to lubię być z nimi. Mam tylko troje wnucząt: pierwszy ma 12 lat, drugi 8, a trzeci 5. Dużo się z nimi modlę. Nawet,



kiedy podaję im jedzenie, mówię, żeby się pomodlili. A najmłodsza kładzie swoje ręce na pokarmie i mówi: *Amen*, i dopiero wtedy zaczyna jeść. Dużo się z nimi modłę, więc są nauczone, żeby modlić się przed każdym posiłkiem.

Teraz się starzę. Bóg dał nam 70 lat, może 80 albo 90. Skoro jestem stara, to muszę to zaakceptować. Muszę więc być dobrze przygotowana na starość, żeby nie chodzić i nie błagać o coś do jedzenia lub do ubrania. Muszę się dobrze przygotować, zanim się zestarzeję. Może jak się zestarzeję, będę mogła dalej szyć. Mam maszynę do szycia, więc położę ją na stole i będę szyła, by mieć za co jeść. I moje dzieci też mi pomogą.

Chcę, żeby moje dzieci zostały w przyszłości przywódcami. Najmłodsza – modłę się o to mocno – mogłaby zostać lekarzem. Chcę, żeby miała lepsze życie niż ja.

Myślę, że w przyszłości Ghana będzie lepszym krajem. Może nawet Ghana będzie lepiej rozwinięta niż Polska? Ludzie w tym kraju będą żyli w pokoju i każdy bez wyjątku dostanie pracę. Ludzie z innych krajów będą tutaj przyjeżdżali i pracowali. Mamy ropę, ale nie mamy narzędzi, żeby ją wydobywać, więc obcokrajowcy mogą przyjechać i pracować tutaj. Ludzie z zagranicy powinni tutaj przyjechać, przywieźć swój sprzęt i wyszkolić ludzi w Ghanie. Ghana potrzebuje pomocy z zewnątrz.

Jestem Ghanijką i lubię swoje życie. Jestem szczęśliwa, bo nie muszę nikogo prosić o jedzenie.

Jestem bardzo ciekawa: *co cię tu sprowadziło?*

Hannah Assifuah

Nazywam się Hannah Assifuah. Urodziłam się w niedzielę, 27 stycznia 1974 roku w rodzinie Bassaw w mieście Shama w Zachodnim Regionie Ghany. Mój tato był nauczycielem, a mama drobną handlarką. Jako nauczyciel tato co trzy lata był przenoszony do innego miasta. Tak więc z Wassa Akropong przenieśliśmy się do Tarkwa Nsuaem, także w Zachodnim Regionie. I to tam rozpoczęłam swoją edukację. Na początku nie chciałam chodzić do szkoły, ponieważ mama nie była nauczycielką. Mama nie pracowała. Prawie cały czas chodziła na rynek, a ja razem z nią. Tato nalegał, żebym poszła do szkoły, ale ja nie byłam zainteresowana nauką. Na szczęście mama została zatrudniona jako nauczycielka, uczyła robótek ręcznych, czyli jak używać igły, żeby uszyć ubranie. I to wtedy zachciało mi się chodzić do szkoły. Zaczęłam więc naukę, kiedy miałam około pięciu lat. Nie chodziłam wcześniej do przedszkola. Moi rówieśnicy chodzili, ale ja nie, ponieważ mama uczyła tylko w szkole podstawowej, a ja chodziłam wszędzie tam, gdzie ona. Kiedy mama nie była jeszcze nauczycielką, nie chciałam chodzić do szkoły. Zaczęłam naukę tylko dlatego, że ona została nauczycielką, a ja cały czas chciałam być przy niej.

Pamiętam, że w tym czasie chodziliśmy do szkoły rano i po południu. Zaczynaliśmy o 7.30 lub 8 i do 11 – 11.45 byliśmy w szkole. Potem szliśmy do domu, żeby coś zjeść i o 12.45 byliśmy z powrotem w szkole. O 16.45 kończyły się lekcje. Chodziliśmy więc do szkoły dwa razy dziennie. Czasami szłam rano, a po południu już nie, ponieważ mama szła wtedy ubrania i nie wracała już do szkoły.

Pamiętam też, że w tym czasie ojciec był dyrektorem szkoły. A ponieważ byłam jego córką, jeśli nie byłam z mamą, to mogłam chodzić do jego biura, gdzie jadłam swoje posiłki. Nie interesowało mnie chodzenie do szkoły po to, żeby pisać i uczyć się czegoś nowego. Z tym był kłopot. Przypominam sobie rok 1980, kiedy ojciec został przeniesiony do Tarkwy i chciał mnie zaciągnąć do szkoły. Pamiętam bardzo dobrze, że w tym czasie chodziliśmy do szkoły boso, bez sandałów, nosiliśmy mundurki, ale bez butów. Mundurek zależał od szkoły. Była szkoła metodystów, szkoła katolicka i szkoła w dzielnicy muzułmańskiej. Ja byłam w szkole metodystów i nosiłam niebiesko-biały mundur: niebieską sukienkę i biały pasek. Ale nie miałam plecaka i dlatego nosiłam do szkoły tylko ołówek i temperówkę w kieszeni. Szkoła zapewniała nam książki i tam je zostawialiśmy. Jeśli było coś zadane do domu, odrabialiśmy to na kartkach. Wszystko trzymaliśmy w szkole. Kiedy chodziłam do szkoły, nie mieliśmy więcej niż trzy tygodnie wakacji.

Ale mnie nauka wcale nie pociągała. I zdarzyło się coś ciekawego. Pewnego dnia poszłam do szkoły i zaczęłam udawać, że jestem chora, tak że tato musiał zaprowadzić mnie do domu. I kiedy przyszedłam do domu, mama powiedziała, że wracamy do szkoły, a ja: *Nie, nie, mam, jestem chora*. A ona na to: *Dobrze, zjedz, a ja pójdę*. Więc zjadłam i poszłam spać. Następnego dnia to się powtórzyło, i kolejnego też.

Piątego dnia nadal mówiłam, że boli mnie brzuch. Mama powiedziała: *Dobrze, dam ci lekarstwo*. I wzięła chlorochinę, taki lek na malarię, który był bardzo bardzo gorzki. Mama zdecydowała, że doda jedną łyżkę do szklanki wody i powiedziała, że mam to wypić i od tego czasu, nie byłam już chora. Kłamałam i nie chciałam przyznać się mamie, że nie byłam naprawdę chora, więc zostałam zmuszona do wypicia tego lekarstwa. I to był ostatni raz, kiedy wróciłam wcześniej ze szkoły do domu. Od tego czasu już nigdy nie byłam chora w szkole i zawsze zostawałam do końca lekcji.

Okazało się, że jestem bardzo zdolna, tylko nie wiedziałam o tym wcześniej. Byłam w tej szkole tylko miesiąc i okazało się, że jestem najlepsza spośród 48 uczniów. Pamiętam, że stało się tak, że dyrektor szkoły, Pan Afful, powiedział na forum całej szkoły – od klasy pierwszej po szóstą: *Wszyscy uczniowie powinni się wstydić. Mamy nową uczennicę w naszej szkole. Ta dziewczynka jest u nas od miesiąca i ze wszystkich przedmiotów, które mamy, jest najlepsza*. A ja nie wiedziałam, że to o mnie chodzi. I on wtedy powiedział: *Nazywa się Bassaw* – wymienił moje nazwisko. Poczułam się wspaniale, ale nie mogłam w to uwierzyć, ponieważ byłam bardzo mała, miałam mniej niż sześć lat. I właśnie dlatego, że byłam taka mała, dyrektor postanowił postawić mnie na stole, tak żeby wszyscy mogli mnie zobaczyć. Nigdy nie zapomnę tego uczucia. Niektórzy chłopcy w klasie myśleli, że ten nauczyciel próbuje mnie faworyzować, bo byłam nowa. Ale to nie była prawda. Tak więc stałam na tym wielkim stole, żeby cała szkoła mogła mi się przyjrzeć. Czułam się bardzo szczęśliwa. Zostałam przeniesiona do klasy wyżej, więc byłam już w klasie drugiej. Wtedy zaczęłam naprawdę interesować się szkołą.

W tamtych czasach nie było w szkole żadnych zajęć wakacyjnych. Przez pierwsze dwa dni wakacji każde dziecko odpoczywało, ale już po drugim dniu szliśmy na pole. Nie musieliśmy pielić, ale czasem trzeba było tam siedzieć. Musieliśmy iść z innymi, bo nie było nikogo w domu, kto by się nami zajął. Byliśmy więc na polu każdego dnia od rana, od 8.45 do 15. Jeśli chcieliśmy zjeść lunch, to przygotowywaliśmy go na polu i tam zjadaliśmy. Po powrocie do domu i wykąpaniu się, trochę się bawiliśmy, a potem mój ojciec – nauczyciel – uczył nas czegoś, na przykład matematyki. W tym czasie mama przygotowywała *kenkey*. Przygotowywała je na sprzedaż. A ja byłam zmuszona nauczyć się, jak się je robi, bo kiedy mamy nie było, to my musiałyśmy gotować. A miałam wtedy około siedmiu lat. Było nas tylko dwie dziewczyny i trzech chłopców, razem piątka. Chłopcy byli bardzo pomocni. Tak więc sprzedawaliśmy *kenkey* i chodziliśmy na pole w czasie wakacji. A kiedy szliśmy do szkoły po wakacjach, też musieliśmy robić *kenkey* – po lekcjach. Czasami moja starsza siostra sprzedawała je jeszcze przed pójściem do szkoły. Tak robiliśmy. A moi bracia sprzedawali paprykę i inne rzeczy, które uprawialiśmy na polu. Ponieważ byłam za mała, nie chodziłam z nimi sprzedawać, ale brałam udział w przygotowywaniu jedzenia. Tak było w moim wczesnym dzieciństwie, kiedy byłam w pierwszej i drugiej klasie.

Pamiętam, jak poszłam do czwartej klasy. Zanim poszłam do czwartej klasy, tato został znów przeniesiony do Daboase – małego miasteczka niedaleko Shama.

Gdy przeprowadziliśmy się do Daboase, zauważyłam, że uczennice nie mówią prawie wcale po angielsku. Więc znów byłam w czołówce. I jak tylko przyszedłam do tej szkoły, zostałam przewodniczącą klasy – osobą odpowiedzialną za utrzymanie w klasie dyscypliny. Rolą przewodniczącej jest także uczenie innych wszystkiego, co wiesz, kiedy nauczyciela nie ma w klasie. Jeśli w klasie jest za głośno i panuje rozgardiasz, musisz usiąść i sprawić, by cała klasa usiadła i się uspokoiła. Jeśli nie chcą się uczyć, masz spisać imiona niegrzecznych uczniów. To nie było łatwe. Zwłaszcza, że byłam małą dziewczynką, byłam nowa w szkole i nie znałam ich języka. Ja mówiłam w języku Fanti, a oni w Wassi. Ja mówiłam po angielsku albo w Fanti, a oni nie znali prawie wcale angielskiego. Przemawiała przez nich zazdrość. Ale musiałam utrzymać swoją pozycję, ponieważ za każdym razem kiedy nauczyciel wychodził, miałam go zastępować. I wypełniałam swoje zadania, najlepiej jak umiałam. Potrafiłam zapanować nad klasą i nauczyć ich różnych zadań z matematyki i angielskiego. Było to w 1983 roku. To było trudne, ale zauważyłam jedną rzecz. Jeśli poprosisz uczniów, żeby się uczyli, to ci mniej zdolni wiedzą, że mówisz po angielsku, ale nie rozumieją, co do nich mówisz i dlatego traktują cię jak nauczycielkę. Innymi słowy, jeśli nie chcą mieć kłopotów, to na wszelki wypadek będą siedzieli cicho. Zatem angielski był moim atutem i miałam pewien rodzaj autorytetu, cokolwiek nie robiłam. To było, kiedy miałam 8 – 9 lat.

W tym czasie było mi ciężko, bo mama wyjeżdżała na studia, moje starsze rodzeństwo chodziło do szkoły średniej w innym mieście, a ja zostałam sama z tatą, ze starszym i młodszym bratem. Byłam jedyną dziewczyną w domu i tato bardzo się o mnie troszczył, zwłaszcza kiedy mama wyjeżdżała do Studium Nauczycielskiego. Ale ponieważ byłam jedyną dziewczyną w domu, robiłam wszystkie prace domowe: gotowałam, sprzątałam, prałam ubrania taty. Miałam wtedy około dziewięciu lat i musiałam zajmować się całym domem. To nie było łatwe i pamiętam, że wtedy, ponieważ mama studiowała i nie zarabiała, tato musiał zająć się wszystkimi opłatami i tego typu sprawami. Dlatego postanowiliśmy produkować mydło na sprzedaż. Używaliśmy do tego sody kaustycznej, oleju palmowego i czasami soli. Musieliśmy gotować wodę z sodą kaustyczną i olejem palmowym. Trzeba było to pozostawić na ogniu przez długi czas, aż się zrobiło białe. Trwało to około czterech godzin i my tego pilnowaliśmy. Kiedy przychodził czas, że trzeba było dodać do gotującej wody sodę kaustyczną i olej palmowy, żeby to ugotować, wtedy przychodził tato i robił to za nas. Ale potem musieliśmy włożyć to do takich jakby pudełek, tak żeby zrobiła się jedna masa. I przez to we wszystkie dni handlowe nie chodziłam do szkoły, bo musiałam sprzedawać mydło. Musiałam to robić, nikt inny nie mógł się tym zająć. Sprzedawałam mydło na rynku we wtorki i piątki. Chodziłam więc do szkoły tylko przez trzy dni w tygodniu. Tato poprosił w szkole o pozwolenie na moje nieobecności, żebym mogła chodzić i sprzedawać mydło we wtorki i w piątki.

Kiedy zdałam do szóstej klasy, znów zostałam przewodniczącą szkoły. Miałam pod kontrolą całą szkołę, od pierwszej do szóstej klasy. A było nas wtedy około

czterystu. Tu w Ghanie jedna rzecz jest pewna, że jeśli ktoś jest przywódcą, szacunek dla tej osoby jest ogromny. Jesteś przedstawiona uczniom jako przewodnicząca szkoły i oni darzą cię szacunkiem. Głosują też na ciebie. Nauczyciel wybiera trzy osoby z szóstej klasy i z tej trójki uczniowie wybierają, kogo chcą na przewodniczącego. Nauczyciel wybiera te trzy osoby, ale potem to uczniowie głosują na najlepszego. Ja zostałam tak wybrana, a druga osoba po mnie została moim zastępcą, a trzecia nie pełniła już żadnej funkcji. Było nas więc dwie dziewczyny i dwóch chłopców – przewodnicząca i przewodniczący oraz ich zastępcy. Także dawaliśmy radę, ale to nie było takie proste. Zwłaszcza, kiedy mojej mamy nie było w domu.

Kiedy mamy nie było, nadszedł ten moment i dostałam pierwszą miesiączkę. A byłam wtedy tylko z tatą. Nie wiedziałam, co to jest. Mama mnie do tego nie przygotowała. Byłam jedyną dziewczyną wśród samych chłopców i nie miałam się do kogo zwrócić. Skoro nie było mamy, tato był z tym wszystkim sam. I kiedy dostałam okres, nie wiedziałam, jak mam mu o tym powiedzieć – nie miałam pojęcia, jak on przyjmie taką wiadomość. Na szczęście tego samego dnia mama przyjechała – miałam naprawdę szczęście – i wytłumaczyła mi wszystko, nauczyła jak mam się sobą zająć w tych dniach i to było wspaniałe.

Jak już mówiłam, w szóstej klasie, kiedy nadszedł czas, przechodziło się do kolejnego etapu szkoły. Po szóstej klasie idzie się do gimnazjum, gdzie są cztery klasy, co daje razem dziesięć lat nauki. Podstawówkę zaczynaliśmy w wieku około sześciu, siedmiu lat, ale ja zaczęłam ją nieco wcześniej, jeszcze przed ukończeniem szóstego roku życia. Kiedy przeszłam do gimnazjum w innym mieście, zaczęłam od pierwszej klasy. Tato, patrząc na to, gdzie mieszkamy w Daboase, pomyślał, że to nie jest za dobre miejsce i zaczął szukać innego środowiska. I zdecydował, że zamieszkamy w Shama Junction. Mój ojciec został przeniesiony w te okolice, więc i tak musieliśmy się tam przenieść. Pamiętam, że przewoziliśmy wtedy nasze rzeczy w ciężarówce, która była pełna błota.

Mniej więcej co trzy lata musiałam szukać nowych przyjaciół. To było trudne. Najpierw trzeba było umieć skupić na sobie uwagę, a potem zacząć pewien rodzaj gry z ludźmi, z którymi będziesz spędzała dużo czasu w jednym miejscu. A oni zachowywali się inaczej niż my. Byli bardziej obcy z pewnymi rzeczami. My nie wiedzieliśmy za wiele o życiu. Oni już wtedy oglądali telewizję, której my nigdy nie mieliśmy. Pamiętam, że po raz pierwszy zobaczyłam telewizor właśnie w Shama Junction. Miałam wtedy 12 lat i nigdy wcześniej nie oglądałam telewizji. A moi koledzy ze szkoły oglądali ją codziennie. I używali lodówek, mogli pić mrożoną wodę i jeść lody – my tego nie znaliśmy. Staraliśmy się ze wszystkich sił, żeby się przystosować. Nie wiedziałam też, jak oni się uczą, nie znałam ich poziomu. A że przyjechałam z Daboase, czułam się trochę głupia. Musiałam więc podjąć walkę, by być na tym samym poziomie, co oni. Kiedy poszłam do tej szkoły, do pierwszej klasy, zobaczyłam, że wszyscy są ode mnie starsi. Miałam 12 lat, a reszta miała po 14, 15, 16. Szybko zorientowałam się, że dziewczyny w klasie, prawie wszystkie, miały swoich

chłopców. A ja nie miałam o tym pojęcia. Czasami jak szłam do szkoły, było tak: jeśli zadałaś im jakieś pytanie, to nawet na ciebie nie chciały spojrzeć, bo nie robiłaś tego, co one. Kiedy chciały o czymś porozmawiać, to szły gdzieś indziej, a ja musiałam odchodzić na bok, bo nie uwzględniały mnie w swoich rozmowach. To było nie lada wyzwanie. Ale, jak już wcześniej wspominałam, byłam zdolna. Umiałam więcej od pozostałych uczniów, więc chcieli mnie przenieść do klasy wyżej. Najpierw jednak musiałam przystąpić do egzaminu i zdałam go na szóstym miejscu z 48 uczniów. I to było cudowne. Tato był bardzo szczęśliwy. Przeszłam więc do następnej klasy – drugiej. W tamtym czasie pisaliśmy egzaminy wstępne do liceum w klasie drugiej lub pierwszej, w zależności od poziomu inteligencji. Ale mój tato nie pozwolił mi ich pisać, ponieważ uznał, że jestem jeszcze na to za młoda. Więc w pierwszej klasie ich nie pisałam. Kiedy poszłam do drugiej klasy, przystąpiłam do egzaminów, ale ich nie zdałam. Te egzaminy uprawniają do pójścia do liceum, bez konieczności ukończenia czteroletniego programu gimnazjum. W ten sposób możesz przeskoczyć naukę w gimnazjum i zacząć liceum wcześniej.

Gimnazjum jest dla dzieciaków pomiędzy 12 a 18 rokiem życia. Najwcześniej możesz je zacząć w wieku 12 lat i skończyć, gdy masz 16. Jeśli w międzyczasie zdasz te egzaminy wstępne, możesz od razu iść do liceum. Tak więc byłam nadal w gimnazjum, ponieważ nie zdałam egzaminów i nie mogłam skończyć nauki wcześniej. Ale zauważyłam w życiu jedną prawidłowość, że w każdej sytuacji, niezależnie od tego, co się wydarzy, będę zawsze tą samą osobą. I znowu zostałam przewodniczącą szkoły. To nie było łatwe, ale cały czas powtarzałam sobie, że mogę być liderką.

Pamiętam bardzo dobrze, jak pewnego dnia mama mnie zawołała. Powiedziała mi, że kiedy dorastamy, stajemy się kobietami i różne rzeczy dzieją się wtedy w naszym życiu, że pojawiają się w nim mężczyźni. I oni próbują nas zwieść, proponując różne słodkości i inne przyjemne rzeczy, ale my musimy być bardzo ostrożne i nie możemy spać z żadnym z nich. Nic nie rozumiałam. Miałam 13 lat. I pamiętam, jak powiedziała: *Jeśli będziesz miała chłopaka, to zajdziesz w ciążę i to będzie koniec twojej edukacji*. Bardzo dobrze to sobie zapamiętałam. Kiedy poszłam do liceum, miałam 15 lat. Pamiętam, że raz wydarzyła się śmieszna rzecz. W klasie mieliśmy grupową dyskusję o kobietach, mężczyznach i inicjacji. I ja im powtórzyłam, co powiedziała mi mama, że jak masz chłopaka, to będziesz w ciąży. I ktoś mnie zapytał: *Jeśli on jest tylko twoim chłopakiem, ale z nim nie sypiasz, to jak możesz zajść w ciążę?* Powtórzyłam jeszcze raz to, co powiedziała mi mama: *Jak będziesz z chłopakiem, to zajdziesz w ciążę*. A oni śmiali się ze mnie. To była jej jedyna rada. To było wszystko. Tu w Ghanie w domach nie ma czegoś takiego jak edukacja seksualna. Jeśli więc jesteś dzieckiem i sama nic nie zrobisz, by dowiedzieć się czegoś, nie będziesz wiedziała nic. Jedyne czego możesz się dowiedzieć, to informacje z telewizji. Ja sama nauczyłam się czegoś o seksie czytając książki. To jedyne, co było dostępne w liceum, więc czytałam bardzo dużo.

Byłam szczęściarą, ponieważ w wieku 15 lat oprócz wiedzy miałam jeszcze coś, przyłączyłam się do Bractwa Pisma Świętego. Bractwo Pisma Świętego to taka grupa chrześcijan, którzy uczą nas, co powiedział nam Pan. Mówili nam: *Cokolwiek robisz, staraj się ze wszystkich sił każdego dnia czytać Pismo Święte*. A nie było to takie proste. Traktowaliśmy Słowo Boże bardzo dosłownie. Nie wolno nam było spotykać się z chłopcami. Nie wolno było znaleźć się z chłopcami w dziwnych sytuacjach – a przez dziwne sytuacje rozumiem uprawianie seksu. Nie wolno było chodzić do chłopców i bawić się z nimi. Jeśli spotykacie się jak chrześcijanie, wtedy to jest dobre, ale kiedy jesteście sam na sam, to grzeszycie. Tak więc było to bardzo ortodoksyjne. Pamiętam, że musiałam zrozumieć, że jeśli ufasz Bogu i na nim polegasz, Bóg może zrobić dla ciebie wszystko. I odkąd to do mnie dotarło, postanowiłam żyć dla Chrystusa. Myślę, że to było moje ocalenie. A także to, co powiedziała mi mama o zajściu w ciążę, kiedy tylko będę miała chłopca. Kiedy więc przyszedłam do szkoły, byłam już nauczona, że w tym wieku to niedobrze mieć chłopaka. Lepiej poczekać, aż przyjdzie czas na małżeństwo. To nie było łatwe. W szkole średniej nie spotykałam się z żadnym chłopcem. A zauważyłam, że dziewczyny, które umawiały się z chłopakami, miały lepszą pozycję. To był czas wyboru pomiędzy wychodzeniem wieczorami a siedzeniem w domu. I my zostawaliśmy w domu. Często musieliśmy wracać do domu znacznie wcześniej niż inne dzieciaki ze szkoły i nie wolno nam było bez pozwolenia wyjść gdzieś po szkole. Kiedy już wychodziliśmy, to mieliśmy wracać tak szybko jak to możliwe. Jeśli zrobiliśmy coś bez pozwolenia, byliśmy karani. Tak więc nauczono nas, jak być dobrym, jak być eleganckim, jak postępować zgodnie z zasadami. I to było zgodne z tym, co było w moich książkach, w mojej Biblii. To było wszystko.

Miałam tylko jedną przyjaciółkę, Glorię. Została moją przyjaciółką, ponieważ postanowiła dzielić się ze mną wszystkim, co miała i była dla mnie jak siostra. Kiedy byłyśmy w szkole, ona była z bogatego domu, a ja nie. Przynosiła codziennie do szkoły mnóstwo jedzenia, a ja nie zabierałam z domu nic do jedzenia. Była chyba rok ode mnie starsza, ale byłyśmy w jednej klasie i mieszkaliśmy na tym samym piętrze w internacie. Wszędzie chodziłyśmy razem. Razem szłyśmy na modlitwę wieczorną po kolacji, a następnego ranka, kiedy ona się pierwsza obudziła, to przychodziła mnie obudzić, a kiedy to ja wcześniej wstałam, to szłam obudzić ją. Była dla mnie cudowna. Wtedy do szkoły z internatem rodzice przysyłali paczki z żywnością, ja dostawałam: cukier, *garri*¹ i mydło, nic więcej. W tym czasie moja rodzina miała kłopoty finansowe, ponieważ wszystkie dzieci były w szkole średniej, za którą płaci się wyższe czesne.

Niektórzy uczniowie dostawali dużo jedzenia, w ich paczkach można było znaleźć wszystko. Ci, którzy dostawali z domu to, czego potrzebowali, nie musieli chodzić na stołówkę. Nie chodzili jeść z innymi, ponieważ mieli własne, lepsze

¹ *Garri* – potrawa przygotowywana z gotowanych bulw manioku.

jedzenie. Kiedy jadałaś tylko w swoim pokoju, to znaczyło, że masz wystarczająco dużo własnych zapasów. W stołówce głównym daniem zawsze była owsianka bez mleka i z bardzo małą ilością cukru. Czasami z chlebem, a czasami bez. Bywało tak, że nie dostawaliśmy nic, a przecież musieliśmy coś jeść. Nieraz po południu chodziliśmy na *garri* i fasolę, a czasem był ryż lub *kenkey*. Nie miałam z tym problemów, bywało, że w domu nie mieliśmy nic do jedzenia, a w szkole jednak coś nam zawsze dawali. Nie miałam potrzeby, żeby zajadać się sardynkami. Sardynki to był wtedy drogi posiłek i tylko bogate dzieci było na nie stać.

Pewnego dnia postanowiłam, że wezmę się poważnie za naukę. A wcale nie było tak łatwo pogodzić to wszystko: naukę, bycie chrześcijanką i próby chóru. Od poniedziałku do piątku mieliśmy poranne lekcje, które były obowiązkowe dla wszystkich – to była godzina ciszy, dzięki której wszyscy mogli przysiąść do samodzielnej nauki. A potem, od 8.30 do 14 odbywały się lekcje. Po szkole i po obiedzie miałyśmy próby chóru i naszych pieśni. Potem była przerwa na sjęstę, kiedy szłyśmy na krótką drzemkę. O godzinie 17 musiałyśmy się wykąpać, tak żebyśmy były gotowe na kolację, która była między 17.30 a 18. Po kolacji szłyśmy do klasy, żeby odrobić nasze zadania domowe. Musiałyśmy zdążyć zjeść i pójść na spotkanie modlitewne lub biblijne, a potem szłyśmy prosto do klasy, żeby się pouczyć i poczytać. Na koniec każdego dnia, cokolwiek nie robiliśmy w klasie, trzeba było samemu nauczyć się tego wszystkiego, czego nie zrozumieliśmy na lekcjach. Czasami uczyłam innych w czasie odrabiania lekcji. Byłam dobra, więc nie miałam nic przeciwko, kiedy moi koledzy przychodzili do mnie, mówiąc: Hannah, nie rozumiem tego czy tamtego. I ja im to tłumaczyłam. Tak, dzień był pełen zajęć. I nie miałam czasu na przyjaciół. Tylko Gloria była ze mną.

Tak było w szkole średniej, która w tym czasie trwała pięć lat. Po tych pięciu latach pisaliśmy egzaminy zewnętrzne. Po tych egzaminach, jeśli je zdałaś, wracałaś do szkoły na kolejne dwa lata. Po dwóch latach, jeśli je zaliczyłaś, mogłaś studiować, ale dopiero po roku obowiązkowej służby na rzecz kraju². Te dodatkowe dwa lata liceum były po to, żeby przygotować cię na uniwersytet. Jeśli w ciągu tych dwóch lat zdałaś wszystkie egzaminy, mogłaś zdawać na uniwersytet. Jeśli nie zdałaś, mogłaś albo iść na politechnikę, albo do studium nauczycielskiego, albo do szkoły wakacyjnej i podchodzić do egzaminów jeszcze raz. To wszystko tak długo trwało, że trzeba było być naprawdę zdeterminowanym, żeby decydować się na studia. Po pięciu latach szkoły średniej, jeśli dobrze zdało się wszystkie egzaminy, można też było od razu iść do studium nauczycielskiego.

Po takim studium nie było problemu ze znalezieniem posady. Wysyłali cię do jakiejś szkoły, żebyś tam uczyła. Ale ja nie byłam gotowa, żeby podjąć pracę, ani taką, ani żadną inną. Powiedziałam sobie, że zrobię wszystko, żeby otrzymać dyplom i dostać się na uniwersytet. Tato powiedział mi pewnego dnia, kiedy przyjechałam

² Rok obowiązkowej pracy na rzecz państwa, bez pensji, z małym kieszonkowym, musiał odbyć każdy, by odpracować bezpłatną edukację.

do domu: *Chcę, żebyś poszła do studium nauczycielskiego. Dlaczego nie chcesz być nauczycielką? Odlóż dumę na bok i idź do studium.* Powiedziałam wtedy: *Nie! Nie zrobię tego.* On nalegał, a ja za każdym razem mówiłam: *Nie! Nie chcę być nauczycielką i stracić okazję studiowania na uniwersytecie.* Byłam uparta, a tato nie mógł tego zrozumieć. Musiałam walczyć, a najtrudniejsze było to, że wyglądało to na brak szacunku do rodziców. Ale ja bardzo nie chciałam robić czegoś, czego nie lubiłam. Nawet jeśli chciałam być nauczycielką, to nie chciałam uczyć się w studium nauczycielskim. Chciałam iść prosto na uniwersytet. Niestety, nie zdałam szóstego egzaminu, egzaminu końcowego po pięciu latach liceum, który trzeba zdać, jeśli chce się studiować na uniwersytecie. Nie zdałam i miałam problem. Jeden z naszych nauczycieli, który miał wtedy wysoką pozycję, próbował mnie uwieść, podrywał mnie. Miał około 45 lat, a ja miałam 21 – 22 lata. Czasami takie rzeczy zdarzają się w Ghanie, że nauczyciel ma romans z uczennicą. Ale powiedziałam mu, że ja tak nie mogę. Nie ma mowy, żebym się na coś takiego zgodziła. Między nami było coś na kształt przyjaźni. A ja nie zdałam ostatniego egzaminu w szkole. I ten nauczyciel pewnego dnia poszedł do mojego ojca i tak mu relacjonował: *Pańska córka nie brała na poważnie nauki w szkole, tylko cały czas się modliła.* Tato się zdenerwował i chciał to ze mną wyjaśnić. Wtedy powiedziałam mu tak: *Nie jesteś szczęśliwy, że usłyszałeś, że cały czas się modliłam? Gdyby ten mężczyzna powiedział Ci, że się nie modliłam, ale cały czas całowałam z chłopcami, jak byś się czuł? Dziękuj Bogu, że się modliłam. Modliłam się do Boga: może za Ciebie, może za szkołę albo za uczniów.* A pozwoliłam sobie na te modlitwy w szkole tylko dlatego, że nie było mi łatwo na stanowisku przewodniczącej szkoły. Wiedziałam już wcześniej, zanim podjęłam się tej roli, że dookoła dzieje się wiele niemoralnych rzeczy. Chciałam z nimi walczyć i bez modlitwy nie dałabym rady. Modlitwa mi pomagała. Byłam umocniona w duchu i nikt nie mógł mnie namówić na coś złego. Nie, nie było takiej możliwości, żebym posłuchała kogoś, kto chciał mnie nakłonić do grzechu. Doskonale pamiętam, że w czasie, gdy byłam przewodniczącą szkoły nikt w nocy nie zachorował. Modliłam się do Boga, że bardzo nie chcę, żeby coś takiego się stało na mojej służbie. Modliłam się też o to, żeby nikt nie umarł. I dlatego, że poprosiłam o to Boga, przez te dwa lata nikt nie umarł i nikt nie został zabrany do szpitala w nocy. I zawsze chwaliłam Boga. Nie było lekko. Ty starasz się, żeby było dobrze, a inni starają się to zburzyć. Nawet moja zastępczyni robiła, co tylko jej się podobało i wymykała się w nocy, co było wbrew regułom. Pewnego dnia ją przyłapano i wyrzucono ze szkoły.

Tak więc musiałam zapisać się na egzamin powtórkowy. Musiałam sama czytać, uczyć się. Nie było to łatwe, ale powiedziałam sobie, że jeśli teraz uda mi się to zrobić, będę miała ten egzamin zaliczony raz na zawsze. I w ciągu niecałych pięciu miesięcy napisałam powtórnie szósty egzamin i zdałam. Zdałam wszystkie przedmioty. Miałam swój dyplom, dzięki któremu mogłam dostać się na uniwersytet. Byłam bardzo szczęśliwa. Pobiełam do domu, do mojego ojca: *Tatusiu, udało mi się! A nie mówiłam!*



A kiedy byłam w domu, pewnego dnia powiedziano nam, że uniwersytet strajkuje i musimy zostać w domu przez cały rok szkolny. Demonstranci protestowali przeciwko zbyt wysokim opłatom za szkołę i za egzaminy na Uniwersytecie w Cape Coast. Strajkowali także przeciwko systemowi ocen – kiedy zaliczałaś egzamin na 100%, a na niektórych uczelniach na 90%, dostawałaś najwyższą ocenę: A. Ale jeśli miałaś 80% to nie miałaś szans na ocenę A. O to walczyli demonstrujący studenci. A władze uczelni nie chciały tego zmienić. To trwało rok. Ale ja miałam szczęście, bo nie próżnowałam. Mój ojciec powiedział, że powinnam poszukać pracy i zaczęłam praktyki w Sądzie Najwyższym jako asystentka sekretarza. Moja praca polegała na odbieraniu listów, które przychodziły do głównego rejestru, i rozsyłaniu ich do innych sądów. Później zostałam sekretarzem sędziego Sądu Najwyższego. To była bardzo przyjemna praca, ale nie lubiłam jej, ponieważ była poniżej moich kwalifikacji. Powiedziałam więc mojemu koledze z pracy, że chcę studiować. Ale on był zazdrosny i odpowiedział mi: *Chcesz iść na studia? Niektórzy ludzie pracują tutaj po pięć lat, a ty chcesz iść już do szkoły. Siedź cicho i pracuj*. Poczułam się zawstydzona i więcej nie mówiłam nikomu o moich planach dalszej edukacji. Wiedziałam, że jak pracuje się więcej niż trzy lata, to nie dają potem przepustki na studiowanie – to taka przepustka, dzięki której po studiach można wrócić do tej samej organizacji czy instytucji, a w trakcie studiów dostajesz pensję. A ja pracowałam w sądzie przez dziewięć miesięcy i przez ten czas nie dostałam ani jednej wypłaty, bo miałam jakieś kłopoty z dowodem osobistym, a nie mogłam pojechać do Akry, żeby to załatwić. Mój ojciec dawał mi kieszonkowe i niespecjalnie się tym martwiłam.

Miałam znajomego i on raz przyszedł do sądu. Chciał coś załatwić w sprawie zmiany własności samochodu. Byłam w tę sprawę zaangażowana. Nie było go stać na załatwienie tego w stolicy, w Akrze. A kiedy przyszedł do naszego sądu, cena za taką sprawę była bardzo niska, więc mogliśmy mu pomóc. Był bardzo zadowolony i zapytał: *Hannah, chcesz iść na studia?* A ja odpowiedziałam: *Chcę studiować, ale nie mam pozwolenia*. A on na to: *Idź na Uniwersytet Cape Coast jutro, poszukaj tego mężczyzny, powołaj się na mnie i powiedz, żeby zrobił, co w jego mocy, abyś dostała się na studia*. Poszłam więc do szkoły, znalazłam tego człowieka, a on powiedział: *Twoje oceny są bardzo dobre. I te przedmioty: ekonomia, zarządzanie i geografia. Nie mamy kobiet, które studiują geografię, więc możemy cię przyjąć na ten wydział*. I ja się zgodziłam. Musiałam więc zostawić moją pracę i zacząć studia. Znajomi z pracy nie rozumieli, dlaczego chcę rzucić pracę, więc im wytłumaczyłam, że jeśli zostanę w tej pracy przez trzy lata moja pensja będzie wciąż taka sama, a jeśli pójdę na studia i po nich wrócę, moja wypłata będzie znacznie większa.

W momencie kiedy dostałam list potwierdzający przyjęcie na studia, przyszła też moja wypłata za dziewięć miesięcy pracy. Musiałam zapłacić z niej chesne, znaleźć i opłacić mieszkanie, kupić kilka rzeczy dla siebie. W tym czasie chesne wynosiło 250 cedi za rok. Musiałam opłacić to wszystko, ale byłam bardzo szczęśliwa, bo miałam pieniądze.

Na uniwersytecie byłam zapisana na pełen program studiów, a moimi głównymi przedmiotami były: ekonomia i zarządzanie, tak żebym mogła później nauczać tych przedmiotów i mieć z nich tytuł magistra.

To był też czas, kiedy miałam chłopaka. Miałam 23 lata. On był moim przyjacielem. Nie studiował, tylko uczył. Kiedy zaczęłam studia, on myślał o wyjeździe za granicę, do Anglii. I pewnego dnia przyszedł do mnie, i powiedział: *Hannah, teraz wyjeżdżam, ale chcę się upewnić, że mam tu kogoś, do kogo będę mógł wrócić. I że jak wrócę, to mogę być pewny, że to jest ta osoba, którą chcę poślubić. Mam na myśli Ciebie.* A ja powiedziałam: *Mówisz poważnie? Jeśli tak, to poczekaj, pójde zapytać mojego ojca. Jeśli on się zgodzi, przyjdę i ci odpowiem.* On zapytał: *Ale czy mnie kochasz?* Odpowiedziałam: *Tak, kocham, ale jeśli ojciec się nie zgodzi, nie ma szans, żebym mogła z tobą być.* Poszłam więc do taty i powiedziałam, że ten mężczyzna chce zostać członkiem naszej rodziny. Wtedy ojciec zapytał, jakie są jego zamiary. Odpowiedziałam, że chce się ze mną ożenić i że teraz chce wyjechać do Anglii, a za dwa, trzy lata, chce wrócić i mnie poślubić. Wtedy tato powiedział: *Jeśli go kochasz, nie mam nic przeciwko.*

Darzyłam go uczuciem, ponieważ go znałam, znałam jego życie, jego przyjaciół, wiedziałam, skąd pochodzi. Znałam go od dawna i wiedziałam, że on nie należy do „tych” mężczyzn. Nigdy wcześniej nie byliśmy parą, tylko się przyjaźniliśmy. I on się oświadczył, więc byliśmy razem jak chłopak i dziewczyna. W końcu nie pojechał do tej Anglii. I kiedy zaczęłam studia, powiedziałam mu – miał na imię Sammy: *Sam, musisz iść na studia. Nie chciałabym, by twoja żona miała wyższe kwalifikacje niż ty. Dlatego chciałabym, żebyś poszedł na studia.* A on się ze mną zgodził. Szybko wykupiłam dla niego formularze egzaminacyjne, załatwiłam dla niego wszystkie formalności, więc złożył podanie. I został przyjęty. Kiedy ja byłam na trzecim roku, on zaczynał pierwszy na tym samym uniwersytecie – Uniwersytecie Cape Coast. Wszystko pięknie się układało. Kiedy był na drugim roku, a ja na ostatnim, został wybrany na przewodniczącego Zgromadzenia Bożego. Zgromadzenie Boże to kościół. A on był przewodniczącym władz uniwersyteckich w całej Ghanie. To nie była lekka praca. A ja czułam się jakbym była na szczycie świata. Mój chłopak był przewodniczącym Zgromadzenia Bożego. On zajmował się swoją pracą, a ja swoją nauką.

Kiedy byliśmy parą, wszędzie razem chodziliśmy. Jedyne chwile, które spędzaliśmy osobno, zdarzały się, kiedy mieliśmy różne wykłady. Zaraz po wykładach szliśmy do jego domu i tam gotowaliśmy, i jedliśmy. A potem szliśmy na spacer albo pomodlić się razem. To było cudowne. Czułam się wtedy naprawdę kochana. On był dla mnie bardzo dobry, byliśmy zawsze razem, a on obdarowywał mnie prezentami. Ale powiedziałam, żeby tego nie robił, bo nie pracował i nie miał na to pieniędzy.

Odrabiałam wtedy swoją służbę państwową, bardzo dobrze pamiętam ten dzień – 6 grudnia 2001, to było święto – zadzwonił do mnie i powiedział, że chce, żebyśmy gdzieś razem wyszli, może na spacer, bo to był świąteczny dzień. Byłam

wtedy w domu i zaprosiłam go do siebie. A wieczorem przyszedł do mnie raz jeszcze. Zapytałam go: *Dlaczego tu jesteś?* A on powiedział: *Przyszedłem tylko po to, żeby się z tobą przywitać i zaraz idę do szkoły.* Pamiętam, że miałam wtedy ananasa. Obraliśmy tego ananasa i zjedliśmy go razem. Pomodliliśmy się za siebie. Później powiedział, że wraca do szkoły. I pamiętam, jak go odprowadzałam. Nie jeździły już żadne autobusy, więc postanowił wracać piechotą. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i to wszystko.

Powiedzieli mi, że kiedy przeszliśmy przez ulicę, najechał na nas samochód. Stały tam cztery osoby. Samochód jechał z nadmierną prędkością, uderzył w coś na drodze i znalazł się na poboczu. Czworo z nas stało przy drodze, ten samochód w nas wjechał. Trzy osoby zginęły, on też. Tylko ja przeżyłam.

Miałam potem sporo problemów. Poza tym, że jego już nie było, miałam problemy ze zdrowiem. Miałam poważnie uszkodzoną miednicę. Wylądowałam w szpitalu. Lekarz nie dawał mi żadnych szans, myślał, że nie przeżyję. Zabrali mnie na salę operacyjną i przez osiem godzin mnie operowali. I ten doktor jednak przywrócił mnie do życia, zrobił wspaniałą rzecz. Przez dwa tygodnie nic nie widziałam ani nie wiedziałam, gdzie jestem, byłam nieprzytomna. Kiedy odzyskałam przytomność, zobaczyłam bandaż na całym ciele. Nie mogłam usiąść, nic nie mogłam. Przez dwa miesiące byłam w szpitalu. Kiedy mnie wypuścili, powiedzieli mi – nie wiedziałam nawet, że był jakiś wypadek – że mieliśmy wypadek i że mój chłopak odszedł. Było mi bardzo ciężko, bo nie wiedziałam, co się stanie, jak naprawdę dotrze do mnie, że mój chłopak nie żyje – co się stanie z moim sercem. Doskonale pamiętam rozmowę z lekarzem na ten temat. Ten doktor wezwał nawet trzech albo czterech duszpasterzy, by mnie pocieszyli, zanim on mi to przekaze. Powiedział wtedy: *Hannah, Bóg Cię kocha.* Odpowiedziałam: *Wiem, że Bóg mnie kocha.* A on dalej mówił: *Hannah, słyszałem, że pytałaś o swojego chłopaka, więc powinienem powiedzieć Ci prawdę. On nie przeżył.* I ten lekarz próbował mi powiedzieć, jak rozległe były jego rany i dlaczego umarł, ale przerwałam mu: *Doktorze, proszę, jeśli zna Pan jakiekolwiek sposoby, które mogą wyleczyć moje ciało, proszę je wykorzystać. Ale jeśli chodzi o mojego chłopaka, który odszedł, to powiem tylko, że Bóg zrobił to, co uznał za słuszne.* Byłam z nim przez długi czas. Najpierw byliśmy tylko przyjaciółmi w liceum, potem już jako para na uniwersytecie. Ale musiałam zawierzyć Bogu. I ten lekarz powiedział: *Hannah, daję ci 50% szans, że będziesz chodzić i 50%, że nie będziesz. Nie potrafię tego przewidzieć.* Byłam na wózku, a ból przeszywał całe moje ciało. Poza tym to, czy będę chodzić czy nie, było w rękach Pana. Powiedziałam mu więc: *Doktorze, skoro żyję, mam wszystko. Jeśli Bóg chciałby, żebym zginęła, już bym nie żyła. A jeśli żyję, to wierzę, że Bóg ma wobec mnie jakieś zamiary. Wygląda na to, że mam tu coś jeszcze do zrobienia, zanim umrę. Moje modlitwy będą się teraz skupiały na tym, żeby Bóg dał mi znak, co powinnam jeszcze zrobić przed śmiercią.*

Miałam 27 lat, kiedy zdarzył się wypadek. Jedną z bardziej bolesnych rzeczy było to, że w dzień, w którym mieliśmy wziąć ślub, był jego pogrzeb – 21 grudnia.

Było mi ciężko, ale musiałam wierzyć Bogu. Zaraz po tym wróciłam do domu. Tato i mama bardzo mi pomogli i zachęcali mnie, żebym się nie poddawała. Mój starszy brat, który był duszpasterzem, został przeniesiony do Środkowego Regionu Ghany i mój ojciec namówił mnie, żebym pojechała z nim. I wtedy znaleźliśmy kogoś, kto zajął się moją nogą. Ta osoba stosowała medycynę tradycyjną i całe leczenie polegało na usztywnieniu nogi i wzmacnianiu jej. Lekarz mówił, że może nie będę mogła chodzić, a tu w ciągu roku mogłam już poruszać się bez kul. Nawet rok nie minął. I w tym samym czasie dostałam pracę. W liceum szukali nauczyciela ekonomii i wiedzieli, że mam dyplom z tego przedmiotu. Przyszli więc do mnie i chcieli, żebym została nauczycielką w tej szkole. Wcześniej nie było tam dobrego nauczyciela ekonomii i dlatego uczniowie nie zaliczali tego przedmiotu na egzaminach. Uczyłam więc ich przez pięć miesięcy, od stycznia do maja i niektórzy uczniowie na egzaminie z ekonomii dostali najwyższe oceny.

Kiedy uczyłam w tej szkole... Nie, inaczej zacznę – kobiety w pewnym wieku stają się bardzo piękne i wtedy wokół nich pojawiają się mężczyźni, którzy im się narzucają. Byłam wtedy w takim okresie i w mojej społeczności mnie niepokojono. Przychodzili do mnie mężczyźni i mówili: *Och, Hannah, czemu nie miałabyś się ze mną spotkać? Chciałbym z tobą pobytć, porozmawiać.* Wtedy patrzyłam im prosto w oczy: *Jesteś szalony. O czym chcesz ze mną rozmawiać? Chcesz tylko, żebym poszła z tobą do dyskoteki. To wszystko. Chcesz się ze mną pokazać na dyskotecę.* Tak więc mężczyźni bali się do mnie przyjąć i powiedzieć: kocham cię. Byłam zdeterminowana i wiedziałam, że nie ma mowy, żeby oni się ze mną ożenili. Więc się mnie bali. Uczniowie także do mnie przychodzili i zauważałam bardzo subtelne oznaki, że są mną zauroczeni. W tym czasie widziałam także, że podobam się jednemu nauczycielowi. Uczyliśmy w tej samej szkole i przyjaźniliśmy się, ale wiedziałam, że to może do czegoś prowadzić. Moi rodzice go nie lubili. Więc ta miłość była inna. Czasem dużo pił. Jeśli coś mu podpowiadałam, nigdy z moich rad nie korzystał. Zwłaszcza moja mama za nim nie przepadała. Mówił mi, że jestem jego jedyną kobietą i chce się ze mną ożenić. Pewnego dnia zapytałam go: *Jesteś pewny, że nie ma innej kobiety w twoim życiu?* A wtedy on zamilkł i zobaczyłam, że szlocha. Zapytałam: *Co się z tobą dzieje?*, a on powiedział: *Mam dziewczynę.* To nie było nic poważnego i to nie był koniec naszej relacji, ale nie było już między nami zaufania.

Wróciłam więc do rodziców i pewnego dnia, kiedy byłam w pracy, a pracowałam już wtedy w banku, zostałam powiadomiona, że ktoś na mnie czeka. Musiałam więc iść do głównej sali i go poszukać. I zobaczyłam mężczyznę. To był mój znajomy z dawnych lat, mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy, kiedy byliśmy bardzo mali – mieliśmy jakieś siedem, może osiem lat. Później jego rodzina została gdzieś przeniesiona i się wyprowadzili. I on usłyszał, że moja rodzina mieszka teraz w tym samym mieście, co on i słyszał o moim wypadku. Przyszedł więc, żeby zobaczyć, jak się czuję. Odpowiedziałam, że u mnie wszystko dobrze. Ale od pierwszej chwili, kiedy go ujrzałam, wiedziałam, że zostanie moim mężem. Wyraz jego twarzy był

taki sam jak dwadzieścia lat wcześniej. Przyszedł więc do mojego biura, a ja byłam bardzo szczęśliwa. Po niecałych piętnastu minutach powiedział, że musi już iść. Ale wziął mój numer telefonu i tydzień później zadzwonił. I tak dzwoniliśmy do siebie, i prawie każdego dnia rozmawialiśmy przez telefon o życiu. Ale pewnego dnia coś mnie zaniepokoiło. W Ghanie jest tak, że jeśli ktoś ma dziewczynę i ona zauważy, że jej chłopak dzwoni do innej, to będzie bardzo zazdrosna. Pomyślałam więc, że jeśli jest z kimś związany, to pewnego dnia ta kobieta przyjdzie i mnie zaatakuje. Zapytałam go w związku z tym: *John, dzwonisz do mnie codziennie, czy nie masz kogoś, z kim jesteś w związku?* A on powiedział: *Nie, Hannah, nie mam.* Więc powiedziałam: *Dobrze, skoro tak mówisz, to możemy kontynuować naszą pogawędkę.* A on mnie wtedy zapytał: *A Ty?* Odpowiedziałam: *Też szukam.* Tego samego dnia napisał mi sms-a: *Myślę, że jestem tobą zainteresowany...* A ja naprawdę już wtedy byłam nim zauroczona i powiedziałam mu: *Skoro tak mówisz, pozwól, że powiem to mojemu ojcu.* Mój ojciec jest najważniejszą osobą, ma ostatnie słowo i jeśli się zgodzi, tak będzie, a jeśli powie: nie, nie ma mowy, żebym się z kimś umawiała za jego plecami. Więc poszłam do mojego ojca i powiedziałam mu: *Tatusiu, ten człowiek, syn Pana Assefua, chce się ze mną umówić.* A ojciec na to: *Jeśli myśli o tobie poważnie, powiedz mu, że wyrażam zgodę.* Nie minął rok, kiedy przyszedł, żeby przeprowadzić ceremonię pukania do drzwi. Zwyczaj ten jest tradycyjną ghańską ceremonią zaręczyn i polega na tym, że rodzina mężczyzny, najczęściej wujek, przychodzi, żeby poznać rodziców dziewczyny i zapytać, czy dziewczyna jest wolna, czy nikogo innego nie ma w jej życiu. Jeśli rodzice dziewczyny powiedzą, że tak, wtedy położą przed sobą listę rzeczy, które powinny być dostarczone. Ta lista oznacza, że zgadzają się na małżeństwo swojej córki z tym mężczyzną. Jeśli rodzina chłopaka zgodzi się na to, wtedy przyjdą jeszcze raz za jakiś czas i wezmą tę listę. To jest lista rzeczy, które musi ofiarować rodzina mężczyzny. Jest na niej wiele różnych przedmiotów. Należy przynieść wielką i sztywną walizkę, w której będzie co najmniej sześć strojów, w tym suknia, poza tym: pierścionek zaręczynowy i Biblia, dwa lub trzy nakrycia głowy, którymi okrywa się głowę w kościele, torebka, buty, bielizna dla panny młodej (czasami mężczyźni dają swoim narzeczonym pieniądze, żeby kupiły dla siebie bieliznę, bo oni nie znają rozmiaru). Jest jeszcze *opłata za pukanie do drzwi*³, czyli zapłata za wstęp do rodziny dziewczyny, za wejście do nowego domu. Może to być butelka dobrego alkoholu jak Schnapps albo whisky, albo 10 cedi. Potem trzeba jeszcze dać pieniądze ojcu, matce, a także braciom dziewczyny – to jest cena dziewczyny, którą zamierzasz poślubić. Ta cena zależy od poziomu jej wykształcenia. Jeśli dziewczyna chodziła do szkoły, płaci się więcej, jeśli nie chodziła do żadnych szkół, to znacznie mniej. Za mnie zapłacili 200 cedi mojej matce, ojcu i braciom. Moja cena wynosiła więc 200 cedi, oprócz tego pierścionek, Biblia i inne rzeczy, takie jak butelki alkoholu.

³ W oryginale *knocking fee*.

Z naszym ślubem kościelnym mieliśmy dużo kłopotów. Mieszkaliśmy tutaj, więc chciałam, żeby ślub odbywał się tutaj, ale główny duszpasterz nie chciał się na to zgodzić. Nie rozumiałam i nadal nie mogę tego zrozumieć. Ten człowiek kazał nam iść i wrócić za tydzień. Po tygodniu mówił: *Idźcie i przyjdźcie innym razem*, a innym razem znów robił to samo. Mieliśmy dość. Mój mąż jest katolikiem, a ja metodystką. Początkowo chcieliśmy wziąć ślub w kościele metodystów, w moim kościele, ale ze względu na to, co wyczyniał ten duszpasterz, wzięliśmy ślub w kościele katolickim męża w Elminie. Nigdy wcześniej nie byłam w takim kościele i nie wiedziałam, jak się mam zachować. Mój mąż też od dawna nie chodził tam na msze, ponieważ pracował w Akrze. A w Ghanie, jeśli ludzie widzą, że nie chodzisz do kościoła, będą ci okazywali swoją niechęć. Zastanawiałam się więc, czy ktokolwiek pojawi się na naszym ślubie. Nadszedł ten dzień, 12 luty 2005, nad ranem w sobotę przygotowywałam się do ceremonii ślubnej i kiedy weszłam do tego wielkiego kościoła, zobaczyłam, że było tam bardzo dużo pustych miejsc. Nikt nie przyszedł. Powiedziałam sobie, że nie ma znaczenia, czy ludzie przyjdą, czy nie, ważne że Bóg będzie moim świadkiem. Pocieszałam się też tym, że nikt mnie tu nie znał, więc mogłam brać ślub w obecności rodziców i zaledwie kilku innych osób. I nie wiem, co się stało, modliliśmy się wtedy, a kiedy podniosłam oczy, kościół był pełen, a niektórzy ludzie stali nawet na zewnątrz. Nie wiem, skąd się wzięli, było ich mnóstwo. Ponad pięćset osób było na moim ślubie. Byłam bardzo szczęśliwa. To było cudowne. Moja suknia ślubna składała się z dwóch części, miała oddzielną górę i dół, sama ją dla siebie zaprojektowałam. Wyglądała pięknie w połączeniu z moją koroną.

Po ślubie pojechaliśmy do Akry i dzięki Bogu rok później zaszłam w ciążę. Byłam taka szczęśliwa. Urodziłam córeczkę, piękną dziewczynkę. Ma na imię Elisabeth i w listopadzie kończy pięć lat.

Z powodu urazów po wypadku mój poród był piekłem. Miałam kłopoty z drogami rodnymi, ale poród miał się odbyć siłami natury. Kiedy nadszedł czas, pojechałam do szpitala. Powiedziałam położnej: *Proszę Pani, miałam poważny wypadek i będę potrzebowała pomocy na każdym etapie porodu*. Powiedziała: *Wszystko będzie dobrze*. Ale w pewnym momencie zauważyłam, że za bardzo krwawię. Musiałam jednak zachować spokój, więc tak zrobiłam. Do szpitala dotarłam o 00.30 w nocy, a o 7.30 nad ranem odeszły mi wody. Po niecałych dwóch godzinach dziecko przyszło na świat. Bardzo szybko. Pamiętałam, że powiedziano mi kiedyś, że nie będę w stanie rodzić, a ja właśnie urodziłam. Nie było lekko. Modliłam się do Boga. Powiedziano mi, że nie wolno mi chodzić, że muszę leżeć jeszcze przez pół godziny. Ale z powodu silnego krwawienia położna kazała mi się przenieść i położyć na innym łóżku. Powiedziałam jej, że nie mogę, ale spróbuję. I kiedy wstałam, upadłam. Umierałam. Wzywali lekarza, ale żaden nie przychodził. Pamiętam, że płakałam. Nie mogłam się powstrzymać. Kiedy wróciłam do zmysłów, poczułam się bardzo dobrze. Przyszli lekarze i nie mogli zdiagnozować, co jest nie w porządku. To, co się ze mną działo, było związane z urazami po wypadku. Ale oni

nie mogli zlokalizować, gdzie dokładnie jest problem. Postanowili zabrać mnie na salę operacyjną i jeden z nich powiedział: *Co zamierzasz zrobić?*, na co ten drugi powiedział: *Powinniśmy spróbować wstrzyknąć jakiś rodzaj barwnika, a wtedy kolor moczu wskaże, gdzie leży problem.* W tym czasie dziecko zostało już zabrane do innej części szpitala. I wtedy przyszła moja mama i już się tak nie bałam.

Potem lekarze powiedzieli, że mogę iść do domu. Byłam taka szczęśliwa i bardzo wdzięczna Bogu. Lekarz powiedział kiedyś, że nie będę mogła chodzić, a teraz chodzę. Powiedział, że nie będę mogła rodzić, a teraz mam dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca. Bóg był dla mnie wspierający. Czasem siedzę i próbuję przypomnieć sobie swoją przeszłość. Dziękuję wtedy Bogu także za to, jak zostaliśmy wychowani. Nie byliśmy nauczani wydawania na raz dużych sum pieniędzy.

Kiedy zaczęłam pracować w banku, postanowiłam zainwestować w nieruchomości. Na początku mogłam kupić trzypokojowe mieszkanie i myślałam, że mój ojciec tam zamieszka. A on powiedział: *Nie, nie pozwolę ci zostać samej z małą córeczką, kiedy nie ma tu twojego męża.* A mój mąż poparł mojego ojca. Skoro więc nikt tam nie mieszkał, wynajęłam to mieszkanie. Potem kupiłam jeszcze dwa mieszkania, ale w tym samym budynku. Dwa dwupokojowe mieszkania i to w nich teraz mieszkam. Chociaż mam swoje mieszkanie, często zostaję u rodziców, ponieważ, kiedy wracam do domu w nocy, dzieci już śpią i nie mogę ich zabrać do naszego domu. Moja mama zajmuje się dziećmi, kiedy jestem w pracy. Ona ma sześćdziesiąt lat i jest już na emeryturze, więc może się nimi opiekować. Tylko nie ma aż tyle sił, czasem bardzo choruje, ale dzieci wtedy chodzą do przedszkola. Są tam od 7.30 do 15.45 i wiem, że są tam pod dobrą opieką. Wracają do domu o 16 i mama zajmuje się nimi do mojego powrotu z pracy, czyli do 19.15. Czasami jest mi z tym bardzo źle, ponieważ one są takie małe – córka ma 5 lat, a synek, Albert, ma tylko 2 latka i 5 miesięcy – a mnie przy nich nie ma. Muszę wstawać wcześniej rano i iść kupić dla nich jedzenie na cały dzień, jeszcze zanim pójdę do pracy na 7.30. A kończę pracę o 19 – 19.15. Kiedy wracam do domu, mogę z nimi posiedzieć tylko przez 15 minut, ponieważ są zmęczone i śpiące. W weekendy staram się zrobić zaległe pranie i ugotować jedzenie na cały następny tydzień, i już jest czas, by znów iść do pracy. Nie wiem, jak to wyrazić. Mój ojciec powiedział mi raz, że są takie tygodnie, że nawet przez trzy czy cztery dni nie zamieniamy ze sobą ani słowa, bo on już jest w łóżku, jak ja wracam z pracy. A kiedy rano wstaję, muszę zrobić swoje i nie mam czasu, żeby rozmawiać, mówię tylko: *Tatusiu, będę z powrotem wieczorem.* Rodzice bardzo mi pomagają. Teraz więc mieszkam najczęściej z moimi rodzicami i braćmi, ale oni mają swoje rodziny i nie mogą zajmować się moimi dziećmi. Ale wszyscy starają się mi pomóc, kiedy widzą, jak bardzo jestem zajęta.

Mój mąż jest w Akrze, ale ja nie chcę tam mieszkać, tam wszyscy żyją w pośpiechu. A mąż nie może przenieść się tutaj, jest inżynierem elektrykiem i tutaj trudno mu znaleźć pracę w tym zawodzie. Kiedy mam wakacje, to spędzamy te dwa tygodnie z dziećmi i z mężem w Akrze, a kiedy on ma wolne, to przyjeżdża tutaj.

Staramy się żyć jak każda rodzina. Każdego dnia dzieci rozmawiają ze swoim tatą przez telefon. A kiedy zapomnę zadzwonić, przypominają mi: *Mamusiu, chcemy porozmawiać z tatą*. Czasem bardzo za nim tęsknię. Czasem bardzo bym chciała, żeby był przy nas, żeby pomógł mi w tej czy innej czynności. A czasem po prostu go potrzebuję, bo brakuje mi bliskości, czułości, rozmów, bycia razem.

Jak zaczęłam pracować w banku? Kiedy uczyłam w liceum, poszłam odwiedzić dyrektora, który przychodził do mnie do szpitala, żeby wypłacać mi zasiłek z banku. Kiedy więc mogłam już chodzić, postanowiłam pójść i mu za to podziękować. A on powiedział: *Hannah, prowadzimy rekrutację, jeśli nie masz nic przeciwko, złóż podanie*. Tego samego dnia napisałam podanie, przygotowałam CV i złożyłam aplikację. Po miesiącu, w czerwcu, dostałam zawiadomienie, że zostałam przyjęta. Musiałam więc zrezygnować ze szkoły. A przez ten czas, kiedy pracowałam w szkole, pięć czy sześć miesięcy, nie dostawałam żadnych pieniędzy, ani jednego cedi. Tak się czasem dzieje w Ghanie. Ale myślę jednak, że pracowałam tam dla siebie, ponieważ wiele mogłam się tam nauczyć. Kiedy mnie zatrudnili w banku, zostałam asystentką w Wewnętrznym Dziale Kontroli. Ta praca wymaga ogromnej koncentracji. Jeśli coś pominiesz, nic się później nie zgadza. To bardzo stresujące, zwłaszcza że jestem jak pracująca samotna matka. Ale cieszę się, że pracuję w banku. Nie ma tu czasu na bezczynność. Zawsze jest coś do zrobienia. Czasem tylko czuję, że potrzebuję więcej odpoczynku, więcej snu, bo śpiam tylko przez około sześć godzin.

Nie lubię wydawać pieniędzy na rzeczy materialne. Wierzę, że jako kobieta, nawet jeśli nie masz wielu ubrań, możesz wykorzystać dobrze te, które masz. Nie lubię wydawać zbyt dużo pieniędzy na ciuchy. Moja mama za każdym razem narzeka, że nie lubię sukienek. A ja naprawdę nie lubię. Co mi z tego, że wykupię sobie całą firmę odzieżową. Wiem, że mogłabym to zrobić, ale po co. Staram się podobne myślenie zaszczyć w moich dzieciach. Chcę, żeby były wychowane tak samo, jak ja. Zrobię dla nich wszystko, co w mojej mocy. Chcę je posłać do najlepszych szkół, żeby miały jak najlepsze wykształcenie. I muszę za to dużo zapłacić, edukacja jest droga. Moja córka, Elisabeth, chodzi teraz do przedszkola i płacę za to 250 cedi za każde trzy miesiące. Albert jest w żłobku i płacę 40 cedi miesięcznie. Szkoła jest bardzo droga, ale też bardzo ważna. To jest także moja inwestycja.

Chcę być wspierającą matką. Kimś, kto może służyć radą i pomocą. Nie mogę pozwolić im mieć wszystkiego, bo kiedy dorosną, mogłyby znaleźć się na złej drodze. Czasem muszę im pozwolić, żeby same decydowały i myślały samodzielnie, żeby mogły spróbować samemu coś zrobić. Jeśli będą próbowały czegoś nowego, to będę ich do tego zachęcać. Jeśli czegoś będą potrzebowały, muszę zadbać o to, żeby czuły, że mogą do mnie z tym przyjść, a nie zwracać się do kogoś innego. Chcę być dla nich kimś, do kogo mogą przyjść ze wszystkim i w każdej chwili. Na razie jeszcze są małe. Staram się robić, co w mojej mocy.

W niedalekiej przyszłości chciałabym iść na studia magisterskie z ekonomii, a jeśli to będzie możliwe i będzie miejsce, to później chcę zrobić doktorat. Wiem, że

mogę i muszę to zrobić. Poza tym chciałabym założyć swój własny interes. Najpierw chciałam być dystrybutorem odzieży, ale teraz myślę o czymś innym. Chciałabym też założyć restaurację z kuchnią ghańską. Dziś trudno jest znaleźć dobre jedzenie, jeśli miałabym restaurację, byłoby tam tylko dobre jedzenie. Sama nie lubię kupować gotowego jedzenia, ale chciałabym mieć pewność, że jest takie miejsce, w którym mogę zjeść tak dobrze jak w domu, gdzie podawane jest afrykańskie jedzenie: *gurri*, *kenkey*, *fufu*⁴, *banku*⁵ i ryby, np. tilapia. Zawsze chciałam służyć ludziom. I jeszcze coś. Jeśli miałabym okazję, chciałabym pomagać młodzieży. Najpierw chciałam być psychologiem dziecięcym, wspierać dzieci, które są w wieku dorastania i nie mają nikogo, komu mogłyby powierzyć swoje zmartwienia. To chciałabym robić. W naszej społeczności ludzie nie widzą potrzeby wspierania młodzieży. Chciałabym pójść do ich domów i powiedzieć, że mogę pomóc. Takie marzenia krążą mi po głowie.

Bardzo dobrze pamiętam, że kiedy byłam małą dziewczynką, chodziłam każdego dnia do szkoły pieszo i wtedy drogi były nie do końca zrobione, a uczyliśmy się w klasach, które nie były wykończone. Teraz wszystkie dzieci chodzą do porządných szkół i uczą się w dobrze wyposażonych salach. I w tamtych czasach nic nie wiedzieliśmy o komputerach, a teraz wszyscy mają dostęp do Internetu. Wtedy każdy musiał nosić mundurek, ale nie każdą rodzinę było na niego stać. Teraz też obowiązują mundurki, ale to nie jest żaden problem, bo każdego na niego stać. Kiedyś nie było łatwo dostać się do szpitala, a dziś każdy ma dostęp do opieki zdrowotnej. Więc tak, Ghana się zmieniła. Ja zaczynałam naukę na uniwersytecie w wieku 25 lat, a teraz dzieciaki kończą studia w wieku 22. Myślę, że to są zmiany na lepsze.

Mam nadzieję, że moje dzieci będą żyły w kraju, gdzie znalezienie pracy nie będzie problemem, gdzie nie będzie kłopotów z założeniem własnego interesu, gdzie dostęp do kapitału będzie prosty. Na razie w Ghanie jest tak, że możesz dostać pożyczkę z banku, tylko jeśli masz odpowiednio długi staż pracy. A gdzie indziej można dostać pożyczkę, nawet jeśli nie masz własnego konta. Modlę się więc, że nadejdą takie czasy, w których moje dzieci nie będą miały tyle problemów i będą mogły dostać to wszystko, czego zapragną.

Chciałabym, żeby każdy wiedział, że może coś zrobić. Teraz, wielu ludzi nie chce pracować, ale chcą jeść. Jak tak można? Ja myślę, że nawet jeśli się nie ma kwalifikacji, to można przynajmniej zacząć coś robić, spróbować. Nawet jeśli ma to być sprzedawanie wody w saszetkach. Jeśli ty będziesz sprzedawał, to znajdą się tacy, co będą to kupowali i na pewno na tym zarobisz. Dziś jednak ludzie nie chcą pracować. Wiele osób wyjeżdża z Ghany do pracy za granicą, ale nie chcą tak samo pracować tutaj. Każdy ma jakiś potencjał i każdy może coś robić, ale czasem nie chcemy nawet zacząć. Kiedy byłam młodą dziewczyną, powiedziałam sobie, że nawet jeśli nikt przede mną tego nie robił, to byłoby cudownie być pierwszą osobą, która to zrobiła. I jeśli każdy zdecydowałby, żeby coś ruszyć choć trochę, to Ghana by się rozwijała.

⁴ *Fufu* – potrawa przyrządzona z manioku i ugotowanej ryby.

⁵ *Banku* – potrawa z kukurydzy.

Na mojej ulicy nie było światel, więc kupiłam żarówkę i zrobiłam uliczne oświetlenie. Zrobiłam to dla siebie, ale także dla innych. Nie było tam też wody, więc podłączyłam rury wodne, do których mogli się podłączyć inni mieszkańcy. Ludzie mogą się rozejrzeć wokoło i zobaczyć, co mogą zrobić – choćby najmniejsza rzecz, może pozwolić nam pójść naprzód. Ale ludzie tego nie dostrzegają.

Niektórzy ludzie przyjeżdżają do nas z Europy i innych miejsc, ale nie mogą za każdym razem przychodzić nam z pomocą. My sami musimy to robić. Kraj powinien pomagać sobie sam. Można zacząć z każdego miejsca. Jeśli coś zrobisz, to ktoś to zobaczy i pomyśli: „Ten człowiek coś robi. Może pójde i mu pomogę”. Ale wiele osób patrzy na tych, którzy przyjeżdżają do nas z pomocą i woli nic nie robić. Jeśli nie byłoby wsparcia z zagranicy, to sami musielibyśmy sobie poradzić.

Myślę, że lubię być Ghanijką. Nie wiem dlaczego. Nie wiem też, jak jest w innych krajach. Jedną rzeczą, jaką lubię, jest pokój, choć zdarzają się jakieś drobne sprawy polityczne, które go zakłócają.

Mam mały samochód. A w banku jest tak, że jeśli pracujesz przez dłuższy czas, to dostajesz pożyczkę na kupno samochodu. Pomyślałam więc sobie, że nie mamy w domu samochodu poza tym moim małym, więc wzięłam tę pożyczkę, żeby kupić nowy samochód, a stary zostawić rodzinie. W tym samym czasie moja mama odchodziła właśnie na emeryturę, więc urządziłam dla niej małe przyjęcie, a na dodatek wprowadziłam się do nowego domu. To sporo mnie kosztowało i ludzie zwrócili na to uwagę. Ale nikt nie widzi, ile płacę za szkoły moich dzieci czy za wsparcie finansowe dla rodziców, i że nie mam nic przeciwko temu. Chcę pomagać mojej rodzinie.

Jestem bardzo szczęśliwa. Czasem nawet nie wiem, jak mam wyrazić swoją radość. Nie jestem perfekcyjna, ale myślę, że jestem w porządku. Widziałam siebie idącą przez życie o kulach. Wszystkie problemy, które mam za sobą, urodzenie dwójki dzieci, to wszystko sprawia, że jestem bardzo wdzięczna. Dziękuję Bogu. Lubię być pozytywnie nastawiona. Czasem moja rodzina mówi: *Rzeczy, które my widzimy na zielono, ty widzisz na czerwono*. I zawsze się ze mnie śmieją. Ale ja wiem, że jeśli będę tak właśnie robić, to wszystko będzie dobrze. I to zawsze działa.

Bridget Ruth Atterh

Nazywam się Bridget Ruth Atterh i mam 26 lat. Urodziłam się w Liberii. Moja mama to Vida Atterh, ale teraz nazywa się Pani Vida Abekkh, a mój ojciec to Francis Doe. Urodziłam się 3 marca 1985 roku w Monrovii, stolicy Liberii.

Dorastałam z mamą, babcią i dwoma ciotkami, ale bez taty. Moi rodzice nie mieszkali razem, tato przychodził i odchodził, pracował na statku i miał swój własny dom w tym samym mieście. Mama też pracowała w innym mieście, więc większość czasu spędzałam z babcią, a mama przyjeżdżała do domu na weekendy. W tym czasie skończyła szkołę dla sekretarek w Monrovii i pracowała jako sekretarka. A ja spędzałam większość czasu z babcią i ciotkami – kiedy babci nie było w domu, zostawałam z moją starszą ciocią Anną. Druga ciocia ma na imię Lucy, a babcia to Elisabeth. Babcia bardzo mnie lubiła, tak bardzo, że nikt nie mógł mnie uderzyć ani nakrzyczeć na mnie, kiedy robiłam coś złego. Byłam małą, a miałam w domu wiele do powiedzenia. Byliśmy wtedy bardzo bogaci, ponieważ babcia prowadziła własny interes, który odziedziczyła po swojej mamie. Poza tym miała też przy domu duży sklep i pracowała w biurze finansowym jako sekretarka. Miała spory dochód, pochodzący z różnych źródeł. Każde dziecko z bogatej rodziny jest rozpieszczone. Nie byłam rozpuszczona w zły sposób, ale zawsze dostawałam wszystko, czego chciałam. Kiedy mama przyjeżdżała do domu, przywoziła mi różne rzeczy, tato też zawsze coś mi kupował, babcia również kupowała mi różności.

Miałam też ciocię Lucy, tę młodszą, która bardzo mnie lubiła – jest najmłodszą córką mojej babci i do dzisiaj jest moją ulubioną ciocią. Tak bardzo mnie lubiła, że ludzie myśleli nawet, że to ona jest moją prawdziwą mamą, jesteśmy przy tym do siebie bardzo podobne. Ciocia jest bardzo inteligentna i miała wpływ na mój rozwój intelektualny. Dbała o to, żebym odrabiała zadania domowe i dobrze się uczyła, więc zawsze kończyłam klasy z najlepszymi wynikami.

Gdy miałam trzy lata poszłam do przedszkola. Pamiętam, że nosiliśmy żółte i zielone mundurki. W domu było dużo dzieci: ja, moja starsza siostra i kuzynostwo. Gdy poszłam do przedszkola, moje starsze rodzeństwo chodziło do podstawówki. Wszyscy chodziliśmy do tej samej szkoły. Zawsze, gdy szłam do szkoły, babcia dbała o to, żeby kolor mojego plecaka pasował do butów i do pudełka na śniadanie. Codziennie zabierałam śniadanie w innym pudełku, brałam więc też inne buty i plecak. Miałam buty, które nosiłam tylko w poniedziałki, a nie w inne dni. A kiedy była pora deszczowa, miałam płaszcz przeciwdeszczowy pod kolor mojego plecaka i butów.

Ludzie naprawdę mnie lubili, włącznie z wszystkimi moimi nauczycielami. W tamtym okresie miałam nadwagę, nie jakąś nieznaczną, byłam naprawdę otyła. Naprawdę uwielbiałam jedzenie i dostawałam wszystko czego chciałam. Żyłam bardzo wygodnie, nie miałam problemów, nie myślałam o trudnościach. Żyłam komfortowo z babcią i ciociami.

Gdy miałam 4 lata, już stałam na czele szkolnego gangu. Uczniowie mojej szkoły nie mogli sami przechodzić przez ulicę, nawet ci, co byli już w gimnazjum. Można było przejść przez ulicę dopiero po skończeniu lekcji, kiedy rodzice albo kierowcy przyszli cię odebrać. Każdy, kogo przyłapano na przechodzeniu samemu przez ulicę, trafiał do szkolnego aresztu, gdzie musiał siedzieć w zamknięciu przez resztę dnia, aż do końca lekcji. Często zachęcałam inne dzieci do przechodzenia przez ulicę, byłam liderką grupy i łamałam szkolne reguły. Już jako czterolatka byłam bardzo porywcza. Za każdym razem, kiedy babcia przychodziła odebrać mnie ze szkolnego aresztu, jak tylko ją zobaczyłam, to zaczynałam płakać. Kiedy mnie tam zamykali, to nie płakałam, ale jak tylko widziałam babcię, zaczynałam płakać. A ona nie znosiła widoku moich łez, więc jak tylko zaczynałam płakać, broniła mojego zachowania i prosiła, żeby następnym razem nie zamykali mnie w areszcie.

Pewnego dnia, gdy byliśmy w szkole, usłyszeliśmy krzyki ludzi. Nauczycielki przybiegły do naszej klasy, rozkazując nam położyć się na podłodze i siedzieć cicho. Siedzieliśmy więc jakiś czas cicho. Na moje szczęście szkoła była zaraz naprzeciwko mojego domu i w końcu pozwolono nam tam iść. Sami – ja, moje rodzeństwo i kuzynostwo – przeszliśmy przez ulicę i byliśmy w domu. Babcia płakała. Gdy zapytałam ją, co się stało, odpowiedziała, że ani mama, ani ciocia nie wróciły jeszcze do domu. Nic z tego nie rozumiałam, bo przecież mama wracała do domu tylko na weekendy, a ciocia dopiero po zamknięciu szkoły. Po jakimś czasie przyszły, i mama i ciocia. Wszyscy oglądali telewizję i słuchali wiadomości. Następnego dnia przygotowałam się, żeby iść do szkoły, ale babcia powiedziała, że nie wolno nam tam iść. Byłam strasznie wkurzona. Babcia powiedziała, że muszę poczekać jakiś czas, zanim znów będę mogła chodzić do szkoły. A ja odpowiedziałam: *No dobrze, ale czy to znaczy, że jutro też nie będę mogła pójść do szkoły?* A ona przytaknęła. Przez tydzień nie było lekcji, a potem babcia powiedziała nam, że już nie będziemy więcej chodzić do szkoły. To wtedy zaczęła się wojna, pierwsza wojna w Liberii¹. Wtedy, kiedy babcia powiedziała nam, że nie możemy chodzić do szkoły, po raz pierwszy się przestraszyłam. Babcia wytłumaczyła nam, co się dzieje – potrafiła wyjaśnić wszystko tak, byśmy zrozumieli. Chociaż nie wiedziałam, o co chodzi w tej wojnie, rozumiałam, że jeśli wyjdę na zewnątrz, to mogę zostać zabita. Tak, babcia powiedziała nam, że ludzie do siebie strzelają. A gdy nie rozumiałam, co to znaczy strzelać, babcia wzięła pistolet – zabawkę i mi wytłumaczyła. Zapytałam, czy jeśli strzelę do niej z mojego pistoletu, to ona umrze, ale odpowiedziała, że nie, że to tylko zabawka. Bałam się tak bardzo, że nawet nie podchodziłam do naszej bramy, która odtąd była zawsze zamknięta.

W tym czasie moja ulubiona ciocia Lucy miała narzeczonego o imieniu Immanuel. Pewnego dnia Immanuel przyszedł do naszego domu, potem przyszedł mój tato i ciocia, przyszli wszyscy nasi bliscy, bo u nas było bezpiecznie. W domu

¹ Pierwsza wojna domowa w Liberii wybuchła w 1989 r. i trwała siedem lat. Szacuje się, że zginęło wtedy 220 tys. ludzi. Pokój nie trwał długo – w 1999 r. wybuchła druga wojna domowa zakończona w 2003 r.

mieszkali też inni ludzie, którzy wynajmowali pokoje, było więc coraz tłoczniej i musieliśmy dzielić pokoje z innymi. Jedliśmy rzeczy ze sklepu babci i to nas trzymało przy życiu. Nawet jeśli miało się pieniądze, nigdzie nie można było kupić jedzenia, wyjście z domu było też bardzo niebezpieczne. Kiedy zaczęło nam brakować jedzenia, jedliśmy dojrzałe owoce papai. Żywiliśmy się tylko dojrzałymi owocami, które obieraliśmy i gotowaliśmy z solą.

Do pobliskiego kościoła zaczęli przychodzić ludzie w poszukiwaniu schronienia, modlili się i czekali na cud. Nagle usłyszeliśmy odgłosy strzelania, ludzie zaczęli uciekać, niektórzy nawet pukali do naszej bramy – najstarsi w mojej rodzinie byli tak przerażeni, że nie byli w stanie jej otworzyć, wiedzieli, że kościół zaatakowali rebelianci. Nikt w kościele nie przeżył. To było bardzo blisko mojego domu, 5 minut piechotą. A Bóg był dla nas taki dobry – po strzelaninie rebelianci po prostu odeszli, nawet nie zapukali do naszych drzwi. Kilka godzin później babcia razem z tatą i wujkiem otworzyli bramę i zobaczyli ciała zabitych ludzi. Leżały tam martwe dzieci, kobiety w ciąży, mężczyźni. Więc wycofali się i zamknęli bramę. Wszędzie dookoła były martwe ciała, które napuchły od deszczu i zaczęły gnić. Strasznie śmierdziało. Ojciec i wujek poszli je zakopać, pochowali je gdzieś w pobliżu.

Ludzie zaczęli opuszczać te tereny, ponieważ nie były już bezpieczne. Wkrótce zorientowaliśmy się, że zostaliśmy tam sami. Nie mieliśmy już nic do jedzenia, więc tato i wujek poszli czegoś poszukać. Wyszli i nigdy nie wrócili, słuch po nich zaginął. Nikt ich nie widział. Po kilku miesiącach posłaniec przyniósł list ze zdjęciem mojego wujka, narzeczonego cioci. Mówił, że ciocia powinna z nim iść, że tam, gdzie jest wujek, jest bezpieczniej. I ona poszła, nie miała innego wyboru, wtedy każdy szukał dla siebie bezpiecznego miejsca. A my zostaliśmy i wciąż czekaliśmy, bo nie wiedzieliśmy dokąd iść. Mieszkaliśmy wtedy z babcią, mamą, jej starszą siostrą – ciocią Anną, moją siostrą Anitą i moimi kuzynami, było nas siedmioro dzieci.

Pewnego dnia zjawił się mężczyzna i powiedział, że przyszedł zabić moją mamę. Wszędzie jej szukał. Babcia zapytała go, dlaczego chce to zrobić, a on odpowiedział, że moja mama jest Ghanijką, że zabijają Ghańczyków. Wtedy babcia zapytała, kto mu powiedział, że moja mama jest Ghanijką, a on powiedział, że potwierdziła to jej starsza siostra, Anna. Mama odpowiedziała na to: *Jeśli starsza siostra mnie zdradziła i skazała na śmierć, to nie ma innego wyjścia*. Ale babcia stanęła przed moją mamą, mówiąc, że najpierw będzie musiał zastrzelić ją. Wtedy mamie udało się uciec, wbiegła do domu i schowała się na poddaszu, tak że on nie mógł jej znaleźć. Wrócił więc do babci, mówiąc, że zabije mamę, gdy tylko ją spotka. Mama została na poddaszu przez miesiąc – jadła tam, spała, w ogóle stamtąd nie schodziła. A potem zachorowałam, miałam problemy żołądkowe z powodu jedzenia, które jedliśmy. Pewnego dnia chciałam sobie ulżyć, więc babcia zabrała mnie na podwórko i tam mnie zostawiła.

Wtedy zobaczyłam innego mężczyznę, który szedł w moją stronę. Szybko wstałam i pobiegłam do domu. Kiedy wszedł do domu, babcia powiedziała mu, że

jeśli przyszedł mnie zabić, to niech lepiej zabije ją, ponieważ ona nie chce patrzeć na moją śmierć. Ale on powiedział, że nie przyszedł nikogo zabić, tylko przechodził tamtędy i zobaczył, że źle wyglądam, dlatego chciałby nam pomóc. Babcia opowiedziała mu, że nie czuję się dobrze, i że mam problemy z żołądkiem, i że nie ma jedzenia, by mnie nakarmić. I ten człowiek powiedział: *Dobrze*. Wyszedł, a zaraz potem wrócił z dużą ilością jedzenia, picia, owoców i całą masą prowiantu. I powiedział mojej babci, że ma mnie tym nakarmić i dać lekarstwa, które też przyniósł. Babcia mu podziękowała, a on obiecał, że będzie przychodził od czasu do czasu. Zapytał też o moją mamę i babcia wszystko mu opowiedziała. Więc zawołał mamę i powiedział, żeby już więcej nie spała na poddaszu i obiecał, że od tej pory będzie chronił nasz dom. A kiedy wyszedł, babcia zobaczyła, że zostawił na naszym domu znak. Wtedy nie wiedziałam, co znaczył ten symbol, dopiero kiedy dorosłam, zapytałam babcię, a ona wyjaśniła, że takie znaki były na domach starszych ważnych osób z danego regionu, żaden rebeliant nie śmiał zbliżyć się do takiego domu. To był jakiś rysunek i skrawek czerwonego materiału – pamiętam tę czerwoną szmatkę.

Mężczyzna, który ochraniał nasz dom, szukał tego, który chciał zabić moją mamę. Kiedy go znalazł, okazało się, że ten chciał wykorzystać wojnę do realizacji własnych celów, straszył ludzi bronią, gwałcił kobiety itp. Bóg jeden wie, co z nim zrobił. Nie wiem, czy został zabity.

Nagle przyszli i ogłosili, że nikt nie może się poruszać po tym terenie. Z powodu bomb. Kiedy zrzucali je w nocy, widać było płonący ogień, wiadomo było, gdzie upadały. W dzień nie było ich wcale widać, można było jedynie poczuć podmuch. W czasie dnia wychodziliśmy więc z domów i leżeliśmy na ziemi aż do wieczora. A jeśli ktoś miał pecha i spotkał jakiegoś rebelianta, to już był martwy. Leżeliśmy tak każdego dnia do wieczora, a na noc wracaliśmy do naszych pokoi, ale nie spaliśmy na łózkach, tylko na podłodze. Wieczorami pod nasz dom przychodzili rebelianci, zaczynali śpiewać, krzyczeć i inne takie. Ale my zawsze powtarzaliśmy, że Bóg jest dobry i miłosierny, bo nawet kiedy gromadzili się pod naszym domem, to nie zauważyli, że w środku są ludzie. Byliśmy tak cicho. Pamiętam, że moja siostra miała poważne ataki kaszlu – babcia zwijala szmatkę i wsadzała jej w usta, żeby kaszel nie był słyszany. Dużo ją to kosztowało, bo nie mogła swobodnie kaszleć przez tę szmatkę w ustach.

Żyliśmy tak przez jakiś czas, aż usłyszeliśmy komunikat, że wszyscy mają opuścić to miejsce. Miałam takiego wujka, który był głuchy i niemy, nie słyszał i nie mówił, i naprawdę bardzo mnie lubił. Mówiono mi, że kiedy się urodziłam, wujek brał mnie na spacer zaraz po kąpieli, jeszcze zanim zdążyli mnie ubrać. Zabierał mnie tak po prostu, naga. A kiedy wracał, miałam na sobie nowe ubranie. Kupował mi nowe ubrania i byłam jego ulubienicą. Kiedy opuszczaliśmy dom, babcia kazała zakopać wszystkie nasze cenne rzeczy, myśląc, że pewnego dnia będziemy mogli tu wrócić i zacząć nowe życie. Kilka większych rzeczy zostawiliśmy na poddaszu: lodówkę, zamrażarkę, meble. A resztę zapakowaliśmy i zakopaliśmy pod ziemią:

biżuterię, ubrania i inne rzeczy. Potem wzięliśmy kilka naszych sukienek i wyszliśmy. Nie wiedzieliśmy dokąd idziemy, po prostu szliśmy. I kiedy tak wędrowaliśmy, czasem spotykaliśmy rebeliantów, którzy kazali nam się rozdzielać: mężczyźni na jedną stronę, kobiety na drugą. Tak się odłączyłam od mojego wujka i nigdy więcej go nie zobaczyłam. Szkoda. Powiedzieli nam, że mężczyźni nie powinni mieszać się z kobietami. Rozdzielali kobiety i mężczyzn, kobietom kazali odejść, a mężczyzn zabijali. Widziałam wiele strasznych rzeczy, które miały na mnie ogromny wpływ. Widziałam grupę mężczyzn i pistolety w ich ustach. Niektórzy zostali zastrzeleni z pistoletu wycelowanego prosto w usta, inni w odbyt, niektórzy w głowę – tak po prostu. I nikt nie przejmował się, że dziecko na to patrzy.

Kiedy tak szliśmy, zawołał mnie jeden z rebeliantów. Nie znałam go i bardzo się bałam. A on kazał mi puścić rękę mamy i podejść. Zapytał mnie, czy jestem głodna, a ja odpowiedziałam, że nie, nie jestem. A on na to, że widzi, że jestem głodna. Powiedział mi, że jestem naprawdę piękna, a on chce być moim przyjacielem. Zgodziłam się, a on dał mi kilka ciastek. Wzięłam je i dałam mamie, a oni kazali nam iść dalej. Doszliśmy do obozu, było tam wielu ludzi, niektórzy nawet mieli namioty. Byli tam różni ludzie z wielu krajów, Ghańczycy, Liberyjczycy. To były obozy dla ofiar wojny, ale byli tam również żołnierze. Nie rozumiałam, dlaczego kazali nam tam pójść. Wszystkim mężczyznom kazali zdjąć buty – żołnierze nosili ciężkie buty, które zostawiały znaki na ich nogach, po tym poznawali, czy ktoś był żołnierzem i podejrzewali go o dezercję albo szpiegostwo. Mówili, że albo nie jest wystarczająco odważny, by stawić czoła wojnie, albo jest tam, żeby szpiegować. Zabijali go na oczach dzieci. Niektórzy byli zarzynani, niektórzy zastrzeleni, zadźgani nożem itp.

W tym czasie moja starsza ciocia była dla mnie tak niedobra, że za każdym razem kiedy babcia przynosiła jedzenie dla dzieci, dawała jeść tylko swoim córkom, a mnie i mojej siostrze nic nie zostawiała. Ta ciocia mnie nie lubiła. Nie lubiła też mojej mamy. Moja siostra chodziła więc żebrac o jedzenie, a kiedy coś dostała, to przynosiła i dla mnie. Naprawdę trudno było o pożywienie. Czasami ustawiali nas w kolejkę i dopiero wtedy rozdzielali racje żywności. A jeśli zauważyliśmy, że ktoś miał jedzenie, błagaliśmy, żeby nam trochę oddał.

Potem babcia zdecydowała, że musimy opuścić obóz. Poszliśmy do innego miasta i na początku zamieszkałyśmy oddzielnie. Kiedy padało, nasz pokój zalewała woda, więc babcia kazała nam się przeprowadzić do niej. Kiedy wprowadziliśmy się do domu babci, zachorowałam. Byłam bardzo poważnie chora. A ponieważ w dzieciństwie miałam dużo włosów na całym ciele i teraz byłam bardzo chuda, gdy zachorowałam, wyglądałam jak zwierzątko. Nawet mama i starsza siostra się mnie bały, tylko babcia się mną opiekowała. Dużo wymiotowałam i wypróżniałam się krwią. Jedna z przyjaciółek babci zobaczyła mnie i kazała mi podać torebki po herbacie z odrobiną soli. A kiedy je połknęłam, zaczęłam wymiotować. Wtedy ta kobieta powiedziała babci, żeby zabrała mnie do szpitala, bo cierpię na cholere i jeśli mnie nie zawiozą do szpitala, to umrę. Babcia zabrała mnie do pobliskiej

przychodni, niedaleko domu. Był tam lekarz, który chodził o kulach, bo został postrzelony w nogę. Kiedyś miał własną przychodnię, ale z powodu wojny musiał ją zamknąć, a ponieważ chciał pomagać ludziom, zabrał część sprzętu do swojego domu i tam leczył chorych i rannych. Lekarz zabrał mnie do swojego pokoju i powiedział mamie i babci, że musi dać mi trzy zastrzyki, a jeśli nie zareaguję, to znaczy, że nie przeżyję. Byłam bardzo odwodniona, nie miałam zbyt wielu szans na przeżycie. Mama powiedziała, że nie ma po co dawać mi tych zastrzyków, bo i tak już jestem martwa, a nawet jeśli przeżyję, to ona i tak nie będzie mogła się mną dobrze zająć i nie chce, żeby jej dziecko cierpiało. Wtedy ciężko było kupić cokolwiek do jedzenia czy picia, poza tym mama nie była pewna, czy uda jej się mnie ochronić do czasu, kiedy wojna się skończy. Była przerażona, mówiła, że będzie lepiej, jeśli umrę z powodu choroby, niż gdyby miała mnie zabić kula. Mówiła, że tego by nie zniosła. Ale babcia powiedziała lekarzowi, żeby spróbował, a on powiedział mamie, że jego zadaniem jest ratowanie ludzi, a nie zabijanie i musi spróbować, musi dać mi szansę. Mama się zgodziła i lekarz dał mi zastrzyk. Mama mi później opowiadała, że po zastrzyku przez dobrą godzinę nawet nie mrugnęłam, nie dawałam żadnych oznak życia, nawet nie oddychałam. Mama powiedziała wtedy, że było wiadomo, że nie przeżyję i że nie powinni się tym przejmować. Wszyscy wyszli i zaczęli płakać, gdy nagle usłyszeli, jak krzyczę imię babci, wołam ją. I ona do mnie pobiegła, i dała mi szklankę wody, ale lekarz powiedział, że nie powinna dawać mi wody i podał mi lekarstwo. Nasz dom był blisko przychodni i lekarz powiedział, że powinnam zostać pod jego opieką. Gdy mieszkałam u niego, było mi trochę lepiej: dobrze mnie karmił, dbał o to, żebym się dobrze umyła i nosiła dobre ubrania. Bawiłam się z nim w różne gry, na przykład w chowanego. Byłam bardzo słaba, ale dzięki lekarstwom i jedzeniu, które dostawałam, mogłam się ruszać, bawić, rozmawiać. Był dla mnie jak ojciec, był taki miły. Byłam z nim przez jakiś czas, a później babcia zabrała mnie i powiedziała, że przenosimy się w inne miejsce.

Cały czas się przeprowadzaliśmy, nawet nie pamiętam nazw miejscowości, w których mieszkaliśmy. Kolejne miejsce było lepsze od poprzedniego, ludzie zaczynali handlować. Mama przygotowywała różne rzeczy, a siostra wychodziła je sprzedawać, podczas gdy ja zostawałam z mamą w domu. A mama sprzedawała przed domem. Pamiętam, jak raz siostra poszła sprzedawać, a w drodze powrotnej – zaczyna być zabawnie – jakaś pani ją popchnęła i wszystko upadło na ziemię, i było całe w piasku. Siostra zaczęła płakać, że ma małą siostrę w domu, która jeszcze nic nie jadła i kiedy wróci do domu, mama będzie ją pytała, gdzie są rzeczy, które miała sprzedać. Sprzeczały się. Przechodził tamtędy żołnierz i zawołał je, a każda zaczęła mu przedstawiać swoją rację. I wtedy żołnierz powiedział, że tamta kobieta powinna przynieść pieniądze, które zarobiła sprzedając swoje rzeczy i podzielił je na dwie części: połowę dał mojej siostrze, a połowę tamtej kobiecie. Powiedział, że żyjemy w trudnych czasach, więc trzeba sobie pomagać. Odprowadził moją siostrę do domu i opowiedział mojej mamie o całym zdarzeniu. Wtedy mama zdecydowała,

że siostra nie będzie już więcej sprzedawać. Wszystkie zostawałyśmy w domu i sprzedawałyśmy pod domem, aż pewnego dnia mama powiedziała, że udajemy się w podróż. Zapytałam ją dokąd, ale mi nie odpowiedziała.

Poszłyśmy na targ, żeby zrobić zakupy za pieniądze, które miałyśmy. Na rynku zobaczyłam mojego dziadka, znanego jako Dziadzio Alex, męża siostry mojej babci, cioci Anny. Mama miała wątpliwości i powiedziała, że to nie jest Dziadzio Alex, a ja krzyczałam, że to jest Dziadzio Alex. Trudno go było poznać, bo miał taki zarost, jakby nie golił się od miesięcy. Ale kiedy go zawołałam – zareagował, więc mama przyznała, że to Dziadzio Alex. *Gdzie się podziewałeś? Odkąd nas rozdzielili, nigdy cię nie widzieliśmy!* A on powiedział, że mnie szukał. Dzięki temu, mogłam spotkać mojego kuzyna Ofori, który kiedyś z nami mieszkał. Byliśmy tacy szczęśliwi, że się tam spotkaliśmy! Poszliśmy razem do domu. Dziadek powiedział mamie, że słyszał, że statki będą podpływały do portu i że zabiorą paru Ghańczyków z powrotem do Ghany, i że możemy z nimi odpłynąć. Ale babcia nie chciała płynąć z nami, bo nie wiedziała, gdzie jest ciocia Lucy. A gdyby popłynęła do Ghany nie wiedząc, co się dzieje z Lucy, nigdy nie zaznałaby spokoju. Postanowiła zostać, dopóki nie będzie miała wieści od cioci Lucy. Mama też chciała zostać, ale babcia powiedziała, że ze względu na nasze bezpieczeństwo powinniśmy wyjechać. Kiedy usłyszałyśmy z siostrą, że babcia nie jedzie, to powiedziałyśmy, że też nie jedziemy i że mama może jechać sama. Ale babcia się nie zgodziła i powiedziała, że mamy jechać z mamą, a ona do nas w niedługim czasie dołączy. Wszyscy więc poszliśmy do portu, byłam tam z Dziadziem Alexem, Oforim, moją siostrą Anitą i moją mamą. Moja ciocia postanowiła zostać ze swoimi córkami, Doyhuno i Aweah. Postanowiła nie wracać do Ghany.

Potem spędziłyśmy parę tygodni w porcie, czekając na statek. W tym czasie wojna trwała już rok, a ja miałam pięć lat. Tam w porcie było wielu ludzi. Spaliśmy wszyscy na zewnątrz. Niektórzy ludzie byli z Liberii, niektórzy z innych krajów, ale nie widziałam wśród nas żadnych białych. Byli tam Liberyjczycy, pół Liberyjczycy pół Ghańczy, pół Nigeryjczycy pół Liberyjczycy, a statek nie miał być przeznaczony tylko dla Ghańczyków. Kiedy przypłynął, statek został na morzu, a nam powiedziano, co mamy robić: że przyniosą kontener ze statku i postawią go, żebyśmy do niego weszli, i że kontener będzie dwa razy zabrany na statek. Jeśli nie uda nam się za pierwszym razem dostać do kontenera, to mamy jeszcze jedną szansę, ponieważ statek może zabrać tylko określoną liczbę osób. Ładunek nie może być zbyt duży, bo inaczej statek zatoni. Kiedy podstawili kontener, każdy walczył, żeby się do niego dostać. Byłam wtedy na baranach u mamy, która trzymała moją siostrę za rękę, a za nami był dziadzio z moim kuzynem Oforim. Przepychaliśmy się, żeby dostać się do kontenera, kiedy nagle ręka mojej siostry wyslizgnęła się z ręki mamy, więc mojej siostrze nie udało się wejść i została tam, krzycząc i wrzeszcząc, wołając mamę, a ja zaczęłam płakać, że zostawiłyśmy moją siostrę na zewnątrz. Jeden z żołnierzy nie chciał wpuścić mojej siostry do kontenera i nagle uderzył ją drewnianą pałką,

a potem zobaczył mojego dziadka, Dziadzio Alexa i powiedział: *Och, Panie Generale, co Pan tu robi? Nie wiedziałem, że jest Pan tutaj z żoną i z dziećmi.* A on odpowiedział: *Jestem tu z moją rodziną.* I złapał moją siostrę za rękę. I później ludzie zaczęli wchodzić do kontenera i moja siostra też weszła. Mój dziadek był byłym wojskowym, był już na emeryturze, zanim przyjechał do Liberii. Tak nam się udało wejść na statek. Ale kiedy tam się znaleźliśmy, nie dostaliśmy żadnego pokoju, do którego moglibyśmy pójść i byliśmy wszyscy razem na pokładzie, i padał na nas deszcz. Potem dziadek poszedł z nimi porozmawiać, po czym pokazali nam kabinę, gdzie mogliśmy spać. To był bardzo duży statek i było na nim mnóstwo ludzi. Byłam w jednej kabinie z dziadkiem, mamą, siostrą i kuzynem, i z jeszcze jedną rodziną. Ta druga rodzina była lepiej przygotowana, mieli ze sobą trochę jedzenia. My nie mieliśmy nic. Czasami dawano nam coś do jedzenia na statku, a czasami nie. Nie pamiętam ile dni trwała ta podróż, bo byłam mała, ale pamiętam, że była bardzo długa. Rano dawali nam owsiankę ryżową i jeśli miało się szczęście, to trochę się jej dostawało. Czasami się udawało, a czasami nie. Kiedy nie dostaliśmy jedzenia, żuliśmy paracetamol, który uśmierza ból, i szliśmy do łóżka, żeby zasnąć. Zanim się obudziliśmy, dziadek znajdował dla nas coś małego do zjedzenia.

Pewnego dnia obudziłam się, a mama dała mi szczoteczkę do zębów i kazała mi je umyć. A kiedy myłam zęby z kuzynem Oforim, spoglądaliśmy przez szpary w statku i zobaczyliśmy tańczące ryby. Pamiętam, że ludzie krzyczeli, machali chusteczkami, wymachiwali rękami, więc zawołałam mamę i zapytałam, co to takiego. Położyła dla nas coś na podłodze, na czym mogliśmy stanąć, żeby lepiej widzieć. Więc stanęliśmy na tym, a ona nam powiedziała, że te ryby, które widzimy, to delfiny. Co oznaczało, że dotarliśmy tam, gdzie zmierzaliśmy. Wtedy po raz pierwszy widziałam delfiny. To było przepiękne. Trochę nam jeszcze zajęło, zanim dotarliśmy do Ghany. Ale kiedy ludzie zobaczyli delfiny, byli tacy szczęśliwi. A ja to byłam tak szczęśliwa, że szczoteczka wpadła mi do morza. Mama powiedziała, że to znaczy, że nie umyję już zębów, aż nie dotrzemy do Ghany.

W końcu dopłynęliśmy do Ghany, do Portu Terna. Jak tylko zeszliśmy z pokładu, zobaczyliśmy rzędy stołów, a przy nich lekarzy i pielęgniarki. Gdy tylko się tam znaleźliśmy, zaczęli nas badać, podawać zastrzyki, sprawdzać, czy jesteśmy zdrowi. Potem dali nam jedzenie i wodę. Dobrze nas potraktowali, zaakceptowali nas w kraju. Kiedy przybyliśmy do Akry, najpierw przez kilka dni byliśmy pod opieką lekarza, a potem nas rozdzielili. Spytałam mamę, co oni robią, a ona odpowiedziała, że będą sprawdzali, czy mamy jakichś krewnych w Ghanie. Jeśli ktoś nie wie, gdzie są jego bliscy w Ghanie, to będą ich szukać po nazwiskach, adresach czy czymś takim. A kiedy już znajdą twojego krewnego, to powiedzą mu, że tu jesteś, żeby przyszedł i cię zabrał ze sobą.

My mieliśmy dom rodzinny w Akrze, więc mieliśmy krewnych w Ghanie i moja mama wiedziała, gdzie ten dom jest. Właściwie to moja prababcia była Liberyjką, ale wyszła za mąż za Ghańczyka i przyjechała do Ghany. Moja babcia

urodziła się w Ghanie i też wyszła za mąż za Ghańczyka, i urodziła tu dzieci. Ale kiedy matka babci zachorowała, powiedziała jej, że nie chce umrzeć w obcym kraju, że chce wrócić do siebie i tak obie wyjechały do Liberii. Babcia zabrała ze sobą swoje dzieci, również moją mamę, a potem odziedziczyła po swojej mamie spadek. W tym czasie moja mama miała już dziecko z Ghańczykiem – moją starszą siostrę. Ale poznała mojego tatę, kiedy była w Liberii. Mój tato był Liberyjczykiem, więc jestem pół Liberyjką, pół Ghanijką.

W Akrze spędziliśmy kilka miesięcy. Byłam tam z mamą, ale ona pewnego dnia zostawiła mnie i pojechała do Takoradi. Nie powiedziała mi, co zamierza tam robić, tylko zostawiła mnie pod opieką jakiejś pani i pojechała do Takoradi razem z moją starszą siostrą. Ale wróciła do Akry bez mojej siostry, a gdy ją o nią zapytałam, odpowiedziała, że zabrała moją starszą siostrę, żeby spotkała się ze swoim ojcem. Kiedy tam były, ojciec mojej siostry powiedział, że chce poślubić moją mamę jeszcze raz. Mama powiedziała mu, że ma jeszcze jedną córkę, a on odpowiedział, że to nie problem i że zaopiekuje się nami obiema. Mama wróciła więc do Akry, spakowała nasze rzeczy i pojechałyśmy do Takoradi.

W Takoradi zamieszkałyśmy u mojego ojczyma, Georga Ackona, z jego rodziną. Potem mój ojczym zaręczył się z moją mamą, a że poznali się w Akrze, to tam pojechali na zaręczyny. W Takoradi byliśmy bardzo szczęśliwi. Zaczęłam naukę w szkole podstawowej Nazaret, ale już nie chodziłam do zerówki, tylko do pierwszej klasy podstawówki.

Nie mówiliśmy w języku fanti² i nie mówiliśmy płynnie po angielsku, a tymi językami posługiwano się w Ghanie. W Liberii mówiliśmy po angielsku, ale ten angielski nie brzmiał tak samo jak w Ghanie. Były duże różnice. Jak teraz mówię, to ciężko rozróżnić, czy jestem Liberyjką czy Ghanijką. Ale kiedy moja mama mówi po angielsku, można poznać, że długo mieszkała w Liberii. Kiedy moja ciocia albo babcia mówią po angielsku, też to słychać.

Przez jakiś czas ciężko było innym dzieciom mnie zaakceptować. To znaczy – nie im mnie, ale mi było trudno je polubić. Dużo mi dokuczały i nie podobało mi się, jak mnie traktują, więc zawsze wplątywałam się w jakąś bójkę, także z powodu tego, jak mówiłam po angielsku. Nawet w domu, dzieci, z którymi się bawiłam, mi dokuczały, bo nie rozumiałam zasad ich zabaw, więc wykorzystywały to, żeby mnie oszukiwać. Ale jak już mówiłam, kiedy byłam w Liberii, też byłam trudnym dzieckiem, nie pozwalałam, żeby ktoś mnie uderzył i sam wyszedł z tego bez szwanku. Zawsze oddawałam i wdawałam się w bójkę. Jeśli nie byłam w stanie kogoś pokonać od razu, to wracałam później, żeby porządnie oddać. I nie pozwalałam nikomu ze mną wygrać tylko dlatego, że byłam cudzoziemką, nie pozwalałam źle się traktować. Ale co zauważyłam u nauczycieli w Ghanie: jeśli jesteś inteligentna, naprawdę cię lubią. Od razu zobaczyli, że jestem mądra, pamiętam to, choć był to mój pierwszy dzień

² Urzędowym językiem w Ghanie jest angielski, obok asante i ewe, fanti jest najczęściej używanym językiem, na co dzień posługuje się nim prawie 10% mieszkańców Ghany.

w szkole, miałam najlepsze wyniki ze sprawdzianu. I dlatego nauczyciele naprawdę mnie polubili. Moja siostra zawsze uważała mnie za inteligentną, choć sama jest o wiele mądrzejsza ode mnie. Ona naprawdę lubi się uczyć, nie lubi dużo mówić, ale uwielbia się uczyć. Teraz jest nauczycielką. Najtrudniej mi było nauczyć się fanti, był to dla mnie najtrudniejszy przedmiot i nigdy go nie lubiłam. Wprawdzie potrafię pisać i czytać w tym języku, ale bardzo wolno – to nie to samo, co znać go od urodzenia. Ale moja starsza siostra potrafi pisać i czytać, jakby fanti był jej ojczystym językiem.

Kiedy zaczęliśmy szkołę w Nazaret, mój ojczym kupił nową maszynę, której używał do produkcji plastikowych torebek, używanych jako opakowania na cukier, orzechy i inne sproszkowane produkty. Moja mama używała tej maszyny, żeby produkować torebki w domu, a w tym czasie mój ojczym pracował jako taksówkarz. Po szkole razem z siostrą sprzedawałyśmy na targu stare gazety – ludzie używali ich do pakowania rzeczy, które kupili na rynku. W sobotnie poranki, po sprzątaniu domu też chodziliśmy na targ. Mieliśmy z tego wszystkiego jakiś dochód, więc mogliśmy utrzymać dom.

A moi nowi dziadkowie i nowe ciocie z łatwością mnie zaakceptowali. Moja nowa babcia miała na imię Georgina, a mój nowy dziadek – George. Mieszkaliśmy z nimi i z ich córkami. Mieli tylko jednego syna i to był właśnie mój ojczym. On naprawdę mnie lubił – bawiliśmy się razem. Zwłaszcza kiedy mył samochód: rzucał w siebie mydłem i dobrze się bawiliśmy.

Kiedy przyjechaliśmy do Ghany, zaczęliśmy chodzić do kościoła metodystów i tam mama dołączyła do chóru. Gdy wcześniej mieszkała w Ghanie, też była chórzystką. Mój ojczym miał tam przyjaciółkę. Nie wiedziałyśmy, że zaczął umawiać się z przyjaciółką mojej mamy, Sophią. Ona była jego kochanką. Na początku mama o niczym nie wiedziała, ale moja siostra i ja bardzo wcześnie to zauważyłyśmy: za każdym razem, gdy ojczym przyjeżdżał po nas do szkoły, ta kobieta siedziała na przednim siedzeniu. Ale ona tylko wyciągała łapy po pieniądze mojego ojca i kupowała rzeczy dla siebie. Udawała, że tak bardzo nas lubi, żebyśmy też ją lubiły. Ale ja nigdy jej nie lubiłam, od pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłam. Więc przy każdej okazji w domu narzekałam na nią, aż mama w końcu zorientowała się, że tato jest związany z tą kobietą. Mama nie myślała jednak o rozstaniu z tatą, który później poważnie zaangażował się w związek z tą kobietą. Doszło nawet do tego, że nie spał już nawet w domu i nie przynosił nam pieniędzy. Kazał nawet mamie zabrać mnie ze szkoły, ponieważ nie chciał już opłacać mojego chesnego. Musiałam więc rzucić szkołę i siedzieć w domu. Kiedy to wszystko się zaczęło, byłam w trzeciej klasie, siedziałam w domu przez dobry rok.

Pewnej nocy, kiedy spałyśmy, tato przyszedł do domu i kazał mamie spakować nasze rzeczy. Chciał nas zabrać do domu dziadka, bo nie zamierzał się z nią drugi raz ożenić. Zabrał nas do Akry, obrażając mojego dziadka – ojca mojej mamy i nas tam zostawił. Dziadek powiedział, że skoro nie będą brali ślubu, to mama powinna zostać



w Akrze. Ale mama odpowiedziała, że nie zamierza zostać w Akrze i chce wracać do Takoradi, żeby zacząć nowe życie. Wróciliśmy więc do Takoradi jeszcze tego samego dnia i mama zabrała nas do swojej koleżanki, która była pielęgniarką. Znalazła nową pracę. W kościele spotkała kobietę, która знаła mężczyznę o imieniu Dodou, który był fotografem w kościele i miał własne studio fotograficzne. Ta kobieta powiedziała mu, że mama chce pracować, a ponieważ nie wiedziała nic o fotografowaniu, została u niego kasjerką i często była wysyłana w różnych sprawach do Akry.

W tym czasie moja starsza siostra mieszkała z ojczymem, który zabronił jej zostać z moją mamą. Gdy mama szła do pracy, ja zostawałam pod opieką jej koleżanki, pielęgniarki. Kiedy mama dostała pierwszą wypłatę, wynajęła pokój, ale nie miałyśmy pieniędzy, żeby kupić meble, więc spałyśmy na podłodze. A kiedy mama wyjeżdżała do Akry, to zostawiała mnie samą, pod opieką sąsiadki o imieniu Martta. Zostawałam na noc sama, a rano Martta przychodziła i sprawdzała, czy coś jadłam. Miałam wtedy 7 lat. Mama zostawiała jej pieniądze, by przygotowywała dla mnie jedzenie. Wyjeżdżała na krótko, na jeden albo dwa dni, a potem wracała. Nie chodziłam wtedy do szkoły, tylko handlowałam, bo mamy nie było stać na chesne. Moje nowe ciocie nigdy mnie nie lubiły i kiedy widziały mnie na mieście, to zawsze mnie obrażały.

To wszystko miało na mnie bardzo duży wpływ, wpłynęło też na moje postępy w nauce. Czasami ojczym przychodził do nas i bił mamę – to też miało na mnie ogromny wpływ. Aż kiedyś mama powiedziała, że nie pozwoli mi więcej handlować na ulicy, że poszuka pieniędzy na szkołę. Zabrała mnie do szkoły o nazwie Howard, nie wróciłam już więcej do Nazaret. Gdy poszłam do Howard, miałam 8 lat, ale musiałam powtarzać trzecią klasę, byłam najstarszą dziewczynką w klasie. Dwa razy musiałam powtarzać tę samą klasę, więc kiedy poszłam do czwartej klasy, miałam już 10 lat. W czwartej klasie nauka nie szła mi za dobrze, ponieważ mamy nie było stać na zeszyty ćwiczeń i na chesne. Mało zarabiała i nie mogła zapłacić za jedno i drugie, wołała więc opłacić chesne, bo inaczej mogliby mnie wyrzucić ze szkoły. A ponieważ nie miałam podręczników, nie mogłam się uczyć w domu, tylko w szkole. Wszystko to miało również wpływ na mamę: czuła do mnie niechęć, ponieważ byłam dla niej problemem. Kiedyś, nieoczekiwanie, mama dostała wiadomość, że przyjechała ciocia Lucy. Wróciła do Ghany ze swoim mężem i córeczką. Mąż cioci miał rodzinę w Ghanie, w Akrze, w dzielnicy Osu. Po jakimś czasie mama zabrała mnie do Osu, ale choć ciocia kiedyś mnie lubiła, nie spodobał jej się pomysł, żebym została u nich na wakacje. Dopiero kiedy zostałam w Osu, dowiedziałam się, że nie było ich nawet stać na codzienne posiłki – kiedy przyjechali, mąż cioci nie pracował, mieli swoje dziecko, a teściowie jej nie akceptowali, bo mówili, że jest cudzoziemką. Ciocia nigdy nie powiedziała, że mam u niej nie zostawać, ale kiedy już tam byłam... sposób, w jaki mnie traktowała, nie podobał mi się. Zanim dała mi jedzenie, najpierw mówiła i mówiła, a nawet krzyczała. Kiedy mieli gości, musiałam pozmywać naczynia i posprzątać dom. A potem jej mąż się dziwił, że taka mała dziewczynka

jak ja potrafi wykonywać wszystkie domowe obowiązki. Miałam dopiero 10 lat, a umiałam wyprać ubrania cioci, jej męża i córki. Zaczęłam też prasować. Później jej mąż miał szczęście i dostał pracę księgowego w biurze u prezbiterian, gdzie pracuje do dziś. Odwiedzałam ich we wszystkie wakacje, jak tylko miałam wolne od szkoły. A kiedy tam byłam, zawsze dbałam o to, żeby zrobić im pranie, posprzątać w domu, ugotować posiłki, pozalać wszystkie sprawunki. Kiedy zaczynała się szkoła, dawali mi pieniądze i jedzenie. I byłam taka szczęśliwa, ponieważ po powrocie do domu bardzo mi to pomagało. Jeździłam do nich w każde wakacje, żeby tak zarabiać. Dzieci męża mojej cioci nigdy mnie nie lubiły, ale nie przejmowałam się tym za bardzo, skupiałam się na swojej pracy i na tym, że kiedy wrócę do Takoradi, będę miała pieniądze i jedzenie.

Mama miała przyjaciela, który kiedyś był w Ghańskiej Marynarce Wojennej, ale teraz jest na emeryturze. To on zauważył, że szkoła, do której chodziłam, nie była za dobra i powiedział mamie, żeby mnie stamtąd zabrała, a on poszuka dla mnie nowej szkoły. Zabrał mnie więc do bazy marynarki wojennej, która była moją trzecią szkołą, odkąd znalazłam się w Ghanie. To była dobra szkoła. Zaczęłam ją chyba w wieku 15 lat. Podstawówkę zaczęłam w wieku 5 lat, więc myślę, że miałam 13 albo 14 lat, kiedy byłam w piątej klasie, z powodu przerwy w mojej edukacji i powtarzania klas. Szkołę średnią skończyłam, kiedy miałam 20 lat, dwa lata później niż normalnie. Ta szkoła w bazie marynarki była tylko do gimnazjum. Miałam tam przyjaciół. Moją najlepszą przyjaciółką była Barbara, naprawdę mi pomogła. Moje wyniki w nauce były słabe, a ponieważ jej rodzice byli bogaci, kiedy tato kupował jej podręczniki, zawsze pilnowała, żeby kupić dwa egzemplarze. Dostawałam od niej podręczniki i razem chodziłyśmy na lunch, i kupowała mi jedzenie. Choć dostawałam pieniądze do szkoły, nie starczało ich na cały dzień. Mieliśmy wtedy trzy przerwy i kiedy wydałam wszystkie swoje pieniądze na pierwszej przerwie, to na drugiej i trzeciej już nie miałam, a szkoła kończyła się o 15. Od 8 do 15 były lekcje. Barbara była jedyną moją koleżanką, która mogła przychodzić do mnie do domu. Poza nią mama nie pozwalała nikomu innemu na wizyty w naszym domu, ani ja nie mogłam nikogo odwiedzać. Mama bała się, że zajdę w ciążę, a i tak ledwo starczało jej na jedzenie dla nas. Nie miałam chłopaka, kiedy chodziłam do gimnazjum, ani kiedy byłam w szkole średniej, ani nawet na studiach.

Kiedy mieliśmy pisać końcowe egzaminy w gimnazjum, miałam wypadek samochodowy. Potrafiła mnie taksówka. Musieli usunąć mi dwa zęby, dlatego teraz mam to sztuczne uzupełnienie. Nie mogłam wtedy przez jakiś czas chodzić do szkoły, a zostało tylko kilka tygodni do egzaminów. Nie chodziłam więc do szkoły, ale miałam kolegę, który uczył mnie w domu, żebym mogła te egzaminy zdać. Odkąd pomagał mi w nauce, stawałam się coraz lepsza, powiedzieli nawet, że mogę uzyskać dobre wyniki na egzaminach. A uczył mnie tylko przez trzy tygodnie. Dzięki niemu mogłam iść do szkoły średniej. Uczyliśmy się głównie rolnictwa. To był przedmiot wiodący, ale mieliśmy też inne przedmioty: biznes, nauki przyrodnicze itp. To było

Technikum Rolnicze w Nikroful. Tam zostałam przyjęta i chodziłam do pierwszej klasy. W drugiej klasie miałam już dość, szkoła była daleko od domu, a miejsce pełne było kurzu i brakowało wody. Zanim poszłam do trzeciej klasy, mama namówiła mnie, żebym napisała egzamin wstępny do liceum. Zdałam i zostałam przyjęta, ale nie do trzeciej klasy, tylko znów do drugiej. Musiałam powtórzyć drugą klasę. W tej szkole zdałam egzamin końcowy.

Francis, ten przyjaciel, który mnie uczył, studiował na politechnice i kiedy byłam w liceum, dalej pomagał mi w nauce, był moim korepetytorem. Po egzaminach końcowych wyjechałam do Akry, do cioci, która zawsze brała mnie do siebie na wakacje. Tam zaczęłam studia, ale nie było mi dobrze. Wciąż się zastanawiałam, dlaczego mama mnie nie akceptuje, dlaczego nie mam od niej wsparcia. Nie słyszałam od niej dobrych słów zachęty, nie poświęcała mi za dużo czasu, nie zwracała na mnie uwagi. Przejmowała się za to moją starszą siostrą, która narzekała, że musi mieszkać z moim ojczymem, i że macocha źle ją traktuje. Cała uwaga mamy skupiała się więc na mojej siostrze i to bardzo mnie bolało.

Po egzaminach wujek namówił mnie, żebym poszła do Calvary Methodist Vocational Institute. Bardzo dobrze mi tam szło. To znana wyższa szkoła zawodowa w Akrze. Zdecydowałam się na program ogólny, co umożliwiłoby mi studia na politechnice, gdybym zechciała tam iść. Musiałam skończyć najpierw trzy lata kształcenia ogólnego, a potem jeszcze trzy lata, żeby dostać dyplom zawodowy, razem sześć lat. Nie byłam na to gotowa. Jeden z nauczycieli powiedział mi, że mogę studiować w tym samym czasie oba programy: ogólny i zawodowy i że przez te trzy lata mogę podwójnie zdawać egzaminy. Wujek bardzo mi wtedy pomagał i dawał mi na wszystko, czego potrzebowałam do nauki. I Francis też dawał mi pieniądze, kiedy tylko potrzebowałam na szkołę. Mieszkał w Takoradi, ale przysyłał mi co miesiąc co najmniej 100 cedi. Pomagał mi, choć mama też wysyłała mi pieniądze na czesne. Wujek i Francis byli bardzo wspierający. Kiedy zaczęłam studiować w Akrze, spędzałam u wujka wakacje i weekendy, a ciocia gotowała dla mnie jedzenie, które zabierałam ze sobą, żeby mieć na cały tydzień w szkole. Bardzo mi pomagali. Kiedy wysyłałam im moje oceny semestralne, byli bardzo szczęśliwi, a wujek kupił mi dużo prezentów. Potem nadeszły egzaminy końcowe. Najpierw pisałam egzamin ogólny, a dwa dni później zawodowy.

Kiedy świętowałam u wujka w domu, że zdałam ten pierwszy, zadzwonił Francis, że chce mi coś powiedzieć, więc zapytałam go, o co chodzi, ale nie był w stanie mi tego powiedzieć. Za to kilka dni później dostałam od niego przesyłkę. Wujek przyszedł do domu i powiedział, że wraca z poczty, skąd przyniósł taką wielką paczkę. Kiedy ją otworzyłam, były tam czekoladki, pierścionek i małe mięso. I kiedy Francis do mnie zadzwonił, powiedziałam mu, że dostałam tę paczkę i że jest na niej jego nazwisko, a on odpowiedział, że chce mi w ten sposób powiedzieć, że naprawdę mnie kocha i że naprawdę chce spędzić ze mną resztę życia. Odpowiedziałam: *Dobrze*. A potem, za każdym razem, kiedy dzwonił, mówiłam, żeby powiedział, że

mnie nie ma i nigdy nie odbierałam jego telefonów, przez sześć miesięcy. Nie byłam pewna, co czuję, a ponieważ widziałam, co przeszła moja mama, postanowiłam, że nie będę się angażować w żadne związki ani wychodzić za mąż. W dzieciństwie przeszłam przez piekło: ludzie mnie odrzucali, nie akceptowali mnie, więc wołałam być już sama.

Po sześciu miesiącach moja ciocia podarowała mi komórkę i pierwszym telefonem, jaki odebrałam, był ten od Francisa, bo ciocia dała mu wcześniej mój nowy numer. I kiedy zadzwonił, zaczął mówić na ten sam temat, jak bardzo za mną tęsknił i zapytał, kiedy znów przyjadę do Takoradi, a ja odpowiedziałam, że wkrótce. Byłam już wtedy zaprzyjaźniona z jego mamą, ponieważ, kiedy mieszkałam w Takoradi, dużo z nią rozmawiałam. Kiedyś mama zadzwoniła do mnie i powiedziała, że odwiedziła ją mama Francisa, która śmiejąc się opowiadała, jak to Francis kupuje farby i maluje swój pokój, pucuje krzesła i stoły, nie wiadomo dlaczego. W dniu, w którym przyjeżdżałam do Takoradi, zadzwoniłam, żeby mu powiedzieć, o której godzinie mój autobus będzie na miejscu, ale nie spodziewałam się, że będzie czekał na mnie na dworcu. Kiedy wysiadłam, ktoś objął mnie od tyłu, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam jego. Pocałował mnie w policzek, wręczył mi dużego pluszowego misia i wziął moją walizkę. Ludzie myśleli, że wróciłam z zagranicy, a ja byłam tylko w Akrze i przyjechałam do Takoradi. Niektórzy się śmiali, inni się uśmiechali, a ja czułam się zawstydzona. Więc on zamówił dla nas taksówkę i zawiózł mnie do domu. Przez kolejne dni miło spędzaliśmy czas na plaży, rozmawiając i lepiej się poznając. A po dwóch tygodniach wróciłam do Akry i postanowiłam, że będę dzielić życie pomiędzy Takoradi a Akrą.

Kiedy byłam w Takoradi, przyszła wiadomość, że można już odebrać wyniki egzaminów. Bardzo się denerwowałam, bo nie chciałam zawieść wujka ani Francisa. Mama jechała wtedy do Akry i powiedziała, że odbierze dla mnie te wyniki. Ale mama nigdy nie odwiedzała mnie w szkole, tylko mój wujek często tam bywał, więc ludzie myśleli, że jest moim biologicznym ojcem. Kiedy więc mama poszła do szkoły, to odmówili jej podania moich ocen. Wujek musiał zadzwonić i powiedzieć, żeby przekazali je mamie. Wujek zadzwonił do mnie i powiedział: *Chciałbym, żebyś tu była. Chciałbym móc Cię teraz przytulić. Tak dobrze Ci poszło na egzaminach!* Zdąłam bardzo dobrze. Byłam taka szczęśliwa. Zadzwoniłam więc do Francisa, żeby mu o tym powiedzieć i on też bardzo się ucieszył, i powiedział, że trzeba to uczcić.

Potem szukałam pracy już w Takoradi. Moją pierwszą pracą było zarządzanie restauracją. Gdy zaczęłam tam pracować, od razu mieliśmy więcej klientów. Tak bardzo smakowały im przygotowywane przeze mnie przekąski, że chcieli, żebym też gotowała. Zaczęłam więc gotować i przygotowywać przekąski w tym samym czasie. Miałam wielu klientów i dobrze zarabiałam. Ale gdy właścicielka restauracji zobaczyła, jak dużo zarabiamy i ilu mamy klientów, przestała mnie lubić, ponieważ interes stał się zbyt duży i potrzebowaliśmy dodatkowych rąk do pracy. Powiedziała, że jestem za młoda, by zarządzać restauracją i zatrudniła kogoś innego na moje

miejsce. Nowa osoba miała być moim przełożonym. Nie zgodziłam się na to, bo to ja rozkręciłam ten interes i postanowiłam odejść z pracy. Przestałam tam pracować w lutym 2008 roku i wróciłam do domu.

Potem nie mogłam znaleźć pracy, więc przeprowadziłam się z powrotem do Akry i tam znalazłam pracę, którą lubiłam, ale mało zarabiałam. Wróciłam więc do Takoradi i pracowałam jako kucharka w Capitan Hooks – to duża restauracja w Takoradi. Kłopot w tym, że był tam ustalony czas rozpoczęcia pracy, ale nie było zaplanowane, kiedy kończymy, więc czasami zamykaliśmy o 2 czy 3 nad ranem. Pensja była dobra, ale musiałam pracować tak dużo, że nie starczało czasu na odpoczynek, więc musiałam się stamtąd zwolnić.

Kiedy siedziałam w domu, postanowiłam, że muszę coś zrobić ze swoim życiem. W tym czasie miałam sporo oszczędności, a mama obiecała mi, że zabierze mnie do Cake School, która mnie interesowała. Sama namawiała mnie, żebym rzuciła pracę, bo za dużo wysiłku mnie ona kosztowała, a potem nie chciała mi pomóc dostać się do Cake School i narzekała, że nie ma pieniędzy. Byłam rozczarowana. Na szczęście miałam swoje oszczędności, więc mogłam za nie zacząć szkołę. Kiedy poszłam do Cake School, miałam też wsparcie od Francisa i on pomagał mi opłacać czesne. Rozpoczęłam tę szkołę w 2009 roku, to była tylko szkoła dekorowania, robiliśmy jedynie ciasta okolicznościowe. Trwała sześć miesięcy. Bardzo lubiłam tę szkołę, więc zamiast po pół roku ją skończyć, zostałam w niej rok i zdałam egzamin końcowy w lutym 2010. I od tamtej pory pracuję w kuchni i zajmuję się dekorowaniem tortów.

Kiedy szukałam pracy, zadzwoniła do mnie znajoma, że ma dla mnie pracę w Akrze. Tak naprawdę jednak chciała, żebym poślubiła pewnego mężczyznę – męża innej koleżanki, za którą nie przepadałam. Byli w separacji, ale nie mieli rozwodu. I moja znajoma chciała, żebym za niego wyszła. Mówiła, że jest bogaty i będzie mógł zadbać o nasze dzieci, więc powinnam za niego wyjść. To był rodzaj handlowania mną i odpowiedziałam: *Nie*. A ona już wzięła pieniądze od tego mężczyzny, mówiąc mu, że przekonała mnie do małżeństwa. A ponieważ nie chciałam za niego wyjść, ona miała przez to kłopoty i mi też robiła problemy.

Potem zadzwoniła do mnie inna koleżanka, że jest dla mnie praca w Takoradi i że powinnam przyjechać. Po złożeniu CV i poważnej rozmowie kwalifikacyjnej u dyrektora naczelnej Emelii Arthur, dostałam tę pracę, w której jestem od sierpnia zeszłego roku.

A teraz, za tydzień bierzemy z Francisem ślub. Pewnego dnia, to było dwa lata temu, zadzwonił do mnie jego siostrzeniec – syn jego starszej siostry. Zadzwonił, żeby powiedzieć, że Francis nie czuje się za dobrze i że powinnam do niego pójść. I kiedy poszłam do mieszkania Francisa, jego tam nie było, ale zobaczyłam mały czerwony obrusik na podłodze i butelkę wina, talerze, trochę jedzenia w dużej misce, czekoladki i toffi, kieliszki do wina i świece – światło było zgaszone, więc pokój oświetlały tylko świece. I kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Francisa i powiedziałam: *Powiedziano mi, że nie czujesz się za dobrze*. A on odpowiedział: *Tak, jestem*

chory. A ja na to: Co ci jest? Nie wyglądasz na chorego. On odpowiedział: Umieram z miłości. Zapytałam go: Jak miłość może kogoś zabić? A on wtedy: Tak, szukałem brakującego żebra, ponieważ czulem ból. I Bóg mi powiedział, że dopóki nie odnajdę brakującego żebra i nie umieszczę go na swoim miejscu, nie poczuję się lepiej. Więc on szukał brakującego żebra. A potem powiedział, że to ja jestem tym brakującym żebrem, więc muszę przyjść i wypełnić to miejsce, żeby on mógł się lepiej poczuć. A jeśli chcę, żeby on umarł, to zdecyduję, że nie wypełnię tej przestrzeni, ale jeśli nie chcę, żeby umarł, muszę zająć to miejsce. Więc powiedziałam: Ok. To co mam zrobić, żeby wypełnić tę przestrzeń? Ponieważ jesteś moim dobrym przyjacielem, nie chcę żebyś umarł. Więc jeśli mam iść i kupić dla ciebie jakąś kość, to pójdę. A on powiedział: Nie. Ukłęknał przede mną i poprosił mnie o rękę. A ja byłam tak zaskoczona i w szoku, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Powiedziałam więc, że jestem spragniona, więc potrzebuję wody. A on powiedział, że nie ma wody, ale ma kieliszek wina, jeśli chcę. A ja po prostu usiadłam i piłam to wino, kiedy nagle poczułam, że coś znajduje się w moich ustach. Wypłułam to, a to był pierścionek. I powiedziałam: Co to?! Chciałeś mnie zabić? A on powiedział: Wiem, że jesteś na tyle inteligentna, że nie połkniesz dużego kawałka metalu. Spojrzałam więc na pierścionek i był piękny – złoty z diamentami. Dał mi go więc i zapytał, czy za niego wyjdę, a ja powiedziałam, że tak, kocham go i za niego wyjdę. I on włożył pierścionek na mój palec. I zjedliśmy razem kolację, rozmawialiśmy, a potem odprowadził mnie do domu. Powiedziałam o tym mamie dwa dni później, a ona bardzo się ucieszyła, bo wiedziała, że to bardzo spokojny i grzeczny mężczyzna. Tak naprawdę, Francis to najlepsze, co przytrafiło mi się w życiu. On jest cudowny, opiekuńczy, kochający. Nie wiem, jak bym bez niego żyła, bo tęsknię za nim w każdej sekundzie, gdy go nie ma w pobliżu. Tęsknię za nim prawie każdego dnia. Dwa dni po tym, jak powiedziałam mamie, on przyszedł i poprosił, żebym poszła z nim też do jego rodziców.

Wtedy zaczęliśmy planować nasze wspólne życie. Mieliliśmy nawet pomysł na założenie własnego interesu, zamiast cały czas pracować na innych. Chciałabym mieć swoją restaurację w Takoradi z potrawami lokalnymi i innymi, które w całości byłyby przygotowywane przez nas.

Teraz bierzemy ślub, 10 września. Jestem szczęśliwa, ale jednocześnie też spięta, bo nie wiem, jak wypadnie ceremonia. I wyobrażam sobie, jak będzie wyglądało moje życie jako mężatki. I jestem taka szczęśliwa, bo spędzę resztę życia z człowiekiem, z którym chcę być. A kilka miesięcy po ślubie planujemy założyć mój biznes.

Czuję się taka szczęśliwa, bo o takim życiu marzyłam od lat. Nie ma czegoś takiego, jak kontrola całkowita nad naszym życiem, ale też nie jesteśmy pod kontrolą innych. Dbanie o swoje sprawy daje poczucie spokoju. A ja wiem, że wszystkie te rzeczy, które dzieją się w moim życiu, zdarzają się dzięki Francisowi. Bo czasem możesz spotkać mężczyznę, który nie zastanawia się nad swoją przyszłością. A facet, który nie myśli o swojej przyszłości, nie myśli też o twojej przyszłości. Będzie się

z tobą kochał, a jak zajdziesz w ciążę, to się wymiga. Ludzie nie wierzą, że choć mam chłopaka, nie spałam jeszcze z mężczyzną. Chodzimy ze sobą od czterech lat, więc trudno w to uwierzyć, ale to wszystko zależy od tego, jak bardzo jesteście zdyscyplinowani. Francis bardzo wierzy w wykształcenie i kiedyś powiedział mi nawet, że nie zaczął się ze mną umawiać, kiedy był moim nauczycielem, nie dlatego, że się mną nie interesował, ale dlatego, że nie chciał mnie odciągać od nauki. Chciał mi dać czas na to, żebym dojrzała i zdobyła porządne wykształcenie, zanim powie cokolwiek o zaręczynach. Ale po zaręczynach nadal obawiał się, że jeśli zaczniemy przedmałżeński seks, to mogę zajść w ciążę i nie być w stanie zająć się dzieckiem. Byliśmy więc bardzo ostrożni. Kiedy więc jesteśmy razem gramy w różne gry, oglądamy filmy, rozmawiamy, żeby uniknąć pokus. On już nawet mówi, że nie może się doczekać, bo czekał już tak długo.

Chcę być matką i też nie mogę się doczekać ciąży. Ale nie chcę mieć od razu dziecka. Muszę przygotować miejsce dla dziecka i być pewną, że mam na jego utrzymanie, żeby posłać je do szkoły, do pierwszej klasy. Mamy trochę oszczędności, ale to są oszczędności na mój biznes i nie mogę ich wziąć z banku na coś innego. Nie zamierzamy więc mieć dziecka od razu po ślubie, ponieważ nie chcę, żeby moje dziecko borykało się z takimi samymi problemami, jakie ja miałam.

Zawsze powtarzam, że ten, kto doświadczył wojny i przeżył, naprawdę przeszedł wiele w swoim życiu. To niezwykle trudne: żyć w czasie wojny i przetrwać. Nawet jeśli niektórzy członkowie mojej rodziny umarli podczas wojny, to nikt nie zginął od strzału. Niektórzy umarli z głodu, inni z powodu choroby. I od czasów dzieciństwa, odkąd skończyłam cztery lata, nie widziałam mojego ojca. A nie jest łatwo dorastać bez ojca, czasem potrzebuje się rozmowy właśnie z ojcem, a nie z matką. I kiedy nie ma ojca, to problemy wydają się twojej matce dwa razy większe, do tego stopnia, że może nawet cię znienawidzić.

Nie chcę, żeby moje dzieci przechodziły przez takie rzeczy. Dlatego zdecydowałam się poślubić Francisca. Moje dzieci nie powinny mieć ojczyzna. Zrobię wszystko, żeby być dobrą żoną dla Francisca, żeby nasze małżeństwo trwało jak najdłużej. I modłę się cały czas, żebyśmy nie doświadczyli przedwczesnej śmierci najbliższych i żeby w Ghanie nie było wojny. Planujemy dwójkę dzieci. Jeśli Bóg pozwoli – dziewczynkę i chłopca, a jeśli będą tylko jednej płci, na przykład dwóch chłopców, to postaramy się o kolejną dwójkę, żeby było dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Tak naprawdę to ja wolałabym synów, a Francis córki.

W wieku czterdziestu lat chciałabym mieć hotel w Takoradi, który byłby naszym rodzinnym interesem. Chciałabym, żeby Francis też miał swój interes. On jest inżynierem budownictwa lądowego. Potem dzieci mogłyby przejąć te interesy. Chcemy, żeby nasze dzieci cały czas miały nasze wsparcie finansowe, ponieważ sukces dzieci, jest możliwy dzięki rodzicom. W Ghanie, jeśli masz rodziców, którzy odnieśli sukces, to oczywiste, że ty też go odniesiesz. Jak masz wpływowych rodziców, także będziesz wpływowym człowiekiem. Wszyscy ludzie interesów i polityki są

ci przedstawiani w dzieciństwie, więc bardzo prawdopodobne, że staną się twoimi przyjaciółmi. Ale jeśli twoi rodzice nie są wpływowi, nie są bogaci, to nawet jeśli odniesiesz sukces w życiu, to będzie ci bardzo trudno.

W Ghanie ludzie nadużywają swoich stanowisk. Chcą uprawiać z tobą seks, zanim dadzą ci pracę albo stanowisko. I jeśli nie jesteś wystarczająco silna i nie wiesz, czego chcesz, ulegniesz. Byłam w podobnej sytuacji. A jeśli pozwolisz, żeby cię wykorzystano i tak będziesz źle traktowana. Ale wszystko zależy od ciebie. Nie musisz się skupiać na mężczyźnie. Skąd możesz mieć pewność, że jeśli ten mężczyzna prześpi się dziś z tobą, to jutro cię nie zwolni albo że nie zarazi cię jakąś chorobą jak AIDS, HIV? Czy to na pewno była praca życia, jeśli dowiadujesz się zaraz, że umrzesz?

Cieszę się, że jestem kobietą w Ghanie. Jestem szczęśliwa, ponieważ po tym co przeżyłam, udało mi się odnieść sukces i dostać to, czego chciałam. Udało mi się osiągnąć spokój po tym wszystkim.

Chciałabym, żeby Ghana miała uczciwych przywódców. Takich, którzy robią to, co obiecali. Kiedy przywódcy są uczciwi, to obywatele też tacy są. Wierzę, że dobrzy przywódcy mogą zadbać o dobrą przyszłość tego kraju.

Pomoc z programów rozwojowych jest nam szczególnie potrzebna w sektorze edukacji i zatrudnienia. Widzę, że w Ghanie brakuje nam wielu szkół i miejsc pracy. Wielu młodych ludzi po prostu szwenda się bez pracy. Nie dlatego, że nie lubią pracować, ale dlatego, że nie ma dla nich zajęcia. Wielu z nich kończy kradnąc i stając się złodziejami. Raz słuchałam audycji radiowej, w której ludzie dzwonili, żeby opowiedzieć o swoich kłopotach ze znalezieniem pracy. Wielu z nich skończyło uniwersytety, niektórzy mieli tytuł magistra czy licencjata, a jeden pięć lat temu zrobił dyplom magisterski i od tamtej pory jeszcze ani razu nie pracował. Problemy z pracą i szkolnictwem powinny zostać rozwiązane. Klasy są przeładowane, w jednej klasie jest sześćdziesięcioro uczniów – i jak oni mają się czegoś nauczyć? Nauczyciele powinni być lepiej przygotowani do wykonywania swojego zawodu. A wielu przychodzi do szkoły na pogaduszki ze znajomymi i wcale nie zabiera się za naukę dzieci. Oni nie zdają sobie sprawy, że to, co robią, ma tak duży wpływ, że w ten sposób mogą zniszczyć nasz kraj, ponieważ niszczą w zarodku naszych przyszłych przywódców i żadne z dzieci tak wychowywanych dzisiaj, nie będzie się nadawało na dobrego przywódcę jutro. Ale oni nie są tego świadomi i jedyne, co ich interesuje, to wypłata, której oczekują na koniec każdego miesiąca. Nasze szkolne wyposażenie jest tak ubogie, że niektóre dzieci nie mają własnych zeszytów ćwiczeń – to jak się mają czegoś nauczyć? Myślę, że nie mamy odpowiednich zasobów, więc powinniśmy otrzymać pomoc. A gdy otrzymamy pomoc, sami będziemy mogli rozwiązać nasze problemy.

*de acuerdo
otros lugares
maravillosos* *deber
ser*

GWATEMALA

Josefa Perez Ajanel

Myślę, że mam 46 lat. Urodziłam się na wybrzeżu, w majątku San Felipe Costa Rica, w gminie Suchitepéquez w Gwatemali i tam się wychowałam. Przeprowadziliśmy się, gdy miałam 12 lat. Przyjechaliśmy do Chichicastenango, bo mój tata miał tu kawałek ziemi. Brat ojca powiedział mu: *Dlaczego nie przyjedziecie do Chichicastenango? Tu masz ziemię, tu będzie wam dobrze*. Ale ziemia była zadłużona, tata musiał ją wykupić i przeprowadziliśmy się tutaj.

Mam jeszcze dwie siostry, ja jestem najmłodsza.

Gdy mieszkaliśmy na wybrzeżu, tata pracował na roli, ale nie zarabiał wystarczająco, byśmy mogli się utrzymać. Zarabiał tylko 5 quetzali dziennie¹ i nie pracował na swojej ziemi, tylko w majątku innego gospodarza. Tata wstawał codziennie o czwartej rano i doił krowy, bo o siódmej odwozili mleko na sprzedaż. Gospodarz miał również konie, tata się nimi zajmował: zbierał siano, karmił, czyścił. Właśnie tak pracował mój tata. Pracował i pracował, a i tak nie mógł nas utrzymać.

A my, dziewczynki – nie miałyśmy ani jednego brata – pracowałyśmy na *milpie*, naszym małym polu kukurydzy: siałyśmy, pieliliśmy, zbierałyśmy. Pracowałyśmy i pracowałyśmy. Miałam mniej więcej 6 – 7 lat, a moje siostry 8 i 10, i pracowałyśmy jak chłopcy. Zabierałyśmy ze sobą coś do jedzenia, najczęściej zimne tortille². Właśnie tak robiłyśmy. Czasami mama szła z nami, a czasami nie. Zostawała w domu i przygotowywała obiad dla taty. A my pracowałyśmy codziennie, w soboty i niedziele też. A gdy nie pracowałyśmy na *milpie*, szłyśmy zbierać drewno, bo tata nie miał na to czasu. Musiałyśmy rąbać drewno i przynosić je do domu, żeby móc gotować jedzenie. Właśnie tak robiłyśmy.

Mój tata bardzo dużo pracował. Gdy wysyłali go, by pozbierać siano albo ściał trzcinę cukrową, tata mówił: *Chodźcie ze mną, dziewczynki. Pomóżecie mi*. Odpowiadałyśmy: *Dobrze, tato*. I szłyśmy pracować razem z nim. Zbierałyśmy trzcinę cukrową. Właśnie to robiłyśmy. Nie miałyśmy braci i musiałyśmy robić to, co robią chłopcy. Zajmowałyśmy się też kobiecymi zajęciami. Gdy rosła trzcina cukrowa, trzeba było pielic chwasty. Tata mówił do nas: *Możecie się tym zająć. Weźcie maczety i chodźcie*. Obrywałyśmy też suche liście kukurydzy. Właśnie to robiłyśmy. To należało do naszych obowiązków, bo chciałyśmy pomóc tacie. Było nam go szkoda, bo tylko on pracował, żeby zarobić na jedzenie dla nas. Mama też czasami nam pomagała, od czasu do czasu szła z nami pracować na *milpie*. Gdy przygotowywała obiad, czasem robiło jej się żal, że musimy jeść zimne tortille i przynosiła nam jedzenie, tortille były wtedy ciepłutkie. Gdy wychodziłyśmy z domu o szóstej lub siódmej rano, a jadłyśmy w południe, wszystko było już zimne. Jadłyśmy tortille, czasami jajka, czasem ryż. A gdy kończyło nam się picie, bo na wybrzeżu jest bardzo gorąco

¹ 5 quetzali to ok. 2 złote.

² Tortilla – okrągły, płaski placek z masy lub mąki kukurydzianej albo pszennej, stosowany jak pieczywo i baza do innych potraw.

i mocno świeci słońce, szliśmy napić się do pobliskiej rzeki. Cóż było robić? Ale żyjemy, a ja powtarzam, że nawet przegotowana woda może zaszkodzić. Można umrzeć albo zachorować. Mówię moim córkom: *Gdy byłam mała, piłam wodę z rzeki, nie umarłam od tego ani nie zachorowałam, nigdy nie bolał mnie brzuch. W ogóle nie wiedziałam, co to ból brzucha.* Teraz, gdy jestem starsza, tak – boli mnie brzuch, boli mnie głowa. Ale to już raczej ze starości.

Urodziłam się w domu, tak opowiadała mi mama. Przy porodzie pomagała jej moja babcia, która była akuszerką. Tam nie było szpitala. Wszystko poszło dobrze, dzięki Bogu. Mama czasami opowiadała nam o kobietach, o tym, co nas czeka. Mówiła: *Kiedy kobieta wychodzi za mąż i rodzi dziecko, czasami wszystko idzie dobrze, a czasami nie. Ale dzięki Bogu wszystkie moje trzy córki urodziły się bez problemu.* Właśnie tak mówiła moja mama.

Nie chodziłam do szkoły, żadna z nas nie chodziła do szkoły. Byłam w szkole przez dwa albo trzy miesiące. Szkoła była bardzo daleko, bardzo bardzo daleko, musiałam iść piechotą przez godzinę, drogą, która była bardzo niebezpieczna, ze wszystkich stron pola trzciny cukrowej. Moja najstarsza siostra skończyła trzy klasy podstawówki. Pewnego dnia, gdy szliśmy razem do szkoły, zaszedł nam drogę mężczyzna z maczetą i powiedział: *Jeśli chcecie tędy przejść, przejdźcie.* I stał tam z maczetą. Krzyknęłam: *Uciekajmy!* Moja siostra wykrzyknęła: *Szybko! Ale dokąd?!* Nie miałyśmy innego wyjścia i pobiegłyśmy z powrotem do domu. Bałyśmy się, że ten człowiek obetnie nam głowy. Nie wiem dlaczego. Zawsze tak jest. Miałam wtedy chyba osiem lat, moja najstarsza siostra była w trzeciej klasie, druga siostra w drugiej, a ja w pierwszej. I nie poszłam więcej do szkoły, bo bardzo przestraszyłam się tego mężczyzny.

Wysłam za mąż, gdy miałam 14 lat. W 1984 roku, gdy miałam 17 lat, miałam już dwoje dzieci: córkę i syna. Wtedy też zostałam wdową. Pewna organizacja z Kanady prowadziła program pomocy wdowom – skorzystałam i zaczęłam się uczyć. Otrzymałyśmy duże wsparcie, my, wdowy z Chichicastenango, z 85 kantonów. Spotykałyśmy się w ośrodku, przychodziły tam wdowy z dziećmi, wspólnie gotowałyśmy. Dostawałyśmy kukurydzę, ryż, fasolę, mleko, cukier, wszystko. Fundator znalazł nauczyciela i chodziłyśmy na lekcje, takie jak teraz dzieci mają w szkole. Tam nauczyli nas pisać i czytać. Bardzo na tym skorzystałam, bardzo mi to pomogło. Wcześniej nie umiałam ani czytać, ani pisać. Przez półtora roku dużo się tam nauczyłam, naprawdę mi to pomogło. Nauczyłam się pisać i czytać – nie mówię, że doskonale, ale wystarczająco. Tak, nauczyłam się tam trochę.

Gdy miałam 12 lat przeprowadziliśmy się do Chichicastenango. Tata pracował już na swojej ziemi, mieliśmy niespełna trzy hektary, które sami uprawialiśmy. Czasem też ludzie prosili go, by pomógł im ścinać drzewa albo pracować podczas zbiorów.

Wyobrażam sobie, że gdyby moi rodzice nie opuścili wybrzeża, gdyby tu nie przyjechali, mój tata by nie umarł. Kiedy się przeprowadziliśmy, rozpoczęła się wojna, konflikt zbrojny, i tak umarł mój tata – na wojnie. I nawet nie wiem

dokładnie, jak to się stało. Było to za prezydentury Fernando Romeo Lucas García³, w czasie wpływów Otto Pérez Molina⁴ – oni są odpowiedzialni za rozpoczęcie wojny. Naprawdę niewiele wiem... Wysłali wojskowych, żeby zabili mojego tatę. Nie był w partyzantce, niczego nie organizował, ale właśnie jego zabili. Zostałyśmy same: mama, siostra i ja. Moja najstarsza siostra miała już wtedy męża. I tak zostałyśmy. Mama jest wdową, do teraz jest sama. Czasem przychodzi do mnie, czasem idzie do mojej siostry, ale ona mieszka dalej, więc częściej przychodzi do mnie, jestem bliżej.

Zawsze dobrze dogadywałam się z moją siostrą. Ta druga już nie żyje. Teraz mam tylko jedną siostrę, tylko jedną, tę najstarszą. Tylko ona i ja przeżyłyśmy. Wcześniej byliśmy we trzy, teraz jesteście już tylko dwie.

Nie pamiętam byśmy bawiły się w dzieciństwie. Zawsze pracowałyśmy. Czasami wieczorem, przez chwilę, bawiłyśmy się na patio, ale tylko chwilę – musiałyśmy zająć się domem i pracować. Może gdy miałyśmy 3 – 4 lata, to się bawiłyśmy, ale nie pamiętam. Pamiętam za to, że gdy miałam 6 – 7 lat, chodziłam z moimi siostrami pracować. Nie za bardzo pamiętam jakieś dni wolne czy święta, zawsze pracowałyśmy, nie spotykaliśmy się z rodziną, żeby razem spędzać czas. Boże Narodzenie i Nowy Rok spędzaliśmy z sąsiadami i znajomymi, zapraszali nas do siebie i razem czekaliśmy na północ. Nigdy nie poznałam dziadków, umarli, gdy byli bardzo młodzi. Znam tylko niektóre ciocie i wujków.

Jak to się stało, że wyszłam za męża? Gdyby to ode mnie zależało, to pewnie bym nie brała ślubu. Ale mama mówiła mi: *Jesteś kobietą*. I wtedy myślałam: „Gdybym musiała wyprowadzić się od rodziców, kto mi da jeść? Nikt! Gdybym była mężczyzną, zarabiałabym na siebie, połowę oddawałabym rodzicom, połowę zostawiała dla siebie”. Właśnie tak myślałam. Ale ponieważ jestem kobietą, do tego bez wykształcenia, nie miałam wyjścia, wyszłam za męża, gdy byłam niepełnoletnia i szybko zostałam wdową z dwójką dzieci.

Gdy brałam ślub miałam 14 lat, mój mąż – 18. Nie wiem, co stało się z moim mężem. Zniknął. Niektórzy mówią, że umarł, inni, że nie. Ale myślę, że raczej umarł – przecież wróciłby, gdyby żył. Minęło tyle czasu, moja najstarsza córka ma już 28 lat. Myślę, że on nie żyje.

Mój mąż pracował u jednego pana tutaj w Chichicastenango, rąbał drewno. Niektórzy sąsiedzi mówią: *Czy naprawdę chodził ścinać drzewa, czy mordować ludzi?* Właśnie tak mówią. Jeśli tak sądzą, może właśnie dlatego go zabili? Wychodził o świcie, zabierał ze sobą jedzenie i szedł rąbać drewno razem ze swoim szefem. On też już nie żyje. Był dobrym mężem, pracowitym. Cóż robić, zniknął. Nie wiem nawet, gdzie jest jego ciało, gdzie go zabili, po prostu zniknął i już. Nigdy nie dowiedziałam się, co się stało.

³ Fernando Romeo Lucas García – demokratycznie wybrany prezydent Gwatemali w latach 1978 – 1982. Dyktator, pod rządami którego przemoc w kraju osiągnęła zatrważający poziom. Oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości nigdy nie został skazany. Zmarł na uchodźstwie w Wenezueli w 2006 r.

⁴ Otto Pérez Molina – polityk gwatemalski, emerytowany generał. Lider Partii Patriotycznej (Partido Patriota, PP), wybrany na prezydenta w wyborach w 2011 r.

Potem mieszkalam z teściową, oni też nie mieli prawdziwego domu, tylko chatę pokrytą słomą. Niby było dobrze, a niby nie. Może mieli już dosyć tego, że musieli nas karmić, dawać jeść swoim wnukom? Teściowa ciągle się na mnie gniewała, była zmęczona. Powiedziałam mamie: *Muszę poszukać jakiegoś miejsca, żeby zamieszkać z dziećmi*. A ona odpowiedziała: *Chodźcie do mnie*. I mieszkalam z nią jakieś 6 – 8 miesięcy, aż przyszedł pewien mężczyzna i powiedział, że powinnam się z nim ożenić, że zajmie się mną i moimi dziećmi. I zastanawiałam się, czy tak będzie dobrze, długo się zastanawiałam. A potem powiedziałam mamie, że się przestraszyłam i odpowiedziałam mu: *Jeśli chce się Pan ze mną ożenić – dobrze. Nie mam domu ani u teściowej, ani u mamy, ani swojego. Nie mam też swojej ziemi. Dokąd mam iść z dziećmi?* Długo się zastanawiałam, co będzie dla mnie dobre, czy warto, żebym wychodziła ponownie za męża, drugi raz. I zdecydowałam, że wyjdę za niego. Wzięłam więc ślub z drugim mężczyzną, ojcem moich dzieci i do teraz jesteśmy razem. Mamy jedenaścioro dzieci. Nie umieliśmy tego zaplanować, chcieliśmy mieć dwoje lub troje dzieci, ale wyszło inaczej. Dzieci rodziły się, póki się nie skończyły. No tak, cóż zrobić.

Mąż jest 11 lat ode mnie starszy. Pracuje na naszej ziemi. Mąż, dzieci i ja mieszkamy sami w jednym domu. W tym domu urodziły się moje dzieci, w *temazcal*⁵, pomagała mi akuszerka, nie było mowy o lekarzu czy szpitalu. Troje moich dzieci zmarło, było ich szesnaścioro, zostało tylko 13. Pierwszy syn zmarł zaraz po urodzeniu: urodził się rano, a po południu miał zamknięte oczy, nie płakał. Gdy się zorientowałam, już nie żył. Zaledwie jeden dzień i zmarł. Drugi umarł, gdy miał 6 miesięcy. Miał kaszel i gorączkę. Nie sądziłam, że było aż tak poważnie, myślałam, że gorączka nie była taka wysoka. „Jutro pójde z nim do lekarza” – pomyślałam. I następnego dnia poszłam, ale było już za późno. Lekarz powiedział: *Nie mogę go uratować, jego stan jest zbyt poważny. Nie pomoże żadne lekarstwo*. Poprosiłam: *Proszę, chociaż coś na gorączkę, żeby obniżyć temperaturę*. Lekarz odpowiedział: *Dobrze, ale nie miej do mnie pretensji, jeśli umrze. Nie miej do mnie pretensji*. Dał mi zastrzyk przeciwko gorączce, ale to nie pomogło. Gdy dotarliśmy do domu, oddychał z trudem. Miał sześć miesięcy. Następny zmarł na odrę, miał krosty na całej twarzy i temperaturę. Nie mogłam mu pomóc, nie mogłam nic zrobić, żeby wyzdrowiał. Byłam bardzo smutna. Dzieci już były duże. Byłam bardzo smutna. Czasami mąż mówi mi: *Może to ty go zabiłaś? Może to ty go zaraziłaś?* Odpowiadam: *To nieprawda! Trzymałam go w ramionach, cóż więcej mogłam zrobić?* Właśnie tak się stało. Wszyscy trzej byli chłopcami, miałabym teraz ośmiu synów i osiem córek.

Moja najmłodsza córka ma 6 lat, najstarsza 27. Najstarsza ma już troje dzieci, a kolejna – jedno. Mam czworo wnucząt.

⁵ *Temazcal* – u Majów tradycyjny dom pary, łaźnia lecznicza i miejsce ważnych ceremonii, zbudowany z naturalnych materiałów (od drewnianych gałęzi przykrytych skórą po kamienie, cegłę i glinę), w kształcie niewielkiej kopuły. Rozgrzane kamienie umieszcza się wewnątrz i polewa wodą, by parowały.



W domu mówimy w quiché i po hiszpańsku, w dwóch językach. Tak samo z dziećmi: mówię do nich w quiché i po hiszpańsku.

Gdy wyszłam za mąż, już nie pracowałam, nie mogłam zostawić dzieci, byłam cały czas z nimi. Nie mogę powiedzieć, że mój drugi mąż jest dobry ani że jest zły. Jest dobry, bo daje mi pieniądze na moje wydatki. Kiedyś pracował w hotelu w Chichicastenango, ale gdy zmarł właściciel, a interes przejęła jego córka, już nie mógł się dogadać i odszedł. To było jakieś 16 lat temu. Mój mąż lubił pić, pił dużo piwa. Teraz już nie, od 14 lat nie pije. Teraz pracuje w domu i w polu.

Gdy owdowiałam poprosiłam jedną panią, która potrafiła tkać i haftować, by mnie tego nauczyła. I nauczyła mnie, jak to robić, jak robić różne wzory. Czasem robię paski: najpierw tkam, a potem wyszywam różne wzory. Lubię to robić. Chodzę spać o północy, w ciągu dnia robię paski, haftuję, po kolacji piorę brudne ubrania dzieci, swoje i męża. Rano tylko rozwieszam je, żeby wyschły. To jest mój obowiązek. Kiedyś, gdy dzieci były małe, dużo wycierpiałam. Nie chciałam, żeby były brudne. Nawet jeśli ich ubrania były stare i połatane, zawsze były czyste. Musiałam prać, a następnego dnia suszyć. Teraz tak samo: przygotowuję obiad, potem tkam. Dzień jest dla mnie za krótki, za krótki. I mówię moim córkom: *Ani na chwilę nie siadam, żeby odpocząć, nie lubię, wybaczenie, ale nie lubię siedzieć beczynn timer i tracić czas*. Właśnie to im powtarzam. Ale one tak nie robią. Gdy jestem, to pracują, ale gdy mnie nie ma – to nie. Chodzą do szkoły, potem pomagają trochę w praniu, sprzątaj kuchnię i pokój. Właśnie tym się zajmują.

Uczestniczyłam w spotkaniach różnych grup kobiet i pewnego dnia dowiedziałam się, że zakładamy stowarzyszenie. Potem zachorowałam i nie mogłam brać udziału w spotkaniach. Miałam poważny problem z woreczkiem żółciowy, musiałam być operowana. W żadnej ciąży, przy żadnym porodzie nie byłam w szpitalu, ale tym razem nie było innego wyjścia. Gdy powstawała spółdzielnia, czułam się bardzo źle. Koleżanki opowiedziały mi o tym i odpowiedziałam: *Jeśli przeżyję, przyłączę się*. Po operacji musiałam długo odpoczywać, bardzo długo. Opiekowały się mną moje córki i synowa – gotowały, prały. Zrobiły wszystko, co w ich mocy, by mi pomóc.

Kiedyś byłam w Niemczech, w Berlinie. Nie wiem, dlaczego pojechałam – gdy się zorientowałam, już tam byłam. Wyjazd zorganizował Wydział Turystyki, pojechaliśmy razem z innymi koleżankami, żeby pokazać, jak tkać *huipiles*⁶, nauczyć i wytłumaczyć. Przez 7 dni uczyłam Niemki, jak tkać. Bardzo mi się podobało, wszystko mi się podobało oprócz jedzenia, brakowało mi tortilli, nie lubię chleba razowego. Dużo podróżowaliśmy, odwiedzaliśmy różne ambasady, wszystko mi się podobało. Gdyby teraz zaproponowano mi wyjazd, na pewno bym się zgodziła, lubię poznawać różne miejsca.

Moim marzeniem jest mieć dość pieniędzy, by pomóc moim dzieciom, by mogły się uczyć – chociaż ja sama nie chodziłam do szkoły, chciałabym, by moje

⁶ *Huipil* – wielobarwna i misternie tkana tradycyjna bluzka lub tunika noszona przez kobiety w Gwatemali, Meksyku i in.

dzieci były wykształcone. Trudno mi mówić o planach. Chciałabym umieć wiele rzeczy, umieć lepiej tkąć. Pewnie, potrafię tkąć, potrafię wiele rzeczy, ale chciałabym poznać nowe techniki tkackie, nowe hafty, zdobyć inne umiejętności, chciałabym się nauczyć wielu rzeczy. Lubię uczyć się nowych rzeczy. Uczę córki tkąć, ale teraz, gdy chodzą do szkoły, to nie jest łatwe. Gdy wracają do domu, to odrabiają lekcje i nie mogą zajmować się tkaniem. Mówię im: *Chodźcie, zobaczycie, jak się tka*. Ale nie mają czasu. Odpowiadają: *Nie mamy czasu, musimy zrobić pracę domową*. Właśnie tak mi odpowiadają. Moim dzieciom żyje się lepiej, mają lepsze życie od mojego, bo chodzą do szkoły.

Niektórzy mówią, że czas to pieniądz – nie chcę go marnować. Moim największym marzeniem jest nie tracić czasu. Czasami mąż mi mówi: *Nie chcesz tracić czasu, a chodzisz do spółdzielni, chociaż nic tam nie zarabiasz, marnujesz czas, a potem skarżysz się, że masz dużo pracy w domu*. Właśnie tak mi mówi mój mąż. I odpowiadam mu: *Zostaw mnie, może i nie zarabiam, ale w spółdzielni uczę się nowych rzeczy, nowych technik tkackich. Uczę się tego, czego powinnam*. Tak czuję. I nie mam wrażenia, że marnuję czas. Mąż chciałby, żebym była w domu, żebym nie wychodziła. A mi się nudzi w domu.

Jestem już stara, jestem już starą kobietą. Nie chcę być dużo starsza, 55 – 60 lat, nie chcę więcej. Niektóre kobiety mają 75 – 80 lat i nie ma kto się nimi opiekować. Żal mi ich. Przecież i mnie może to spotkać i nikt się mną nie zajmie. Mąż mówi, że to niemożliwe, gdy ma się tyle dzieci. Ale ja wołałabym umrzeć młodo. Wtedy mąż mówi: *To wie tylko Bóg*.

A co potem? Ze mną nie stanie się nic. Jeśli robisz to, co każe Bóg, co mówi Biblia, jeśli jesteś posłuszny, Bóg to widzi. A jeśli robisz źle, Bóg też to widzi. Jeśli robisz dobrze, to w porządku, dostaniesz nagrodę w niebie, u Boga. A jeśli nie – wiesz, co cię czeka. Piekło. Tak myślę, tak słyszałam i muszę w to wierzyć.

Czuję się dobrze, codziennie, w każdej chwili. Czuję się kobietą taką, jak wszystkie. Gdy wyjeżdżam, nie czuję się ani ładna, ani brzydka, zwyczajna kobieta. Niektórzy mówią mi, że jestem ładna. Niech mówią, co chcą, czuję się zwyczajną kobietą. Nie maluję się – pewnie gdybym miała makijaż, wyglądałabym inaczej. Ale nie maluję się, jestem zwyczajną kobietą.

Może byłoby lepiej, gdybym nie wychodziła znowu za mąż, ale wtedy tak o tym nie myślałam. Nie powinnam była wychodzić za mąż po tym, jak zostałam wdową. Mogłam zostać sama z dwojgiem dzieci, mogłam uczyć się i pracować, po prostu. Ale wtedy tak o tym nie myślałam. Mąż mi mówił: *Nigdy nie ma cię w domu, ciągle wychodzisz, podróżujesz. Gdzie obiad? Nic mi po tobie, lepiej sobie idź*. A ja mu odpowiadałam: *Dobrze, mam gdzie iść, nawet gdybym musiała szukać pracy gdzie indziej*. Kiedyś bym nie mogła tak zrobić. Teraz już mąż nie mówi, żebym sobie poszła.

Czasem zastanawiam się, jakie będzie życie moich dzieci. I myślę o polityce – politycy zawsze kłamią. Mówią: zrobimy to, zrobimy tamto. Ale ostatecznie i tak

nic nie robią, nie dotrzymują słowa. Nic nie robią. Jeśli moje dzieci będą się uczyć, studiować, nawet gdy już będą dorosłe i będą chciały się uczyć i pracować, musi im się udać. Są odpowiedzialne za swoje życie. Właśnie tak myślę.

Jaki był najpiękniejszy moment w moim życiu? Najlepsze wspomnienie? Gdy jestem w spółdzielni i tam pracuję, wtedy jestem bardzo szczęśliwa. Tylko wtedy. Czasem pomagam szczepić dzieci u mnie na wsi, wtedy też czuję się szczęśliwa. Właśnie tak to wszystko wygląda. Lubię też odwiedzać koleżanki, wtedy też jestem szczęśliwa. Nie wiem, czy mnie rozumiesz. W domu też jestem szczęśliwa.

Teraz nie spędzam dużo czasu z dziećmi: idą do szkoły, potem jedzą obiad, potem idą z ojcem pracować na *milpie*. Mówię córkom: *Zróbcie tak, pokażę wam*. Odpowiadają: *Dobrze*. A potem nic nie robią i mówią: *Jejku, mamuń, sama nie potrafię*. Mówię: *Musicie to zrobić. To dla waszego dobra, musicie umieć pracować, musicie umieć wszystko. Dorośnięcie i nie będziecie mieszkać ze mną, wyjdziecie za mąż*. A one odpowiadają: *Naprawdę, czy żartujesz?* Myślą, że to żarty.

Kiedyś nic nie wiedziałam, nie miałam wykształcenia, nikt mi nie powiedział, jak planować rodzinę, że lepiej mieć tylko 2 – 3 dzieci, nikt mi tego nie powiedział. Teraz uczą wszystkiego w szkole. Ja nie uczę tego swoich dzieci, muszą nauczyć się w szkole. Już w trzeciej klasie podstawówki nauczyciele uczą o AIDS, o dojrzewaniu. Tam się wszystkiego uczą, ja im nic nie mówię. Powtarzam tylko: *Uważajcie na siebie. Nie rozmawiajcie z chłopcami. Uważajcie na siebie*. Zawsze im to powtarzam. A one odpowiadają: *Dobrze, mamo, będziemy na siebie uważać*. Właśnie tak mówią. I mówię: *Jeśli chcecie to zrobić, trudno, nie ma innego wyjścia. Jeśli chcecie sobie zaszkodzić, to już wasza sprawa*. Mnie nikt nie powiedział, czy dobrze wychodzić za mąż, gdy nie jest się jeszcze pełnoletnią. Nikt mi nie powiedział. A one odpowiadają: *Dobrze, mamo*.

Moje dwie córki, osiemnasto- i dziewiętnastoletnia, już wyszły za mąż, ciągle się uczą, ale już są mężatkami. Jedna mieszka w Gwatemali, mówi, że gdy tylko podrośnie jej dziecko, zacznie uczyć się i pracować. Został jej tylko rok, żeby skończyć szkołę. Mówi, że na pewno skończy szkołę, a potem, z bożą pomocą, znajdzie pracę. Druga jest teraz ze mną, źle się czuje i odpoczywa. Też ma jeszcze rok, by skończyć szkołę. To już ich sprawa, ja nie mogę nic zrobić. Mówię im: *Odeszłyście ze szkoły, przestałyście się uczyć, to już wasza sprawa*.

To dobrze, że dostajemy wsparcie z zagranicy. Gdy pracujesz, więcej się uczysz, rozwijasz się. Dla mnie to ważne.

Ruth Mendez

Urodziłam się w Huehuetenango, w Gwatemali, w domu moich dziadków. Mama miała sześcioro dzieci, ja urodziłam się jako trzecia. Miałam dwie starsze siostry, dwie młodsze i młodszego brata.

Mama była z wykształcenia pielęgniarką i akuszerką. Przez 25 lat pracowała jako oddziałowa w szpitalu w Huehuetenango. Kiedy pracowała, my zostawaliśmy z nianią. Gdy trochę podrosłam, zamieszkałam z dziadkami. Moi dziadkowie byli ewangelikami i dziadek czytał nam Biblię. Codziennie po południu zbieraliśmy się wszyscy i przez godzinę słuchaliśmy słów Biblii i objaśnień dziadka. Bardzo to lubiłam. Wychowywałam się z dziadkami i marzyłam, by zostać pastorem, chciałam stać przed ludźmi i mówić im o Bogu. Bardzo mi się to podobało.

Chodziłam do przedszkola, podstawówki i liceum pedagogicznego. Liceum było koedukacyjne, a chłopcy już wtedy podkochiwali się we mnie. Po pięciu latach szkoły, w wieku 17 lat, mogłam już pracować jako nauczycielka pierwszych klas szkoły podstawowej. Marzyłam o tym, by być lekarzem, ale najpierw zostałam mamą. Pierwsze dziecko urodziłam w wieku 18 lat, a dwa lata później urodziła się moja córka.

A było to tak: byłam bardzo młoda i rodzice zauważyli, że zakochałam się bardzo w moim chłopaku. Wtedy pomyśleli: „Nie skończy szkoły, są tak zakochani, że będą chcieli się ożenić. Lepiej będzie ich rozdzielić – zabierzmy ją do stolicy”. Mój chłopak miał starszego kolegę, który poradził mu, by zażądał ode mnie dowodu miłości, żeby zobaczyć, jak bardzo go kocham i mieć pewność, że nie będę spotykać się z innymi. Kilka razy mnie o to poprosił, ale ja nie chciałam, bo bardzo się bałam. Aż w końcu wyjechałam. Byłam w Gwatemali przez dwa miesiące, oboje płakaliśmy z tęsknoty. Gdy wróciłam odwiedzić rodziców, byliśmy razem i od razu zaszłam w ciążę. Zaraz za pierwszym razem. Wróciłam do szkoły w Gwatemali i tam zorientowałam się, że chyba zostanę mamą. Przestraszyłam się i napisałam do niego list, ale on mi odpowiedział, że to niemożliwe, że jesteśmy za młodzi. Pomyślałam, że może ma rację. I dalej się uczyłam. To był ostatni rok szkoły i miałam dostać dyplom nauczycielski. Moi dziadkowie nigdy mi o tych sprawach nie mówili, mama też nie, nigdy nie usłyszałam: uważaj na siebie, to poważne sprawy. Nic mi nie powiedzieli. Chcieli tylko nas rozdzielić, musieli więc wiedzieć, co się może zdarzyć, ale nic mi nie powiedzieli. Nasza miłość była piękna, czysta, dlatego się zgodziłam. Bardzo się martwiłam, zaczęłam się więcej uczyć, żeby skończyć szkołę. Musieliśmy odbyć praktyki, pomyślałam: „Zrobię praktyki i nawet jeśli nie podejść do egzaminu, będę miała zaliczone praktyki, a egzamin zdam w styczniu, w drugim terminie”. Nic nie powiedziałam mamie, rozmawiałam tylko z siostrą, ale ona też mi nie wierzyła. *Na pewno* – mówiłam jej – *będę miała dziecko*. Wtedy siostra zabrała mnie do lekarza, który mnie zbadał, a po wizycie wysłała mnie do domu, do mamy. Gdy mama się

dowiedziała, zaczęła płakać, była bardzo smutna i bardzo płakała. I ja też płakałam, myślałam, że mama umrze z tej rozpacz. A ja tak bardzo nie chciałam, żeby umarła. Myślałam: „Lepiej będzie, gdy potrąci mnie jakiś samochód, wtedy nikt się o niczym nie dowie”. Kiedyś ciotka zabrała mnie w pobliże torów, żeby pokazać mi przejeżdżający pociąg – nigdy wcześniej żadnego nie widziałam. Pomyślałam: „Pod tymi kołami zostaną ze mnie kawałeczki, wtedy nikt się o niczym nie dowie”. Ale nigdy się nie odważyłam. Wróciłam do domu, poprosiłam mamę o przebaczenie, przeprosiłam starszą siostrę, która zawsze mi pomagała (ona też jest nauczycielką). Mama mi wybaczyła i zabrała mnie do lekarza, do swojego znajomego. Ten lekarz zawsze mówił mojej mamie: *Gregoria, Gregori, będziemy rodziną, chciałbym, żeby twoja córka była moją synową*. Gdy poszliśmy do niego, byłam cała spocona ze strachu. Po badaniu powiedział: *Nie będziemy rodziną. Twoja córka ożeni się z ojcem jej dziecka*. A kiedy mój narzeczony powiedział swojej mamie, ta mu doradziła, by nie mówił nic ojcu, bo nie wiadomo, czy to dziecko w ogóle jest jego. Nie wiem dokładnie, jak to było, ale rodzice powiedzieli mu, że nie powinien się żenić, bo jest za młody i nie wiadomo, czy to dziecko jest jego, bo mieszkaliśmy przecież w Gwatemali. *Zobaczmy, kiedy dziecko się urodzi* – mówili. Nagadali mu dużo rzeczy: że nie warto się żenić, że jest za młody itd. Też nie skończył szkoły, nie miał zawodu. Gdy dowiedział się, że jestem w ciąży poszedł do robotników, którzy budowali drogę i poprosił, by nauczili go obsługiwać maszyny. Poszedł się nauczyć, bo pomyślał: „Będę miał dziecko, muszę pracować”. Ale potem, gdy jego rodzice się dowiedzieli, już nie chciał, oddalił się ode mnie. Dużo płakałam. Jego rodzice przyszli do mojego domu, zobaczyli dziecko – a było podobne do ojca jak dwie krople wody. Byli identyczni. I zaczęli mi pomagać, odwiedzali mnie, przynosili mi różne rzeczy, czasami pieniądze. Kochali mojego syna, ale...

Miałam ukończone praktyki i zdawałam egzamin w styczniu, razem z koleżankami i kolegami, którzy musieli powtarzać niektóre przedmioty. Prawie pół grupy zdawało w drugim terminie. I wszyscy zdaliśmy. Ale ja byłam bardzo smutna, ponieważ nie wyszłam za mąż, bo ojciec mojego dziecka nie chciał, byśmy wzięli ślub. A kiedy urodziło się nasze dziecko i jednak poprosił mnie o rękę, wtedy nie zgodziła się moja mama. Powiedziała: *Teraz już nie. Trzeba się było żenić, kiedy był na to czas, kiedy moja córka potrzebowała wsparcia. Teraz już nie. Teraz to ja jestem odpowiedzialna za moją córkę i nie zgadzam się na ślub*.

Gdy skończyłam szkołę, zaczęłam pracować jako nauczycielka. Dwa lata później poznałam kolegę nauczyciela, który mi powiedział: *Chcę się z tobą ożenić. Chcę, byśmy razem zamieszkali, będę kochał twojego syna, a ten w końcu będzie miał ojca*. I jemu też uwierzyłam. Jego rodzice nie chcieli, byśmy wzięli ślub, bo miałam już dziecko. Tak to jest w Gwatemali wśród *ladinos*¹. Było mi bardzo przykro. Ale jego mama powiedziała: *Niech zamieszka z nami, potem się ożenicie*. Wtedy moja

¹ *Ladinos* – w Gwatemali określenie metysów, potomków rdzennej ludności i przybyszów z Europy, w całej książce pozostanie w oryginalnym brzmieniu.

mama zdecydowała: *Nie pozwalam ci zabrać syna. Ja się nim zajmę. Jeśli chcesz iść – idź, to twoje życie i masz prawo robić co zechcesz.* I poszłam. I zostawiłam mojego synka mamie. Byłam bardzo płodna, bo szybko zaszłam w ciążę. A on był kobieciarzem, wszyscy mi to mówili. Bardzo cierpiałam: nie dość, że nie byłam ze swoim synem, to jeszcze nie pozwalali mi pracować i musiałam cały czas siedzieć w domu. Żyłam w zamknięciu w jego domu, z jego mamą, a jego ojciec był bardzo agresywny. Nie chcieli, żebym pracowała. Pewnego dnia moja siostra spotkała go z inną kobietą, powiedziała mojej mamie i razem przyszły do mnie i powiedziały: *Jeśli tu zostaniesz, będziesz tylko rodzić więcej dzieci, a on i tak się z tobą nie ożeni. To twoja decyzja, czy tu zostaniesz. Gdyby cię kochał, już dawno by się ożenił, a zresztą widzieliśmy go z inną kobietą.* I zdecydowałam, że wrócę do domu. Mój szwagier zawiózł moje rzeczy do domu. A potem on przyszedł prosić mnie, bym wróciła. Ale ja już nie chciałam. Mój tata już wtedy nie żył, umarł, gdy byłam w szkole w Gwatemali. I tak zostałam sama z dwójką dzieci, a każde miało innego ojca.

Gdy wróciłam do domu, mogłam iść do pracy – moja siostra znalazła mi pracę w szkole na wsi. Żeby tam dotrzeć, musiałam jechać autobusem. Inne kobiety zawsze mnie obrażały, odpowiadałam im: *Może nie jestem jego żoną, ale byłam pierwsza. Zostawcie mnie w spokoju.* Bardzo mnie to męczyło i denerwowało, nie chciałam już tam mieszkać. A on miał wiele kobiet. I wszystkie mnie obrażały, nie mogłam spokojnie przejść. Wyjechałam więc z dziećmi. Byłam bardzo młoda, miałam 23 lata. Wyjechałam w góry i tam znalazłam stałą pracę, z dala od wszystkiego. Mój mąż, Felipe, gdy zobaczył mnie po raz pierwszy powiedział: *Ach ta nauczycielka! Jaka ładna! Bardzo mi się podoba.* Pracowałam w szkole. Żeby do niej dotrzeć, musiałam jechać konno, przejechać przez wąwóz. Gdy jechałam, myślałam: „Jeśli spadniemy – wszyscy umrzemy. I ja i moje dzieci”. Gdy tam dotarłam, wszyscy pytali: *Samiuteńka przyjechałaś?* Zaprowadzili mnie do domu, w którym miałam mieszkać – był zupełnie pusty, a ja niczego ze sobą nie zabrałam, tylko walizkę z ubraniami. Nauczycielka, która już tam pracowała, sprzedała mi łóżko, ale bez materaca. I przysłała trzy dziewczynki, żebym nie była w nocy sama. Ludzie z wioski przyszli się ze mną przywitać, nie lubili poprzedniej nauczycielki, bo była bardzo kłótliwa. I mężczyźni poszli do lasu pozbierać szyszki – to było moje posłanie, miałam łóżko pełne szyszek. W tamtych czasach było bardzo spokojnie, nie było tylu problemów, co teraz. Zostałam w szkole, ale byłam bardzo smutna. „Ale brzydka ta wieś – myślałam – pełno tu *indígenas*²”. Wtedy moja mama powiedziała: *Albo wracasz, albo posyłam do ciebie twoje dzieci, razem z jedną kuzynką, która też jest nauczycielką.* Pomyślałam: „Warto spróbować”. I przyjechały moje dzieci z kuzynką i wszystko się zmieniło. Już byłam szczęśliwa. Codziennie, oprócz niedziel,

² *Indígenas* – rdzenni mieszkańcy obu Ameryk. W Gwatemali to w ogromnej większości Majowie. Określenie *indígena* kryje w sobie dumę i szacunek, w przeciwieństwie do pejoratywnego *indio*. Choć w języku polskim używamy określenia *Indianin* bez ukrytych negatywnych znaczeń, świadomie nie sięgniemy po nie w tej publikacji, by wiernie oddać oryginalne brzmienie opowieści i oderwać się od dziedzictwa konkwisty.

przyjeżdżaliśmy konno do wioski – nie umiałam jeździć konno i bardzo się bałam, ale się nauczyłam. Sadzałam dzieci na koniu i jechaliśmy razem. Siadaliśmy w sklepie, dzieci się bawiły, a mój mąż zaczął z nami rozmawiać: *Jak masz na imię? My też potrzebujemy nauczycielki. Jakie piosenki lubisz?* O to pytał mój mąż. A ponieważ pięknie śpiewa, przynosił gitarę i grał, śpiewał piosenki, które mi się podobały. Zawsze, gdy przyjeżdżałam, on na mnie czekał. A moje dzieci wołały: *Felipe! Felipe!* Zaprzyjaźnił się z nimi, były jeszcze małe. Dobrze to wszystko obmyślił, dzieciaki bardzo go polubiły, wybiegały mu na spotkanie. Przynosił im oranżadę, słodkie bułki, czekoladę, bawił się z nimi, całkiem ich sobie zjednał. Miał 17 lat, a ja 23. Jego mama też była przeciwna, byśmy się spotykali, ale on nie zwracał na to uwagi, zawsze na mnie czekał. Nigdy nie powiedział mi niczego wprost, ale zawsze na mnie czekał.

W tamtych czasach wszyscy chłopcy pili, on też. Nawet bardzo młodzi chłopcy pili alkohol. Niedaleko jego domu była fabryka, gdzie pracowali i od starszych kolegów nauczyli się pić. Tam nie było co robić – teraz jest inaczej, jest boisko do koszykówki i do piłki nożnej, szkoła, wszystko. Ale wówczas nie było zupełnie nic i młodzież włóczyła się bez celu, a chłopaki pili alkohol. I on też pił. Pił, jak dorosły mężczyzna, nie jak młody chłopak. Pewnego razu pijany przyszedł do mojej szkoły. Było mi bardzo wstyd i powiedziałam mu: *Nie chcę, żebyś tu przychodził. Jestem nauczycielką i nie chcę, żebyś przychodził do szkoły.* Ale on zawsze za mną chodził. Chowałam się i prosiłam ludzi, by mówili, że mnie nie widzieli. Moja kuzynka mówiła: *Jaki on zakochany! Jak on Cię kocha!* A ja denerwowałam się i odpowiadałam: *Przestań tak gadać. Nie wierzę mężczyznom, nie wierzę, że mogą być dobrzy.* Dla mnie wszyscy mężczyźni byli źli, wszyscy byli tacy sami. Nie chciałam mieć z nimi nic wspólnego. A on przychodził do szkoły i pisał na tablicy: *Bardzo cię kocham.* Był naprawdę bardzo zakochany. Mówił mi: *Naucz mnie pocałunków.* Był bardzo wstydlivy, zawsze gdy mówił, robił się czerwony, naprawdę czerwony. Bardzo, bardzo czerwony! I mówił: *Pomóż mi się tego pozbyć.* Kiedy miał siedem lat, umarł jego tata, a mama musiała zająć się interesami, żeby nie odebrali jej sklepu. Musiała dużo pracować, by spłacić długi – wydali dużo na leczenie ojca i nie miała czasu zajmować się dziećmi, miała inne rzeczy na głowie. I jego starszy brat bardzo go bił, czasami Felipe był cały posiniaczony. A ja powoli zaczęłam się nim interesować: taka ogromna miłość, tyle wytrwałości. Nie dbał ani o szkołę, ani o to, że był bity, o nic. Nie mogłam tego zrozumieć. Kuzynka mówiła mi: *Zobacz, jaki poobijany. Pozwól mu zostać na noc.* I tak od słowa do słowa został raz, potem drugi, aż zamieszkaliśmy razem. I znowu szybko zaszłam w ciążę. I znowu musiałam powiedzieć mamie, a ona na to: *Dlaczego nie uważałaś? Dlaczego nie myślisz wcześniej, tylko po wszystkim?* I znowu mama była bardzo smutna, ale...

Mama jest akuszerką i odebrała porody prawie wszystkich moich dzieci. Tylko David urodził się bez niej (mama była wtedy chora) i Nimcy, która urodziła się tutaj, w Santo Tomás Chichicastenango. Gdy Nimcy była mała, wszyscy myśleli, że jest *indígena*, a ona denerwowała się i wołała: *Nie jestem Indianką! Nie jestem Indianką!*

Potem miałam jeszcze czworo dzieci. Mama zawsze powtarzała mi, że powinienam stosować kalendarzyk, ale czasami planowanie nie wychodziło i okazywało się, że kolejne dziecko było w drodze. Rodziło się jedno, a potem następne. Mąż chodził do szkoły w Huehuetenango, uczył się i pracował. Przyjeżdżał co sobotę albo co dwa tygodnie. I w którąś z tych sobót znowu zaszłam w ciążę. Naprawdę już nie chciałam... Jaki to wysiłek, czworo dzieci przy piersi. Mama pomagała mi przez jakiś czas, szczególnie gdy dzieci były chore.

Po jakimś czasie zmieniłam szkołę, przeniosłam się do innej wsi. Dwoje najstarszych dzieci, ze względu na szkołę, zostało wtedy z moją mamą. A gdy przeniosłam się w kolejne miejsce, tym razem już bliżej, mama powiedziała: *Lepiej weź dzieci ze sobą, bo przestaną cię kochać*. I zabrałam je do siebie. Były szczepione przeciwko wszystkim chorobom, oprócz duru brzuszego. To choroba, którą roznoszą muchy, można też zarazić się pijąc nieprzegotowaną wodę. Tam, gdzie mieszkaliśmy trzeba było dokładnie przegotowywać wodę, zanim można było ją pić. Miałam wtedy dziewczynę do pomocy i zawsze pytałam: *Czy woda jest dobrze przegotowana?* – *Tak* – odpowiadała. Ale nie była. Moja córeczka Lucy zachorowała na dur brzuszny, prawie umarła. A Felipe nie umiał nawet zmienić dzieciom pieluchy. Zostałam z nim pozostałe dzieci i zabrałam Lucy do lekarza, który stwierdził dur brzuszny. Potem przyjechał też mąż, bo nie potrafił sam zająć się dziećmi. Zanim zmienił pieluchę, najpierw musiał przepłynąć się przez rzekę, do sąsiadów, żeby pokazali mu, jak to się robi, bo dziecko już bardzo płakało. Był sam z dziećmi tylko jedną noc, następnego dnia rano przyjechał do mnie. Dzieci otarły się o śmierć i znowu zostały z moją mamą, by dojść do siebie.

Rodziłam dzieci co dwa lata. Co dwa lata. Ale były szczęśliwe. Jorge, David i Rutí. Rutí bawiła się ze swoimi braćmi, jakby też była chłopcem. Biła się jak chłopak, robiła wszystko tak jak oni. Gdy coś jej się nie podobało, obrażała się, przewracała ich na podłogę i nie pozwalała im się ruszyć. A oni nic jej nie robili, bo bali się ojca. Dopiero niedawno mi o tym opowiedzieli. Ale byli szczęśliwi. To dobrze, gdy między dziećmi jest dwa lata różnicy. Po ośmiu latach urodziła się jeszcze Nimcey. Nie miałam mieć więcej dzieci. Studiowałam, żeby zostać nauczycielką w starszych klasach, uczyłam się pedagogiki na uniwersytecie. Rutí miała wtedy 8 lat. Miałam wtedy do pomocy dziewczynę *indígena*. Pewnego razu jej mama znalazła się w szpitalu, nie wiedzieliśmy, na co jest chora. Posyłałam jej w termosie coś ciepłego do jedzenia. W tym samym termosie przygotowywałam sobie później wodę do napicia się w nocy. A potem dowiedziałam się, że ta kobieta miała wirusowe zapalenie wątroby, bardzo zakaźną chorobę. I przez ten termos się zaraziłam. Ale dobrze, że to ja zachorowałam, a nie dzieci. Razem z koleżankami chciałyśmy zrobić licencjat w Chimaltenango, ale okazało się, że znowu jestem w ciąży. A ponieważ to ja zawsze zachęcałam je do nauki, gdy okazało się, że nie mogę studiować, one też zrezygnowały. Tylko dwóch chłopaków z naszej grupy poszło na studia do Chimaltenango. Naprawdę nie mogłam dalej się uczyć, byłam w ciąży i miałam wirusowe zapalenie wątroby. Przez

miesiąc nie mogłam się do nikogo zbliżyć, nie mogłam całować męża ani dzieci, musieliśmy uważać na naczynia itd. Ale dzięki Bogu szybko wyzdrowiałam. Moje koleżanki ze szkoły śmiały się ze mnie. Gdy urodziła się Nimcy, przyszły nas odwiedzić i mówiły: *Przyszliśmy przywitać tego wirusa, co ma ręce i nogi*. Żartowały sobie.

Mój mąż po maturze trzy razy zaczynał studia na uniwersytecie. Zaczynał, a potem przestawało mu się podobać. Gdy zaczął studiować prawo w Quetzaltenango, było trzęsienie ziemi i nie mógł już kontynuować studiów. Zawaliły się wszystkie domy, wszystkie. Jego mama była bardzo poturbowana, nie mogła chodzić. Z rodziny mojego męża zginęły cztery osoby. Tutaj w Chichicastenango domy popękały (o, tu można jeszcze zobaczyć rysy na ścianie), ale nie zawaliły się. W całym kraju zginęło wiele osób. Było to w 1976 roku.

Nie chciałam mieć więcej dzieci. Gdy urodziła się Ruti, mąż poprosił lekarza, by zrobił mi operację. Ale lekarz się nie zgodził, powiedział, że jestem za młoda. I pośród tych wszystkich problemów: opieką nad chorą teściową, opieką nad dziećmi i cały czas pracując, znowu nic nie wyszło z planu i zaszłam w ciążę z Nimcy. Wtedy też zachorowałam na wirusowe zapalenie wątroby. Nimcy urodziła się w 1977 roku. Dwa dni wcześniej moja koleżanka urodziła syna, obie byłyśmy w ciąży w tym samym czasie, śmiałyśmy się, że to wszystko przez trzęsienie ziemi.

Długo zajmowałam się teściową, dopóki zupełnie nie wydobrzała. Cudem z tego wyszła.

Mój mąż był zawsze bardzo zazdrosny. Bardzo zazdrosny. Gdy jechaliśmy autobusem, nie wolno mi było na nikogo patrzeć, a najgorzej było, gdy na ulicy odezwał się do mnie jakiś mężczyzna. Był bardzo zazdrosny.

Wzięliśmy ślub, gdy urodziła się Ruti. O niczym nie wiedziałam. Mąż powiedział mi: *Póki mieliśmy synów, nie było problemu, ale teraz mamy córkę. Muszę ożenić się ze swoją żoną ze względu na córkę*. A Ruti była prześliczna. Miała blond włosy, była urocza. Ludzie nas zatrzymywali na ulicy, żeby na nią popatrzeć. Mniej więcej 40 dni po jej urodzeniu mąż powiedział do mnie: *Ubierz się ładnie, bo idziemy zrobić sobie zdjęcie ślubne*. Tak mi powiedział. Tylko my dwoje! Naprawdę nie wcześniej nie podejrzewałam, za to moja rodzina o wszystkim wiedziała. A ja nie miałam o niczym pojęcia, póki mi nie powiedział. *Naprawdę?* – zapytałam. *Przygotuj się* – odpowiedział. Sam założył garnitur i krawat, był bardzo elegancki. Przygotowałam się i poszliśmy do urzędu. Po drodze poprosił dwie osoby, by zostały naszymi świadkami i tak wzięliśmy ślub. Gdy wróciliśmy do domu, dzieci rzucały nam pod nogi kwiaty, przygotowały obiad, było bardzo wesoło.

Ale mój mąż pił. Dużo pił. I był bardzo zazdrosny. Aż w końcu zaczęliśmy prosić Boga, by sprawił, żeby mąż przestał pić. Mieliśmy przyjaciół, lekarzy, którzy byli ewangelikami. I oni mu powiedzieli: *Tylko Bóg i jego Syn mogą ci pomóc, nikt inny. Tylko Bóg i jego Syn, który za nas umarł. Musisz przyjąć Jezusa do swojego serca. Może ci się wydaje, że go znasz, ale znasz tylko jego wizerunek, wiesz, że został ukrzyżowany i oddał za nas swoje życie. Ale musisz naprawdę*

przyjąć Go do swojego serca. I ty sam musisz Go zaprosić, nie z przymusu, tylko z własnej woli. Bóg jest wszechmocny, ale nikogo do niczego nie przymusza. Gdy Go zaprosisz do siebie, On pomoże ci pozbyć się nalogu. Mój mąż naprawdę już nie chciał pić, ale wychodził z kolegami i zanim się obejrzał, już był pijany. A oni ciągle go zapraszali. W sobotę o jedenastej musiałam być obok jego pracy, by spotkać go, gdy wychodził. Gdy tam byłam, szedł ze mną do domu. Ale gdy się spóźniłam, szedł prosto do kantyny. To była naprawdę poważna sprawa. Ale dzięki Bogu pewnego dnia powiedział: *Muszę z tym skończyć.* Raz byliśmy w lesie i mąż rąbał drewno, by rozpalic ogień, Ruti była jeszcze mała. Przez przypadek uderzył mnie gałęzią i mocno zranił. Połałam ranę alkoholem, który miał ze sobą, żeby nie wdało się zakażenie, ale rana zaczęła puchnąć i musiałam iść do szpitala. Gdy lekarz mi ją zszywał, zapytał męża: *Będziesz posłuszny Chrystusowi?* A ten odpowiedział: *Tak!*

I tak oto zaczął czytać katolicką Biblię i słowa Chrystusa: *jestem drogą, jestem prawdą, jestem życiem.* A mąż pomyślał: „To prawda, nikt mi nie może pomóc, tylko On”. I przyjął Jezusa, pożałował swoich grzechów i poczuł, że Chrystus zamieszkał w jego sercu. I od tego czasu się zmienił, nawet dzieci się zmieniły: przestały się kłócić, zaczęły się uczyć i już nie bały się ojca. Gdy pił, bardzo się go bały, nie bił ich, ale i tak się go bały. Tak się stało, mąż bardzo się zmienił. Cudownie. Zawsze bardzo mnie kochał, od pierwszej chwili, gdy mnie zobaczył. To jest piękna miłość i nie zmieniła się do dzisiaj.

(Cały czas kocham ją do szaleństwa, do szaleństwa – słysząc w tle głos pana Felipe).

Ludzie pytali go: *Dlaczego zakochałeś się w tej kobiecie?* Byłam od niego starsza o 7 lat i miałam dwoje dzieci. Pewnego razu spotkaliśmy w Gwatemali znajomą męża i ten mnie przedstawił: *To jest moja żona.* A ona odpowiedziała: *Jaka piękna żona! Dlaczego twoja mama mówiła, że masz starą żonę?* Zaczęłam się śmiać, ale nic nie odpowiedziałam. A ona na pożegnanie powiedziała: *Dbaj o Lipe* (tak mówią na mojego męża w jego wsi), *życzę wam wszystkiego najlepszego.*

Gdy mąż był pijany, często mnie bił. Czasem tak mocno, że musiałam iść do szpitala. Czasami nie zdążyłam się zorientować, że wracał pijany: wchodził do domu pogwizdując, myślałam, że chce mnie pocałować jak zawsze, a gdy się do mnie zbliżał, łapał mnie za włosy i już nie mogłam się wyswobodzić. Bił mnie albo szukał pod łóżkiem i krzyczał: *Kto tu się chowa?!* Straszliwa zazdrość. Dzieci się bały. David, chociaż był mały, stawał przede mną i wołał: *Nie bij mamy!* Tylko David nie bał się mu przeciwstawić. Moja mama wiele razy mówiła Felipe: *Zostaw w spokoju moją córkę, w końcu ją zabijesz.* A on odpowiadał: *Już nigdy więcej tego nie zrobię.* Ale zawsze mnie bił. Wybiegałam z domu i pukałam do drzwi sąsiadów wymyślając różne preteksty, żeby wpuścili mnie i żebym mogła u nich przeczekać. Kiedyś poszłam do lekarza i nie byłam w stanie sama zdjąć bluzki. *Proszę mi pomóc, Panie Doktorze* – poprosiłam. *To przez to, że pan Felipe tyle razy Panią...* – powiedział lekarz. Odpowiedziałam: *Muszę być zdrowa, a Pan musi mi pomóc.*

Ale dzięki Bogu ludzie się zmieniają – On chce, by niczego nam nie brakowało, zwłaszcza spokoju. I dzięki Niemu mąż nie pije od 1977 roku, zmienił się.

Czasami mamy problemy, różne drobiazgi, jak wszyscy, ale szybko się go-
dzimy, z dużym spokojem. Mąż zawsze mnie całuje, jakbym była jego narzeczoną,
jakby to było pierwszy raz. Czasem budziłam się spuchnięta od tyłu pocałunków.
I mówiłam Bogu: *Panie, bardzo dziękuję! Mężczyźni, którzy pojawili się w moim
życiu byłiby ze mną szczęśliwi, bo bardzo bym ich kochała, ale oni tego nie docenili.
Dziękuję, bo chociaż mam dwoje dzieci, Felipe tak bardzo mnie kocha.* Na początku
mu nie wierzyłam, myślałam, że szybko znajdzie sobie inną. U męża w pracy pracują
piękne dziewczyny, ale on nigdy mnie nie zdradził. Wręcz przeciwnie. Kiedyś jedna
z sekretarek powiedziała mu: *Felipe, drzwi do mojego domu zostawiam otwarte,
będę na ciebie czekać.* Naprawdę miał wiele pokus. Mówił mi: *Jeśli mnie kochasz,
obejmij mnie mocno, bardzo mocno. Nie pozwól, bym wyszedł z domu, nie po-
zwól mi.* A potem o wszystkim mi opowiadał. A ja mu odpowiadałam: *Wiele już
wycierpiałam, a dzieci wycierpiały jeszcze więcej. Jeśli będziemy razem, nigdy
nie podniesiesz na nie ręki. Ja będę je karcić, bo ja jestem dla nich i matką i ojcem,
ty nie. Ty jesteś moim mężem. Jeśli będę chciała, poproszę cię, byś je ukarał, ale
jeśli nie – nie wolno ci tego robić.* Tu w Gwatemali ojczymowie są często bardzo
źli, molestują dziewczynki, biją dzieci, źle je traktują. Nie chciałam, żeby w naszej
rodzinie tak było. Ale Felipe jest dobry, nigdy tak się nie zachowywał. Powiedziałam
mu też: *Jeśli będziesz miał inną kobietę – lepiej, żebyś wiedział to już teraz – od
razu stąd odejść. Ja już swoje wycierpiałam.* A Felipe wiedział, że nie rzucam słów
na wiatr. Dużo kobiet próbowało się do niego zbliżyć, niektóre nawet mówiły, że nie
jest prawdziwym mężczyzną. A on odpowiadał: *To właśnie ja jestem prawdziwym
mężczyzną: kocham moją żonę.*

A dzieci były szczęśliwe. Bardzo mi pomógł je wychować. Z moimi najstarszy-
mi dziećmi nigdy nie było problemu, zawsze były bardzo spokojne. Może bardzo go
szanowały? Ale on nigdy ich nie uderzył, nigdy. Kiedyś uderzył Lucy, dwa razy. Bo
była bardzo uparta. Ciągle chciała chodzić do koleżanki, Felipe mówił jej: *Byłaś już
u niej, teraz czas na naukę. Przestań przeszkadzać mamie, do nauki.* I szła się uczyć,
ale gdy tylko Felipe wychodził, znowu zaczynała prosić o pozwolenie, by wyjść. I za
którymś razem on się zorientował. *Co ci mówiłem? Teraz dostaniesz* – powiedział.
Jak płakała! A mój najstarszy syn, niesamowity, jak anioł. Wszystkie dzieci są po-
słuszne, nauczone szacunku. Zawsze razem modlimy się i czytamy Biblię, uczymy ich
szacunku, honoru, pracowitości. Są lubiani w pracy, szanowani, to dobre dzieciaki.
Możemy spać spokojnie, bo żadne z nich nie chodzi do kantyny, ożenili się i są wierni
żonom. Tak samo córki. Nauczyliśmy je tego, czego powinniśmy. Teraz modlimy się
również z naszymi wnukami, żeby poszły tą samą drogą. Bo ta dzisiejsza młodzież...

Moją pierwszą pracę miałam w wiejskiej szkole w Coyabaj. Mieszkają tam
bardzo dobrzy ludzie. Zarabiałam 75 quetzali. Wtedy litr mleka kosztował 4 centy,

mięso – 14 centów, wszystko było bardzo tanie³. Popołudniami uczyłam też dorosłych pisanie i czytania. Moje dzieci uczyły się pracować w polu, uprawialiśmy rzodkiewkę, sałatę, kukurydzę, fasolę, wszystko. Niedaleko płynęła rzeka i chodziliśmy łowić ryby – mój mąż uwielbia łowić ryby.

Potem zarabiałam już 100 quetzali. Dziadkowie nauczyli mnie, żeby postępować tak, jak mówi Biblia – zawsze oddawałam dziesiątą część moich zarobków Bogu. Robiłam tak, odkąd zaczęłam zarabiać pieniądze i robię tak do tej pory. I Bóg bardzo mi pobłogosławił: wszystkie moje dzieci miały stypendium w szkole. I wszystko dzięki Bogu. Biblia mówi, że jeśli jest się posłusznym słowu, Bóg będzie błogosławił nam i naszym dzieciom.

Uczyłam hiszpańskiego dzieci, które go nie znały, w pierwszej, drugiej i trzeciej klasie podstawówki. Na początku uczyłam też czwartą klasę. Byłam tam jedyną nauczycielką. Niektórzy uczniowie mieszkali daleko od szkoły, szkoła była na odludziu. Ale nie bałam się, było spokojnie, to były zupełnie inne czasy. Ponieważ było bardzo ciepło, zostawialiśmy otwarte drzwi wejściowe – czy ktoś teraz zostawia otwarte drzwi?! Pełno jest złodziei i wszyscy noszą mnóstwo kluczy. Bardzo mi się tam podobało, lubię wieś, polubiłam tych dobrych ludzi. Szkoła była na wybrzeżu, a tam jest mnóstwo owoców: mango, pomarańcze. Ludzie przynosili mi grzyby, kurczaki, kury, jajka, mleko, wszystko dostawałam od rodziców uczniów. Mogłam oszczędzić połowę tego, co zarabiałam – posyłałam pieniądze mojej mamie, żeby jej pomóc, moje rodzeństwo jeszcze wtedy chodziło do szkoły. I chociaż miałam dwoje dzieci, nie wydawałam tam wiele pieniędzy i mogłam pomóc mamie.

Potem, gdy przeniosłam się do Chichicastenango, mama pomagała mnie, bo życie tu jest bardzo drogie. To przez turystykę, wszystko jest tutaj o wiele droższe, droższe nawet niż w stolicy. Miejscowości turystyczne, tj. Chichicastenango, Antigua i Panajachel są najdroższe. Ci, którzy zarabiają na turystach, pracują w hotelach itd., zarabiają więcej, ale my otrzymujemy pensję od rządu, z budżetu państwa, i zarabiamy mało. Bardzo źle to wszystko jest rozdzielane. Pracowałam na dwie zmiany, od 8 do 12 i od 14 do 16, w sobotę od 8 do 11, przy takich godzinach nie można było mieć dodatkowej pracy. Nawet w domu nie mogłam zbyt wiele zrobić, chociaż nigdy nie kładłam się spać przed północą. Wstawałam o czwartej rano, by prac ubrania. Czasami sama siebie podziwiam, jak dobrze radziłam sobie z tym wszystkim. Obserwuję to, co dzieje się teraz: kobiety mają jedno dziecko i narzekają, że mają za dużo pracy. A ja miałam dużo dzieci, choć w porównaniu z moją babcią – mało. Moja babcia miała 17 dzieci, gdy to porównuję, myślę, że ja miałam malutko. Zawsze powtarzałam swoim dzieciom: *Najważniejsza jest nauka. Gdy teraz poświęcicie temu więcej czasu, będziecie mieli więcej możliwości w przyszłości*. I dzieci zawsze mnie słuchały.

Czuję się spełniona. Jako nauczycielka przepracowałam 30 lat i można powiedzieć, że ciągle jestem nauczycielką, dla moich wnuków. Czuję się spełniona. Teraz,

³ 75 quetzali to ok. 30 zł, 4 centy to niecałe 2 grosze, a 14 centów – niecałe 6 groszy.

gdy oboje z mężem jesteśmy na emeryturze, staramy się pomagać innym: chodzimy do szpitali, rozmawiamy z chorymi, zanosimy im coś. To niewiele, ale zawsze.

Zarabiamy bardzo mało, po trzydziestu latach pracy dostaję 1500 quetzali. Co można zrobić za 1500 quetzali⁴! Gdy byłam nauczycielką, sprzedawałam też biżuterię, perfumy, ubrania, żeby mieć pieniądze na szkołę dla moich dzieci. Zawsze w listopadzie pożyczalam z banku pracowniczego pieniądze, żeby móc opłacić czesne i kupić dzieciom książki i przybory szkolne. Robiłam tak, dopóki nie skończyły szkoły. Mój mąż też mało zarabiał.

Ten dom kupiliśmy po trzęsieniu ziemi. Wcześniej byliśmy członkami wspólnoty, ale nie mieliśmy pieniędzy, żeby szybko kupić dom. A po trzęsieniu ziemi rząd poręczył pożyczki hipoteczne w banku. Urzędnicy przeprowadzili z nami szczegółowy wywiad, a ponieważ oboje pracowaliśmy, mogliśmy uczestniczyć w tym programie budowy domów. To było 36 lat temu. Do wyboru były domy za 3, 4 i 5 tysięcy quetzali⁵. Mogliśmy kupić dom za 5 tysięcy, największy: duży pokój, mały pokój, salon z jadalnią i kuchnia. Potem go rozbudowaliśmy. Gdy Nimcy była mała, kupiliśmy samochód.

A teraz pomagamy ludziom: doradzamy młodym małżeństwom, które chcą się rozwieść, doradzamy matkom, jak wychowywać dzieci – bo niektóre dzieci są trudne, chcą rządzić rodzicami. Opowiadamy im też o Bogu. Lubimy to robić, to jest potrzebne. Co roku, w maju, organizujemy spotkanie dla matek, zapraszamy je na kolację, organizujemy różne wykłady o tym, jak postępować z dziećmi, jak je wspierać. Spotykamy się też z młodzieżą – oni naprawdę potrzebują pomocy. Pracujemy też z nauczycielami. W tym roku jednak prawie tego nie robiliśmy, bo nie było nas w Chichicastenango.

Czuję się też spełniona jako kobieta: miałam zawód, studiowałam na uniwersytecie. Studiowałam razem z mężem, już byliśmy dorośli, to było cztery lata temu. Przez trzy lata wieczorowo studiowaliśmy teologię. I rywalizowaliśmy ze sobą, kto będzie miał lepsze oceny. *Zawsze jesteś ode mnie lepsza o 2 – 3 punkty* – mówił mi mąż. To było piękne, razem się uczyliśmy. Chcieliśmy zrobić licencjat, ale potem mąż miał operację oczu i nie mogliśmy uczyć się w nocy. A w dzień nie mogliśmy usiedzieć w miejscu – lubimy jeździć na wieś. Dzieci też to uwielbiają – nigdy nie trzymaliśmy ich w zamknięciu. Przez cały tydzień nauka, a w sobotę – na wycieczkę! Nauczyli się pływać, mamy mnóstwo zdjęć. Przeszczęśliwi. Nimcy, nasza najmłodsza córka, nie doświadczyła tego w takim stopniu jak pozostałe dzieci, ale miała za to inne rzeczy, których nie miało jej rodzeństwo. Była jedna jedyna i kupowaliśmy jej wszystko, co chciała. Dzieciaki miały rower, miały wszystko, czego potrzebowały. Nauczyciele i ich rodziny zawsze żyli na wyższym poziomie.

Mój mąż lubi gotować. Nauczył się ode mnie i gotuje bardzo smacznie. Wnuczki mówią mu, że jest dobrym szefem kuchni.

⁴ 1500 quetzali to ok. 600 zł.

⁵ 5000 quetzali to ok. 2100 zł.

W grudniu będzie nasza rocznica ślubu, pójdziemy do szpitala, by zanieść coś chorem, zwłaszcza dzieciom. Zawsze spotykamy dzieci, które potrzebują pomocy.

Mamy też ten dom, który podarował nam Bóg i gościmy tutaj wolontariuszki, panie z różnych krajów, które kochamy tak, jakby były naszymi córkami. Myślimy: „Są daleko od swojego domu, od swoich rodzin”. Nasze dzieci uczyły się z dala od domu i też pomagali im dobrzy ludzie. Tak mówi Biblia: zbierasz to, co zasiejesz.

Gdy zachorujemy, pomagają nam nasze dzieci, zawsze pokrywają koszty, bo wszystko jest bardzo drogie. Ostatnie lekarstwo, które dostałam, kosztowało 620 quetzali, dostaliśmy zniżkę 100 quetzali. Ale na szczęście lekarstwo jest skuteczne.

Gdy już nie musiałam wydawać pieniędzy na dzieci, zaczęłam oszczędzać. Miałam oszczędności, bo zajmowałam się też sprzedażą złota (to dobry interes) i ubrań z drugiej ręki, przysyłanych z USA. Przez 9 lat sprzedawałam w domu: przywoziłam ubrania, selekcionowałam je. Przychodziły koleżanki z pracy i sąsiedzi, by kupować. A gdy już miałam pieniądze, zaczęłam podróżować. Bardzo to lubię. Ze wszystkich miejsc najbardziej podobało mi się w Meksyku, potrafią tam zająć się turystami, wszędzie było ładnie i czysto. Za to w Gwatemali jest wiele pięknych miejsc, ale nie są przygotowane dla turystów. I dużo na tym tracimy. Meksyk był pierwszym krajem, który odwiedziłam i bardzo mi się spodobał. Potem pojechałam do USA, do Houston, razem z moją córką. Brałyśmy udział w światowym kongresie kobiet. Reprezentowane były 144 kraje, bardzo nam się podobało. Zabrałam ze sobą flagę Gwatemali. Dowiedziałyśmy się o Pakistanie, o tym, jak marginalizowane są tam kobiety. To naprawdę bardzo smutne. Córka wróciła, a ja pojechałam jeszcze do Los Angeles. Skorzystałam z okazji, bo przelot był tani. Poszłyśmy z kuzynką do Disneylandu i do planetarium. Bardzo mi się podobało. Lubię podróżować, nie boję się latać. Zawsze gdy wyjeżdżam, jestem szczęśliwa. Mój mąż boi się samolotów, nie chce latać.

Lubię też pisać. Napisałam tekst o podróży do Houston, ale nie mam pojęcia, gdzie jest. Moi koledzy w pracy zawsze mówili: *Jeśli jest coś do napisania, trzeba zawołać Ruth*. Czasami wiem, co chciałabym powiedzieć, ale denerwuję się, spinam. Nie ma jak pisanie, bardzo lubię pisać.

Byłam też na Kubie – bardzo smutne miejsce, chociaż teraz jest więcej swobody. Tam też pojechałam z córką. Zabrałyśmy pasty do zębów, ubrania, szczoteczki do zębów, słodczyce dla dzieci, różne rzeczy, które później rozdałyśmy. Na Kubie można praktykować różne religie, ale tylko w domu, nie można manifestować religijności na zewnątrz. Pojechałyśmy do kościoła ewangelickiego, było nas razem 34 osoby. Akurat wtedy zniszczono dwie wieże w Nowym Jorku i wiele osób, które miało je chać, zrezygnowało. Zostało nas tylko 34, same kobiety. Bardzo mi się podobało.

Byłyśmy też w Nikaragui, Panamie (pięknie i tanio). Brałyśmy udział w kongresie kobiet z różnych krajów. To spotkania religijne, a moja córka jest przewodniczącą grupy ewangelickiej i zawsze nas zaprasza. A ponieważ jedziemy całą grupą, wychodzi znacznie taniej. Wszystko jest tak, jak na wycieczce: hotel, wyżywienie, transport, wszystko. Placisz raz i masz wszystko zapewnione. A kongresy

są bardzo piękne, bo przyjeżdżają na nie ludzie z różnych krajów i porusza się interesujące tematy. W USA nie za bardzo mi się podobało, bo nie znam angielskiego. Kilka razy pojechałam odwiedzić siostrę w Nowym Jorku. Kiedyś pojechałyśmy do Kanady zobaczyć wodospad Niagara, ale była zima i nie mogłyśmy przejść, było za dużo lodu. Straciłam okazję – szkoda, bo bardzo chciałabym go zobaczyć. Byłam też w Hiszpanii, z jedną znajomą Hiszpanką. Byłam tam miesiąc, bo mąż na więcej mi nie pozwolił. Bardzo mi się podobało, byłam bardzo zadowolona. Widziałam miejsca, o których uczyłam dzieci w szkole, ale nigdy ich sobie nie mogłam wyobrazić – wtedy je poznałam. Byłam też w Maladze nad Morzem Śródziemnym. Mało zwiedziłam, ale... Chciałabym jeszcze zobaczyć Francję, byłam tak blisko...

Raz, na kongresie ewangelickim w Meksyku, w Monterrey, mieliśmy przepiękne doświadczenie. Ostatniej nocy przyszło bardzo dużo młodych ludzi, setki i tyśiące, śpiewali i byli weseli. A chociaż była noc, było bardzo gorąco. Aż nagle zaczął padać delikatny deszcz, mżawka. Powiedziałam córce: *Bóg nam zesłał ten deszcz!* A młodzi ludzie opowiadali o tym, jak Bóg zmienił ich życie, jak przestali brać narkotyki, kraść itd.

Tu w Gwatemali też jest wiele pięknych miejsc: Río Dulce, Petén, Chichicastenango, Huehuetenango.

Jestem szczęśliwa, mimo że wiele wycierpiałam. Moje dzieci są szczęśliwe, kochają mojego męża, szanują go. Jakby były jego rodzonymi dziećmi, jakby były jego rodzonymi wnukami, tak bardzo go kochają. I to jest moje największe spełnienie: bycie matką. W trwodze przed Bogiem, dzięki boskiej pomocy, pomogłam mężowi i swoim dzieciom. Mija 47 lat odkąd jesteśmy małżeństwem i cały czas jesteśmy szczęśliwi. Mąż zawsze mówi, że chce umrzeć pierwszy, nie chce, żebym to ja odeszła najpierw. Wie, co się stanie, gdy ja umrę: niedługo potem, jak umiera żona, umiera też mąż, bardzo szybko, nie mija wiele czasu. *Nie myśl o tym* – mówię mu. Zawsze powtarzam: *Jak dobrze, że Bóg w swojej wszechmocy, w swojej doskonałości, zostawił nam śmierć.* Bo inaczej co zrobilibyśmy na tym świecie tak pełnym wszystkiego? Wyobrażasz sobie, jak by to było żyć bez końca i być zmuszonym przeżyć te wszystkie sytuacje i zdarzenia? Przecież z roku na rok jest coraz gorzej. Topią się bieguny, podobno wiele miejsc spłonie w ogniu. Wyobrażasz sobie żyć pośród tego wszystkiego? Lepiej już umrzeć. Najważniejsze, że umiera tylko ciało, dusza idzie do Boga.

To ważne, że Gwatemala otrzymuje pomoc innych krajów – nie każdy zdobywa się na taki gest, przecież wszędzie są potrzebujący. Nie każdy chce nieść pomoc gdzie indziej i woli pomagać u siebie. Dzięki Bogu Gwatemala jest wspierana przez wiele krajów, które dzielą się z nami tym, co mają. Dobrze, gdy pomoc jest bezpośrednia, przekazywana przez wolontariuszy. Kiedy trafia do rządu, to często znika: pojawia się ambicja i w końcu do potrzebujących trafia tylko tyle, żeby władze mogły powiedzieć, że pomogły. Jeden z naszych prezydentów siedzi w więzieniu, bo przywłaszczył sobie pomoc finansową, którą dostał dla Gwatemali. Był dobrym

prezydentem, dużo zrobił dla kraju, ale popełnił błąd i teraz siedzi w więzieniu. A jeśli Gwatemala się zgodzi, będzie wydany do USA⁶. Pomoc z zagranicy dostawało też gwatemalskie wojsko.

To wielkie błogosławieństwo, że inne kraje martwią się o Gwatemalę i jesteśmy im za to bardzo wdzięczni. Wiemy, że to, co nam dadzą, Bóg odda im z nawiązką. Jesteśmy też wdzięczni Bogu za wolontariuszy, którzy przyjeżdżają tu by nam pomagać. U mnie mieszkało kilka wolontariuszek z różnych krajów i zawsze były bardzo zadowolone, mówiły, że chciałyby tu wrócić. Często napotykają na różne trudności, mają różne problemy, ale nie ma co się nimi przejmować, wszystko to jest cennym doświadczeniem.

⁶ Alfonso Antonio Portillo Cabrera był prezydentem Gwatemali w latach 2000 – 2004. Został oskarżony o defraudację 15 milionów USD i pranie brudnych pieniędzy. W sierpniu 2011 r. Gwatemala wydała zgodę na jego ekstradycję do USA.

Odilia Elmida Guarcas Guarcas

Urodziłam się 17 września 1981 roku w Chichicastenango. Tam się wychowywałam i tam skończyłam podstawówkę. Gdy chodziłam do szkoły podstawowej, musiałam też pracować, żeby zarobić trochę pieniędzy – robiłyśmy na szydelku wełniane piłeczki. Mieliliśmy też owce, krowy, kurczaki i musiałyśmy się nimi zajmować, chodziłyśmy w góry, żeby je paść. Pracowałyśmy też: w polu, na *milpie*, zbierałyśmy drewno. Pracuję, odkąd byłam małą dziewczynką. Zawsze lubiłam też uczestniczyć w różnych zajęciach, spotkaniach, zwłaszcza tych, organizowanych w kościele. W szkole byłam królową sportu, miałam też najlepsze oceny, a w kościele uczyłam młodsze dzieci.

Gdy poszłam do podstawówki, rodzice powiedzieli mi, że skończę tylko trzy klasy – tylko trzy klasy edukacji wczesnoszkolnej. Gdy poszłam do szkoły, miałam 6 lat, a gdy skończyłam – 10. Mama i tata powiedzieli mi: *Jesteś dziewczyną, nie możemy pozwolić sobie, byś dalej się uczyła*. Było mi bardzo smutno. Przez rok nie chodziłam do szkoły, choć naprawdę bardzo chciałam i bardzo lubiłam się uczyć. Moja młodsza siostra też chciała się dalej uczyć, ale ja lubiłam chodzić do szkoły jeszcze bardziej niż ona.

Mam młodszego brata. Gdy urośł, musiał pójść do szkoły. Wtedy tata powiedział: *Twój młodszy brat zaczyna szkołę, ale jest jeszcze mały i bardzo się boi. Pójdziesz z nim do szkoły na kolejny rok. Będziesz go odprowadzać i dbać o niego, żeby nikt go nie pobił. On jest jeszcze bardzo mały*. Bardzo się ucieszyłam: *Dobrze, pójde z nim, będę się dalej uczyć*. I wróciłam do szkoły. Ale mój braciszek był w szkole tylko jeden dzień, potem już nie chciał tam wrócić. Dopiero później zaczął znowu chodzić do szkoły. Ale ja i tak skorzystałam, bo pozwolili mi dalej się uczyć. I kiedy skończył się rok szkolny, moi rodzice powiedzieli znowu: *On jest mały, a musi iść do szkoły*. I znowu go tam zaprowadzałam. Dawaliśmy mu drobne, żeby chodził do szkoły, 10 – 25 centów, dla nas to było wtedy dużo pieniędzy. Kupowaliśmy mu ubrania, prezenty, żeby tylko chodził do szkoły, ale on nie chciał się uczyć. A ja tak. Rodzice zastanawiali się: *Co robić?* I znowu zapisali go do szkoły, i moją młodszą siostrę też. Ja już wtedy skończyłam czwartą klasę i zaczęłam chodzić do piątej. Powiedziałam tacie: *Tato, ja naprawdę bardzo lubię się uczyć!* A on odpowiedział: *Ucz się w takim razie, ucz*. Chodziłam więc do szkoły i skończyłam piątą i szóstą klasę. Pewnego razu odwiedził nas mój kuzyn, akurat robiłam wełniane piłeczki, i zapytał: *Jak się masz?* Odpowiedziałam: *Dobrze*. A on pytał dalej: *W której jesteś klasie?* A ja na to: *W szóstej*. I wtedy powiedział: *Ucz się dalej, ucz. W Sololá dużo dziewcząt chodzi do szkoły. Można wybrać różne kierunki, żeby potem zostać sekretarką, księgową, nauczycielką. Ta szkoła trwa sześć lat*. Nie mogłam przestać o tym myśleć: „Chcę się uczyć! Ale jak to zrobić?, nie mam pieniędzy...”. A ponieważ byłam najlepszą uczennicą w szkole, mój nauczyciel powiedział: *Odilia, dostajesz*

stipendium. Musisz się dalej uczyć. Byłam bardzo szczęśliwa. Stypendium, które mi zaproponował, było w szkole w Santa Lucía Utatlán, w gminie Sololá, była to szkoła dla nauczycieli, nie można tam było wybrać innej specjalizacji. Musiałam iść na rozmowę kwalifikacyjną. Sprawdzali, czy dobrze zna się quiché, czy umie się liczyć od 1 do 100. Uczylałam się całymi dniami, uczyłam się quiché z książki. Moi rodzice pojechali do tej szkoły i powiedziano im, że będą mi jeszcze robić badania lekarskie, żeby sprawdzić, czy jestem zdrowa, i egzamin ze śpiewu. Zapytałam tylko: *Powiedzcie mi, czego mam się nauczyć, a ja się przygotuję do egzaminu.* Ale rodzice powiedzieli: *Nie chcemy, żebyś chodziła do tej szkoły. Mówią, że niektóre dziewczyny z tej szkoły zachodzą w ciążę, same muszą potem wychowywać swoje dzieci i nie chcemy, żeby cię to spotkało.* Tak mi powiedzieli. A ja na to: *Ale ja chcę się dalej uczyć!* Nauczyciel powiedział wtedy: *Znajdziemy jakiś sposób, żebyś mogła dalej się uczyć. Poszukamy innej szkoły.* W regionie Quiché była inna szkoła, prywatna i ewangelicka, więc bezpieczniejsza. Chcieli mnie tam zapisać, ale już nie było wolnych miejsc. Moi rodzice mówili: *Co mamy zrobić z Odilią, tak bardzo chce się dalej uczyć!* Rok wcześniej mama otworzyła niewielki sklep w Sololá; powiedziała: *Lepiej będzie, jeśli pojedziemy do Sololá. Ale gdzie będziemy mieszkać? Nie mamy tam domu... O rety!* Poprosiliśmy naszych kuzynów, żeby pozwolili nam spać u siebie w domu, u nich też zostawialiśmy nasze rzeczy. Tak po prostu. A ja poszłam do gimnazjum i dalej się uczyłam. Dalej się uczyłam, a sklep mamy był maleńki i prawie niczego nie mogła sprzedać. Denerwowała się na mnie, gdy prosiłam ją o pieniądze, odpowiadała: *Jak mogę ci dać, kiedy nie mam?* A ja mówiłam: *Ale potrzebuję, żeby zapłacić za szkołę.* Tego roku zdobyłam stypendium w Chichicastenango, w Quiché, fundowane przez ASDECO¹. Co miesiąc dostawałam 100 quetzali². Uczylałam się, uczyłam i co miesiąc dostawałam moje 100 quetzali. Kiedy byłam w pierwszej klasie gimnazjum, do mamy przyszedł pewien chłopak, który też jest z Chichicastenango, ale mieszkał wtedy w Sololá, miał zamożnych rodziców i dom, a ja chodziłam do jednej klasy z jego młodszym bratem. I ten chłopak powiedział mojej mamie: *Twojej córce na pewno nie uda się skończyć szkoły, jesteście ze wsi, z gór, co ona może umieć?!* Gdy się o tym dowiedziałam, powiedziałam mamie: *Na pewno nie! Zobaczysz, że skończę szkołę!* A ten chłopak powiedział tak, bo sam nie zdał w pierwszej klasie gimnazjum, udało mu się zaliczyć tylko jeden semestr. A ja zdałam do drugiej klasy i do trzeciej – czasem miałam poprawki, ale zawsze przechodziłam do następnej klasy. Gdy skończyłam gimnazjum, chciałam uczyć się dalej, znalazłam szkołę, która mnie interesowała, ale też była prywatna – nie mogłam tam iść, nie mogłam, nie mogłam, nie mogłam. Mój tata bardzo się martwił, on też lubił się uczyć. I pewnego dnia powiedział: *Muszę znaleźć dla ciebie szkołę. Zapytam się znajomej, ona na pewno mi coś doradzi.* I poszedł. Dowiedział się o bezpłatnej, państwowej

¹ ASDECO, Asociación de Desarrollo Comunitario – organizacja pozarządowa wspierająca rozwój lokalnych społeczności *indígenas* w Chichicastenango.

² 100 quetzali to ok. 42 zł.

szkole. Mogłam więc uczyć się dalej, uczyłam się księgowości. Uczyłam się i pracowałam – znalazłam pracę w Sololá. Przez pół dnia byłam w szkole, a przez drugie pół – w pracy. A i tak byłam najlepszą uczennicą i miałam stypendium aż do końca szkoły. Gdy zdobyłam dyplom, powiedziano mi: *Byłaś najlepszą uczennicą, zapłacimy za twoją naukę przez kolejny rok. Będziesz uczyć się, jak prowadzić programy radiowe, zostaniesz dziennikarką radiową i będziesz pracować z mikrofonem.* Spodobała mi się ta propozycja i pojechałam do szkoły w Quetzaltenango. Miałam pokryte koszty podróży, zakwaterowania i wyżywienia, oprócz tego zarabiałam. Potem otworzyli stację radiową w Chichicastenango i tam też pracowałam. Pracowałam w radiu 4 – 5 miesięcy, ale nie chciałam dłużej, bo to była praca na godziny, a ja potrzebowałam pracy na pełen etat. Zaproponowano mi pracę księgową, w szkole, miałam dostawać pensję i mieć opłacone koszty podróży. Szkoła była na wsi, niedaleko Sololá, pracowałam tam przez dwa miesiące. Ale w tej szkole nie było żadnych nauczycieli, żadnych. Pomyślałam: „Co robić? Co robić?”. Pewnego dnia na drodze spotkałam Ronalda, Kanadyjczyka, który założył tu stowarzyszenie. Powiedział mi: *Cześć!* Odpowiedziałam: *Cześć!* Zapytał: *Dokąd idziesz?* A ja na to: *Tam, w stronę szosy.* I zaproponował mi, że mnie podwiezie. Najpierw się przestraszyłam, pomyślałam, że może jest złym człowiekiem, porywaczem. Ale i tak poczekałam na niego i razem pojechaliśmy do Sololá. Ale nie wspomniał mi ani słowem, że szukają kogoś do pracy w stowarzyszeniu, choć było wtedy wolne miejsce w biurze, w którym pracuję teraz. Ale on nigdy nie zapytał: *Może chciałabyś pracować z nami?* A wcześniej tata powiedział mi: *Słyszałaś, że w San Bartolo szukają kogoś? Idź i sprawdź! Potrzebujesz pracy, zanieś tam swoje papiery.* Więc poszłam, a dziewczyna, która była wtedy w biurze, powiedziała mi: *Nikogo nie potrzebujemy.* Dopiero potem spotkałam Ronalda. I tego samego dnia tata powiedział mi: *W San Bartolo jest wolne miejsce, tam, gdzie ostatnio zaniósłaś swoje papiery.* Ale ja powiedziałam: *Nie mam zamiaru tam wracać.* A tata nalegał: *Mówię ci, że szukają kogoś do pracy. Moja szefowa mi powiedziała. A tata pracował wtedy u pewnej Niemki. I mówił dalej: Moja szefowa jest znajomą dyrektora tej organizacji, to jakiś Kanadyjczyk.* I wtedy odpowiedziałam: *Może go dzisiaj spotkałam? Spotkałam dzisiaj jakiegoś gringo³, ale nie mówił nic, że potrzebuje kogoś do pracy.* Mój tata na to: *Na co czekasz, idź tam!* I poszłam tam następnego dnia. Przyjęła mnie Maria i powiedziała: *Przyjdź później, teraz nikogo nie ma.* Wróciłam więc później i spotkałam Ronalda. Od razu powiedział: *Spotkaliśmy się wczoraj na drodze.* A ja przytaknęłam. Kazał mi podejść i zrobił mi egzamin. Powiedział: *Rozwiąż takie zadanie: przez rok wydajemy 18 tysięcy, ile wydajemy miesięcznie?* Nie miałam ani kalkulatora, ani czasu, wszystko musiałam zrobić od razu, w pamięci. Odpowiedziałam: *Okolo 1500, mniej więcej.* Wtedy on powiedział: *Dobrze. Przyjdź jutro. Jutro zaczynasz pracę.*

³ *Gringo* – w Ameryce Łacińskiej określano tak cudzoziemców i osoby nieznające hiszpańskiego. Do dziś w języku potocznym tak nazywa się turystów, ale wyrażenie to może być również pogardliwym określeniem osób pochodzących z USA.

Ale ja miałam przecież pracę. Na to on: *Nic nie szkodzi. Przyjdź o ósmej, będziesz pracować od 8 do 11, przed południem zjesz obiad i pójdziesz do swojej pracy.* I tak zrobiłam. A w tamtej pracy ciągle nie było nauczycieli, nie dostawałam też wynagrodzenia, a potrzebowałam pieniędzy. Myślałam: „Co robić? Co robić?”. Pracowałam w obu miejscach przez tydzień lub dwa – rano szłam do biura, a po południu jechałam na wieś, do szkoły. I wreszcie zdecydowałam, że zrezygnuję z pracy w szkole. Powiedziałam: *Nie będę już tu przychodzić. Nie ma nauczycieli, a dzieciaki się nudzą. Nie jestem nauczycielką, więc i tak nic nie mogę zrobić, nie mogę zacząć ich uczyć.* Odpowiedzieli: *W porządku. Nie ma problemu.* Potem powiedziałam Ronaldowi: *Mogę tu pracować przez cały dzień. Zrezygnowałam z tamtej pracy, bo nie było nauczycieli i nic mi nie płacili, a ja potrzebuję pieniędzy.* Odpowiedział: *Dobrze. Masz 15 dni, żeby się wszystkiego nauczyć. Jeśli w ciągu tych 15 dni nauczysz się wszystkiego, będziesz mogła tu pracować.* I zaczęłam pracować, a on mnie uczył. Często płakałam, bo nie rozumiałam, nie potrafiłam. A on jest bardzo nerwowy, szybko się denerwuje i obraża, więc wiele razy płakałam. Ale wytrzymywałam, wytrzymywałam. Powiedział mi: *Odi, masz jeszcze tylko tydzień, jeśli przez ten czas uda ci się mnie przekonać, dostaniesz tę pracę.* A ja odpowiedziałam: *Dobrze. Będę się starać, najlepiej jak umiem.* I minęły 2 tygodnie – bardzo dużo się wtedy nauczyłam i dostałam zapłatę za te 15 dni. Byłam z siebie dumna. I usłyszałam: *Posłuchaj, Odi. Zasłużyłaś na tę pracę, zostaniesz z nami. Przez pierwsze trzy miesiące będziesz zarabiać 800 quetzali⁴, a potem więcej. Ale masz już tę pracę.* Byłam z siebie bardzo dumna, dowiedziałam się, że 18 osób złożyło swoje papiery przede mną, ja byłam ostatnia i to mnie przyjęli, a nie tych, którzy byli pierwsi. I tak zdobyłam tę pracę. Ronald był z nami tylko przez miesiąc, a potem wyjechał do Kanady. Zostawił mnie samą w biurze. Powiedział: *Zobaczysz, jak będzie, ale ja muszę jechać.* I sama musiałam robić wszystko w organizacji *Asociación Maya*. Nikt mi nie mówił, co mam robić, nikt. Sama się uczyłam. Od ośmiu lat pracuję w biurze i mam już doświadczenie w różnych dziedzinach. Czuję się pewnie. Gdy trzeba coś zrobić, zawsze pytają mnie o zdanie. Zajmuję się księgowością, pilnuję wydatków, jestem odpowiedzialna za wiele rzeczy.

Organizacja istnieje już 24 lata. Lata osiemdziesiąte w Gwatemali były pełne przemocy. We wsi Triunfo zabili wiele osób, wielu mężczyzn. Zginęły też kobiety, a wiele zostało samych z dziećmi. Ronald zobaczył, że dużo kobiet nie ma pracy – mają dzieci, a nie mają nic do jedzenia. Zapytał jedną z tych kobiet: *Co Panie potrafią robić?* A ona odpowiedziała: *Umiemy tylko tkąć.* Ronald zaproponował, by pracowały razem i dał im pożyczki. Zebrało się siedem kobiet, które dały początek stowarzyszeniu. Tkwały, a Ronald sprzedawał ich wyroby w Kanadzie i innych krajach. Znaleźli wsparcie różnych ambasad. Gdy powstawało stowarzyszenie, kobiety tkwały z nici bawełnianych, ale szybko zauważyli, że nie ma zbytu na takie produkty.

⁴ 800 quetzali to niecałe 340 zł.



Przyglądali się konkurencji – wszyscy tkali bawełnianymi niciami. Wzory były różne, ale nici identyczne. I zastanawiali się, co by tu zrobić, by znaleźć nowe rynki, by mieć więcej pracy. Na początku było siedem kobiet, ale przyłączały się nowe, z różnych wsi – teraz mamy pięć grup. Organizacja rozrastała się, cały czas się rozrastała. Aż Ronald powiedział: *Trzeba znaleźć nici inne niż wszystkie*. I znaleźli włóczkę chenille, z której powstały nowe wyroby. W ten sposób organizacja powiększała się. Teraz wysyłamy nasze produkty do Stanów Zjednoczonych, Szwecji, Kanady, Meksyku, Salwadoru, Niemiec i innych krajów. W stowarzyszeniu zrzeszonych jest 170 kobiet, w skład zarządu wchodzi 6 kobiet, oprócz tego kierowniczką produkcji, kierownik szwalni, kierowniczką barwiarni i ja, zajmująca się administracją. Sami realizujemy cały proces produkcji. Kupujemy biały surowiec, farbujemy włóczkę na różne kolory, projektujemy, tkamy, szyjemy, pakujemy, eksportujemy. Mamy dużo zamówień, bo mamy dużo rynków zbytu.

Już wiele lat temu Ronald zaczął ubiegać się o wizy dla kobiet. Po dwie kobiety wyjeżdżały do różnych krajów, żeby opowiadać o potrzebach kobiet ze stowarzyszenia, o tym, jak powstała organizacja, dlaczego zdecydowały się pracować razem, dlaczego zginęli ich ojcowie. Miały spotkania na uniwersytetach, w szkołach średnich i kościołach. Pojechały do Szwecji, Stanów Zjednoczonych i Kanady. Ludzie słuchali o ich potrzebach i zamawiali ich produkty. Teraz ci sami ludzie zapraszają kobiety, by tam pojechały i pokrywają wszystkie koszty związane z wyjazdem. W ten sposób za granicą mogą dowiedzieć się o wszystkim: co robimy, dlaczego to robimy i w jaki sposób.

Tak, jestem z siebie dumna. Odkąd tu pracuję: mamy nowe projekty; kobiety otrzymały pomoc; dostały materiały do tkania, nasiona roślin leczniczych i drzew owocowych; stowarzyszenie otrzymało surowce; realizuje projekty ulepszające proces barwienia i suszenia wełny; mamy wsparcie wolontariuszy przy projektowaniu nowych produktów, dobieraniu kolorów; kobiety uczą się nowych technik. Jestem dumna, że realizujemy takie projekty. Piszemy wnioski – piszę prostym językiem, po hiszpańsku, i jestem bardzo szczerą. Kiedyś nie mówiłam po hiszpańsku, tylko w quiché. Hiszpańskiego nauczyłam się w ostatnich klasach podstawówki. Potrafię mówić, ale gdy trzeba napisać wniosek, zredagować list lub inny ważny dokument, sama nie dałabym rady. Ale mam wsparcie i mogę się ciągle uczyć nowych rzeczy. Dzięki tej pracy, wyjechałam do Kostaryki i Salwadoru. Chciałabym pojechać dalej, do USA, Kanady i innych krajów, ale nie miałam okazji. Może jeszcze tam pojadę.

Jest nas ośmioro rodzeństwa, ja jestem najstarsza. Moi rodzice żyją. Są do brymi rodzicami: rozumieją mnie, dbają o mnie, kochają. Wszystkie swoje dzieci traktują jednakowo, nikogo nie odrzucają. Często nam mówią: *Mamy was ośmioro, ale nigdy nie brakowało wam tortilli ani miłości. Może czasem brakuje ubrań, ale od tego jeszcze nikt nie umarł. Dostaliście od nas to, co najważniejsze: wykształcenie. I tego nikt wam nie może odebrać, macie je w swoich sercach, w swoich umysłach. To jest kapitał, który od nas dostaliście*.

Pięcioro z rodzeństwa już skończyło szkoły. Jeden brat otworzył w Panajachel punkt ksero, zajmuje się też sprzedażą hurtową. On naprawdę ma pieniądze i jeszcze studiuje. Drugi brat też ma swój własny sklep, siostra również. Kolejna siostra kończy w tym roku szkołę, potem będzie miała praktyki. Jeden z moich braci nie chciał się uczyć, teraz ma 17 lat i nie chce chodzić do szkoły. Zapewniliśmy mu szkołę średnią, potem wieczorową, potem zaoczną, ale nie chciał. Mój najmłodszy brat ma 4 lata.

Miałam szczęście dużo podróżować. Byłam w Antigua, w Gwatemali, w różnych miejscach. Spałam w najlepszych hotelach, ale nocowałam też w najgorszych, gdzie nie było łóżek, łazienki i prądu – w takich miejscach też byłam. Poznałam wszystko. Wiem, jak żyć bez pieniędzy i potrafię żyć mając pieniądze. Jestem bardzo szczęśliwa, zawsze jestem szczęśliwa. Nie choruję, czasem tylko mam jakieś zmartwienia, ale nie choruję – za to moje siostry chorują częściej ode mnie, chociaż nie mają więcej zmartwień. Ale ja nie. Moje życie jest w porządku, jest mi dobrze.

Marzę o tym, by wyjść za mąż. Miałam już szansę, by przeżyć młodość, doświadczyć wielu dobrych rzeczy. Teraz chciałabym założyć rodzinę. Nie chciałabym na zawsze zostać sama, jak teraz. Tutaj w Gwatemali, gdy minie twój czas, możesz już nie znaleźć męża... Chciałabym też dalej pracować, może otworzyć własny sklep? Wtedy, jeśli nie będę mogła już sama pracować, będę miała z czego żyć.

Gdy gdzieś wychodzę, nie muszę prosić nikogo o pozwolenie. Nie potrzebuję niczyjej zgody, po prostu wychodzę i już. Nie jestem zależna od żadnego mężczyzny, ani od moich rodziców. Mam pieniądze i mogę jechać.

Noszę różne stroje, najczęściej tradycyjne stroje z Chichicastenango, ale zakładam też inne: z Chiapas, z Meksyku, bluzki z Cobán i znad Jeziora Atitlán. Lubię nosić różnorodne stroje. Uważam, że każdy może nosić takie ubrania, jakie chce.

Czuję się ładna. Gdy wychodzę z domu, zawsze dobrze się ubieram. Gdy idę do pracy, kąpie się tylko, zakładam ubranie i nie szykuję się bardzo, bardzo, bardzo długo. Ale kiedy gdzieś wychodzę, zakładam nowe rzeczy, robię sobie makijaż, używam perfum – lubię to. A gdy idę na spotkania z dziećmi, zakładam krótkie spodenki albo spodnie. Tak mi się podoba. Lubię się bawić, lubię grać na automatach do gier. W ostatni piątek byłam na koncercie w Panajachel, bawiłam się do ostatniej minuty, bardzo mi się podobało. Chociaż mam już tyle lat, ile mam, ciągle lubię się dobrze bawić. Lubię też sport: piłkę nożną, koszykówkę, wszystkie gry zespołowe. Gram w drużynie przy moim kościele i gdy gdzieś razem wyjeżdżamy, często gramy.

Gdy byłam mała, bawiłam się w domu. A ponieważ nie mieliśmy pieniędzy, gdy chciałam mieć lalkę, brałam jakąś szmatkę i robiłam ją sobie sama. Nie mieliśmy zastawy stołowej do zabawy, więc brałyśmy liście drzew owocowych, chodziłyśmy na pole i bawiłyśmy się. Robiłyśmy sobie telefon: brałyśmy dwie puszki, robiłyśmy w nich dziury i łączyłyśmy długim sznurkiem. Gdy się go naprężało, można było rozmawiać jak przez telefon. Bardzo to lubiłyśmy. Gdy byłyśmy małe, mama kupowała nam spinki – gdy nas czesała, prosiłyśmy, by zakładała nam mnóstwo

spinek, miałyśmy całe głowy pełne różnych spinek. Kiedyś obciąłam sobie włosy, na początku nic nie było widać, ale gdy zaczęły odrastać, to już rzucało się w oczy. Zostałam za to ukarana, dostałam lanie.

Gdy byłam mała, chciałam zarabiać więcej pieniędzy. Robiliśmy pilleczki, byłyśmy trzy siostry i zakładałyśmy się, która zrobi więcej pilleczek w ciągu dnia. Mówiłam: *Ja zrobię tuzin!* I ściagałyśmy się. I szyłyśmy i szyłyśmy, w ogóle na siebie nie patrzyłyśmy, tylko na ręce. Moja siostra jest leworęczna, potrafi pracować prawą i lewą ręką, robiła więc dwie piłki jednocześnie. Ściagałyśmy się. Wszystkie zarobione pieniądze oddawałyśmy mamie, wszystkie, wszyscyuteńkie, nie zostawiałyśmy sobie ani centa. Mama kupowała nam bułki, czasami zjadałam po trzy albo dwie na raz i następne dwie. Nic dziwnego, że bardzo przytyłam. Byłam niska, niziutka, ale bardzo gruba.

Gdy mieliśmy owce, musiałyśmy przynosić dla nich siano. Robiliśmy ogromne snopki, ja niosłam jeden, a mama drugi – na plecach, a z przodu niosła mojego braciszka. Było mi jej bardzo szkoda, bo musiała dźwigać i dziecko, i siano. Robiłam więc tak: biegłam, odkładałam mój snopek i wracałam, żeby zabrać od mamy ten, który ona niosła. Potem znowu biegłam, żeby ją wyprzedzić i tak w kółko. Dobrze się przy tym bawiłam. Gdy pasłyśmy owce, zabierałyśmy ze sobą obiad. W porze posiłku jadłyśmy jajka z pomidorami i chili, zawinięte w liście, piłyśmy *atole*⁵. Bardzo to lubiłam.

Święta Bożego Narodzenia obchodziliśmy w kościele. Gdy byliśmy dziećmi, przygotowywałyśmy jasełka, opowieść o narodzinach Jezusa. Mieliśmy wąsy i odpowiednie stroje, śpiewaliśmy *Cichą noc*. Jedliśmy *tamales*⁶. A na Wielkanoc przygotowywałyśmy bułeczki maczane w miodzie. Odwiedzaliśmy rodziny braci mojej mamy, zanosiliśmy im bułeczki i jedliśmy razem. Dobrze się razem bawiliśmy. Teraz już tego nie robimy, czasy się zmieniły: mamy sklep, mieszkamy gdzie indziej. Wszystko jest inaczej niż kiedyś.

Odkąd byłam małą dziewczynką, chłopcy nie dawali mi spokoju. W podstawówce wszyscy chłopcy byli we mnie zakochani. Byliśmy jeszcze mali, przychodzili do mnie i mówili: *José cię kocha! Felix cię kocha! Tomás cię kocha!* Wszyscy! Byliśmy w klasie i mieliśmy rozwiązywać zadania, a chłopcy zasłaniali sobie twarze zeszytami tak, że było widać tylko ich oczy i mrugali do mnie. To było bardzo śmieszne. A ja nigdy nawet nie pomyślałam: „Chcę wyjść za mąż”. Myślałam tylko: „Muszę się uczyć, chcę pracować w biurze i nie mogę zaprzętać sobie głowy takimi rzeczami”. Pewnie, lubiłam flirtować, ale nie miałam zamiaru od razu wychodzić za mąż. Odkąd byłam mała, chciałam pracować w biurze, być profesjonalistką, uczyć się. I tak się stało, taką mam pracę. Moje marzenia się spełniają.

⁵ *Atole* – ciepły napój z masy kukurydzianej z różnymi dodatkami, np. z czekoladą, wanilią, owocami itd.

⁶ *Tamales* – potrawa przygotowywana z masy kukurydzianej zawijanej w liście kukurydzy, najczęściej gotowana na parze.

Gdy myślę o starości, zastanawiam się, co powinnam zrobić, by zapewnić sobie spokojne życie. Obserwuję starszych ludzi: po pierwsze, nie mają pieniędzy; po drugie, nie mogą pracować; po trzecie, nikt nie chce ich zatrudnić. Co wtedy zrobić? Myślę, że jedynym wyjściem jest własny sklep, który będę mogła prowadzić niezależnie od tego, czy wyjdę za mąż, czy nie, czy będę miała dzieci, czy nie. Gdy sama nie będę już mogła pracować, zatrudnię kogoś do pomocy. I nikt nie będzie mógł mi powiedzieć, że nie mogę tam pracować, bo to będzie moja własność.

Chciałabym mieć dobrą rodzinę: dzieci, męża, który będzie mnie szanował i nigdy nie zdradzi mnie z inną kobietą. Swoje już przeżyłam, poznałam mężczyzn, którzy okazali się kłamcami. Ciągłe czuję tamten ból i myślę czasem, że wszyscy są tacy sami. Szkoda mi matek, które samotnie wychowują swoje dzieci. Jeśli chce się ze mną umówić jakiś żonaty mężczyzna – nie ma szans, nie spotkam się z nim, nie będę z nim żartować, nie pójdę z nim na obiad. Nigdy tego nie zrobię. Ponieważ jeśli ja tak zrobię teraz, w przyszłości inna kobieta może zrobić to samo z moim mężem. A tego bym nie chciała. Wierzę, że zbierasz to, co sama zasiejesz.

Chciałabym mieć czworo dzieci. Jedno to za mało – gdy w rodzinie dzieje się coś złego, musi sobie radzić samo, nie ma nikogo do pomocy. A gdy jest dwoje dzieci, i jedno jest dobre, a drugie złe? Lepiej troje, a najlepiej czworo. Gdy tak mówię, mama odpowiada: *Teraz sobie planujesz, ale i tak wszystko będzie zależało od twojego męża.*

Wydarzenia w Gwatemali nie miały na mnie większego wpływu. Kiedyś tata pracował u jednej Niemki, miał wszystko zapewnione: pensję, ubezpieczenie pracownicze. Nie musiał płacić czynszu za wynajem lokalu, więc wszystko, co zarobił, zostawało dla niego. I kupował nam różne rzeczy: ubrania, jedzenie, wszystko. Ale gdy w kraju zaczął się kryzys, dużo firm zbankrutowało, wszędzie bankructwa, bankructwa, bankructwa. I ta Niemka też zbankrutowała. Zamknęła zakład, a wszystkie narzędzia, maszyny, stół, wszystko, czego używali w zakładzie krawieckim, zostawiła tacie. I chociaż tata dostał to wszystko, teraz musi płacić czynsz za lokal i czasem nie starcza mu już na nic innego. Dlatego mu pomagam, daję mu pieniądze. Gdyby nie musiał płacić czynszu, zostawiałabym te pieniądze dla siebie. Ale muszę pomagać rodzicom. Mama mi mówi: *Nie mamy już mydła. Nie mamy cukru. Skończyła się kawa. Nie mamy już nic do jedzenia. Jemy tylko pomidory, bez jajek i kielbasy.* A ja już tak nie lubię, przyzwyczaiłam się, żeby jeść pomidory z czymś jeszcze: z serem, ze śmietaną, z jajkiem. To i tak bardzo proste jedzenie. Myślę, że kryzys miał wpływ na kraj. Ludzie mówią też tak: *Gdy przyjeżdża dużo turystów, dużo sprzedajemy, zarabiamy i znowu kupujemy. Gdy nie ma turystów, nie ma sprzedaży, a my nie mamy pieniędzy.* A wszystko jest coraz droższe.

Wiele osób mnie krytykowało, mówili mojemu tacie: *Dlaczego posyłasz córkę do szkoły. Zobaczysz, za kilka miesięcy będzie nosiła pod sercem twojego wnuka.* Ale ja nie mam zamiaru robić tego, co podoba się innym, zresztą teraz to oni mają wnuki, nie ja. Byłam pierwszą dziewczyną z mojej wsi, która skończyła szkołę. Po

mnie wszystkie zaczęły się uczyć. Ale to ja byłam pierwsza. Kiedy sobie coś postanowię, muszę to zrobić. Zawsze myślę pozytywnie. Zdarzają się chwile, gdy traci się wiarę, nadzieję, ale trzeba się podnieść i powiedzieć sobie: musi mi się udać. Takie nastawienie pomogło mi iść do przodu.

Może po wyborach coś się zmieni na lepsze? Kto wie... Politycy dużo obiecują, ale gdy dostaną władzę, nic nie robią. Wczoraj byłam na spotkaniu wyborczym i słuchałam kandydatów. Jeden mówił: to jest dobre. A drugi na to: nieprawda, to jest złe. I tak jest zawsze. Zobaczmy, głosowanie jest w niedzielę⁷.

Moje stowarzyszenie współpracuje z wolontariuszami z zagranicy. Przyjeżdżają i sami opłacają swój pobyt. Pomagają nam projektować nowe produkty. Ale to nie zawsze dobrze wychodzi. Potem przychodzą do mnie ludzie i mówią: *Dlaczego pozwoliłaś na takie kolory? Takie kolory się nie sprzedają, są zbyt jaskrawe. To zostało zaprojektowane dla młodzieży, a młodzi ludzie nie kupują naszych rzeczy. Naszymi klientami są ludzie starsi.* Projektując produkt, trzeba wziąć pod uwagę, gdzie chcemy go sprzedawać, czy w Kanadzie, czy w Europie, czy w USA, czy dla Gwatemalczyków. W każdym miejscu ludziom podobają się inne kolory. Projektujemy produkty, a potem klienci mówią nam, jakie chcą kolory. Projekt jest najważniejszy, bo tego nie można zmienić, a kolory możemy dobierać dowolnie. Myślę, że pomoc wolontariuszy jest ważna – mamy inne gusta i nie potrafimy zaprojektować produktu, jeśli to nie my mamy być jego odbiorcami. Ale rzeczywiście nie wszystkie zaprojektowane przez wolontariuszy produkty, można potem sprzedać. Niektóre się sprzedają, a inne nie.

Czasem wolontariusze chorują. Nie wiem dlaczego, może przez zimno, przez klimat, może przez jedzenie? Ale są bardzo pomocni. Przyjeżdżają tutaj, poznają nowe rzeczy, wymieniamy się doświadczeniami.

Pierwszy telewizor kupiliśmy w 2005 roku, tak myślę. W domu mamy też radio, ma ze 20 lat. Kiedyś byliśmy naprawdę bardzo biedni, bardzo biedni. Mieliśmy słomiany dach, który przeciekał. Szliśmy do łóżek, a gdy padało, woda kapiała nam na głowy. Chcieliśmy mieć pieniądze. Pracowaliśmy, pracowaliśmy, pracowaliśmy i powolutku kupowaliśmy różne rzeczy, najpierw jedną, potem drugą i następną. Czasem rozmawiam z moimi siostrami i mówimy: *Lepiej jest, gdy twoi rodzice nie mają pieniędzy, bo wtedy musisz je zarobić i umiesz je docenić. A gdy twoi rodzice mają pieniądze, jest ci wszystko jedno: pracujesz czy nie pracujesz, każdy dzień jest dla ciebie taki sam.* Czasami przed zaśnięciem rozmawiamy sobie: *Pamiętasz, jak byliśmy mali i nie było nic do jedzenia? Jedliśmy suche tortille!* I wtedy wszyscy się śmiejemy. Ale ciągle o tym pamiętamy.

⁷ Odilia opowiedziała swoją historię tuż przed wyborami parlamentarnymi i prezydenckimi w Gwatemali, we wrześniu 2011 r. Prezydentem Gwatemali został emerytowany generał, przewodniczący Partii Patriotycznej Otto Pérez Molina, a jego partia wygrała wybory parlamentarne. Molina został pierwszym wojskowym w stanie spoczynku, który objął urząd prezydencki po zakończeniu wojny domowej. Jako kandydat na prezydenta obiecał wysłać wojsko na ulice do walki z gangami narkotykowymi i zbudować nowe centralne więzienie.

Nie miałam żadnych wzorców, nie naśladowałam nikogo ani nie podziwiałam – wszystko zrobiłam sama. Czasem tylko, gdy widzę kobiety, które potrafią robić różne rzeczy, myślę: „Ja też mogę!”.

Carmen de Vernura

Urodziłam się w stolicy Gwatemali w 1962 roku. Moja mama była drugą żoną ojca, a gdy się rozwiedli, ten ożenił się ponownie, mam więc pięcioro przyrodniego rodzeństwa. Wychowywałam się z mamą i dziadkami. Mama pochodzi z Quetzaltenango i tam przeprowadziłyśmy się po rozwodzie rodziców. Tata pochodzi z San Cristobal Totonicapán.

Rodzice rozwiedli się, gdy byłam małeńka, znam więc tylko moją mamę. Z tatą widywałam się sporadycznie i niewiele nas łączy. W tamtych czasach rozwody nie były akceptowane, mama wiele wycierpiała. Byłam jedynym dzieckiem z tego związku, a moje rodzeństwo to dzieci, które miał mój tata z innymi kobietami. Mama wyszła ponownie za mąż, ale po jakimś czasie też się rozstali i nie mieli dzieci.

Wychowywali mnie dziadkowie. Nigdy niczego mi nie brakowało, bo byli za-możnymi ludźmi, zresztą tak jak mama. Gdy byłam mała, nie brakowało mi niczego. Miejsce ojca zajęli mama i dziadkowie, którzy otoczyli mnie troską i miłością. Moje dzieciństwo nie było nieszczęśliwe i tak naprawdę nie znałam wyrzeczeń: całe życie uczyłam się w szkołach prywatnych, nigdy nie musiałam chodzić do państwowej szkoły. Żyliśmy na dobrym poziomie.

Moi dziadkowie byli kupcami, sprzedawali wyroby tkackie, skóry i inne podobne rzeczy. Mama przez jakiś czas pracowała za granicą, potem wróciła, związała się z nowym mężczyzną i choć nie wyszła za mąż, dobrze jej się wiodło.

Szkola to dla mnie szczęśliwy okres, naprawdę szczęśliwy. Ale był to też czas trudny – nie było łatwo uczyć się w prywatnej szkole będąc dziewczynką *indígena*. Kiedyś nie każde majańskie dziecko mogło uczyć się w prywatnej szkole – można nas było policzyć na palcach jednej ręki. W stolicy, w Gwatemali, uczyłam się w szkole Colegio Guadalupano, należącej do kongregacji Maricnol. Tam skończyłam zerówkę. Rok później przeniosłam się do Quetzaltenango, gdzie skończyłam szkołę podstawową Jesús de la Esperanza, potem poszłam do szkoły ewangelickiej La Patria.

Tak, byliśmy dyskryminowani – nie to, co teraz, teraz jest inaczej. W mojej rodzinie prawie nie mówiono w quiché – języku Majów, w ogóle go nie używaliśmy. Tradycyjne stroje nosiliśmy rzadko, tylko na specjalne okazje. Zupełnie nas wykorzeniono. Myślę, że moi dziadkowie wychowywali mnie w ten sposób, żeby oszczędzić mi cierpień, przez które sami przeszli. Żyli w trudnych czasach – dziadkowie i pradiadkowie pracowali bardzo ciężko, ale nigdy na swoim, zawsze dla Europejczyków. Quetzaltenango to specyficzne miasto, wielu Europejczyków zamieszkało tu na stałe i dzięki temu ludzie stawali się bardziej świadomi, pojawiały się nowe możliwości. Dlatego Xela¹ tak bardzo różni się od innych miejsc,

¹ Quetzaltenango, zwane również Xela, to czwarte pod względem liczby mieszkańców miasto Gwatemali.

naprawdę. Czujemy, że to miasto rzeczywiście się rozwija. Wyobrażam sobie, że moi dziadkowie wiele przeszli, ale chyba nie było tak źle, jak w innych miejscach, chociaż *ladinos* nigdy nie tracili okazji, żeby nam dokuczyć. W takich czasach żyłam jako mała dziewczynka. Tradycyjny strój zakładałam wyłącznie podczas świąt i na specjalne okazje. Nie wolno było ubierać się tak do szkoły, wszyscy musieli chodzić w szkolnych mundurkach. To też się teraz zmieniło. Gdy porównuję stopień dyskryminacji w Quetzaltenango i w innych miejscach, to myślę, że tutaj było znacznie lepiej. Pewnie, nie było mi z tym dobrze, ale gdy wyjeżdżałam do innych miejscowości, od razu czułam różnicę. Wtedy mnie to denerwowało, ale gdy jest się małym, nie rozumie się wielu rzeczy. Na przykład dlaczego nie zapraszano nas na urodziny albo dlaczego nie mogliśmy uczestniczyć w niektórych wydarzeniach. To nie są dobre wspomnienia, ale nauczyłam się żyć w takich realiach. Miałam koleżanki i kolegów *indígenas* i *ladinos*, z wieloma z nich do tej pory utrzymuję kontakt. Ale Majowie coraz bardziej upodabniają się do *ladinos* i może dlatego nie rozmawiamy już za bardzo o dyskryminacji, staramy się mieć dobre relacje z każdym i wszystko zmierza ku lepszemu.

Gdy byłam dzieckiem lubiłam grać w gry zespołowe – bawiliśmy się w berka, kółko graniaste, graliśmy w koszykówkę. Mieliśmy czarno-biały telewizor i radio, ale programy były zupełnie inne niż teraz. W tamtych czasach w telewizji były tylko dwa kanały: jedenasty i trzeci.

W domu byłam przygotowywana do roli kobiety – uczyłam się prać, gotować, sprzątać, prasować. Już gdy byłam małą dziewczynką, uczyłam się, jak prowadzić dom, jak dobrze gospodarować i wykorzystywać wszystko, co było pod ręką, żeby nie wydawać za dużo i niczego nie marnować. Bardzo dbaliśmy o porządek. Większość dzieci już o piątej rano sprzątała ulicę przed domem i patio – nawet jeśli było zwykłym klepiskiem, zawsze było czyste, nigdy nie było tam śmieci. Mieliśmy różne zwierzęta: kury, świnie i inne – wszystkie mieszkały na zewnątrz, nigdy nie wpuszczaliśmy ich do domu. Każdy z domowników miał swoje obowiązki. Tak nas wychowywano. Braliśmy udział w wielu spotkaniach organizowanych dla całej społeczności – dziewczynki i młode kobiety były odpowiedzialne za przygotowanie poczęstunku, przyniesienie masy kukurydzianej, przygotowanie *tamales* – nadziewanego ciasta z mąki kukurydzianej, obieranie warzyw. Teraz to się zmienia, ale kiedyś był to obowiązek młodych dziewczyn. Dwa, trzy dni przed świętem szłyśmy na targ, żeby zrobić zakupy. Kobiety z Quetzaltenango są pod tym względem bardzo, bardzo kobiece. I wydaje mi się, że tak powinno być. Tak jest dobrze. Dzięki temu, że tak mnie wychowano, teraz potrafię zająć się domem, umiem zadbać o to, co mamy. Jeśli sama nie umiesz pracować, nie będziesz też potrafiła zarządzać innymi. Tak samo wychowujemy naszą córkę – na kobietę przygotowaną intelektualnie, duchowo, moralnie, która będzie też potrafiła zająć się domem. Na kobietę w pełnym znaczeniu tego słowa. Ponieważ nikt nas, *indígenas*, nie nauczył dobrego gospodarowania, teraz wydajemy pieniądze na to, czym i tak

nie możemy nakarmić naszych dzieci, jesteśmy konformistami, jesteśmy trochę nieodpowiedzialni. Myślę, że dzieci trzeba wychowywać inaczej. Dzięki Bogu miałam babcię i dziadków, którzy nie tylko zrozumieli to wszystko, ale i wprowadzili w życie. Moja mama świetnie gotuje i chociaż ma już 82 lata, nigdy nie odpoczywa. Przez całe życie sprząta, układa – czasem w pośpiechu nie odłożę czegoś na swoje miejsce, wtedy ona to sprząta, w domu zawsze jest porządek. I lubi gotować. Jak na swój wiek jest bardzo aktywna.

Gdy byłam małą, nie lubiłam tego. Wszyscy mi mówili: zrób to, zrób tamto. Wiadomo, że się nie lubi obowiązków. Ale z upływem czasu zdajesz sobie sprawę, jakie to potrzebne.

Moja rodzina stworzyła mi świetne warunki do uczenia się. Skończyłam podstawówkę, gimnazjum, szkołę średnią, zdobyłam zawód sekretarki i studiowałam na uniwersytecie.

Posłali mnie na uniwersytet, ale straciłam rok, bo kazali mi studiować turystykę, chociaż nie chciałam. Nie lubiłam uczyć się języków obcych. Straciłam rok, a mama bardzo się zdenerwowała i kazała mi iść do pracy. Zaczęłam więc pracować jako sekretarka i w tym samym czasie studiowałam. Miałam wsparcie rodziny, ale stawiałam się coraz bardziej samodzielna. Zrobiłam licencjat z psychologii i zaczęłam pracować w Chichicastenango przy programie wsparcia dla wdów i sierot, koordynowanym przez organizację z Norwegii. Przyjechałam do Chichicastenango w 1985 roku, do regionu Quiché. Pracowałam tam mniej więcej 3 – 4 lata. Brałam udział w szkoleniach za granicą, uczestniczyłam w pracach Międzyamerykańskiej Komisji Praw Człowieka. Bardzo lubiłam moją pracę. Opracowywałam testy psychometryczne, kształciłam liderów, którzy potem prowadzili programy wsparcia dla dzieci i wdów, pomagając im radzić sobie z problemami emocjonalnymi, związanymi bezpośrednio z tym, co wydarzyło się podczas konfliktu zbrojnego. Pracował z nami lekarz, który dbał o zdrowie fizyczne, ja zajmowałam się zdrowiem psychicznym. Jednym z elementów terapii dla kobiet był program małych firm. Mieliśmy też program odbudowy infrastruktury, ulepszania domostw, był program ochrony zdrowia, program rolniczy – o tym, jak uprawiać ziemię i hodować zwierzęta: kury, kozy. Wtedy uprawiało się dużo soi. I to wszystko, co można było zrobić. A i to było trudne ze względów politycznych. Byliśmy stale kontrolowani, władze obawiały się, że nakładziemy ludziom do głów nie wiadomo czego. Ale udało nam się zrobić dużo dobrego, naprawdę dobrego, ta organizacja nie była paternalistyczna, uczyła ludzi samodzielności. W programie ochrony zdrowia mieliśmy do czynienia z bardzo trudnymi przypadkami, wtedy inaczej spojrzałam na swoje życie: porzuciłam pewien styl życia i znalazłam się w nowych okolicznościach, bardzo smutnych, bardzo trudnych. A potem poznałam Diego, zakochaliśmy się, pobraliśmy i przestałam pracować jako psycholog, żeby pomóc mu w interesach. Już nie skończyłam studiów. Ale nie żałuję, bo dzięki temu mogłam sama wychowywać swoje dzieci i być z nimi. Chciałam, żeby kochały mnie tak, jak mnie kochają, żeby nie wychowywała ich niania

albo babcia, tylko my, rodzice. Dzięki interesom mojego męża mogliśmy wychować nasze dzieci, tak jak chcieliśmy. Nie było mi łatwo, obojgu nam nie było łatwo, bo wychowywanie dzieci nie jest łatwe. Mamy dwoje dzieci: Diego i Anny.

Moją pierwszą pracą była posada sekretarki. Miałam praktyki w urzędzie miejskim w Quetzaltenango, potem dostałam tam etat, pracowałam w wydziale dowodów osobistych, a później w administracji cmentarza miejskiego. Ale moją pierwszą pracą była posada sekretarki u Mauricio Capuano, właściciela fabryk produkujących materace. Capuano to wpływowa rodzina włoskiego pochodzenia, dla nich pracowałam jako sekretarka w fabryce.

Nie pamiętam, na co wydałam swoje pierwsze pieniądze, zupełnie nie pamiętam. Pewnie kupiłam coś, co było mi potrzebne do pracy – trzeba było dobrze wyglądać, być eleganckim. Nie byłam zbyt oszczędna.

Potem przez rok nie pracowałam. Poszłam na praktyki z nadzieją, że zostanę zatrudniona w więzieniu Granja Penal de Cantel. Pracowałam już jako psycholog, prowadząc program dla więźniów. Pracowałam tam przez rok, ale nie mogłam zostać dłużej. Szkoda, bo była to naprawdę bardzo satysfakcjonująca praca, bardzo dużo się nauczyłam. Gdybym nie wyszła za mąż, gdybym nie przyjechała do Santa Cruz. Bo w Santa Cruz przygotowali mnie do psychologii społecznej, a wcześniej zajmowałam się psychologią sądową. Chciałam poznać medycynę, prawo, żeby mieć większą wiedzę. Nie planowałam przenosić się do Santa Cruz. Pewnego dnia na uniwersytecie pojawiło się ogłoszenie, szukano psychologa o majańskim pochodzeniu, który znałby język quiché. A ja nie znałam quiché. Moje dzieci też nie mówią w quiché i teraz bardzo tego żałujemy. Rozumieją, ale nie potrafią aktywnie uczestniczyć w rozmowie. I ponieważ nie znam quiché, myślałam, że nie zostanę wybrana, ale wtedy – mówimy o świecie sprzed 25 lat – nie było łatwo znaleźć wykształconych specjalistów wśród Majów, którzy byłiby do tego dyspozycyjni i gotowi przyjechać w te regiony. Dostałam więc tę pracę i miałam tłumacza, ale to bardzo utrudniało moje zadanie, uniemożliwiało nawiązanie bliższych relacji. Czasami, obserwując mimikę czy gestykulację, zdawałam sobie sprawę, że ludzie mówią co innego niż przekłada tłumacz. Nie było mi łatwo. A język quiché w każdym regionie jest inny, każdy ma swoje specyficzne idiomy.

Przyjechałam tu pracować i było to dla mnie niezapomniane doświadczenie. Czasem narzekamy, nie jesteśmy zadowoleni z tego, co mamy, prawda? Zawsze chcemy więcej. Ale gdy tu przyjechałam, zobaczyłam na własne oczy, jak cierpią moi bracia. I pod tym względem niewiele się poprawiło. I mam na myśli zarówno wojnę, jak i *machismo*² i dyskryminację.

Pomoc psychologa nie była powszechna, było to bardzo trudne zadanie, bo nie było na ten temat żadnej literatury. Uczyliśmy się empirycznie, przez doświadczenie.

² *Machismo* (z hiszp. *macho* to dosłownie samiec, ale również mężczyzna) – postawa mężczyzn przesadnie demonstrująca silne wewnętrzne poczucie męskości i dumy. *Machos* podkreślają swoją przewagę nad kobietami i traktują je instrumentalnie.

Psychologia z miasta to nie to samo – w mieście pomaga się dzieciom, które mają problemy, bo rodzice są alkoholikami, pomaga się ofiarom przemocy w rodzinie itp. W mieście jest inna kultura. Co innego na wsi, bo nie mówimy nawet o przedmieściach, ale o terenach wiejskich. Była to trudna praca, zupełnie nowa, a ja byłam młodą dziewczyną bez doświadczenia. I było to dla mnie przeżycie, którego nigdy nie zapomnę, które miało wpływ na całe moje życie – zdałam sobie sprawę, że nie mamy żadnych powodów do narzekań. Jeśli mamy co jeść, gdzie mieszkać, żyjemy w spokoju – czego jeszcze możemy chcieć od życia? Na początku wszystko było dla mnie emocjonalnie bardzo trudne. Spotykałam kobiety, które stały się wdowami samotnie opiekującymi się dziećmi; babcie, które zostały same z wnukami, bo zabito ich rodziców. Jak staruszka ma poradzić sobie z wychowaniem dzieci? Spotykałam dzieci chore, z niepełnosprawnością umysłową od urodzenia... oj, wiele przypadków, tak ciężkich, że nie można było w żaden sposób pomóc. Na początku chce się pomóc wszystkim, rozwiązać wszystkie problemy, potem zdajesz sobie sprawę, że nawet robiąc wszystko, co w twojej mocy, nie możesz... Myślę, że najlepsze co zrobiliśmy to, że wysłuchaliśmy tych ludzi. Tylko tyle i aż tyle. Nie było żadnego innego rozwiązania. Empatia, uwaga, uczucie, cierpliwość – stajesz się innym człowiekiem, zdobywasz cechy, których wcześniej nie miałaś. Chyba ja zyskałam najwięcej dzięki tej pracy. Pewnie, że osoby, którym pomagaliśmy, też na tym skorzystały, ale chyba najbardziej zyskałam ja. Staram się nigdy nie zapominać o tym doświadczeniu, żyć zgodnie z tym, czego się tam nauczyłam. Gdy moje dzieci poszły do szkoły, musiałam być cierpliwa, żeby je uczyć, żeby zmieniły to, co w przyszłości mogłoby im zaszkodzić. Zwłaszcza dziewczyny – staram się, by inaczej patrzyły na świat, by czuły, że jako kobiety mają swoją wartość, że możemy iść do przodu, choćby życie było bardzo ciężkie. I chłopców też. To bitwa, która się nigdy nie kończy.

Męża poznałam podczas jednego z zebrań organizowanych wówczas przez Ministerstwo Rozwoju. Były to spotkania władz lokalnych i przedstawicieli organizacji pozarządowych. On był wówczas w radzie miasta, miał dopiero 26 czy 27 lat i już był radnym. Studiował w Quetzaltenango i tam się widywaliśmy, ale nie spotykaliśmy się. Moja rodzina to lokalni patrioci, do dzisiaj nie mieści im się w głowie, że wyszłam za kogoś spoza Quetzaltenango. To trudne. To bardzo zamknięte środowisko. Majowie z Quetzaltenango tacy są. Wszyscy sobie pomagają, ale gdy tylko zdarzy się coś nie po naszej myśli, wtedy... nie, nie, nie. Znaliśmy się więc z widzenia, ale ja miałam swoich znajomych. Ale gdy przeprowadziłam się tutaj, zaczęliśmy się częściej spotykać, pracowaliśmy w tym samym miejscu. Aż w końcu staliśmy się parą i sześć miesięcy później wzięliśmy ślub. Szybko. Szybko się pobraliśmy. I zamieszkałam tutaj, w Chichicastenango. Najpierw utworzyliśmy małą restaurację w centrum handlowym, teraz mamy tam kawiarnię. Rodzina mojego męża miała sady jabłoni, on też pracował przy ich uprawie. Ale gdy się ożeniliśmy, już planował otwarcie kawiarni. Nie miałam pojęcia, w co się pakuje. Wspieraliśmy siebie nawzajem, urodził się nasz pierwszy syn – nie mogłam już pracować jako

psycholog. Gdy pracowałam, musiałam jeździć w różne miejsca: do Oyaba, Santa Cruz, Chiche, Sololá, San Bartolome, San Pedro, San Atonio, a w planach było rozszerzenie działań jeszcze dalej na północ. Nie mogłam już tak pracować. Gdy wyjeżdżałam, nie było mnie przez 3 – 4 dni, czasem tydzień. A transport publiczny nie był tak zorganizowany jak teraz – teraz można bardzo szybko i łatwo wszędzie dotrzeć. Przestałam więc pracować.

Tęskniłam za pracą, ale wiedziałam, że moje życie się zmieniło. Nie mogłam już po prostu powiedzieć: chcę robić to czy tamto, to już musiała być wspólna decyzja. Do dzisiaj tak robimy, mój mąż nigdy mi niczego nie narzucił, nigdy nie usłyszałam: musisz zrobić tak. Mój mąż ma inne podejście, inną mentalność i dlatego zdecydowałam się z nim tutaj zostać.

Jedyne czego nie chciałam, to żeby dzieci chodziły do szkoły w Chichicastenango. Nasze dzieci nigdy się tu nie uczyły. Chodziły do szkoły w Quetzaltenango. Byliśmy cały czas w podróży. Gdy była kolej męża, by pojechać do dzieci, wyjeżdżał stąd o dziesiątej wieczorem, był na miejscu o jedenastej, spał z dziećmi, a rano odprowadzał je na autobus, którym dojeżdżały do szkoły. Potem wracał do Chichicastenango. Czasami ja jeździłam do nich w południe. I tak spędziliśmy ostatnich dwadzieścia kilka lat. Po to, żeby dzieci miały dobre wykształcenie, żeby mieszkały wśród swoich, w swojej grupie etnicznej. W Quetzaltenango ciągle żywa jest tradycja, zwyczaje, szacunek. Co innego tutaj, mówi się, że to region *indígena*, ale wydaje mi się, że ludzie nie są dumni z tego, że są Majami, że jest to dla nich obciążeniem. U nas jest inaczej. I chociaż nie nosimy tradycyjnych strojów i nie mówimy w quiché, czujemy się wyróżnieni, bo jesteśmy *indígena*. Razem z mężem chcieliśmy, by nasze dzieci też to poczuły, by miały możliwość poznać obie sytuacje.

Wśród naszych tradycji najważniejszy jest szacunek, szacunek dla starszych, jedność, wspieranie siebie nawzajem. Naszych obrzędów związanych ze śmiercią w Chichicastenango nie spotkasz. Jesteśmy bardziej zjednoczeni, bardziej sobie pomagamy, dla nas śmierć to zarówno rozstanie jak i połączenie. Mamy specjalne zwyczaje ślubne, silne są więzi z rodzicami chrzestnymi.

Jestem katoliczką, mój mąż wychował się wśród tradycyjnych wierzeń Majów. Teraz łączymy te dwie tradycje, tak też wychowaliśmy nasze dzieci. Obchodzimy Boże Narodzenie, Wielki Tydzień, tak jak wszyscy. Ale obchodzimy je z większą pasją. Gdy przyjechałam tu po raz pierwszy, Boże Narodzenie było jak każdy inny dzień. Ze względu na targ rękodzieła w Chichicastenango, codziennie był dzień handlowy. Nadchodził 22 grudnia – dzień handlowy, dopiero 23 grudnia przypominano sobie o świętach. Kiedyś spędzało się święta z rodziną, teraz stały się skomercjalizowane – ledwie minie Wszystkich Świętych, a już we wszystkich centrach jest Boże Narodzenie. To się bardzo zmieniło. W mojej rodzinie staramy się obchodzić święta. Diego z naszą córeczką zawsze robili bożonarodzeniową szopkę, zaczynali ją robić już na początku grudnia i do dzisiaj to się nie zmieniło. Tutaj, w Chichicastenango, spędzamy większość świąt. Ale zawsze staraliśmy się, by dzieci poznały oba miejsca.

Obowiązki związane z prowadzeniem restauracji dzielimy na cztery, bo dzieci też są zaangażowane w prowadzenie firmy. Nawet gdy nas nie ma, doskonale wiedzą, co trzeba robić. Ale nie mieszkają tu na stałe. Diego mieszka w stolicy, przyjeżdża i wyjeżdża. Gdy wyjechał za pierwszym razem, chcieliśmy, by nie przyjeżdżał zbyt często do domu, żeby stał się niezależny, nauczył się żyć samodzielnie. Dużo go to kosztowało. Bardzo dużo. Do dzisiaj, gdy tylko może, zawsze przyjeżdża do domu. Córka mieszka w Quetzaltenango, właśnie skończyła szkołę i jeśli się uda, to pojedzie na studia do stolicy. Chcemy, żeby nasze dzieci inaczej patrzyły na świat. Diego mógł dwa razy wyjechać na stypendium za granicę, ale nie chciał i nie mogliśmy go do tego przekonać. Chcielibyśmy, by nasze dzieci umiały porozumieć się z każdym, żeby nie czuły się ani lepsze, ani gorsze. Nie ma żadnego przepisu, jak być rodzicem, ale staramy się zrobić wszystko, co w naszej mocy, by nasze dzieci były dobrymi ludźmi. To jest sedno człowieczeństwa – jesteśmy tu, by służyć i mam nadzieję, że nasze dzieci to rozumieją.

Najwspanialszy moment w moim życiu, kiedy poczułam się naprawdę spełniona, to te dwa razy, gdy stałam się matką.

A jeśli chodzi o urodę, to nie przejmuję się zbyt swoim wyglądem, teraz już nie interesuje mnie farbowanie włosów, makijaż. Kiedyś – owszem, ale teraz bardziej interesuje mnie rozwój duchowy. I jestem bardzo szczerą i zawsze mówię innym to, co naprawdę myślę. Mam przez to wiele problemów. Nigdy nie mówię pani X, żeby powiedziała coś pani Y. Jeśli mam coś do powiedzenia, mówię to wprost. Moi chrześniacy dobrze to znają, zawsze mówię do nich wprost. Tak samo traktuję przyjaciół i znajomych, dzięki Bogu mamy tu swoje przyjaźnie, i oni doskonale wiedzą, że jesteśmy bardzo bezpośredni. Z tego powodu miałam wiele problemów w relacjach z ludźmi – jestem zbyt szczerą, a to nie jest tutaj powszechne. Nauczyłam się jednak z tym żyć i nie mogę stać się kimś, kim nie jestem. I nie przejmuję się wyglądem. Czasem mówię do córki: *ubierz się ładnie, umaluj* – chcę, żeby przeszła przez wszystkie etapy życia. I zawsze jej powtarzam: *W dzieciństwie i młodości trzeba żyć pełnią życia, żeby jako pięćdziesięcioletnia kobieta nie robić rzeczy, które przystoją osiemnastolatkom*. Na każdym etapie życia trzeba robić to, co należy.

Staramy się być nowoczesnymi rodzicami. Moje pokolenie zostało w tyle, teraz są zupełnie inne czasy. Kiedyś, najgorsze co mogło przydarzyć się dziewczynie, to ciąża bez ślubu. To było najgorsze, co nas mogło spotkać – nieślubne dziecko. Dzisiaj jest inaczej – zaszła w ciążę i nie wychodzi za mąż? W porządku. Już nie jest to piętnowane. Chociaż w mniejszych miejscowościach można usłyszeć: popatrz, co jej się przydarzyło. Chce wyjść za mąż – w porządku. Nie chce – też dobrze. My też to szanujemy.

Ale teraz młodzi ludzie są narażeni na więcej niebezpieczeństw: choroby, AIDS, rzeczy, których nie można dostrzec, ale trzeba się przed nimi chronić. I jeśli się przytrafia, przyjąć je ze spokojem, ale robić wszystko, by ich uniknąć. Nie mówimy już dzieciom: uważaj, bo zajdziesz w ciążę. Nie mówimy: unikaj

seksu. Intymne relacje pojawią się prędzej czy później i lepiej porozmawiać o tym wcześniej i powiedzieć: uważaj na siebie, zabezpiecz się, nie z powodu ciąży, ale ze względu na choroby, którymi możesz się zarazić, które mogą mieć wpływ na całe twoje życie. Bo jeśli będziesz w stałym związku, będziesz musiał powiedzieć o tym swojej partnerce, żeby ją chronić. Myślę, że to jest największe zagrożenie dla współczesnych kobiet.

Wszystko się zmienia. Kiedyś nie było mowy o związkach homoseksualnych – dzisiaj to normalne i trzeba patrzeć na to właśnie z takiej perspektywy. Jeśli okaże się, że ktoś z moich dzieci ma inną orientację, inne preferencje, to przecież zawsze będzie moim dzieckiem i nigdy nie przestaniemy go kochać. Nie będzie łatwo, bo zostaliśmy inaczej wychowani, rośliśmy w świecie pełnym tabu, ale to przecież nasz syn, nasza córka, zawsze będziemy kochać ich tak samo, zawsze będziemy ich wspierać i chronić, a może nawet wyślemy w inne miejsce, gdzie nie byliby oceniani, gdzie nikt by ich nie ograniczał. Tyle było przypadków samobójstw...

Dla nas, rodziców, łatwiej jest żyć przeszłością niż iść z duchem czasu. To wymaga wysiłku. Ja i mój mąż wychowaliśmy się w czasie maszyn mechanicznych, a udało nam się co najwyżej zrozumieć sprzęt elektroniczny. Gdy studiowaliśmy, nie mieliśmy komputerów – nasze dzieci znają je od urodzenia. To dzieli nasze czasy od współczesności. Naszym zadaniem jest teraz dbać o mądrość z przeszłości i przystosować się do tego, co jest teraz. W przeciwnym razie czeka nas straszna konfrontacja. Przez mniej więcej pięćdziesiąt lat wszystko było stałe, nie było zmian tak rzucających się w oczy. Postęp technologiczny nas tak mocno nie dotyczył. Podróż na księżyc, satelity to były nowinki, które nie miały wpływu na nasze życie. Ale zmiany ostatnich lat... Kto teraz nie ma komórki? Gdy my dorastaliśmy, to właśnie telefon był nieosiągalny. Telefony były tylko dla wybranych, dla znajomych ministrów, dla wysokich urzędników. Nawet nie marzyliśmy o telefonie, korzystaliśmy z telegramu. A dzisiaj? Kto nie ma telefonu? Czasem idę na targ zrobić zakupy, a sprzedawczynie gadają przez telefon. Nie można powiedzieć, że brakuje nam komunikowania się, nawet za dużo się komunikujemy! Ale to już nie jest komunikacja bezpośrednia, twarzą w twarz. Teraz porozumiewamy się przez Internet, nie mamy już fizycznego kontaktu. Słyszę od moich dzieci: ale moja koleżanka to..., a mój kolega tamto... Gdy byłam młoda, ile trudu kosztowało uzyskanie pozwolenia od rodziców, by się spotkać, wyjść gdzieś razem, iść do kina. Trzeba było prosić o pozwolenie i nie było żadnej możliwości porozumiewania się. Umawialiśmy się, że spotkamy się w parku o jakiejś godzinie i czekaliśmy na wszystkich, a gdy ktoś nie przychodził, znaczyło to, że nie dostał pozwolenia. Za to teraz młodzi są ze sobą w stałym kontakcie. To przerażające, kiedy myślimy o wszystkich pokusach, które na nich cychają. Razem z mężem zostaliśmy daleko w tyle. Czasami po prostu nie uda ci się dostrzec, co dzieje się z twoim dzieckiem. Nie wiemy, gdzie mieszkają ich znajomi, z jakich rodzin pochodzą. Kiedyś wiedziało się wszystko: ta koleżanka jest córką... itd. Teraz nie znam nikogo. *Poznaj Monikę – mówią mi. To Juan. To Pedro. – I kim są? –*

A, mieszkają w... Ale przecież nigdy ich nie zobaczymy! A gdy będziemy mieli wnuki? Nasze wnuki będą myślały, że jesteśmy tacy zacofani, tacy zacofani! Z epoki kamienia łupanego! Tak właśnie będzie. Nasze pokolenie zostało w tyle.

Podróże? Byłam dwa razy w Meksyku i dwa razy w Kostaryce. Nie za bardzo lubię podróżować. Może to przez pracę? Gdy mam okazję, by odpocząć, chcę odciąć się od świata. Chciałabym podróżować, ale wolałabym wyjechać gdzieś na dłużej – na miesiąc, żeby rzeczywiście poznać, zobaczyć. Lubię za to usiąść przed domem i obserwować, patrzeć, ale nie oceniać. Przyglądam się i zastanawiam: kim jest ten człowiek, dokąd idzie? Bracia mojego męża mieszkają w USA. Ale po co miałabym tam jechać? Żeby iść do centrum handlowego? Być może chciałabym pojechać do Francji, do Anglii, ale tu barierą jest język. Nie jest łatwo, gdy nie można się porozumieć. Bylibyśmy tam jak głupcy, nie moglibyśmy nigdzie dotrzeć i wrócilibyśmy niezadowoleni. Z drugiej strony byłoby to niezapomniane doświadczenie – ale ja lubię poznawać, wiedzieć, a czekałyby na mnie wyłącznie wątpliwości i niezaspokojone pragnienia, bo nie mogłabym niczego zgłębić. Żeby coś poznać, trzeba mieć czas i środki. Żeby obejrzeć budynki, wystarczy spojrzeć na zdjęcia, pocztówki – pewnie, że są ładne, ale to tylko infrastruktura, zobaczyć architekturę nie znaczy coś poznać.

Gwatemala to kraj wielu szans. Jeśli ktoś naprawdę chce pracować, by lepiej żyć, uda mu się. To prawda, że stolica to zupełnie inna historia, ale nawet na wsi jest mnóstwo możliwości, tylko nikt nie chce tam jechać, wszyscy skupiają się w miastach i w Gwatemali, w stolicy i na jej przedmieściach. To także kraj wielu potrzeb, wielu braków i póki tak będzie, nie uda nam się iść do przodu. Nie uda się, jeśli będziemy tylko czekać, aż rząd coś zrobi. Codziennie narzekamy na to, co robi rząd i na to, czego nie robi, ale jeśli sami nie weźmiemy się do pracy, nic się nie zmieni. Można bez końca czekać, żeby nam dano – przestać się starać. Przed laty w okresie wakacji do restauracji przychodziło wielu młodych ludzi, którzy prosili o pracę. Zawsze staraliśmy się z nimi rozmawiać, uczyć ich, wychowywać. Wykształciliśmy już czterech chłopaków, teraz są nauczycielami albo pracują na promach.

Jakie mam marzenia? Marzy mi się mnóstwo pieniędzy! A tak na poważnie, razem z mężem mamy jeszcze mnóstwo planów, których nie możemy zrealizować ze względu na brak środków. Ale mamy nadzieję, że starczy nam życia, sił, zdrowia i będziemy mieli spokojną starość. Staramy się bardzo o siebie dbać i to jedno z naszych największych pragnień: mieć dobrą starość, nie stać się ciężarem dla naszych dzieci.

María Jacinta Xón

Urodziłam się 21 listopada 1980 roku w Chichicastenango, w samym środku wojny¹. Wieś, w której się wychowałam, jest maleńka. Wszyscy mieszkańcy postanowili, że jeśli wojsko poprosi nas o pomoc, jeśli żołnierze zapytają, czy coś widzieliśmy, odpowiemy, że nie widzieliśmy niczego. A gdy o to samo zapytają nas partyzanci, odpowiemy w ten sam sposób. Dowódca patrolu cywilnego² był bardzo mądry, był dobrym przywódcą i tak potrafił zorganizować naszą małą społeczność, że ominęły nas skutki wojny domowej, która wstrząsała krajem.

Byliśmy jedyną wsią w całym Chichicastenango, w której nie było ani jednego przypadku uprowadzenia, z której nie zginęła ani jedna osoba. Miałam wiele szczęścia, że na własnej skórze nie doświadczyłam okrucieństwa wojny. W mojej wsi nie było też prądu ani telewizji. Moje dzieciństwo było wyjątkowe, byłam uprzywilejowana, nieświadoma wojny. O konflikcie zbrojnym dowiedziałam się, gdy miałam 15 lat i poszłam do szkoły w pobliskim mieście. Właśnie tam dowiedziałam się, że jest wojna. Jestem pewna, że miało to ogromny wpływ na moje życie: nie dorastałam w strachu, nie słyszałam o prześladowaniach, nie dotyczyło mnie to, co stało się udziałem wielu osób w moim wieku, z mojego pokolenia. A były to straszne doświadczenia: rodzice wielu z nich zostali zamordowani, porwano ich krewnych, wielu musiało emigrować, uciekać itd.

Mój tata był nauczycielem w szkole podstawowej. Teraz jest już na emeryturze, ale należał do pierwszego pokolenia nauczycieli – jeszcze w czasach, gdy nauczyciele nie specjalizowali się w nauczaniu jednego konkretnego przedmiotu. W latach siedemdziesiątych miała miejsce wielka kampania na rzecz alfabetyzacji, prowadzona przede wszystkim przez Kościół katolicki, której celem była hispanizacja rdzennej ludności – *indígenas*. Kampania ta była jednym z elementów polityki, która poprzez narzucenie języka hiszpańskiego miała wykorzystać *indígenas* jako tanią siłę roboczą w procesie wprowadzania kapitalizmu, a przynajmniej tej wersji kapitalizmu, którą próbowano wprowadzić w Gwatemali. I brakowało nauczycieli do realizacji tych założeń.

Mój dziadek ze strony ojca pochodził z odległej wsi, a tata był jego jedynym synem. Dziadek pracował jako robotnik najemny na folwarkach, przy uprawie kawy i trzciny cukrowej. Nie chciał, by jego jedyny syn żył w takim samym ubóstwie, by też był wykorzystywany. Pewnego razu zabrał tatę na folwark i pracowali tam razem przez sześć miesięcy, a wtedy dziadek powiedział: *Daję ci wybór, ty zdecydujesz, co zrobisz ze swoim życiem. Możesz żyć tak, jak do tej pory, albo wybrać zupełnie*

¹ W latach 1960 – 1996 w Gwatemali trwała krwawa wojna domowa między lewicową partyzantką a armią i prawicowymi oddziałami paramilitarnymi.

² Patrole cywilne były uzbrojonymi jednostkami składającymi się z cywilnych obywateli, których zadaniem było kontrolowanie społeczności *indígenas*.

inne życie, które chcę ci zaproponować. I dziadek sprzedał wszystko, co miał i zabrał ojca do wsi, gdzie kupił małą domkę, żeby tata nie musiał trzy godziny iść do szkoły, tak jak to robił w ciągu wcześniejszych dwóch lat.

Kiedy tata miał czternaście lat i uczył się w szkole prowadzonej przy zakonie, został włączony do realizacji polityki hispanizacji i procesu alfabetyzacji ludności *indígena*. Pewnego dnia, w trakcie lekcji, przyszedł do nich ksiądz i kazał wszystkim uczniom wstać. Wybrał pięciu najwyższych i zabrał ich, by zajęli się alfabetyzacją wsi. Od tego czasu tata pracował jako nauczyciel, a w wieku 42 lat, po trzydziestu latach pracy, przeszedł na emeryturę.

Mama pochodzi ze wsi, w której teraz mieszkamy – tutaj się urodziłam. Ona też wychowała się w wyjątkowej rodzinie. Jej rodzina nigdy, w całej swojej historii, nie uznała katolicyzmu za własną religię i nigdy go nie praktykowała. Chrztili dzieci, żeby uniknąć prześladowań, ale – na poziomie postrzegania świata, praktyk, systemu światopoglądowego itd. – nigdy nie stali się katolikami, nigdy. Nawet w okresie polityki masowej katechizacji, kiedy grupy duchownych nawracały mieszkańców wsi, a przywódców społeczności *indígena* zamieniano w katolickich lub protestanckich fanatyków religijnych. Moi dziadkowie, pradziadkowie i prapradziadkowie nigdy nie zaakceptowali tej narzuconej ideologii, kontynuowali swoje praktyki, ich myśli pozostały wolne.

Mama ma pięć siostr. Babcia była w ciąży 11 razy, ale ze względu na brak opieki lekarskiej i warunki życia przeżyło tylko pięcioro dzieci, same dziewczynki. Mój dziadek, ogarnięty frustracją prawdziwego *macho*, który nie ma syna, zdecydował, że będzie wychowywał swoje córki tak, jak wychowywałby chłopców. Dziewczynki nigdy nie nauczyły się gotować, przygotowywać masy kukurydzianej na tortille itd. Z typowo kobiecych zajęć potrafiły jedynie tkąć. Nie nauczyły się tego, czego wymagano od kobiet; tego, co musiały robić kobiety, tylko dlatego, że były kobietami; tego, co narzucały normy kulturowe. Wszystko to miało ogromny wpływ na charakter ich przyszłych związków z mężczyznami, na całe ich życie, pod każdym względem. Gdy przyjrzyś się swoim przodkom, możesz mniej więcej zobaczyć, co cię ukształtowało, co jest zapisane w twoim drzewie genealogicznym.

Gdy mama i tata wzięli ślub, zdecydowali, że zamieszkają we wsi, w której mieszkamy i teraz. Mieli czworo dzieci, ja urodziłam się jako druga. Mój najstarszy brat ma teraz 34 lata, urodził się w 1976 roku, ja urodziłam się w 1980, moja siostra w 1982, a mój najmłodszy brat w 1992.

Tata był nauczycielem, a mama zajmowała się handlem. Dzięki temu nasze życie nie składało się z wyrzeczeń i ograniczeń, ale, jak na ówczesne warunki, było raczej wygodne. A ponieważ miejscowość, w której mieszkamy jest turystyczna, wiele rzeczy było łatwiejszych.

Mama sprzedaje importowane jedwabne nici. Wszyscy pomagaliśmy prowadzić ten wspólny rodzinny interes, dzięki któremu byliśmy stosunkowo dobrze zabezpieczeni finansowo.

W dzieciństwie nigdy nie bombardowano mnie zasadami określającymi, kim powinnam być jako kobieta. Nigdy nie słyszałam, jaka musi być dziewczynka, kim musi być dziewczynka. Byłam po prostu Marią Jacintą – człowiekiem. I to również miało ogromny wpływ na moje życie – nie nakazano mi, kim być. Mama zawsze mówiła, że trzeba doceniać samą siebie, umieć na siebie zarobić i być szczęśliwą w tym, co się robi. A ja zajęłam się malarstwem i byłam szczęśliwa. Miałam też silne relacje z dziadkami: opowiadali mi swoje historie, opowiadali mi o swoich doświadczeniach. Gdy byłam mała, dziadek ze strony taty, który nazywał się Juan Xón, był przewodnikiem duchowym. Przestał się tym zajmować, gdy go nawrócili na katolicyzm, ale zawsze pozostał wierny swoim ideom, nigdy nie stracił swojej mądrości i światopoglądu. Być może należę do ostatniego pokolenia, które poznało te historie w przekazie ustnym, które usłyszało te opowieści. Pewnego dnia opowiem je swoim dzieciom. To bardzo smutne, że opowieści ustne nie są przekazywane dalej. Wszystko zatrzymało się na naszych dziadkach, w najlepszym razie jakąś część przejęli nasi rodzice, ale po nich nikt tego nie odziedziczył. Miałam dużo szczęścia, karmiłam się nimi, chłonełam je.

Nigdy nie zaadaptowałam się w szkole. Nikt nie mówił o wojnie, nikt nie mówił o niczym. Ludzie wiedzieli o pewnych rzeczach, ale ja nigdy ich nie doświadczyłam. Nie potrafiłam rozszyfrować kodów, którymi posługiwano się w szkole. I nigdy nie odnalazłam się ani wśród chłopców, ani wśród dziewczynek, ponieważ chłopcy byli obcesowi i grubiańscy wobec dziewcząt, a dziewczynki przejęły rolę słabych kobietek. Nie udało mi się odnaleźć w tym środowisku i po prostu nie miałam koleżanek ani kolegów – przez całe życie jestem samotnikiem. Nie wszyscy są tacy – moje siostry doskonale czuły się w szkole, ale ani ja, ani mój brat, nie mogliśmy się przystosować.

Nauczyłam się hiszpańskiego, kiedy miałam siedem lat i poszłam do szkoły. Dorastałam i najbardziej denerwowałam się, gdy w szkole mówiono nam, że *indígenas* są politeistami, że składają ofiary z ludzi... Nie mogłam tego pojąć, dlatego później zdecydowałam się studiować nauki społeczne i historię. Pytałam sama siebie: *Dlaczego tak mówią? Przecież jestem indígena i chociaż w mojej rodzinie obecne są pewne praktyki duchowe, to nigdy nie zwracamy się do bogów w taki sposób, o jakim uczą w szkole. I nigdy nie składaliśmy ofiar z ludzi! Coś tu jest nie tak!* Myślałam tak, gdy miałam 7 – 8 lat: „Coś tu jest nie tak”. Dlatego ciągle pytałam, a nauczyciele się na mnie denerwowali i zawsze ledwo przechodziłam do następnej klasy. Mówili mi: *Jesteś niedobrą dziewczynką, złą uczennicą. Dlaczego tyle pytasz? Dlaczego nie możesz usiedzieć spokojnie?* Takie słowa zostają w tobie na całe życie.

Było tak aż do szóstej klasy podstawówki. Wtedy zaczął nas uczyć młody nauczyciel, po studiach uniwersyteckich. Miał inne doświadczenie, wychowany był w inny sposób i odpowiadał na wszystkie moje pytania. I pomyślałam: „Jakie to cudowne”. Zaczęłam mieć naprawdę dobre oceny i polubiłam się uczyć. Nie istniała wówczas kultura lektury, w szkołach było mnóstwo książek, których nikt

nie czytał. W domu nie mieliśmy zbyt wielu książek, więc podczas przerw w szkole brałam książkę, która akurat wpadła mi w ręce, i czytałam. I polubiłam czytanie. W gimnazjum też dużo czytałam.

Jako typowa nastolatka klóciłam się z mamą i postanowiłam, że pójdę do szkoły w innym mieście, szukałam nowych możliwości. Przeniosłam się do Quetzaltenango, miasta położonego niedaleko stąd, i tam zderzyłam się z rzeczywistością zupełnie różną od tej, którą znałam. Po pierwsze, tutaj 92% ludności to *indígenas*, nie ma konfliktów z *ladinos* – jest ich tak mało, że jesteśmy wobec siebie obojętni. Ani mnie ziębia, ani grzeją, po prostu są. Dynamika tych relacji jest specyficzna również ze względu na uwarunkowania kulturowe i turystyczny charakter miasta. *Ladinos* często przystosowują się do tego, co robią *indígenas* i ma to ogromny wpływ na to, jak postrzegasz siebie jako *indígena*. Ale w Quetzaltenango jest inaczej – tam społeczeństwo jest rasistowskie, klasowe, dyskryminujące. Bogaci *indígenas* z Quetzaltenango nie zadają się z *indígenas*, którzy nie mają pieniędzy. Bogaci *indígenas* uważają, że są potomkami książąt i księżniczek Majów – naprawdę tak myślą! A do tego mają pieniądze, więc nie ma mowy, żeby stali się znajomkami biedaków. A ci biedni *indígenas* z Quetzaltenango uważają, że, ponieważ pochodzą właśnie stamtąd, są lepsi od tych, którzy urodzili się gdzie indziej. Są przekonani, że mają prawo dyskryminować każdego *indígena*, który nie pochodzi z Quetzaltenango. Nawet tych, którzy mieszkają w La Esperanza, wiosce położonej tuż przy Quetzaltenango, chociaż noszą identyczne stroje. Nie mówiąc już o *indígenas*, którzy przyjechali z innych miejscowości. Oprócz tego *ladinos* również mają swoje zasady i nigdy nie mieszają się z bogatymi *indígenas*. Jeśli nie wychowywałaś się w takiej logice i zaczynasz ją poznawać, od razu zdajesz sobie sprawę, że coś jest nie tak. I mówisz o tym ludziom. Ale i tak ma to na ciebie wpływ. Miałam 15 lat i mieszkalam tam przez 3 lata szkoły średniej. Musiałam uczyć się dziesięć razy więcej niż inni, żeby nie usłyszeć od nauczycielki: *Ponieważ jesteś indígena, nie musisz przejmować się, że coś ci nie wychodzi. Będę dla ciebie wyrozumiała, bo przecież jesteś indígena i nie możesz...* Ma to na ciebie ogromny wpływ. „Pewnie, że mogę to zrobić! Mogę to zrobić dobrze, a nawet bardzo dobrze! A może nawet lepiej niż inni!”. Ale w danej chwili nie zdajesz sobie z tego sprawy i wchodzisz w tę dynamikę, zaczynasz nawet wierzyć, że naprawdę nie możesz. Ale ja i moja koleżanka, która jest teraz lekarzem okulistą, udowodniłyśmy, że możemy – miałyśmy najwyższą średnią ocen. Było to jednak bardzo męczące, tak bardzo, że tylko ze sobą się przyjaźniłyśmy, pozostałe dziewczyny nas nie lubiły. Chętnie dołączały do nas, gdy trzeba było razem wykonać jakieś szkolne zadanie, ale nigdy nie stały się naszymi koleżankami. Takie zachowania pokazują ci, że w tym miejscu dzieje się coś złego.

Aby znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego uważa się, że Majowie wierzyli w różnych bogów i składali ofiary z ludzi, zaczęłam studiować antropologię na uniwersytecie. Nie musiałam pracować na studiach, więc cały czas wolny poświęcałam na naukę i czytanie, bardzo dużo uczyłam się sama.

I wreszcie poczułam, że należę do jakiegoś miejsca, że jestem częścią grupy, że mam przyjaciół. Było to w 1999 roku. W 1996 podpisano porozumienia pokojowe i wiele osób, które mieszkały na emigracji, wróciło do kraju. Były wśród nich dzieci wysokich rangą partyzantów. W czasie wojny wielu *indígenas* znalazło się na uchodźstwie w Meksyku, ukryło się na terenach przygranicznych i w miastach. Ale ci, którzy mieli coś do powiedzenia w partyzantce, wysłali swoje dzieci na Kubę i do Meksyku. I właśnie oni zaczęli wracać do Gwatemali. Byli w moim wieku. I w swoich poszukiwaniach zaczęli studiować antropologię. Nie mieli wytłoczonych stygmatów różnicujących *indígenas* i *ladinos*, jak ludzie, którzy wychowali się w Gwatemali, więc zaprzyjaźniali się z *indígenas*. A ja nie zintegrowałam się z *indígenas* mieszkającymi w stolicy, ponieważ zbyt silne było ich poczucie „bycia ofiarą” i przekonanie, że „*ladinos* chcą mnie skrzywdzić”. Nie udało mi się do tego przystosować. Za to zaprzyjaźniłam się z tymi, którzy wrócili do Gwatemali z emigracji. W większości byli hipisami, mieli dredy i palili. Pomyślałam: „Oto są moi przyjaciele!”. Stworzyłam grupę przyjaciół i poczułam się jej częścią. Nie łączyła nas wspólnota doświadczeń, ale wiara, że mamy ze sobą wiele wspólnego, że rozumiemy, gdzie się znaleźliśmy. Byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi. A gdy zaczynasz odkrywać różne wymiary życia, zdajesz sobie sprawę, jak dużo narzuciło nam społeczeństwo: że *indígenas* są gorsi, że nie myślą, są brudni itd. To są rzeczy, o których słuchasz, których się dowiadujesz, aż przychodzi taki moment, że zaczynasz w nie wierzyć.

Przyjaźniłam się z hipisami, którzy wrócili z zagranicy, ale nie dogadywałam się z hipisami – *ladinos*, którzy wychowali się w Gwatemali, czułam dystans. Aż kiedyś mieliśmy okazję porozmawiać i stwierdziliśmy, choć nas to zdziwiło, że nie różnimy się tak bardzo. I rozmawialiśmy ze sobą, i dostrzegaliśmy, że nie jesteśmy różni, że wszystko to, co nam zaszczepiono, było kłamstwem. I zaprzyjaźniliśmy się.

Mam też cudownych przyjaciół, którzy nie są *indígenas* – odkąd pozbyliśmy się stereotypów i przestaliśmy kurczowo trzymać się swoich przekonań, odkryliśmy obszary, w których byliśmy do siebie bardzo podobni. I wtedy antropologia okazała się wartościowa. Choć z drugiej strony zdałam sobie sprawę, że antropologia nie udzieliła mi odpowiedzi, której szukałam. Ostatecznie bowiem antropologia jest narzędziem kulturalizmu, dla którego ludność *indígena* i jej systemy światopoglądowe są wyłącznie przedmiotem badań, nie istnieją jako podmioty własnej historii. Zresztą poziom nauczania również nie był zbyt wysoki.

Poszukiwałam więc dalej, szukałam siebie: siebie w świecie, siebie jako kobiety i jako *indígena*, ponieważ nawet jeśli nie narzucą ci tego w domu, społeczeństwo nakazuje ci jak: „być kobietą”, „być *indígena*”, „być Majanką”. A jeśli skonstruowałeś siebie jako kobietę, jako *indígena*, inaczej niż oczekuje tego społeczeństwo, czeka cię bardzo bolesne doświadczenie. Rozpoczęłam więc proces stawania się duchową przewodniczką, ponieważ mam przedziwny dar widzenia przyszłości. Później przekonałam się, że również przeszłości. Ale nie rozumiałam siebie i w moich poszukiwaniach odpowiedzi znalazłam wielkiego nauczyciela, niezwykle skromnego,

który podzielił się ze mną swoim życiowym doświadczeniem. Podczas długich rozmów bardzo wiele od niego otrzymałam, a przede wszystkim zrozumiałam, że sama mogę kształtować własne życie. Takie podejście różni się bardzo od tego, jak duchowość pojmuje się obecnie, różni się znacznie od współczesnego głębokiego radykalizmu. Mój nauczyciel cenił życie, wiele przeżył. Podzielił się ze mną swoim doświadczeniem i powiedział: *Teraz twoja kolej*. To było cudowne i miało wpływ na całe moje życie.

Po pięciu latach studiów napisałam pracę magisterską z antropologii na temat tego, jak wybrane kobiety *indígenas* postrzegają siebie w nowym społeczeństwie, w którym rozmawia się o własnej seksualności, w którym kobieta przejmuje kontrolę nad własną seksualnością, a ta przestaje podlegać władzy społeczeństwa, w którym można kwestionować majańskich przywódców. I chociaż jesteś częścią tego systemu, nie zgadzasz się z nim i kwestionujesz społeczeństwo, które narzuca ci, jak być *indígena* – w ogóle kwestionujesz społeczeństwo jako takie. To wszystko było bardzo interesujące, zbliżyłam się do feminizmu, chociaż również go krytykowałam, jako kolejny system narzucający kim być. Feminizm nie tylko daje ci narzędzia, byś była tym, kim chcesz być, ale również narzuca ci kim być. Jest w tym wiele sprzeczności. W mojej pracy przyjęłam postawę bardzo pro-aktywną.

A potem zaczęłam pracować dla organizacji pozarządowej *indígena*, współpracowałam z przywódcami *indígenas* i przekonałam się, ilu ludzi jest w tym kraju wykluczonych, zrozumiałam, że jestem za nich odpowiedzialna.

A potem zdobyłam stypendium na studia w Brazylii. Od zawsze poszukiwałam odpowiedzi na pytanie, dlaczego uważa się, że Majowie byli politeistami. Najlepszym sposobem, by się tego dowiedzieć, było studiowanie historii nauki i filozofii. Wyjazd na studia do Brazylii był dla mnie kolejnym ważnym i odmiennym doświadczeniem.

W Gwatemali przez 7 lat mieszkałam w stolicy i przez cały ten czas zmieniłyśmy sposób myślenia ludzi. Samą swoją obecnością nauczyłyśmy ich, że kobiety *indígenas* to już nie tylko dziewczyny, które mogą jedynie pracować jako służące. W czasie wojny kobiety chroniły się w miastach, a ponieważ nie miały wykształcenia, jedynym zajęciem, jakie mogły znaleźć, była praca w domach innych ludzi: sprzątanie, gotowanie, znoszenie upokorzeń. Po podpisaniu porozumień pokojowych wielu *indígenas* przyjechało do stolicy i założyło organizacje pozarządowe, które służyły polityce multikulturalizmu i realizowały strategię osłabienia przywódców *indígenas* poprzez włączenie ich do jednego, wspólnego systemu. Ale rozumiemy to dopiero teraz, wtedy był boom na zakładanie organizacji pozarządowych i coraz więcej kobiet *indígenas* studiowało i pracowało. Był to straszliwy szok dla społeczeństwa, które określało siebie jako *ladino*, społeczeństwa tak rasistowskiego, że każda spotkana na ulicy kobieta *indígena* brana była za dziewczynę do pomocy w domu. Teraz jest inaczej. Teraz jedziesz autobusem i ludzie okazują ci szacunek, mówią: *do widzenia*. Boją się, że możesz być jedną z obrończyń praw człowieka i złożyć skargę – taka jest teraz mentalność ludzi. Ale 12 lat temu, gdy miałam 18 lat, wsiadałam do autobusu

i słyszałam: *Posłuchaj, akurat szukam dziewczyny do pomocy w domu. Może potrzebujesz pracy?* Takie słowa bardzo cię ranią, sprawiają ból, czujesz się rozdarta i bezradna wobec takiej agresji. A mężczyźni? Obyś nigdy tego nie doświadczyła! Odkąd pięćset lat temu narzucono tu *machismo*, po tych pięciu wiekach ucisku, mężczyźni sądzą, że mają prawo dotykać twoich piersi, klepać twoje pośladki, dotykać cię, gdzie tylko zechcą. I to na ulicy! Przede wszystkim mężczyźni *ladinos*. Wyobrażasz sobie... W stolicy było tak samo. I przede wszystkim w stosunku do kobiet *indígenas*. Oprócz tego dwuznaczne odzywki i wyzwiska o charakterze seksualnym. Naprawdę cię to rani, naprawdę. Wiele z tych kwestii znalazło się w mojej pracy magisterskiej: jak kobiety na to wszystko reagują. Jeśli zaczniesz krzyczeć: *Rasista!*, jedyne co wywołasz, to jeszcze większa przemoc. Wiele kobiet, z którymi przeprowadziłam wywiady, wspominało o tym. Jedna z moich koleżanek opowiadała mi, jak wsiadła do autobusu i podeszła do niej kobieta, mówiąc: *Posłuchaj, szukam dziewczyny do pomocy w domu*. A koleżanka odpowiedziała: *Wspaniale! Jeśli zapłaci mi Pani tyle, ile zarabiam teraz, chętnie będę dla Pani pracować*. Na to ona: *A ile zarabiasz?* I usłyszała: *5 000 dolarów, zostawię Pani moją wizytówkę, pracuję dla ONZ*.

Ale tak naprawdę najlepiej, i najbardziej radykalnie, byłoby w takich sytuacjach odpowiadać: nie wszystkie kobiety muszą robić to samo.

Były też miejsca, do których nie wpuszczano *indígenas*, gdzie nie można było wejść w tradycyjnym stroju. Były takie lokale, na których napisano: „Wstęp ograniczony. Zakaz wprowadzania zwierząt i *indígenas*”. Przysięgam, że tak było! I to wcale nie tak dawno temu. Pewnie, teraz możesz użyć konkretnych argumentów: „Narusza pan moje prawa, dlatego złożę na pana skargę”. Wprawdzie brakuje ciągle odpowiednich mechanizmów prawnych, ale jeśli się uprzesz, to uda ci się wygrać taką sprawę. Rodzina Novella, jedna z najbogatszych w Gwatemali, nie pozwoliła wejść do swojego lokalu kobiecie *indígena* – była antropolożką i towarzyszyli jej przyjaciele prawnicy, którzy pracowali dla ONZ. Od razu wnieśli sprawę przeciwko właścicielom lokalu, którzy zostali skazani prawomocnym wyrokiem na kilka miesięcy więzienia i bardzo wysoką karę pieniężną. Przy okazji powstał precedens. A kiedy Rigoberta Menchú dostała Pokojową Nagrodę Nobla, kobiety *indígenas* poczuły, że mogą określić na nowo poczucie własnej wartości. Przynajmniej taki był pozytywny efekt tej nagrody³.

A wobec mężczyzn wypracowałam sobie własny system: nosiłam ze sobą parasol na kiju i gdy tylko któryś mnie dotknął, biłam go, biłam, biłam, biłam, biłam. Teraz lepiej już tego nie robić, można oberwać. Pewnego razu elegancki mężczyzna klepnął mnie w pupę. W miejscu publicznym, pełnym ludzi. Złapałam za

³ Rigoberta Menchú Tum, ur. w 1959 r. w Gwatemali, jest działaczką demokratyczną, obrończynią praw ludności *indígena* i laureatką Pokojowej Nagrody Nobla w 1992 r. W 2007 r. wystartowała w wyborach prezydenckich, poparło ją 3% wyborców. W wyborach w 2011 r. kandydowała ponownie, otrzymując podobną liczbę głosów.



mój parasol i pod wpływem emocji biłam go, biłam, biłam... A gdy oprzytomniałam, zorientowałam się, że zebrał się wokół nas tłum ludzi, przede wszystkim kobiety, które krzyczały: *Przylóż mu! Przylóż mu mocniej!*

Takich historii są tysiące. Zakładałam tradycyjny strój i wiedziałam, że idę walczyć. To działało się podświadomie, nie robiłam tego celowo: zakładałam mój tradycyjny strój i czułam się, jakbym wypowiadała wojnę.

Porozmawiajmy teraz o uczuciach. Miałam wielu kolegów, ale moje koleżanki miały już wtedy narzeczonych, chłopaków, wielbicieli. A gdy do mnie zbliżał się jakiś mężczyzna, albo zostawaliśmy najlepszymi przyjaciółmi, albo znikał. I myślałam: „Chyba jestem za brzydka, żeby zostać czyjąś dziewczyną...”. Pierwszego chłopaka miałam w wieku 21 lat. Ale to nie było dobre doświadczenie, facet miał tak ekstremalne przeżycia podczas wojny, że potem zachorował na schizofrenię.

Gdy jesteś młoda, nie rozumiesz wielu rzeczy, frustrujesz się: byłam pewna, że nie zamierzam być wyzyskiwana, że nie będę żyła w ucisku, służąc mężczyźnie, odgrywając rolę kury domowej. Poza tym byłam blisko feminizmu, a to już tabu dla większości mężczyzn. Aż w końcu wszystko zrozumiałam. Chodziłam do psychologa, który pomagał mi skończyć związek z tamtym mężczyzną i dzięki niemu zrozumiałam, że to nie ze mną jest coś nie tak, że problem tkwi w nich. Byłam zbyt wolna, za bardzo pewna siebie, niezależna itd. A oni nie. Nie byłam dobrą parą dla mężczyzn *indígenas*, bo miałam zbyt rewolucyjne poglądy i byłam zbyt inteligentna, a to było nie do zaakceptowania przez ich *machismo*. A dla mężczyzn *ladinos* też nie byłam dobra, bo byłam *indígena*, byłam zbyt blisko feminizmu, byłam inteligentna. Jest w tym jakiś sens.

Potem miałam wielu przyjaciół. A potem przez 6 miesięcy mieszkałam we Francji: trzy miesiące w 1999 i trzy miesiące w Paryżu w 2000 roku. To też był dla mnie ważny etap w życiu. Poznałam ludzi, którzy zajmowali się teatrem, zaprzyjaźniliśmy się i wzięłam z nimi udział w warsztatach teatralnych. Przygotowywali sztukę opartą na Popol Vuh⁴ i zapytali mnie, czy chciałabym się przyłączyć. Zgodziłam się. Miałam wtedy 17 lat. Zadzwonili do mnie w listopadzie 1998 roku i powiedzieli: *Jacinta, twoje bilety są już do odbioru w ambasadzie francuskiej, wystarczy, że po nie pójdziesz. Nie potrzebujesz wizy, tylko paszport, bo nie jedziesz na dłużej niż 3 miesiące*. Pojechała ze mną starsza siostra. Gdy tam byłam, przekonałam się, jak bardzo ludzie interesują się tradycyjnymi kulturami, jak bardzo interesują ich *indígenas*. Zaczynasz inaczej o sobie myśleć. Przyjeżdżasz z kraju, w którym *indígenas* mają przechłapanie i spotykasz *ladinos*, którzy opowiadają o tradycyjnych strojach, opowiadają o *indígenas*, opowiadają o Majach. O co chodzi? Dlaczego w Gwatemali *ladinos* nie chcą mieć nic wspólnego z *indígenas*, a przyjeżdżają do Europy i bez przerwy gadają o *indígenas*?

⁴ Popol Vuh – dosł. Księga Wspólnoty, Księga Rady, znana także jako Rękopis z Chichicastenango. Święta Księga narodu Quiché, należącego do cywilizacji Majów, zamieszkującego tereny dzisiejszej Gwatemali, z połowy XVI w.

Potem zaczęłam studiować na uniwersytecie i rok później wróciłam na trzy miesiące do Francji. Za pierwszym razem mieszkałam w małej miejscowości, ale za drugim razem byłam w Paryżu. A Paryż to zupełnie inna historia: muzea, kultura itd. Poznałam tam wspaniałych przyjaciół z różnych krajów. Dzięki takim znajomościom tworzysz nową wizję świata. Wracasz i myślisz: „wspaniale być w domu”, ale wiesz, że to nie jest to, czego pragniesz. A jedynym sposobem na poznawanie świata jest poznawanie ludzi, rozmowy z nimi, uczenie się od siebie nawzajem. Dla dwudziestoletniej dziewczyny niezwykle ważne jest, by zrozumieć, dlaczego w życiu niektóre rzeczy są takie, jakie są i dlaczego inne nie są takie, jakie być powinny.

A potem wydarzyło się coś, czego do tej pory nie rozumiem. Wspierałam organizację pozarządową zajmującą się obroną praw *indígenas*. Zaczęli mnie straszyć. Przez 8 miesięcy mnie śledzili, wiedzieli, kim są moi przyjaciele, gdzie się spotykamy, co robimy. Bardzo się przestraszyłam. I wtedy zdobyłam stypendium na studia w Brazylii. A Brazylia to inny świat: wolność pod wieloma względami, odmienny sposób myślenia i styl życia. Mieszkałam w Sao Paulo, w mieście, w którym żyje tylu ludzi z najróżniejszych zakątków świata. Nosilałam mój tradycyjny strój i nikt nigdy nie zapytał mnie, skąd jestem. Nikt się nie zainteresował, skąd jestem – byłam tak dziwna albo tak typowa, jak wszyscy inni dookoła. W takich warunkach przestajesz być agresywny – szłam z moją parasolką, a tam nikt nie zwracał uwagi na to, że istnieję. „Co z nimi? W jakim świecie jestem?”. Pozbywasz się agresji. W Brazylii musiałam nosić spodnie – więc założyłam spodnie. Chodziło wyłącznie o to, by chronić ciało przed zimnem, albo przed skwarem. Strój stał się wyłącznie strojem, nie był już orężem.

Tam znalazłam odpowiedź na moje pytanie: dlaczego mówi się, że *indígenas* byli politeistami. To pewna konstrukcja myślowa, która pojawiła się wraz z pozytywizmem. A ponieważ była wygodna, ponieważ wygodne okazało się milczenie, pojawiły się nowe, oparte na niej konstrukcje, wygodne pod różnymi względami, a wśród nich ta o politeizmie Majów. Jej celem było odczłowieczenie Majów, uczynienie z nich dzikusów. W pracy magisterskiej zawarłam odpowiedź na moje pytanie. Narzeczcie! To była długa droga poszukiwań, ale w końcu znalazłam odpowiedź.

W Brazylii widziałam również, jak podzielona jest władza: najbielsi to właściciele, dyrektorzy, po nich w hierarchii są ci odrobinę mniej biali, potem następni mniej biali itd., aż do tych całkiem czarnych, na samym dole. Widziałam rzeczywistość, w jakiej na co dzień żyją ludzie: przemoc, frustrację itd. I pomyślałam: „Ale jesteśmy załośni!”. Rządzi nami system: system klasowy, system produkcji, ale my wspieramy go naszym podejściem, naszym nastawieniem. Nie wystarczy zmienić system, trzeba też zmienić nasze nastawienie.

Było mi tam bardzo dobrze, miałam wielu przyjaciół, dużo się nauczyłam. Właśnie tam zdecydowałam, że chcę zostać mamą. Niekoniecznie chciałam wyjść za męża, ale na pewno chciałam być mamą. I wróciłam do Gwatemali z obawą, że nie uda mi się przystosować do życia w kraju, z przekonaniem, że chciałabym zrobić

jeszcze tyle różnych rzeczy. Ale powoli się przyzwyczajałam. I zaszłam w ciążę. To była piękna historia. On był *indígena*, ale *machista*. Nie chciałam tak żyć, nie chciałam żyć tylko po to, by kogoś zadowolić. I zrezygnować z siebie, żeby nie zostać porzuconą, żeby on chciał być ze mną. Albo pozwolić na przemoc: werbalną, fizyczną albo psychiczną, tylko dlatego, żeby on był ze mną. Sama wzięłam odpowiedzialność za moje dziecko. Mój synek ma teraz 2 lata.

A teraz żyję, pracuję, piszę, wychodzę, czytam. W najbliższych latach planuję wyjazd na studia za granicę. Mieszkam w pięknej części świata, ale świat ani się tu nie zaczyna, ani nie kończy.

Moim zdaniem *machismo* istnieje tylko dlatego, że tak wychowujemy nasze dzieci. Tylko od nas zależy, czy będą *machistas*, czy nie, czy będą miały inne spojrzenie na świat. Mój najmłodszy brat nie przystosował się do reguł współczesnego świata: do planów, presji społecznej, do wielu rzeczy. Gdy miał 15 lat, został ojcem. Ale to chłopiec bardzo dojrzały jak na swój wiek i z pewnością oboje wychowujemy nasze dzieci inaczej, niż jest to tradycyjnie przyjęte. Mój synek i bratanek bawią się w rodziców pluszaków i zmieniają im pieluchy. Gotują, zakładają fartuszki, gdy pomagają dziadkowi w kuchni. Nie bijemy ich, nie krzyczymy – takie rzeczy mają ogromny wpływ na całe twoje życie, na twoje przyszłe relacje społeczne.

Obecnie pracuję w Fundacji PROPAZ, która zajmuje się mediacją i zapobieganiem konfliktów. Prowadzimy projekt dla młodzieży dotyczący edukacji obywatelskiej, finansowany przez ambasadę szwedzką i realizowany w 50 gminach z całego kraju. Praca z młodzieżą daje mi dużo satysfakcji, szczególnie, gdy widzę, że się angażują, rozwijają, aktywnie uczestniczą.

Mam wiele celów w życiu i najbardziej lubię ten moment, gdy któryś z nich zostanie zrealizowany i można postawić sobie kolejny, nowy cel. Kilka już zrealizowałam. Po pierwsze nauczyłam się kilku języków: quiché, to mój język ojczysty; hiszpański, którego się nauczyłam; francuski i portugalski, które chciałam znać; angielski, który trzeba było znać. Chciałabym nauczyć się jeszcze arabskiego i zamieszkać w jakimś kraju arabskim. Również po to, żeby odmitologizować uprzedzenia, narzucone nam przez system neoliberalny, według którego wszyscy Arabowie wierzą w Allacha i są *machistami*. Miałam już znajomych Arabów, którzy bardzo się różnili od naszych typowych wyobrażeń. Pozbyłam się już wielu narzuconych konceptów i to jest kolejny, który teraz chciałabym obalić. Chciałabym podróżować po świecie. Byłam już w Boliwii, Peru, Argentynie, Brazylii. Chciałabym poznać odległe kraje, różne kulturowo, chciałabym zobaczyć różnice, ale dostrzec również podobieństwa, które czynią z nas ludzi. To system i konsumpcjonizm każą nam wierzyć, że jesteśmy różni. A wystarczy się odnaleźć, odnaleźć siebie nawzajem w sprawach, które ostatecznie decydują o naszym człowieczeństwie.

Moim ogromnym marzeniem jest dobrze wychować mojego syna i wspierać go, by realizował swoje marzenia. Opowiedzieć mu o tym, co przeżyłam i pozwolić, by zdobywał własne doświadczenia, żeby był szczęśliwy.

Jeśli chodzi o życie zawodowe, to chciałabym zrobić doktorat, może z ekonomii politycznej, socjologii polityki, coś w tym stylu. I chciałabym dalej pracować z młodzieżą. Nie po to, żeby realizować projekty, ale z prawdziwej potrzeby. Może uda mi się sprawić, by ten świat był lepszy pod wieloma względami – zaczynając od wyrzucania śmieci do kosza, aż po pomoc dzieciom, nie wiem, coś w tym stylu. Gdy uczysz się nowych rzeczy, pojawiają się nowe cele.

Inspirowało mnie wielu ludzi, wiele momentów, wiele rzeczy – wszystkie razem miały wpływ na moje życie. Gdy byłam dzieckiem, inspirowali mnie rodzice, matka ze swoją ogromną, miażdżącą, potężną siłą, dziadkowie i babcie, różni nauczyciele, mój nauczyciel Don Juan Xón i jego żona, moje sny i marzenia, istoty, które opowiadają o przyszłości i przeszłości, choć tego wymiaru jeszcze wtedy nie rozumiałam.

Gdy dorastamy, narzucamy sobie logikę, która rozdziela to, co społeczne i naturalne, od tego, co duchowe. Podział ten każe nam być katolikami albo ewangelikami; wierzyć w Boga lub w Niego nie wierzyć; być dobrym albo złym. Taka logika narzuca nam, jak mamy zachowywać się w społeczeństwie. Przekonałam się, że można żyć zgodnie z inną logiką, że nie trzeba rozdzielać tego, czego nie znamy albo nie rozumiemy, od tego, co zracjonalizowane. Zresztą wcale nie ma potrzeby, by to robić.

Inspirowało mnie wielu ludzi: Victoria, moja przyjaciółka z Brazylii i jej historia, wielu przyjaciół stąd, z którymi łączy mnie głęboka przyjaźń, rozmowy, refleksje. Jestem też pewna, że pojawiają się jeszcze inni, którzy staną się dla mnie inspiracją. Teraz najbardziej inspiruje mnie mój syn.

Temat urody jest dość interesujący – wspominałam już o tym, jak martwiłam się, że wszystkie moje koleżanki miały narzeczonych i chłopaków, a ja nie. Naprawdę, ani jeden chłopak nie zbliżał się do mnie, żeby mnie poderwać. A jeśli nawet miał taki zamiar, to po pierwszej rozmowie znikał. „Co się stało? Dlaczego?” – myślałam. Gdy byłam nastolatką – tak samo. I na uniwersytecie też. Myślę, że nie potrafił zaakceptować tego, że kobieta może być wolna i bezpośrednia. Nigdy nie dostrzegałam w sobie fizycznego piękna, to zrozumiałe w mojej sytuacji, myślałam nawet: „jestem bardzo brzydka”. Aż zdarzyło się coś śmiesznego. Miałam wielu kolegów, którzy zwracali na mnie uwagę, ale nigdy nic z tego nie wynikało. Wyjechałam na półtora roku do Brazylii, wróciłam do kraju na wakacje, żeby odwiedzić rodzinę i nagle okazało się, że większość z nich jest we mnie zakochana. Ale nigdy wcześniej mi o tym nie powiedzieli. Bardzo się na nich obraziłam, wielu przestało być moimi znajomymi, zresztą jako prawdziwi *macho* byli obcesowi w rozmowach z kobietami.

Panuje też przekonanie, że kobiety *indígenas* pozostają dziewicami aż do ślubu. Wielu chłopaków, którzy przyjaźnią się z dziewczynami *indígenas*, nie chcą ich urazić ani skrzywdzić, nie chcą, by pomyślały, że chcą je wykorzystać. To było bardzo śmieszne: pojechałam do Brazylii, a tutaj wszyscy myślą, że jak wjeżdżasz do Brazylii, kochasz się już na lotnisku, że kochasz się bez przerwy, dzień i noc, że wszystkie dziewczyny noszą stringi. Wszyscy więc sądzili, że nieźle się tam zabawiłam. I dlatego wreszcie zaczęli mi mówić o swoich uczuciach – wracałam

przecież z Brazylii. Ale to prawda, że wróciłam odmieniona. Wcześniej bardzo uważałam, żeby nie dać się zranić. To był efekt historii, społeczeństwa, tego, że ludzie z łatwością mogli cię skrzywdzić. Bardzo się zmieniłam.

Teraz mam przyjaciela, *ladino*. Znamy się od wielu lat, ale dopiero teraz, gdy jesteśmy razem, powiedział mi, że chociaż nigdy nie był z kobietą *indígena*, zawsze myślał, że kobiety *indígenas* nie mają włosów łonowych. Nikt mu tego nie powiedział, ale coś tam słyszał i w jego głowie *ladino* utkwilo takie przekonanie. Słyszając takie rzeczy można umrzeć ze śmiechu. Powiedziałam mu: *Przecież jestem człowiekiem!* A on na to: *No jasne. Wstyd mi teraz, że tak myślałem.* Ale takie rzeczy zdarzają się cały czas.

Jestem bardzo otwarta. Gdy teraz myślę o swoje urodzie, sądzę, że jestem ładna. Patrę na siebie inaczej i inaczej się czuję. Mam też bardzo silną osobowość, jednoznacznie zdefiniowaną – otworzyło to przede mną wiele drzwi, bardzo wiele. To z pewnością efekt połączenia urody z umiejętnością myślenia, inteligencją i charakterem. Wiele rzeczy, które przytrafiły mi się w życiu, zarówno tych dobrych jak i złych, jest wynikiem mojej osobowości, tego, co składa się na Marię Jacintę.

Zawsze ubieram się w tradycyjne stroje, ponieważ lubię je nosić. Naprawdę mi się podobają. Ubieram je, bo je uwielbiam. Ale bez problemu mogę założyć spodnie, gdy jest zimno. Jakby nie patrzeć, to jak się ubierasz, to jak się zachowujesz, jest tylko częścią tego, kim jesteś. Jeśli raz nie założę tradycyjnego stroju, nie przestanę być tym, kim jestem. Kiedyś poznałam tu w Gwatemali parlamentarzystę z Congreso Indígena z Ekwadoru. Był marzec – kiedy jest strasznie gorąco, szczególnie w stolicy. A on miał na sobie mnóstwo rzeczy i grubą kurtkę. Musieliśmy iść piechotą jakieś pięć przecznic, a facet okrutnie się pocił. Zapytałam: *Dlaczego nie zdejmie Pan kurtki?* Odpowiedział: *Nie, nigdy. To moja tożsamość.* Powiedziałam: *Ale przecież umiera Pan z gorąca!* Nie dał się przekonać: *To moja tożsamość! Byłem tak na Kubie.* A ja pomyślałam: „Czy zdejmując na chwilę kurtkę, traci się tożsamość?”

Teraz nie zwracam już tak bardzo uwagi na przejawy dyskryminacji. Ale też nie jestem już dyskryminowana, ponieważ ludzie na mnie patrzą, poznają mnie i słuchają. Ale ciągle denerwuję się, gdy ludzie z autobusów krzywdzą innych. Na przykład wczoraj: jechałam autobusem ze stolicy, jechał z nami pomocnik kierowcy – myślę nawet, że był *indígena* – do autobusu weszła kobieta, która sprzedawała tortille z chili i napoje. Mówiła: *coca-cola*, ale nie tak, jak powinno się to wymawiać, tylko z silnym akcentem *indígena*. A ten pomocnik kierowcy zaczął wyśmiewać ją przed wszystkimi ludźmi. Takich rzeczy nie mogę znieść. Wstałam i powiedziałam: *Zdaje Pan sobie sprawę, że takie zachowanie jest karalne prawnie? Będą zeznania świadków i dostanie Pan 8 lat więzienia.* Facet się przestraszył i już z nikogo się nie śmiał. Niestety takie zachowania są ciągle powszechne.

W Gwatemali dzieją się złożone i skomplikowane procesy. Na poziomie politycznym, gdy rozważamy kwestię Majów, możemy wyróżnić kilka nurtów. Pewne pokolenie nadużyło terminu „Majowie” i wykorzystało go do wyidealizowanego

dyskursu, zbyt odległego od rzeczywistości. Ten nurt jest teraz w odwrocie. Myślę, że można do niego zaliczyć Rigobertę Menchú, Demetrio Cojtí⁵, niektóre organizacje pozarządowe i ich przedstawicieli, na przykład Alvaro Popa i Ricardo Cajasa. Całe pokolenie *indígenas*, którzy zawłaszczyli sobie pojęcie „Majowie”, uczynili z niego temat dyskursu, który miał przynieść korzyści przede wszystkim im samym.

Kolejne pokolenie *indígenas*, do którego zaliczam i siebie, mówi: w porządku, jesteśmy Majami, wiele udało nam się osiągnąć, ale nie zamierzamy ciągle oglądać się za siebie. Trzeba robić inne rzeczy, mające konkretny kształt i działać w sposób bardziej ustrukturyzowany. Wielu moich znajomych tak myśli, piszą o tym, krytykują, analizują, obserwują z różnych perspektyw.

I jest wreszcie następne pokolenie, to, które przyszło po nas, o którym jeszcze nic nie wiemy. Czy wchłonie ich system, czy nie? Na poziomie społecznym dzieją się niezwykle złożone procesy, istnieje pewna dynamika tego, co nazywamy *indígena* – to dobrze. W miastach ludność *indígena* zaczyna znikać – przyjeżdża pierwsze pokolenie, które, mimo nowych miejskich warunków, pozostaje *indígena*. Ale kolejne pokolenie już takie nie jest. Ludzie przestają mówić w swoim języku, porzucają zwyczaje, zmieniają sposób myślenia, ponieważ trzeba pędzić, by dotrzymać kroku w wielkomiejskim pędzie, trzeba pracować, uczyć się itd. Więcej nadziei pokładam w mieszkańcach gmin i wsi, tam pojawia się nowa świadomość bycia *indígena*, tego, kim chcemy być jako *indígena*. Podczas wprowadzania w życie polityki wielokulturowości, gdy próbowano rozwiązać tak zwaną „kwestię indiańską”, powiedziano nam, jak „być *indígena*”. Mało tego, chciano nam jeszcze powiedzieć, jak „być Majem”. A przecież *indígenas* istnieli zawsze, zawsze byli obecni, my też zawsze byliśmy *indígenas*! Nowe pokolenia dynamizują te procesy w sposób spektakularny, włączają nowe kwestie, przejmują skostniałe koncepty. Chichiastenango jest tego dobrym przykładem.

Mamy też bardziej oddalone tereny, na których toczy się walka o ziemię. Tam dzieją się procesy jeszcze bardziej skomplikowane, ponieważ widoczne są podziały społeczne, bo ludzie domagają się poprawy warunków życia, bo brakuje pracy, bo każde pokolenie jest inne pod wpływem zewnętrznych nacisków, bo pojawił się kościół katolicki, bo była wojna, bo pojawili się protestanci. Wszystko to jest zbyt skomplikowane, by móc to jednoznacznie zdefiniować. Nie można przewidzieć, co się zdarzy – co mogłoby się zdarzyć – wszystko jest bardzo skomplikowane. Ale tego, co *indígena*, tego, co majańskie, z pewnością starczy jeszcze dla wielu pokoleń.

Pomoc zagraniczna zależy głównie od osób, które tu przyjeżdżają i od programów, które finansują ich pobyt. Z pewnością nie wszystkie programy są takie, ale cele wielu projektów rozwojowych – finansowanych przez potężne instytucje z Ameryki Północnej, Chin, Europy itd. – są oczywiste. Ubrano je tylko w piękne szaty współpracy rozwojowej, ale ich cele są jednoznaczne: zawłaszczenie ziemi,

⁵ Demetrio Cojtí Cuxil jest jednym z ważniejszych majańskich intelektualistów, naukowców i działaczy na rzecz praw rdzennej ludności Gwatemali.

zasobów naturalnych itp. Jeśli finansują budowę nowej drogi, to nie dlatego, że „ci biedni ludzie muszą tyle chodzić”, ale dlatego, że chcą skomunikować jedno miejsce z drugim dla własnych strategicznych potrzeb. To wyjątkowo nikczemna strategia wielu programów pomocowych, bo gdy rzeczywiście taka droga zostanie zbudowana, ludzie naprawdę są zadowoleni i nie dostrzegają prawdziwych motywów tych działań. Nikczemne jest również to, że najczęściej w taki sposób realizowane są najpotrzebniejsze inwestycje – uświadomienie sobie tego jest wstrząsającym przeżyciem. Ale są też inne programy, których cele są jasne, które służą wspólnemu dobru i aktywizacji lokalnych społeczności.

Podobnie jest z kwestią sprawiedliwego handlu. Przecież to nic innego, jak efekt globalizacji i „elityzacji” niektórych sektorów. Kogo stać na towary sprawiedliwego handlu? Kogo stać na kupno żywności organicznej? Ludzie przestają uprawiać kukurydzę i zaczynają sadzić to, na co jest zbyt w ramach sprawiedliwego handlu. Gdyby chociaż sami też to konsumowali – wtedy w porządku. Gdyby była to produkcja na rodzimy rynek, którą można tu sprzedać – cudownie! Ale w przeciwnym razie, komu to służy? Dla kogo to jest? Tak naprawdę, czyje potrzeby zaspokaja? Warto się nad tym zastanowić: kto to konsumuje? Myślę zresztą, że nawet w bogatych krajach, tylko jeśli dobrze zarabiasz, możesz kupować produkty ekologiczne i pochodzące ze sprawiedliwego handlu. A jeśli nie masz pieniędzy, to tak jak wszyscy idziesz do supermarketu i kupujesz żywność modyfikowaną genetycznie. Takie działania są wyjątkowo nikczemne. I jeśli nie podchodzisz do tego wszystkiego krytycznie, działasz na korzyść systemu.

Myślę, że wolontariusze, którzy przyjeżdżają tutaj z zagranicy, mają coś do zaoferowania i chcą też coś otrzymać. I jeśli przyjeżdżają z takim nastawieniem, to dobrze. Ale poznałam ludzi, którzy przyjeżdżają tutaj, włączają się w różne działania wolontariackie, ale tak naprawdę są tu tylko dlatego, że szukają szalonych przygód, seksu, używek. Chcą być wolni, czuć się piękni, bo są biali. Poznałam kiedyś pewnego Holendra. Miał niebieskie oczy i z pewnością w swoim kraju był tylko jednym z wielu. Przyjechał tutaj, a Gwatemalki rozplywały się w zachwytach nad jego błękitnymi oczami. Powiedziałam mu to i się na mnie obraził, nigdy więcej ze mną nie rozmawiał. Myślę, że wielu przyjeżdża właśnie po to. Lecz jest też wiele osób, które przyjeżdżają, by jak najwięcej dać i jak najwięcej otrzymać. Wtedy taki wolontariat ma sens.

Uwielbiam być w innych miejscach, uwielbiam te doświadczenia, które można zdobyć tylko, będąc wśród ludzi. Ale niektórzy robią inaczej: przyjeżdżają, tworzą swoje getto dla cudzoziemców, stać ich na cudowne życie. A na końcu można powiedzieć jedynie: „cóż, przyjechał i dobrze się bawił”. Gdy ja byłam za granicą, zawsze mieszkalam z ludźmi stamtąd, jadłam to, co oni. I dzięki temu mogłam nauczyć się wielu rzeczy i spojrzeć na życie z innej perspektywy.

Kiedy pracowałam dla organizacji zajmującej się prawami kobiet, bardzo się rozczarowałam. Kobiety (mężczyźni również, ale u kobiet jest to powszechniejsze)

prowadzą między sobą wojnę o stanowiska, walczą o uznanie, biją się o nieistotne nagrody. Po raz pierwszy doświadczyłam tego w organizacji MOLOJ, działającej na rzecz praw kobiet *indigenas* i kierowanej przez Rogibertę Menchú. To organizacja znana z projektów współpracy rozwojowej. I powiedziałam sobie: *Nie chcę tak robić, nie chcę być jedną z nich, nie będę biła się o stanowisko*. Potem pracowałam w stowarzyszeniu przewodników duchowych, gdzie udzielałam indywidualnego wsparcia. Teoretycznie jest to organizacja zrzeszająca przewodników duchowych. Ale w organizacjach pozarządowych często jest tak, że fundator jest praktycznie właścicielem organizacji, a wszyscy pozostali mają być pośrednimi beneficjentami podejmowanych przez organizację działań. W praktyce jednak to właściciel czerpie z organizacji bezpośredni zysk. Tamta organizacja miała zrzeszać przewodników duchowych, ale jej właściciele tworzyli projekty i pisali wnioski w zależności od tego, na co państwa chciały w danym momencie przeznaczyć środki ze współpracy rozwojowej. A gdy dotacja została przyznana, trzeba było realizować konkretny projekt, niekoniecznie na rzecz przewodników duchowych.

Mój syn urodził się w szpitalu. Posłuchaj: tradycyjna mądrość, przez te wszystkie wieki ucisku i prześladowań, nie zachowała się nietknięta, wiele zostało bezpowrotnie utracone. Nie miałam zamiaru rodzić mojego syna w domu w towarzystwie akuszerki, ponieważ widziałam, jak umierały dzieci mojej mamy. Nie chciałam, by to samo stało się moim udziałem. Byłoby to najgorsze, co mogłoby mi się przytrafić: stracić dziecko. Akuszerka przychodziła do mnie w czasie ciąży, robiła mi masaże itp., ale byłam też pod opieką ginekologa i zapłaciłam za poród w prywatnym szpitalu. Nigdy nie przypuszczałam, że skurcze są tak bolesne! Mój synek, Sebastián Mash Junajpu, urodził się jako wcześniak. Nie wyobrażałam sobie rodzić naturalnie, wydawało mi się to ekstremalnie bolesne, ale gdy zaczęły się skurcze, lekarz zdecydował, że trzeba zrobić cesarskie cięcie, żeby nie narażać dziecka na wysiłek podczas porodu naturalnego. Byłam zachwycona! Nie czułam już bólu. Nie wiem, jaki wpływ na dziecko, z biologicznego punktu widzenia, ma to, czy urodziło się naturalnie, czy przez cesarskie cięcie. Wiem jednak, że kobiety żądają cesarek, bo poród jest zbyt bolesny, bo wiąże się z ogromnym cierpieniem. Cesarka pozwala tego uniknąć. Jest cudowna!

Mój syn urodził się w trzydziestym czwartym tygodniu ciąży. Martwiłam się, że będzie zbyt mały, że jego płuca nie będą dostatecznie ukształtowane. Gdyby tak się stało, musieliby go zabrać do jednego szpitala, w którym jest odpowiedni sprzęt, który pozwala takim dzieciom oddychać. Tak, jak opowiadałam, urodziłam się w biednej rodzinie. Ale gdy mama zajęła się własną działalnością gospodarczą, została zbombardowana przez politykę konsumpcjonizmu, promującą złe nawyki żywieniowe i zachęcającą, by zjadać więcej, niż rzeczywiście potrzebujemy. Gdy miałam 15 lat, okazało się, że jestem chora na cukrzycę. Muszę uważać na to, co jem, liczyć kalorie itd. Zaczynasz o tym myśleć, zastanawiać się, a ludzie zaczynają cię nienawidzić, bo zwracasz im uwagę, gdy źle się odżywiają. Jestem więc chora

na cukrzycę, a dzieci cukrzyków rosną szybciej, niż dzieci kobiet, które cukrzycy nie mają. I to uratowało życie mojego syna, był wystarczająco duży. Ważył zaledwie 5 funtów, jakieś 2.5 kg, ale był wystarczająco rozwinięty, właśnie dzięki temu, że mam cukrzycę.

Życie uczy cię, że nic nie jest tak złe, jak się wydaje. I właśnie to jest ważnym elementem majańskiej duchowości, poważną propozycją na życie: nie wszystko, co złe, jest złe; i nie wszystko, co dobre, jest dobre. Przyjdzie taki moment, że to, co złe, okaże się dobre, a to, co dobre, w innym momencie może okazać się złe. Najważniejsze jest, by odnaleźć równowagę. Cudownie jest się tego nauczyć!

*kawałek
świata*

POLSKA

czas
powrotu

to nie kaprys

kawatek

Helena Hanuszcak

Mam na imię Helena, nazywam się Hanuszcak z domu Grudlewicz. Urodziłam się w gminie Grodziec, w 1928 roku, 17 grudnia. Ja się urodziłam w domu. Wtenczas nie było porodów w szpitalu. Odbierała mnie taka *babka*. Ja byłam szósta, a po mnie jeszcze dwoje dzieci się urodziło: Włodek i Tereska. Było nas razem ośmioro, bo dwoje zmarło. To nie miało znaczenia, czy dziewczynka, czy chłopiec, ale ja to się cieszyłam jak był chłopiec. Jak dziecko przychodziło na świat, to mówili, że leci bocian i kominem wrzuca dziecko.

Mieszkałam na Dziwiniu, dom był pod strzechą. W tej chałupce były dwie izby. Rodzice spali w jednej izbie, a dzieci w drugiej. Gotowało się tam, gdzie się spało. Było też takie schowanko, gdzie się myć chodziło. Wychodek był na zewnątrz. Tam był dookoła wszędzie las i tylko trzy budynki – to była cała wioska. Rodzice byli rolnikami. Mieli krowy i tymi krowami orali pole. Dopiero później tato miał konia. Światła nie było wcale. Z ojca dziadków to nie pamiętam, a mamine to mieszkali nie z nami tylko osobno, ale obok. Jak się miało już pięć – sześć lat, to gęsi się pasło i jeden drugiego dzieciaka bawił.

Szkoła była na drugiej wiosce. Ale to była szkoła taka, że czy umiał, czy nie umiał, to był dwa lata w pierwszej, dwa lata w drugiej klasie, dwa lata w trzeciej i to był koniec ze szkołą, taka była podstawówka. A jak ktoś był bogatszy, to wysyłał dzieci do szkoły dalej. Czego się tam uczyliśmy? Podstawowe rzeczy: czytanie, pisanie, matematyka. Co tam można było więcej? Było dwóch nauczycieli. A jak chodziliśmy na religię do kościoła, to co tam się uczyliśmy: ile jest bogów? Ta religia trwała miesiąc czasu, przed komunią. Zamiast na religię to chodziliśmy pod most nad rzekę i w kamyczki graliśmy.

Jak miałam 13 lat we wojnę, to ja ciężko pracowałam, nie zapomnę tego. Niemcy wzięli nas na wóz, konny wóz, wywieźli do Grodźca do kopania kartofli i tylko postawili tam baniaki z kawą – czarna kawa była lana w garnuszki z tych baniaków. Każdy tam sobie wziął kanapkę czy placka na kuchni upieczonego, bo przecież by nie wytrzymał cały dzień. Kopaliśmy te ziemniaki, jak sobie każdy kosz nakopał, to na taki wóz po schodach trzeba było wchodzić, żeby je wysypać. Tak robiliśmy. Musieliśmy robić. Jak raz znowuż nas wywieźli pod Grodziec, Niemcy stawiali tam budynki, takie z gliny i ze słomy. Kopczyński był tym całym murarzem, a nas wzięli do pomocy. Ja też byłam. Ja to miałam ulgę, bo mi Kopczyński nie dał tam tak ciężko dźwigać. Ale robiliśmy bez okien te domy, bo tam mieli Polaków palić. To dla Polaków robili te domy, żeby tam palić Polaków. Ale nie zdążyli. Jeszcze dobrze nie skończyli, to się wojna skończyła. To takie budy były stawiane i nas młodych tam brali do roboty. Miałam wtedy z piętnaście lat. Mówili nam, po co to budujemy. Kopczyński to tam wszystko wiedział, to był mojego taty szwagier. Kopczyńska to była taty siostra i oni mieszkali obok nas.

Jaka ona była fajna ta Teresa – synowa Kopczyńskich. Ona zawsze do nas przychodziła papierosy palić. To była fajna dziewczyna. Ona w Poznaniu mieszkała, a Józef – syn Kopczyńskich był tam w wojsku i z nią się zapoznał. I ona w ciąży z nim była. A on tu miał dziewczynę na Dziewiniu, Marysię. Tam miał Teresę, a tu przyjeżdżał i miał Marysię, a ona była pewna, że on się z nią ożeni. Wojsko się skończyło, on tu przyjechał, a Teresce nie dał adresu ani nic. Przyjechał do domu, a fajny był ten Józef i poszedł z tą Marysią na zabawę na Czarny Bród. A w nocy przyjechała i przyszła do nas ta Tereska – już na ostatnich nogach była w ciąży. Przyjechała, odnalazła go, przyszła do jego domu. Babka Kopczyńska opowiadała, że przyszła Tereska i mówi: *Ja jestem Józka narzeczoną, jestem w ciąży z Józkiem. Gdzie on jest?* Kopczyńska mówi: *Poszedł na zabawę. Idź, Iwonka, z nią i pokaż jej, gdzie on jest na tej zabawie.* Ona weszła na tę zabawę, a on udaje, że jej nie zna. Ona mówi: *Józek, ty mnie nie poznałeś? Ja jestem przecież Teresa, twoja narzeczoną.* Marysia, ta druga, od razu zabrała się i poszła do domu. A on przyszedł z nią do siebie, bo gdzie pójdzie. I była chyba z tydzień czasu. Taka fajna była z niej dziewczucha, a on jej nie chciał. I ona mówi: *Jedziesz ze mną, będziemy ślub brać. A jak nie pojedziesz ze mną, to ja tu zostanę.* Stara Kopczyńska mówi: *Twoje jest. Jedź i nie zostawiaj jej.* I pojechał, i już nie przyjechał, tam się ożenił i został w Poznaniu. A Marysia została na lodzie. Ta Tereska często przyjeżdżała i zawsze mówiła, że ich dziecko niemową jest – urodziła im się dziewczynka niemowa – bo ona jak była w ciąży, to się ze swoją mamą pokłóciła i się tak zacięła, że się do niej nie odzywała przez całą ciążę. Ona w to wierzyła. Fajna ta Teresa była, zawsze do nas przylatywała papierosy palić, bo jej teściowa nie kazała, źle patrzyła na to. Napaliła się, napaliła i poszła. Cwana była, przyjechała, wzięła tego Józka siłą, ale potem dobrze żyli.

Pamiętam, jak raz – miałam już 17 lat, ale nic o „tym” nie wiedziałam – wracałam z kościoła z takim jednym Andrzejem, a ten mnie chwycił, pocałował i język do ust mi wsadził. Jak się wystraszyłam! Pobiegłam do Stefy, starszej siostry i mówię: *Stefa, w ciąży jestem.* A Stefa mówi: *Jak? Co się stało?* To jej powiedziałam, że Andrzej mnie pocałował i język do ust wsadził. I ona mi dopiero coś tam wytłumaczyła, a ja już myślałam, że w ciąży od tego będę.

Na drugiej klasie skończyłam szkołę – tyle zdążyłam zrobić przed wojną. A siedem klas, to kończyłam już tu w Świdnicy, po wojnie. Przyjechałam do Świdnicy w 1949 roku w grudniu. Przyjechał po mnie brat i mnie tu przywiozł, bo tam na Dziewiniu miałam narzeczonego i on chciał się ze mną żenić. Przyjechał z moją przyszłą teściową – swoją mamą i już tam obgadali, że będzie ślub. Ja jestem w kościele, a on przyjechał z koniem, taką bryką, a koleżanka mówi szeptem: *Hela, Stefan przyjechał po ciebie.* On mi nic wcześniej nie mówił. To ja mówię: *Po co przyjechał?* – *Będzie się umawiał, bo się chce żenić.* A mnie nic nie powiedzieli, bo wiedzieli, że ja bym poszła sobie stamtąd i bym nie przyszła na to spotkanie. Mama wiedziała. Myślę sobie: „Aha, to dlatego mama szykowała lepszy obiad i ciasto upiekła”. I już nie uciekałam, bo patrzyli wszyscy – to gdzie pójdę, w las?

I ona, ta przyszła teściowa, zaczęła gadać, żebyśmy się pobrali. Myślę sobie: „Wezmę ślub i gdzie ja pójdę spać. Wszyscy w jednej izbie jesteśmy. Tu łóżko jedno, tu łóżko drugie, a ja z nim pójdę na to trzecie, a dziewuchy będą się śmiały ze mnie”. Bo ja najmłodsza wtenczas byłam. Ona gada, żebyśmy się pobrali, a ojciec widzi, że ja nie chcę i mówi: *To niech trochę pochodzą, teraz ja nie mam pieniędzy na to, a to trzeba pieniądze mieć na wesele.* A ona mówi: *Jeśli chodzi o pieniądze, to ja pomogę. Na ubiór to jej dam.* Ja mówię: *Ja nie chcę za mąż wychodzić tak od razu.* Miałam wtedy 21 lat. On z rok czasu przychodził, a później z matką przyjechał. A ja po tym spotkaniu napisałam do brata list, żeby po mnie przyjechał i zabrał mnie do Świdnicy. I przyjechał brat, a rodzinie powiedziałam: *Nie dawajcie mu adresu – temu Stefanowi, co ślub chciał brać. – Nic z nim nie chcę. Dajcie mi z nim spokój.* On mi się nie podobał. Był dwa lata starszy. Nie to, że mi się tak nie podobał, ale trzeba głupiego, żeby w tym wieku za mąż wychodzić. O to mi chodziło. 21 lat i za mąż wyjdę. I co ja będę? Dopiero co przestałam koszyki nosić z kartoflami, nadźwigałam się i narobiłam – i teraz za mąż wyjdę?

Ja to nie myślałam, żeby młodo wychodzić za mąż. Temu przeciwna jestem. Nie ma co za wcześniej w to wchodzić. Zawsze mówiłam, że najlepsze małżeństwo, to nie będzie tak dobre, jak kiedy człowiek sam. Chociaż się ciężko napracowałam za panny, ale zaraz po pracy przychodziliśmy, myśleliśmy się, ubierałyśmy i już nas nie było do wieczora. Dużo na wycieczki jeździliśmy: do Wrocławia, w góry, na wczasy nad morze, do lasu na grzyby. Albo na przykład były zabawy, dechy w parkach ustawiali i grali. Zpracy szliśmy z drugiej zmiany, to prosto na dechy, na tańce trafiałyśmy. Było wesoło. A teraz ta młodzież: gdzie? Musi iść do lokalu, szukać towarzystwa i drogo jest. Kiedyś było inaczej. I starsze i młode chodziło na te potańcówki. Kanapki narobili, kawy nie było, więc herbata i to rozdawali. Nie było telewizorów. Były opowiadania. Kawały.

Jak do Świdnicy przyjechałam, pierwszą pracę to miałam w knajpie na dworcu jako podkuchenna, a później szefową byłam w restauracji, w *Piaście*. Pracowałam też w *Kubusiu*, w barze, jako podkuchenna. Tam mnie wysłali na kurs do Legnicy i tam dostałam bardzo dobre papiery kucharskie. Później mnie poprosili, żebym była szefową kuchni i dobrze mi szło. Ale umalowali kuchnię i tam wisiał ten obraz – co tu wisi na ścianie¹ – był brudny i kiedy malowali ściany, to ja go zdjęłam i ładnie umyłam, wyczyściłam i powiesiłam na tym samym miejscu. Przychodzi później kontrola po malowaniu, przychodzi cały ten dyrektor: *Kto powiesił ten obraz?* A to był partyjniak, że aż strach. I ja mówię, że on tu wisiał, tylko ja go wyczyściłam i po malowaniu to ja go powiesiłam. – *To proszę go zdjąć!* Ja mówię, że to nie jest mój obraz, tylko ja go wyczyściłam teraz i powiesiłam na tym miejscu. – *Proszę zdjąć, bo ja go potłukę!* Upierałam się, upierałam, a później mi się płakać zachciało i zdjęłam ten obraz, wzięłam go pod pachę, płaszcz na siebie i poszłam do domu. Już więcej nie wróciłam. Trochę musiałam płacić potem manka, bo zostawiłam wszystko

¹ Na ścianie wisi obraz Jezusa trzymającego serce.

i reszta pracowników pozabierała naczyń dużo. Ale obraz miałam w domu i go nikt nie potłukł. I nie poszłam już do pracy. Później przysyłali po mnie, dyrektor chciał, żebym przyszła do niego. A ja: *Nie, już nie pójdę do pracy*. I nie poszłam, poszłam do ZWAP-u². W ZWAP-ie to miałam ciężką robotę, w dziale pierwszym mechanicznym przepracowałam 34 lata. Ale dzisiaj bym wróciła tam jeszcze, jakbym miała 40 lat, to bym chciała tam być. Tak się dobrze robiło, takie fajne ludzie byli. A później, jak już dzieci miałam, to robiłam w kontroli, to już nie było tak ciężko, pracowałam już tylko na jedną zmianę. Wcześniej to na trzy zmiany pracowałam.

Szkolę podstawową zrobiłam dużo później, jak już byłam po czterdziestce. Ta szkoła podstawowa to była tak zrobiona, że to śmieszne było. Ja nie mogłam chodzić do szkoły, bo miałam małe dzieci, a nikt mi nie pomagał i sama się nimi zajmowałam. I pracowałam, a tu trzeba było tę szkołę zrobić. Taka Marysia była i ona mówi: *Hela, przyjdź do dyrektorki, ona cię przyjmie*. Poszłam do dyrektorki i mówię do niej, że jest tak i tak, że chciałabym skończyć tę szkołę, bo potrzebuję papiery do pracy. *To zapisujemy*. Tydzień czasu chodziłam do siódmej klasy. Wprowadza mnie ta dyrektorka do szkoły, do siódmej klasy, a tam jeden uczeń – nie zapomnę go, młody był – mówi: *Tak, my chodziliśmy tyle lat, a ta pani przyszła i zaraz zda wszystko*. A ta dyrektorka mówi: *Okaże się, kto zda. Może Pan zda, może ta pani. Nie wiadomo. Okaże się na egzaminach. I nic nie będziemy tu dyskutować. Ta pani jest świeżo przyjęta i już*. I tak było. Andrzej, mój syn, mnie jeszcze uczył. Pisał mi w zeszytach zadania. Tyle zeszytów zapisałam, że koniec świata. I przyszły egzaminy, i ja zdałam, i wszyscy zdali. Zanim przyszedł do pracy i dostałam dwa tygodnie urlopu, dostałam dwie grupy wyższe, po tej szkole.

Pierwsza miłość to przyszła późno. To był Fiecek. Bardzo go lubiłam, bardzo kochałam się w nim, ale tylko tyle, na odległość. Nie zapomnę, jak on chciał ze mną być, ale był już żonaty. Taką prawdziwą pierwszą miłością to Paweł był. Jego jak poznałam, to mnie się nikt nie podobał. Raz przyszło trzech nowych do pracy. We trzech przyszli, jeden taki (niski), jeden taki (średni), a jeden taki (wysoki). A ja tu na maszynie robię, żółtą chustkę mam zawiązaną pod brodę. A oni weszli, przechodzą przez ten dział, a ja sobie myślę: „O kurczę, co to jest za człowiek? Taki wysoki, przystojny. Ale on mi się podoba”. A szczerbaty był wtedy, ale w tydzień zęby sobie zrobił. Chustkę zdjęłam, jeden dzień minął, drugi, ale na trzeci to już za mną biegał. Poleciał do kontroli, wypytywał o mnie. Podszedł do mnie i zapytał, kim ja jestem. A ja mówię: *A, mną to nie ma Pan co sobie głowy zawracać, bo ja jestem rozwódka i mam troje dzieci*. A on mówi: *O, to się zgadza, bo ja też mam dzieci i jestem rozwodnik*. Aha, to już coś wiem. To się jemu spodobałam. Poszedł do innej koleżanki z działu i mówił jej, jak ja mu się podobam i co mu powiedziałam. A ona na to: *Nie słuchaj jej Pan. Ona ma dzieci? Ona rozwódka? Ona panna jest, żadnych dzieci nie ma*. Półtora roku za mną chodził, zanim zaczęliśmy ze sobą tak naprawdę

² Zakłady Wytwórcze Aparatury Pomiarowej – PAFAL w Świdnicy.



chodzić. W tym czasie taka Teresa, rozwódka z dziećmi, miała na niego ochotę. Tak latała za nim, że coś okropnego. A on nie, on stale ze mną, odprowadzał mnie, przyprowadzał mnie do roboty. A metali od maszyny to już nigdy nie odniosłam, tylko on przyjeżdżał wózkiem, zabierał i odwoził do rozdzielni. I ta Teresa za nim latała. Raz Henia – koleżanka – mówi do mnie: *Hela, napiszemy list i włożymy jej do szafki. Napisz.* I ja napisałam kartkę: „Tereska, słuchaj, jak chcesz Pawła, to poproś mnie ładnie, to ja ci go odstąpię. Ale nie lataj za nim, tak żebym ja nie wiedziała”. Podpisałam się: „Hela” i wsunęłam list do szafki. Ona później tak na mnie spod byka patrzyła. Teraz jak o tym pomyślę, to głupie my byłyśmy okropnie. Ona do niego wciąż przylatywała, pod jego dom, a on mieszkał wtedy z mamą. I ta przyszła teściowa mówi mi: *Słuchaj, Hela, tu zawsze w niedzielę rano to jakaś przychodzi i woła: Paweł! Paweł! A Paweł każe powiedzieć, że go nie ma. Kto to jest?* Ja mówię: *To ja przyjdę. Przyjdę, zobaczę, kto to jest.* I przyszedł, Paweł się śmiał jak diabli. Ona krzyczy: *Paweł! Paweł!* A ja otworzyłam okno i mówię: *Co Pani chciała od Pawła? Pawła nie ma w domu.* Jak ona mnie zobaczyła, to tak już więcej nigdy nie wołała.

A Paweł mi się spodobał, jak przyszedł, najładniejszy był. Półtora roku – jaka ja głupia byłam, chłop się męczył – to chodziliśmy ze sobą jak brat z siostrą. On nie przychodził do mnie do domu w ogóle, tylko mnie odprowadzał pod dom. To raz mu Hela mówi – moja współlokatorka, we trzy panny mieszkaliśmy w jednym domu – że są moje imieniny, i żeby przyniósł ogromny bukiet kwiatów, żeby w końcu zaczął do nas przychodzić. Później to jeszcze Januszek – jego syn, do mnie przychodził częściej jak on. Miał 6 lat.

Jak ksiądz po kolędzie do nas przychodził, to pytał, jak my żyjemy, że nie mamy ślubu. Nie mogliśmy wziąć, bo on miał dwoje dzieci i razem też mieliśmy dwójkę. On był rozwodnikiem, żona nie wzięła dzieci, to on wziął. I razem mieszkaliśmy. *To musicie tak żyć, musicie, bo żebyście dostali rozwód, to do Ojca Świętego trzeba by pisać. To za drogo by Was kosztowało. To już musicie tak żyć, ale przed śmiercią jeszcze weźmiecie ślub kościelny* – mówił ten ksiądz i te jego słowa się spełniły. Później Pawła pierwsza żona umarła i wzięliśmy ten ślub kościelny. Andrzej, nasz syn, miał już wtedy z 25 lat. To było z 7 lat przed śmiercią Pawła. Pamiętam dokładnie datę naszego cywilnego ślubu, ale kościelnego nie pamiętam. Mój wnuczek miał z 3 latka i przyleciał do ołtarza dać babci różyczkę. Pamiętam, że to było w Piotra i Pawła, ale w którym roku nie pamiętam. A cywilny to pamiętam, że był 1961 rok, 20 sierpnia. Były na nim dzieci męża: 6 lat miał wtedy Januszek i Rysiek – 7.

Dzieci rodziłam w szpitalu. Pierwsze mi zmarło. To był Adaś. Zmarł trzy godziny po porodzie. Miesiąc za wcześniej go urodziłam. A później rodziłam Andrzeja i po roku Ewę. W ciąży pracowałam do końca, tylko dużo jadłam, bardzo dużo mogłam zjeść. Byłam taka szczupła, a w ciąży 23 kilo przytyłam. A dziecko urodziłam, które miało kilo 700, pierwsze. Wszystko na mnie poszło i to zostało. A później Andrzeja urodziłam, co miał 4 kilo 700, Ewa też 4 kilo 500, a to pierwsze tak mało miało.

Trzy miesiące byłam na urlopie macierzyńskim i wracałam do pracy. A dzieci szły do żłobka. W pracy, kobiety siadają i jedzą śniadanie, a Helcia przez park leci nakarmić dziecko do żłobka. I z powrotem do pracy. Daleko nie było.

Zawsze mówiłam, że wolę mieć chłopaka, syna. Ale jak Ewę urodziłam, to też się ucieszyłam. A Paweł, ojej, jak on chciał córkę. Tu dzwonią do niego, że córka się urodziła, a on nie wierzy, bo ja, jak szłam do szpitala, to mówiłam, że chociaż będzie chłopak, to powiem, że córka. I on nie wierzył. Jak przyszedł z ciuchami, przyniósł je dla dziecka, to on tak zaglądał, jak pielęgniarki chciały ubrać małą, że one pytają: *Co Pan jeszcze nie widział?* – *A nie, bo mnie tak oszukują, że muszę sprawdzić, czy to na pewno dziewczynka.* Jak on chciał dziewczynkę, jak on się cieszył. Mówią, że jak w starszym roku się rodzi, to że nie wyrosną dzieci. Wcale nieprawda, moja Ewa jest bardzo wysoka, a urodziłam ją, jak miałam 37 lat. Andrzeja rok wcześniej i Adasia dwa lata wcześniej.

Byłam długo panną, sama mieszkalam, ale nigdy żadnego chłopaka do domu nie przyprowadziłam. Mieszkaliśmy we trzy na jednym mieszkaniu: ja, Hela i Henia. Kolana tak sobie raz poobijałam, bo uciekałam po schodach i przewróciłam się. Przyleciałam do mieszkania, zamknęłam drzwi, a tam ktoś się zaraz dobija. Nie chce odejść, a ja nie chcę otworzyć. *Hela, daj siekierę* – mówię. Z tą siekierą stanęłam w drzwiach i on uciekł. Ale my głupie byłyśmy okropnie. Albo do Heni też przychodził taki jeden Mietek, a ona go nie chciała. Nie to, że nie chciała, ale była już z innym umówiona w tym czasie. I on przyszedł, a ona do mnie mówi: *Idź, otwórz i wymyśl coś.* Ja mówię, że nie otworzę, bo Mietka znam i co mu powiem. To ona założyła taką chustę, opatulila się i idzie otwierać. On poznał, że to ona, a ta mówi, że nie ma Heni i zamknęła drzwi. Ale panny głupie.

Raz Fiecek przyszedł do mnie, Hela mówi tak: *Nie ma Heli.* No to poszedł. To ja mówię do Heli, że jak przyjdzie Paweł, to też powiedz, że mnie nie ma. I ja głupia zamknęłam się w pokoju. A Paweł przyszedł i poszedł, ale usiadł na ławce przed domem i czekał na mnie. Taka ładna pogoda, niedziela, ślicznie, dziewczuchy poszły, wyszły z domu, a ja sierota przez okno zaglądam, czy on siedzi jeszcze. Siedział do wieczora. Fiecek posiedział chwilę i poszedł. A Paweł siedział i czekał, że skądś wrócę, jak mnie nie ma w domu. Nie wyszłam cały dzień z domu, bo siedział na tej ławce. Albo raz w pracy, a z Pawłem na jednym dziale robiliśmy, wzięłam przepustkę i poszłam z Fiekiem do kina. Stoimy w kolejce po bilety, czekamy, a tu Paweł idzie. Wyczuł, że gdzieś idę i też wziął przepustkę, i mnie sprawdził. Jak mnie zobaczył z Fiekiem, to później mówił: *Idź do Fiecka! Idź do Fiecka!* Fiecek też już się rozszedł z żoną. Czemu nie jego, a Pawła wybrałam? Bo on nie miał dzieci ani z jedną, ani z drugą żoną, a ja chciałam mieć dzieci. Ja się w nim kochałam, ale myślałam: „Dzieci nie będę miała, po co za mąż wychodzić”.

Ja lubiłam się ubierać. Nie było mnie tak stać na wszystko. Dużo siostrze pomagałam finansowo, bardzo dużo, nieraz to i całą pensję dawałam na jej rodzinę. Ale jak coś miałam, to lubiłam się dobrze ubrać. Nie było tak materiałów, miałam

krawcową i jak ona mi coś uszyła, to bardzo elegancko wyglądałam. I butów miałam mnóstwo, pięknych, na obcasie. Lubiłam się ubierać: kapelusik, sukieneczka – miałam taką piękną suknię z płaszczą przesytą. I szczupła byłam bardzo, dopiero po dzieciach przytyłam. Do fryzjera też chodziłam, ale się nie malowałam. Jak ja lubiłam szpilki – a teraz tylko patrzę, żeby koturna była. Ale i teraz się lubię dobrze ubierać. Tylko teraz to już nie ma w co. Jak idzie kobieta ulicą w butach na obcasie, to zwracam na nią uwagę, tak lubię ładne buty.

Mężczyzna jak był ładny, to się patrzyło. Ja byłam brzydka. Ja to zawsze mówiłam, że ja to zgrabna byłam, ale ładna nie. Zawsze mówiłam, że nos mam duży. Nie zapomnę, jak z takim Cześkiem chcieli mnie wyswatać, a ja mówię: *On ma duży nos. Ja mam duży nos. A nasze dzieci to z nosami nie wejdą do chałupy.*

O czym marzyłam? Zawsze troje dzieci chciałam mieć i miałam, tylko jedno mi zmarło. Nie marzyłam o bogactwie. Tylko zawsze mówiłam, żebym miała, co zjeść, w co się ubrać, żeby rodzina miała dobrze. I tak było. Bogactwa nie było, ale głodu też nie. Paweł lubił sobie wypić, ale był zaradny chłop. Jak przepił, to poszedł na wieś i zarobił, i przyniósł. Jeszcze ktoś nie wszedł, to już częstował. Taki był gościnny. Co miał, to dawał. Nie zapomnę, jak gotowałam flaczki, to mówił: *Ale nie mów nikomu, że są flaczki.* A jak tylko ktoś wszedł, to od progu krzyczał: *Dobrze, że idziesz, bo Hela takie dobre flaczki ugotowała.* Bardzo lubił częstować.

Starość – sama przyszła i sama pójdzie. Teraz to myślę, żebym tylko się nie położyła, nie leżała, żeby nade mną nie robili. Powinnam żyć, dopóki się umyję jako tako i sama nad sobą zrobię, żeby nade mną nie musieli robić. To myślę, tego pragnę i modłę się o to. Jak już nie można nad sobą zrobić, to po co żyć. A starość mam na razie dobrą. Jak byłam młoda, to nie wiedziałam, co to znaczy starość. Pamiętam, jak kiedyś z moją siostrą, Stefą, chciałyśmy mamę wziąć na spacer, a ona mówi: *Idźcie dzieci same, bo mnie nogi bolą.* Mówiłam wtedy do Stefy: *Co tam w tych nogach boli?* Już nie byłyśmy takie młode, ja miałam 40 lat, a Stefa 50, a jeszcze nie wiedziałyśmy, co to znaczy, że nogi bolą. I później jak już nas zaczęły nogi boleć, jak poszłam do Stefy, to Stefa mówi: *Teraz to wiem, co to znaczy, że nogi bolą.*

Jak byłam na ostatniej operacji na te tętniaki w brzuchu, dzień przed operacją internista przyszedł – tego lekarza to ja nie zapomnę, jak ja go lubiłam – i mówi: *Pani wie, jaka to jest ryzykowna operacja? Jakie ryzyko Pani podejmuje?* A ja mówię: *Panie doktorze, niech Pan mnie nie straszy, bo ja się nie boję.* – *Nie boi się Pani?* Ja mówię: *Nie, bo ja już przeżyłam 82 lata, to już mi wszystko jedno. Teraz to mogę na tamtej stronie popróbować, jak tam jest. Nie boję się.* Nie bałam się. Czekałam na operację. Trzy tygodnie czekałam. Nie chcieli mnie wypuścić do domu. Tamci lekarze chcieli mnie puścić do domu i wezwać, jak już będą mieli te protezy żył. Czekam, czekam i przychodzi ten Arturek – lekarz, jaki on fajny był, stale oczko robił do mnie – *Jak się Pani czuje?* Ja mówię: *Panie doktorze, ja jestem na wczasach. Mnie nic nie boli.* Mówił, że to dobrze, ale nie chciał mnie wypuścić, bo się o mnie bał. Ze mną leżał taki pan, 53 lata, upadł i umarł, bo mu tętniaki pękły. Jak raz

jadłam obiad, to ten lekarz, Arturek przyszedł i pyta: *Jak się Pani dziś czuje?* Ja mówię: *Panie doktorze, coś mnie trochę brzuch boli.* Jak ja powiedziałam, że mnie trochę brzuch boli, tak on odstawił od razu to jedzenie, wziął to łóżko i pojechał ze mną na operację. Wszystko zostawił i na salę operacyjną mnie zawiózł. A tam dali mi narkozę. Jak mi założyli tę maskę, to ja: *Pod Twoją obronę, uciekamy się święta, boża...* I koniec. To pamiętam, że tyle powiedziałam. Trzy i pół godziny operacja trwała. Przywieźli mnie z powrotem, a te babki wszystkie siedzą pod moją salą, czekają na mnie. Pytam lekarza, czy mogę się wody trochę napić. A on mówi: *Dużo pić, dużo jeść, wstawać i chodzić.* Tak, chodź sobie, jak cały pocięty jesteś. Ale przeżyłam. A byłam w 100 % pewna, że ja umrę, ale jeszcze mnie tam nie chcieli.

Nieźle tu było, dałam sobie radę ze wszystkim.

Stefania Michocka

Nazywam się Stefania Michocka. Urodziłam się prawdopodobnie w szpitalu, w Grüningen – w granicach dzisiejszych Niemiec. Tam był obóz pracy dla jeńców i moi rodzice pracowali tam jako niewolnicy u tak zwanego bauera. Takie obozy polegały na tym, że wylapywano młodych ludzi z terenów okupowanych i po prostu zatrudniano ich w rolnictwie na swoich gospodarstwach. Wszyscy byli gdzieś tam skoszarowani. Od rodziców wiem, że w tych barakach mieszkali, a właściwie tylko spali, ludzie różnych narodowości – byli tam: Włosi, Francuzi i Cyganie, i Czesi, i Polacy, i Rosjanie.

Urodziłam się więc w szpitalu, pod amerykańską okupacją, z tym że w tym czasie te strefy nie były jeszcze ustalone, bo to był grudzień 1944 roku, więc trwała jeszcze wojna. A potem mieszkalam z rodzicami w barakach, gdzie były duże pokoje, prycze piętrowe i jakaś kuchnia. Z tego co wiem, rodzice byli wdzięczni losowi, że tam trafili, ponieważ wiele z ich koleżanek, kolegów, znajomych, trafiło wprost do obozu śmierci, skąd już nie wyszli.

Zresztą moja mama przeżyła taki moment, że była przygotowywana do gazu. To był transport kobiet gdzieś aż spod Smoleńska, bo mama uciekała gdzieś w tamtą stronę i tam ją zgarnęli, miała wtedy 17 – 18 lat. Z transportu do transportu miesiącami trwała ta podróż, no i trafiła – golusienka, włosy ostrzyżone, pozbawiona biżuterii, ciuchów, wszystkiego – do tak zwanej łaźni. Kobiety nie wiedziały, co oznacza ta łaźnia, bo u sufitu były tylko krany, z których leciała zimna woda. W pewnym momencie, w środku nocy światła zgasły i wszystko się zatrzymało. Wszystkie szły przez tę długą halę – łaźnię, przesuając się z jednego końca w drugi. I w pewnym momencie to stanęło. Zauważyły, że pod sufitem jest jakiś prześwit. Wchodząc jedna na drugą starały się zorientować, co się dzieje, ale nic nie było widać. I tak do rana przetrwały, a rano się zrobił ruch przed tym barakiem, bo przyjechali bauerzy, żeby sobie powybierać siłę roboczą do swoich gospodarstw. Jak się później okazało, z jednej strony dziewczyny zostały wywalone nagusieńkie na ten plac, z drugiej strony panowie, a bauerzy chodzili i co zdrowsze sztuki – jeśli mogę tak powiedzieć, bo oni tak ludzi traktowali – wybierali. Mama miała dużo szczęścia, ponieważ miała ranę na łopatce od nahaja – takim nahajem z haczykami ich gonili w transporcie i od tego miała skórę zdartą z łopatki. Oczywiście nikogo chorego czy rannego nie chcieli brać, ale ten Niemiec popatrzył na mamę i dotknął ją szpicrutą – jeśli kogoś dotknął tą szpicrutą, to znaczyło, że szedł do pracy, jeśli nie dotknął, to te dziewczyny wracały do tej łaźni i szły z dymem.

Będąc więc tam w tym obozie pracy obydwójce rodzice uważali, że i tak mają dużo szczęścia, bo żyją, bo pracują. Z opowiadań wiem, że nie narzekali, bo każdy mógł jeść przy tym, przy czym pracował. Nie wolno było tylko wynosić, zabierać czy kraść – nawet jednej truskawki z pola nie można było zabrać. Natomiast jeść w trakcie zbierania można było, ile się chciało, więc to już był luksus.

Jest taka anegdota: mój ojciec do końca życia nie jadł truskawek, bo właśnie pracował kiedyś przy truskawkach – ja już byłam na świecie, byłam małą – i chciał mi przynieść w kieszeni kilka truskawek, i ktoś, kto pilnował tych robotników, jak oni już schodzili z pola, mówi: *Pokaż, co masz w kieszeni*. A ojciec miał dwie czy trzy truskawki. Agronom wyznaczył mu rząddek i kazał mu ten cały rząddek truskawek zjeść. Ojciec zjadł, mnie nic nie przyniósł i do końca życia już truskawek nie jadł.

Miałam tam dużo wujków, cioc, bo wszyscy ci pracownicy, robotnicy byli wokół. Mama też nie narzekała, bo jak się okazało, że jest w ciąży, to ten bauer – właściciel przeniósł ją z tej ekipy, która pracowała w polu, do gospodarstwa. I pracowała przy oprzątaniu krów, a on powiedział jej, że ma pić tyle mleka, ile zechce. Prawdopodobnie dlatego urodziłam się zdrowa. Potem jeszcze w Ludwigsburgu urodził się mój brat.

Tam byliśmy do końca wojny, a tuż po wojnie transportem przejechaliśmy do Polski w bydłych wagonach. Mama pieluchy suszyła pod pachą, czyli los normalny wtedy. Mieli tyle rzeczy, ile mogli udźwignąć. Ja już chodziłam, byłam trochę starsza, miałam półtora roku, a brat był malutki. Pociąg zatrzymywał się po drodze w różnych miastach, a rodzice mieli takie pismo, że mają wysiąść w Jarocinie, ale w Jarocinie nie pozwolili im wysiąść – pojechał pociąg dalej na północ i pozwolili im wysiąść w Jastrowiu. Ówczesne władze miasta miały ich rozlokować, tam gdzie było miejsce.

Powoli, powoli wszyscy zaczęli uczestniczyć w cywilizacyjnych, formalnych procesach życiowych: szukać pracy, mieszkania, łóżek, sprzętów. Gdzie co było wolne, opuszczone, bo Jastrowie było opuszczone przez Niemców, to zasiedlano.

Z opowiadań mamy wiem, że w tym obozie były takie panie, Niemki, które koniecznie chciały mnie sobie wziąć na wychowanie, bo podobno byłam taką *kleine Puppe*, czyli taką małą laleczką. Tłumaczyły mojej mamie, że jak mnie zabierze tam gdzieś, nie wiadomo gdzie, to ja nie będę miała przyszłości, a że one mogą mi zapewnić wszystko. To były stare panny, nie miały własnych dzieci i koniecznie chciały mnie wychować. Nawet był taki incydent, że one mnie ukradły, także ja byłam dzieckiem zaginionym przez ileś tam tygodni. Ale ponieważ to już było pod amerykańską okupacją, zagrożono im karą i zostałam do baraku podrzucona, ubrana jak księżniczka i nikt nie widział, kto mnie tam podstawił. I tak, już z rodzicami, przyjechałam do Jastrowia.

W zasadzie moje dzieciństwo, młodość, aż do końca szkoły podstawowej, spędziłam w Jastrowiu. Pamiętam, że jako dziecko byłam zdziwiona, bo mówiło się dużo o tym, że mama, która była sierotą od szóstego roku życia, szukała swojego brata starszego – nie znalazła. A mój ojciec poszukiwał swoich rodziców, którzy w tym czasie byli przesiedleni spod Lwowa koło Rudek na ziemie zachodnie, no więc nie wiadomo było, gdzie oni się podziali. Funkcjonowały wtedy te wszystkie biura poszukiwawcze, więc to się dało znaleźć, ustalić. Przyjechał dziadek, ojciec mojego ojca i matka, jego bracia i siostry, i tak poznawaliśmy tę rodzinę. W Jastrowiu

mieszkaliśmy w trzech czy czterech miejscach. Tam chodziłam do szkoły podstawowej. O przedszkolu nie było mowy, bo to nie było zorganizowane, więc nie było czegoś takiego jak przedszkole. Mama nie pracowała, zajmowała się domem, a ojciec pracował jako kierowca, jeździł ciężarówką. Mieliśmy takie pół domku, duże podwórze, ogród. W podwórzu mieliśmy taki rodzaj letniej kuchni i tam z jednej strony mama zawsze trzymała jakieś prosiaki, potem kury, kaczki. Trzeba było się czymś wyżywić, ponieważ pieniądze były niezbyt duże, a myśmy w zasadzie nie mieli nic. Wiem, że w naszym domu to była taka składanka różnych mebli, gdzie co komu nie było potrzebne, to braliśmy.

Szkola podstawowa była dobrze zorganizowana, w sumie niedaleko od domu, także na dużą przerwę zawsze przylatywaliśmy wszyscy, bo potem w tym Jastrowiu urodziło się jeszcze dwóch moich braci, czyli była nas czwórka i była z nas niezła banda. Podwórze było ogrodzone płotem, a po drugiej stronie było lustrzane odbicie takiego samego domu i tam była też taka czwórka, tylko że u nas było trzech chłopaków i jedna dziewczyna, a tam było odwrotnie. Wszystko się pięknie składało, mieliśmy drużynę do zabaw wszelkich. Bawiliśmy się rzeczami, które sami sobie wynajdywaliśmy, tworzyliśmy: klasyczne lalki z gałganków, jakieś mechaniczne zabawki ojciec nam robił, że tam się coś ruszało, wszystko to było z jakichś patyczków, deseczek. Dzisiaj to są kuriozalne rzeczy i bardzo poszukiwane, zwłaszcza na jarmarkach, a dla nas to były normalności. Jak się zepsuło, to się robiło następne i nikt się tym nie przejmował, nie było to nic wyszukanego. Wiem, że w ogrodzie to kopaliśmy łyżkami, bo nikt nam żadnych łopatek ani foremek nie robił. To co było pod ręką, to służyło nam do zabawy.

Jak dzisiaj na to patrzę, to można by powiedzieć, że było biednie, z tym że myśmy wtedy nie czuli, że to jest biedne, wszyscy dookoła tak mieli. Nie pamiętam, żebyśmy się przejmowali tym, że na przykład jeszcze rok w tych samych spodniach muszę chodzić albo że kurtkę, którą ja już wynosiłam, musi teraz nosić młodszy brat. To nie był problem. Największy problem był z butami, bo musiały wystarczyć jeszcze na następną zimę, a tu nogi rosły i trzeba było uważać, żeby po kałużach nie chodzić, żeby jak najdłużej służyły. Zresztą moi rodzice i ich znajomi, i sąsiedzi też tak samo się zachowywali, wszystko miało służyć przez lata, więc wszystko się szanowało.

To dzieciństwo nasze było pełne przygód, pełne zagadek, mieliśmy mnóstwo dziwacznych pomysłów. Bawiliśmy się w Indian w ogrodzie w krzakach porzeczek, wspinaliśmy się na wiśnie, psa zaprzęgaliśmy do sanek zimą. Brat wymyślił, że na patyku powiesił mu przed nosem kawałek kielbasy i cała ulica się śmiała, jak nas Dunaj – ten nasz piesek – ciągnął na tych sankach. Jak ktoś miał rower, to też była duża frajda, żeby móc się przejechać. To były duże rowery dla dorosłych, a myśmy tam pod ramą, pokrzywieni, próbowali kręcić.

Pewnie rodzice mieli z nami jakieś problemy, bo wiem, że mama nas kiedyś zostawiła na podwórzu, idąc tam po coś do sklepu i powiedziała, że mamy gęsi pilnować. Bawiliśmy się na tym podwórzu, na ogrodzie, mama wraca, gęsi nie ma.

Awantura się zrobiła, ponieważ moja mama była osobą dość energiczną, więc mówiła krótko, zdecydowanie i w ogóle się z nią nie dyskutowało. Kazała nam iść: za ogrody, do lasu, gdziekolwiek, znaleźć te gęsi. Myśmy pół dnia chodzili i szukali, i wołali, ale tych gęsi nie mogliśmy znaleźć. I mój brat mówi wtedy: *Słuchajcie, a może te gęsi odfrunęły do ciepłych krajów*. Bo to był koniec wakacji i już niektóre ptaki się zbierały do odlotu. Myśmy byli wtedy bardzo mądrzy, bo uczyliśmy się o tym w szkole i zaraz na bieżąco ta nauka była stosowana. Ja mówię: *Rany boskie, to mama nas nie wpuści do domu, co my teraz zrobimy?* Jak zbite pieski wróciliśmy do tego domu i patrząc tylko, żeby mamie się na oczy nie pokazywać, chyłkiem przemykaliśmy. Pamiętam, że pierwsza dostałam się do domu, bo mama była czymś zajęta na podwórzu, więc ja tam boczek wpadłam do kuchni, a z kuchni były drzwi otwarte do pokoju, do jadalni. Ja patrzę, a te gęsi siedzą pod stołem naprzeciwko radia, a radio było takie z mrugającym zielonym okiem. Jakaś muzyczka sobie grała i te gęsi siedziały sobie pod tym stołem, obtulone, wtulone w siebie i słuchały tego radia – a to radio mrugało do nich zielonym oczkiem. Wyleciałam taka zadowolona i zawołałam wszystkich. A one prawdopodobnie były tam od początku. Myśmy potem to obserwowali i wykorzystywali. Jak chcieliśmy, żeby one nigdzie nie szły daleko, to ustawialiśmy im radyjko. Ojciec mój robił sam te tranzystorowe radyjka, więc stawialiśmy je tam na pieńku i one sobie siedziały, i bardzo się tuliły do siebie, jak słuchały tej muzyki.

Szkoła jak szkoła. Nauczyciele to byli ludzie starsi. Dyscyplina była dość rygorystycznie przestrzegana. Jasno było powiedziane, co wolno, czego nie wolno. Jak ktoś się wyłamywał z tego, to absolutnie miał karę. To jeszcze był okres – pamiętam w naszej klasie chłopcy, nie wiem, czy bardziej rozrabiali, czy byli mniej posłuszni – kiedy nauczyciel podchodził: łapa, linijka i jakieś za ucho ciągnięcie – to było na porządku dziennym. Ale to rozbrykane towarzystwo trzeba było jakoś ujarzmić. Co jeszcze ze szkoły? Pamiętam, że było bardzo dużo różnych kółek zainteresowań: i muzyczne, i taneczne, i artystyczne, i plastyczne, i z papier-maché, i był chór. Więc tych zajęć poza lekcjami było dość sporo i chętnie wszyscy na to chodzili.

Zresztą w tym miasteczku sporo było takich przedsięwzięć, na które dzisiaj patrzylibyśmy dziwnie i na które nikogo by się nie namówiło. Nauczyciele i inni dorośli zorganizowali teatr amatorski i moi rodzice brali w tym udział. Fredrę tam grali, mieli różne role, uczyli się tych ról, były przedstawienia, które latem się odbywały. Gdzieś też z tymi teatrykami wyjeżdżali. Dla dorosłych też więc były zajęcia i dosyć sporo ludzi było w to zaangażowanych, nie trzeba było nikogo namawiać. U nas bardzo często latem wieczorami sąsiedzi się zbierali: mój ojciec grał na skrzypcach, ktoś tam grał na harmonii, ktoś inny na fujarce – nieraz po 10 – 15 osób siedziało, grało i śpiewało.

Cale Jastrowie to był konglomerat ludzi z całej Europy, przesiedlonych. Wszyscy byli zadowoleni, że przeżyli tę wojnę i może dlatego byli tacy radośni. Wszyscy mieli mniej więcej tyle samo, choć zdarzały się rodziny, którym się lepiej powodziło.



fot. Danuta Piotrowska

Pamiętam, że zazdrościłam swojej koleżance, bo ona miała pianino w domu – chodziłam z nią do klasy i ona mieszkała na tej samej ulicy, a jej ojciec był krawcem i im się dobrze powodziło. I to jeszcze nie byłoby nic złego, ale jej rodziców było też stać na to, żeby ona chodziła na lekcje gry. A ja koniecznie chciałam nauczyć się grać na pianinie, ale w domu usłyszałam, że raz, że nie mamy pianina, a dwa, że nie stać nas na to, żebym ja chodziła gdzieś tam na lekcje. Bo ja sobie wymyśliłam, że będę chodziła na lekcje, a ćwiczyć do tej koleżanki, ale to się nie udało. Kiedyś jak wracaliśmy ze szkoły, to byłam na nią tak zła, że musiała iść dookoła, bo zagroziłam jej drogę i powiedziałam, że jak jeszcze krok zrobi, to jej taką wpruwę sprawię, że się nie podniesie. Ale tak poza tym, to nie było większej segregacji między nami. Bardzo dużo w tej szkole było dzieci z domu dziecka, bo był w Jastrowiu dom dziecka – przepelniony, naturalnie, bo tych sierot powojennych było mnóstwo. I w naszej klasie też były. Pamiętam taką Kasię, która miała przepiękny uśmiech. Te dzieci też były biedniejsze niż my, ale wyglądały tak samo. Mój młodszy brat zaprzyjaźnił się z takim Januszem z domu dziecka. On był Mulatem, to na niego murzynek wołali, bo jakże inaczej. Mój brat też miał na imię Janusz, więc bardzo się zaprzyjaźnili. On był naszym bratem, dodatkowym dzieckiem dla rodziców, bo mama załatwiła w domu dziecka, że on mógł u nas popołudniami przebywać.

Wakacje spędzaliśmy w Środzie Śląskiej u rodziców ojca. Nie było nas stać na kolonie, więc jeździliśmy na tak zwane gospodarstwo do dziadków.

Potem szkoła podstawowa się skończyła – było w niej siedem klas, miałam więc czternaście lat. I co dalej? Marzeniem rodziców było, żeby iść jak najszybciej do pracy. Modne było bardzo w szkole wiązanie się w przyszłości z zawodem nauczyciela. W okolicy było mnóstwo liceów pedagogicznych. Ja powiedziałam, że nigdy w życiu nauczycielką nie będę. *A kim byś chciała być?* Moim największym marzeniem, było zostać pilotem – oczywiście mnie wyśmiali i bardzo dokuczali, bo ja w ogóle chciałam być pilotem już od drugiej czy trzeciej klasy. A rodzice pytali: *Jakim pilotem, byś została krawcową albo kimś innym.* Ojciec mi powiedział, że dziewcząt nie przyjmują na pilotów. A ja chciałam samolotem dolecieć do Księżyca, bo uważałam, że to jest możliwe. No i potem Tierieszkowa poleciała na Księżyc. Pamiętam, że uciekłam wtedy z lekcji, biegłam całą drogę do domu i krzyczałam: *Mówiłam wam, że się da dolecieć.* Byłam tak rozgoryczona, byłam taka wściekła. No nic. Rodzice nie mogli się ze mną dogadać, bo nauczycielką nie chciałam być, pilotem nie mogłam być według ich pojmowania świata. Poza tym przecież dziewczyny nie warto kształcić, bo zaraz wyjdzie za mąż, dzieci urodzi – po co marnować pieniądze na kształcenie. Chłopakami to trzeba się zająć, ale dziewczyną to nie. Dlatego zawsze chciałam być chłopcem. Dziewczynki miały obowiązek nosić spódnice w szkole. A ja już pierwszego dnia rozdarłam swoją spódnice, bo z chłopakami przełaziłam przez płot. Mama więc poszła i poprosiła dyrektora, żeby pozwolił mi chodzić w spodniach. I jako jedyna dziewczynka miałam pozwolenie na spodnie. Cały czas chciałam dorównać tym chłopakom, żeby być traktowaną tak wyjątkowo, jak oni byli.

Któregoś dnia, jak już świadectwa były rozdane, moja mama z sąsiadką z ulicy, która prowadziła za rękę swoją córką, przyszły po mnie. Moja mama chwyciła mnie, poszliśmy na dworzec. Z koleżanką nie wiedziałyśmy, o co chodzi. Nasze matki miały swój plan. Pociągiem pojechałyśmy do Piły, w Pile do szkoły – Technikum Gastronomiczne. *Tu będziesz zdawała, jak zdasz, to się będziesz uczyć, jak nie zdasz, to będziesz ulice zamiatać.* Krótka była rozmowa. Myśmy obie zostały tam wpuszczone przez te swoje matki, w ogóle bez dyskusji. Tak miało być, tak rodzice postanowili.

Zdałam ten egzamin i chodziłam do tej szkoły. Ponieważ to było w Pile, to trzeba było załatwić internat. I od tego 14 roku życia mieszkalam w internacie. Do domu można było raz w miesiącu na niedzielę przyjeżdżać. Pierwsza niedziela miesiąca, to była tak zwana niedziela wyjazdowa. W internacie trzeba było przestrzegać regulaminu. Do szkoły chodziło się parami. W internacie była stołówka i tam był obiad. Po obiedzie było półtorej godziny ciszy poobiedniej, w czasie której trzeba było odpoczywać, ewentualnie można było robić coś takiego drobnego w pokoju, ale nie wolno było chodzić po korytarzach. I po godzinie piątej trzeba było wziąć zeszyty, książki i ustawić się w pary – wychowawczyni przychodziła, sprawdzała, czy wszystkie są – a były same dziewczyny, bo chłopcy byli w innym internacie – i parami z powrotem do szkoły. Każda klasa miała swoją salę w szkole na popołudnie przewidzianą i to był czas na odrabianie lekcji. I tam się siedziało w tej klasie do kolacji, czyli do godziny siódmej. Potem kolacja, mycie, spanie. O godzinie 22 cisza nocna, światła nie ma.

I tak właściwie przez pięć lat się to życie toczyło. Jak się chciało iść do miasta czy do lekarza, czy coś tam załatwić, to trzeba było się zwolnić u nauczycielki najpierw i to jeszcze musiała kierowniczką internatu zaakceptować. Dokładnie trzeba była poinformować, co się idzie załatwić, gdzie i ile to czasu zajmie mniej więcej, a po przyjeździe trzeba było się zameldować. W niedzielę był tak zwany czas wolny i ten czas wolny można było sobie w dowolny sposób wykorzystać. Więc był jakiś spacer, do kina to raczej nie chodziliśmy, bo było za późno. Z tym że to nie była pełna swoboda, bo nawet jak nas w cywilu widzieli, to znaczy bez fartuchów – bo w szkole się chodziło wyłącznie w fartuchach i z tarczą na rękawie – to na płaszczu musiała być tarcza, więc i tak było wiadomo, że jest się uczniem, i to nawet z której szkoły. Jak się widziało nauczyciela z daleka, to się stawało prawie na baczność i krokiem defiladowym, mówiło się ładnie: dzień dobry. Jak się ktoś nie uklonił, to taką miał reprimendę natychmiast, że to było nie do pomyślenia, żeby ominąć nauczyciela i go nie zauważyć. Mnie to raczej nie przeszkadzało, że te tarcze musimy nosić, choć pamiętam, że w starszych klasach to te tarcze na agrafki były przypinane już, żeby w razie czego można było je odpiąć. Więc gdzieś tam na bocznej ulicy można było iść jako osoba neutralna, niezależna. To były takie kąski wolności. Śmieszne, jak się dzisiaj na to patrzy, ale wtedy to było ogromnie ważne.

Po maturze oczywiście rodzice liczyli na to, że wrócę do tego Jastrowia. Ponieważ technikum gastronomiczne kończyłam, to sobie tak umyślili, że będę

pracowała w knajpie, więc jedzenie będzie za darmo. Zaciśnęłam zęby i powiedziałam, że nigdy w życiu nie będę pracowała w knajpie. W ogóle nie lubiłam gotować i do dzisiaj tego nie lubię. Jak chciałam być pilotem, to jakieś śruby, lampy, silniki – to mnie interesowało, a nie tam gary.

Choć w tym technikum miałam wspaniałych nauczycieli od historii, fizyki, polskiego, WOP-u (Wiedzy o Polsce), którzy mieli w sobie coś takiego, że nie można się było przy nich źle zachować. Co ciekawe, w technikum gastronomicznym miałam taki przedmiot jak kultura. Rozmawiałam z koleżankami, które kończyły tam różne inne licea czy technika – nigdzie tego nie było, nikt nie wiedział, o czym ja mówię. Ten przedmiot prowadziła pani, która bardzo mi imponowała. Miałam też w internacie panią wychowawczynię, która była po historii sztuki. Pracowała na pół etatu u nas, a na pół etatu była kustoszem w muzeum w Pile. Bardzo lubiłam przebywać w jej towarzystwie i chyba wzajemnie, choć miałam wrażenie, że uczepliłam się jej jak rzep psiego ogona, ale bardzo chciałam być taka jak ona, chciałam ją naśladować. Zresztą nawet jak już byłam na studiach, to jak tylko byłam w Pile, odwiedzałam ją w tym muzeum i zawsze miałyśmy o czym rozmawiać. Miałyśmy takie samo imię, które było rzadkością i chyba dzięki niej zaczęłam lubić to swoje imię, bo tak to nie bardzo mi pasowało. I ta pani od kultury – to były osoby, które zostawiły duży ślad w mojej pamięci. Na tym przedmiocie kultura nauczyliśmy się wszystkiego – było ABC dobrego wychowania, było pisanie podań, pisanie listów, było, jak się ubrać przed południem, a jak po południu, jak się ubrać na daną okazję, na wyjście do teatru, co się nosi do zimowego płaszcza – teraz byśmy to nazwali modą, ale wtedy nieważne jaka była moda, tylko te zasady. To był też przedmiot, na którym nauczyliśmy się rysowania, nauczyliśmy się robić różne rzeczy z mas plastycznych, robiliśmy broszki, korale, bransolety. Pani nas uczyła kompozycji kolorów. Potem, już na studiach, byłam zdziwiona, że ludzie tego nie wiedzą, a ja dzięki temu w akademiku dorabiałam sobie pisząc innym podania.

Po maturze postanowiłam iść na wuef, bo byłam zakochana w pani wuefistce, która wozila nas na różne wyjazdy, wycieczki, organizowała zawody i ja chciałam pod koniec technikum być taka jak ona. Startowałam we wszystkich tych zawodach: i biegi, i sprinty, i ćpałam dzidą, czyli rzucałam oszczepem i pchnięcie kulą, i skok w dal i wzwyż. I postanowiłam zdawać na Wyższą Szkołę Wychowania Fizycznego w Poznaniu, oczywiście wbrew rodzicom, bo oni by się nie zgodzili na to – oni w ogóle nie wiedzieli. W wakacje najęłam się do tak zwanej zielonej szkoły w pobliżu Poznania, żeby zarobić na te wszystkie stroje sportowe, które każdy musiał mieć swoje, a to strasznie dużo kosztowało. A wiedziałam, że od rodziców nie dostanę ani grosza, więc całe dwa miesiące pracowałam w zielonej szkole. Zielona szkoła była organizowana dla ludzi mieszkających na wsi, którzy w czasie wakacji mnóstwo tych prac w polu musieli wykonywać i wobec tego, żeby dzieci miały opiekę, to się organizowało taką szkołę. Byłam tam wychowawczynią i miałam dzieci od 3 do 14 – 15 lat, musiałam im tam wymyślać różne zabawy.

Studia były bezpłatne, można było też występować o stypendium, jak się miało trudne warunki materialne, czyli ta średnia w rodzinie była niska – trzeba było podać zaświadczenie o zarobkach, a u nas ojciec tylko pracował, więc nie było z tym kłopotu. Ja z Jastrowia, więc w Poznaniu trzeba było złożyć podanie o miejsce w akademiku. Akademik kosztował 120 zł miesięcznie, więc równolegle trzeba było wystąpić o stypendium mieszkaniowe, żeby mieć z czego pokryć tę opłatę. Można było jeszcze dostać stypendium stołówkowe – to było 240 zł na cały miesiąc: śniadanie, obiad, kolacja w stołówce na terenie akademika. Czyli to było 360 zł, które maksymalnie można było dostać. Podania się poskładało, stypendium się dostało – był dach nad głową, było co jeść, a o resztę trzeba było zadbać.

Zrobiłam ten krok na studia wbrew woli rodziców, więc zacięłam się, uczyłam się bardzo mocno, żeby wszystkie egzaminy zdawać, żeby sobie nie narobić wstydu. Nie wyobrażałam sobie, że ja coś obleję i wrócę skruszona do domu – to nie wchodziło w ogóle w grę. Ale musiałam zarabiać, więc cichcem, wbrew regulaminowi i z narażeniem, że mnie wyrzucą, jak złapią, pracowałam przez cały pierwszy rok. Ta praca polegała na tym, że jeździłam do takiej wsi, w okolicy Kórnik i tam była prowadzona taka szkoła wieczorowa dla ludzi, którzy chcieli skończyć jakieś podstawówki czy coś, bo wtedy już zaczęły się papiery liczyć i sporo osób uzupełniało swoje wykształcenie. Ja tam uczyłam geografii, uczyłam fizyki, uczyłam kroju i szycia i te zajęcia moje były w soboty. W sobotę do południa jeszcze były jakieś zajęcia na uczelni, bo nie było wtedy wolnych sobót, a po nich wsiadałam w autobus i jechałam do tej wsi. I wtedy znikalam z akademika i wracałam dopiero w niedzielę wieczorem. W sobotę do godziny dziesiątej wieczorem prowadziłam te zajęcia i za to mi dobrze płacono, i dzięki temu mogłam kupić i książki, i zeszyty, i te wszystkie rzeczy sportowe potrzebne do szkoły. Raz powiedziałam, że byłam u cioci, ale potem te wszystkie moje koleżanki z akademika – zwłaszcza że nas osiem mieszkowało w jednej sali, bo łóżka były piętrowe – zaczęły mieć pretensje. One planowały, żeby iść na ubaw albo na jakąś imprezę, więc pytały: a gdzie ty jedziesz? Coś tam wymyślałam i jakoś mi się to udało – nie mogłam nikomu powiedzieć, bo nie wolno nam było podejmować żadnej pracy zarobkowej na pierwszym roku studiów. A jak przesłam na drugi rok, to już byłam swobodna, już do tej pracy mogłam jeździć i jeszcze rok jeździłam. A na trzecim roku dostałam stypendium naukowe, bo byłam tak zdolna, tak mądra i tak przysiadawałam, żeby się nauczyć wszystkiego, żeby, broń Boże, nie wypaść z tych studiów, że rzeczywiście miałam dobre oceny. Ja lubiłam się uczyć i sprawiało mi to dużą frajdę, więc dostałam stypendium naukowe. I zaliczałam się wówczas do arystokracji, bo stypendium naukowe wynosiło wtedy tysiąc złotych, ale automatycznie odpadały stypendia mieszkaniowe i stołówkowe. Płaciłam za akademik, za stołówkę, ale ile jeszcze mi zostawało. Już byłam kompletnie niezależną osobą.

W czasie studiów należałam do ZSP (Zrzeszenia Studentów Polskich) – oczywiście byłam w radzie uczelnianej tego zrzeszenia, bo każda uczelnia miała swoją radę. ZSP było taką organizacją żywą, aktywną i taką fajną, że się chciało tam być.

Oczywiście, politycznie to ja nie byłam nigdy zaangażowana. To znaczy namawiano mnie w czasie studiów, żebym wstąpiła to ZMS-u (Związku Młodzieży Socjalistycznej), ale mnie jakoś to zupełnie nie przekonywało. Nie miałam nic przeciw, ale nie chciałam. Taki pan – działacz partyjny i nasz wykładowca – na obozie narciarskim wyłapał z naszego rocznika 3 czy 4 osoby, z tym że jako dziewczyna byłam jedna, bo byłam w radzie obozu i dałam się poznać jako osoba energiczna. I on nam powiedział, że będzie nas rekomendował, żebyśmy wstąpili do partii i że mamy czas do namysłu. Ja to wpuściłam jednym uchem, drugim wypuściłam i koniec. Natomiast moi koledzy strasznie się bali, z tym że myśmy ze sobą nie rozmawiali już potem, bo się jakoś nie złożyło. Oni wiedzieli od początku, że ja nie wejdę w to, ale uważali, że robię błąd, bo mogą mnie przez to ze studiów wywalić. Na studiach mieliśmy na wuefie grupy żeńskie i męskie osobno, ze względu na dyscypliny sportowe oddzielne dla chłopców i dziewcząt. I myśmy się z tymi chłopakami nie bardzo spotykali. Ten pan z partii mnie parę razy zaczepiał na uczelni, pytając, czy się już zastanowiłam, a ja kilka razy powiedziałam, że jeszcze nie, ale za którymś tam razem zrobiłam taką poważną minę i powiedziałam: *Panie Docencie, ja powiem Panu pierwszemu, proszę tego nikomu nie mówić – ja postanowiłam po studiach iść do zakonu, więc sam Pan rozumie, że ja nie mogę*. Nie wiem skąd mi to kłamstwo przyszło do głowy, nie wiem dlaczego ja tak powiedziałam, ponieważ tego nie planowałam. To był moment, a ja się złapałam tego jak tonący brzytwy. Potem się okazało, że ci moi koledzy ze strachu się wpisali. Bardzo tego żalowali, próbowali to odkręcać i byli źli na siebie. I przed egzaminem – a ten pan docent prowadził przedmiot: historia kultury fizycznej – kiedy dowiedzieli się, że ja się nie zapisałam, to mi powiedzieli: *Sluchaj, to ty nie masz co do tego egzaminu podchodzić, bo oblejesz*. A ja poszłam i zdałam na piątkę. Jak ja wyszłam z tego egzaminu z piątką, to oni zzielenieli – byli tak źli na siebie, pluli sobie w brodę.

Ja nie miałam jakichś większych łamigłówek, co ja mam robić. Robiłam swoje i koniec. Pracę magisterską napisałam w zakładzie biologii. Bardzo mi to towarzystwo, i profesor, który był kierownikiem zakładu, zaimponowało. Po magisterce zaproponowali mi pracę asystenta w Zakładzie Biologii i Ochrony Przyrody. I to była łamigłówka: co zrobić? Byłam po rehabilitacji, więc miałam zagwarantowaną pracę w Łądku Zdroju. Nie chciałam być trenerką ani nauczycielką. I jak ja po wuefie mam uczyć biologii studentów AWF-u? Przecież pierwszy lepszy człowiek podejdzie i powie mi: czego ty mnie babo chcesz uczyć, jak ty skończyłaś wuef. Nie, tak nie chciałam. Ale było jeszcze jedno wyjście: jak pójdę na biologię i będę studiować biologię, to wtedy mam tytuł do tego, żeby kogoś uczyć. I powiedziałam profesorowi, że jest mi bardzo miło, że podejmę tę pracę, ale pod jednym warunkiem, że pan profesor się zgodzi, że równolegle będę studiowała biologię. Bo inaczej to będę tylko klepała to, czego się na pamięć nauczę, a nie będę miała zielonego pojęcia, o czym ja mówię – przecież skończyłam wuef, a nie biologię. Profesor się zachwycił i oczywiście się zgodził.

Zaraz po magisterce przez rok zaocznie studiowałam biologię w Łodzi. Ale nie było to takie proste, żeby się tam dostać, bo żeby studiować zaocznie, to trzeba

było mieć ukończone dwa lata pracy. A ja nie miałam tych dwóch lat pracy, bo dopiero skończyłam studia. W zakładzie biologii robiłam przez dwa lata wolontariat i chciałam, żeby mi uznano te dwa lata wolontariatu za dwa lata pracy, ale nie chcieli, bo to Ministerstwo podpisało ten przepis. Pojechałam więc do Warszawy, przesiedziałam pół dnia na korytarzu w Ministerstwie Edukacji, a jakiś pan mi mówi: *To my to rozpatrzymy*. A ja mówię: *Nie, proszę Pana, ja muszę być jeszcze dziś przed trzecią w Łodzi, bo do dzisiaj jest termin składania podań*. Nie wiem, jak to się działo, ale miałam takie szczęście do ludzi, do takich sytuacji, być może dlatego, że konkretnie wiedziałam, czego chcę, być może dlatego, że jakaś gwiazda nade mną świeci, być może tak miało być. Kiedy opowiadałam to znajomym, rodzinie, a nawet profesorowi, to oni nie mogli w to uwierzyć, że ja tam pojechałam i to załatwiłam. I za pięć trzecia wpadłam do Uniwersytetu Łódzkiego. Portier nie chciał mnie już wpuścić, ale powiedziałam, że ja tylko do cioci i pobiegłam do rektoratu. A tam pani sekretarka już zakładała płaszcz, ale jeszcze tam była, więc zdażyłam. Przyjęła moje podanie i powiedziała mi, że zostaję przyjęta na drugi rok, bo już studiowałam, więc nie mogę na pierwszy, z zastrzeżeniem uzupełnienia egzaminów z pierwszego roku.

Potem jeszcze pani dziekan mnie namawiała, żebym jednak poszła na pierwszy rok, bo nie dam rady, a ja powiedziałam: *Pani Dziekan, spróbujemy, a może dam radę. A jak nie, to na kolanach do Pani przyjdę*. I dałam radę. A miałam ten rok z przygodami, bo poślizgnęłam się w kaloszach na śliskiej powierzchni w jaskini na badaniach terenowych i złamałam nogę z przemieszczeniem. To był drugi semestr, miałam śruby w nodze i gips, a tu musiałam jeździć na zajęcia do Łodzi. Moja szefowa zakładu wpadła na pomysł, że może się przeniosę na stacjonarne studia, ale już w Poznaniu. Bo tu zakuśtykam, wsiedzę w tramwaj, nie jest to daleko, a pociąg jest kłopotliwy. Złożyłam więc podanie o przeniesienie. Chciałam iść tu już na trzeci rok, ale różnice programowe były tak duże, że wyładowałam znowu na drugim roku stacjonarnych studiów biologii w Poznaniu. To była harówka, bo w tym samym czasie chodziłam na zajęcia stacjonarne z biologii, a już byłam asystentem, miałam zajęcia ze studentami na wuefie, byłam opiekunem grupy, więc musiałam się z tymi studentami spotykać, należałam też do Polskiego Towarzystwa Antropologicznego. To się dało jednak jakoś poukładać, jak kończyłam zajęcia jako pani magister i asystentka, to biegłam na zajęcia jako studentka drugiego roku.

Skończyłam studia na biologii i pracowałam na uczelni. Naturalnie też dosięgnęła mnie regulacja, która dopada wszystkich pracowników uczelni. Najpierw jest się młodszym asystentem, potem starszym i to trwa sześć lat, w tym czasie należy zrobić doktorat. A ja w tym czasie studiowałam, więc nie mogłam robić doktoratu. Szef mnie zawołał i mówi: *Słuchaj, Stefulek, to trzeba zrobić. To może ty byś w dwa lata czy w rok szybko zrobiła ten doktorat z wuefu*. Ja mówię: *Nie, szefie, nie po to kończyłam biologię, żeby teraz robić doktorat z wuefu, bo ja doktorat z wuefu mogłam zrobić 5 lat temu i do tego studia z biologii nie były mi potrzebne*. Wtedy mi powiedział, że zrobię doktorat z wuefu, żeby tylko mieć stopień adiunkta, a potem

mogę sobie zrobić doktorat z biologii. Pierwszy raz się szefowi tak stanowczo sprzeciwiłam i powiedziałam: *Szefie, nie. Nie dość, że jestem magister do kwadratu, co brzmi jak osioł do kwadratu, to jeszcze jeden doktorat i drugi doktorat, to ja już w ogóle na cymbała wyjdę*. Koniec kropka, jakąś jedną linię trzeba było wybrać. Nie miałam adiunkta, więc zdegradowali mnie do nauczyciela przedmiotu, ale w końcu zrobiłam ten doktorat z biologii z akarologii – pajęczaki, np. kleszcze należą do tej rodziny. Te rodziny, które ja badałam, nie były znane w Polsce. Do dziś nie są znane w Polsce, ponieważ one nie mają żadnego znaczenia dla człowieka, dla przemysłu. Po raz pierwszy stwierdziłam kilkanaście gatunków w Polsce i dwa nowe gatunki są dla wiedzy, czyli w ogóle w świecie.

Z tą akarologią wiązałam swoją przyszłość, ponieważ był tam dobry zespół pracowników. Ale wyszło tak, że potem wyszłam za męża, urodziłam starszą córkę. I ten mój mąż, za którego wyszłam, powiedział, że on chce pracować gdzieś tam i wybrał sobie Gołuchów. Najkrócej rzecz ujmując, to było tak, że moje koleżanki w tym czasie wyjeżdżały za chlebem na Zachód, a ja za chłopem do Gołuchowa. Co mogę więcej o miłości powiedzieć, jak rzuciłam wszystko: dobrze zapowiadającą się karierę naukową, dobrą pracę, byłam adiunktem, mogłam startować na prodziekana – to co tu więcej o miłości mówić? To tak jakoś wyszło. Jak studiowałam biologię, miałam praktyki w Siemianicach i tam poznałam mojego męża. Nie wiem, co to znaczy wielka miłość, bo dla mnie ta sfera była dosyć odległa. Ja byłam tak skoncentrowana i tak zajęta tym, że ja muszę zrobić to, co postanowiłam, że jak się trafił jakiś ubaw, fajfy, to owszem chodziłam, ale to było na chwilę. Byli tam jacyś koledzy, ale żeby aż tak, że świata nie widzę poza nim, to nie, to ja się chyba tak nigdy nie zakochałam.

Co innego jest taka pierwsza miłość, a co innego zauroczenie. Na przykład pamiętam, że jak miałam 6 – 7 lat, byłam na pasterce z ojcem i ojciec mnie trzymał na rękach, bo był tłum w kościele. I ja zobaczyłam, że w nawie stał pan tak śliczny, że żaden anioł nie był tak śliczny. Ja tylko wtedy, w trakcie tej pasterki się zakochałam, ale wówczas miałam 6 – 7 lat. Bardzo chciałam go jeszcze potem zobaczyć, ale już go nigdy nie widziałam, bo ja bym go w ogóle nie poznała. Nie wiem, czy światło tak padało, czy ja byłam zmęczona, ale wyglądał bardzo ładnie. Zresztą często zauważam bardzo ładne osoby, bardzo zgrabne i wtedy muszę się pilnować, żeby im się nie przyglądać, bo wiem, że to może być bardzo różnie odczytane. To są tak piękne zjawiska, że trzeba się zatrzymać nad tym. Zresztą bardzo dużo rzeczy mi się podoba i ja mam z tym ogromny kłopot, bo mi się podobają liście i kwiaty, motyle i konie, i psy, i w ogóle bardzo dużo rzeczy mi się podoba. Bardzo trudno żyje się komuś takiemu jak ja, bo wszystko się podoba, wszystko by się chciało mieć. Za dużo rzeczy mnie interesuje wokół tego miejsca, gdzie ja się znajduję. Ja bym powiedziała tak, że ja mam trochę małpie usposobienie. I tak jak małpa, która cieszy się tym, co widzi, co ma w zasięgu wzroku, to ja mam tak samo. Jak nie mam kogoś w zasięgu wzroku, jak ktoś mi ginie z oczu – mam na myśli osoby, które gdzieś wyjechały – bardzo szybko tracę kontakt z nimi. Mam o to do siebie żal, te osoby też mają o to czasem do

mnie żal, ale tak mam – to chyba ta małpa ze mnie wyłazi. Trudno. Pogodziłam się z tym, że to tak jest i tu, gdzie jestem, to ja się dobrze czuję – zmieniam otoczenie i nadal jest mi tak samo dobrze. Nie ciągnę za sobą przeszłości. Tu gdzie ja jestem, tu jest mój dom.

Oczywiście miłość do Gołuchowa zrodziła się już w trakcie życia tutaj. Dziewczyny naturalnie nie chciały już mieszkać ani w bloku, ani gdzie indziej. Dopiero jak dorosły, to zadały mi pytanie: *Mamo, jak ty to wytrzymałaś? Jak ty to zrobiłaś, że zjechałaś w tę puszcę, w tę głąsę, nie mając kontaktu z innymi ludźmi i jak ci się to udało, że nie sfiksowałaś w tym czasie?* Nie wiem, jak to jest. Widocznie tak musiało być. I to narzucanie mi ciągłego uczenia się – ja zresztą cały czas się uczę, bo jestem takim typem. Jak zaczęłam pracować w Gołuchowie w Ośrodku Kultury Leśnej, to ani technikum, ani AWF, ani biologia nie były przydatne, więc zaczęli sugerować mi, że może zaczęłabym studiować leśnictwo. I też musiałam odmówić i powiedzieć, że nie, dość tego, koniec, kropka. Nauczyłam się, rzecz jasna, bardzo dużo o leśnictwie, musiałam to zrozumieć, w czym pomogły mi rozmowy z koleżankami, kolegami z pracy, książki, biblioteka. Bardzo dużo wiem na temat leśnictwa, ale też bardzo dużo rzeczy nie wiem. A to co wiem, to się nauczyłam sama, ale oczywiście dla wielu osób kwitu nie ma, to nie ma dyskusji. Ogromnym zaskoczeniem dla mnie było to, że leśnictwo jest takie obszerne i tak zróżnicowane w swoich poszczególnych działach, i że obejmuje tyle dziedzin naukowych. To było bardzo ciekawe. Pracowałam jako kierownik działu naukowo-oświatowego, zajmowałam się wydawnictwem, edukacją pozaszkolną, nieformalną. Może mnie było łatwiej zorganizować tę edukację, ponieważ sama byłam w trakcie tej edukacji i sama na sobie doświadczałam, jak bardzo mało ludzie wiedzą na temat leśnictwa, jak to jest hasłowo traktowane. Opracowałam taki program edukacyjny i tak przez ileś lat pracowałam, aż do emerytury.

To nie jest tak, że ja przez te 30 lat w Gołuchowie tęskniłam za Poznaniem. Tam gdzie jestem, tam jest mój dom. Nie rozumiem, czegoś takiego, jak tęsknić za czymś, nie mam czegoś takiego. Lubię wspominać czy opowiadać o tym, jak to kiedyś było, ale nie myślę: „Jak ja bym chciała tam być. Jakbym rzuciła wszystko, żeby tam pojechać”. Nie, przecież tu gdzie ja jestem, jest to, co jest mi najpotrzebniejsze. Na przykład uwielbiam jeździć na nartach i co roku staram się na tych nartach być, ale jeśli nie pojadę któregoś roku, to nic się nie stanie. Nie będę rozpaczać. Nie zazdroszczę ludziom, że są tam albo mają to, ponieważ to co ja mam, jest najlepsze, tu gdzie ja jestem, jest najlepiej.

Ja nigdy nie marzyłam o rodzinie, wręcz przeciwnie. Moja mama wciąż mówiła: *Wiesz, dziecko, masz studia, ale kiedy ty założysz rodzinę?* I ten temat mnie drażnił, ponieważ ja jako młoda dziewczyna postanowiłam, że nie założę rodziny, że ja tego nie chcę. Mnie nie odpowiadała ta instytucja. Wszystkie moje koleżanki już miały mężów, dzieci, tematy się pourywały, bo ja o dzieciach nie umiałam rozmawiać, mnie to nie interesowało, a one nie chciały wysłuchiwać, co ja przeczytałam w ostatniej książce, więc się rozmijałyśmy. Ale tak się potem zdarzyło,

że poznałam na praktykach na trzecim roku biologii... Taki tam pan był, pod tytułem Marek i on się tak jakoś przyczepił. Tak jakoś potem już wyszło i stwierdziłam: czemu nie? Isia się pojawiła też tak znienacka w zasadzie – czemu nie? Potem tu w Gołuchowie pojawiła się już Kalina, bo chciałam, żeby Isia miała towarzystwo – czemu nie? I tak wyszło.

Ja nie wiem, co te moje dziewczyny o mnie myślą. Wielokrotnie myślałam, że ja je niezbyt dobrze wychowuję, że to nie tak, że może trzeba było inaczej, że może coś za dużo wymagałam albo za mało wymagałam. Targały mną różne wątpliwości. Zwłaszcza jak były takie sprawy, w których ja nie bardzo mogłam pomóc, żeby je rozwikłać. Stwierdziłam tylko, że na pewno nie będę postępować, tak jak moi rodzice postępowali wobec nas, że codziennie nam przypominali, jakie to jesteśmy: *durne, głąby kapuściane, nic nie umiemy, tylko rozrabiamy*. I narzucali, jak trzeba robić – tak, a nie inaczej. W związku z tym ja postanowiłam, że tak nie będę i zostawiłam wolną wolę: *rób tak, jak chcesz*. Isia miała do mnie duże pretensje, jak wybierała szkołę średnią, a potem studia, bo ja powiedziałam: *Dziecko, dla mnie nie musisz kończyć studiów. Masz tylko znaleźć sobie takie zajęcie, taką pracę, że jak rano się obudzisz, to z uśmiechem będziesz szła do tej pracy i z radością będziesz to wykonywać. A żeby to robić, wcale nie trzeba kończyć studiów*. I ona była bardzo zła na mnie, że ja jej nie pomogłam, nie podpowiedziałam, bo inni rodzice to podpowiadali, sugerowali. W końcu wybrała sobie historię sztuki. Tak samo było z Kaliną. One wybierały same studia, pracę i to, czym się mają zajmować i interesować. Wiem, że wtedy, kiedy miały podjąć tę decyzję, na pewno niezbyt dobrze o mnie myślały, bo prawdopodobnie, tak jak większość ludzi w tym wieku, łatwiej by im było, jakby ktoś za nie zdecydował. Ale z czasem chyba to im wyszło na zdrowie. Nauczyły się podejmować decyzje i wiedzą, co to są konsekwencje własnej decyzji, bo lepiej się tego nie przećwiczy, jak na sobie.

Jak byłam mała, chciałam być pilotem i grać na pianinie. Po studiach więc kupiłam sobie pianino drewniane, wzięłam lekcje przez rok u koleżanki i się nauczyłam podstaw. Pamiętam też z dzieciństwa taki bunt w środku: dlaczego nie mogę być tym pilotem, dlaczego kobiety nie mogą jeździć samochodami. A jak widziałam, że jakaś kobieta poleciała w kosmos, a inna była kapitanem żeglugi, to dla mnie to były takie światełka, że jednak mogą.

Na urodę za bardzo nikt nie zwracał wtedy uwagi, ale za to musieliśmy być zawsze czysti: mieć czyste włosy, ręce, buzie, czyste ubrania. A mama powtarzała: *Choćbyś była najpiękniejsza, to jak będziesz w brudnych rzeczach, to i tak nikt na ciebie nie spojrzy*. To było najważniejsze. Nie mówiono nam: jaka jesteś ładna. Co najwyżej, że włosy masz długie i gęste, i piękny warkocz. Poza tym każdy był, jaki był i nie wpędzało się dzieci w kompleksy. Jeśli chodzi o upiększanie, to ja się zaczęłam upiększać dopiero, jak drugie studia skończyłam. Owszem jak w czasie studiów szło się na ubaw czy fajf, to wtedy był okres robienia kresek, to się robiło tuszem – głębię oczu poprawiało. Ale na co dzień, na wuefie upiększanie nie istniało –

nie wolno nam było nosić biżuterii, bo to było niebezpieczne. Dopiero jak młodość zaczęła przemijać, po studiach, zaczęłam się upiększać, żeby odwrócić uwagę. Ale nigdy nie było dla mnie to takie ważne na co dzień. Były sytuacje, kiedy zależało mi, żeby lepiej wyglądać i wtedy robiło się jakiś makijaż lekki – trochę podkładu, tuszu i usta pociągnięte szminką, a i tak zawsze się rozmazałam – ale to dopiero wtedy, kiedy jeździło się na zjazdy absolwentów, żeby lepiej wyglądać. Natomiast dużą wagę przywiązuję do wygodnych butów i do wygodnych ciuchów. Nigdy nie lubiłam, nawet jako młoda dziewczyna, obcisłych rzeczy, podkreślających tak zwane walory. Zawsze nosiłam rzeczy numer albo dwa za duże, a i tak uważałam, że dobrze wyglądałam.

Jeszcze starości nie odczuwam, nie wiem, co to znaczy. Owszem, zdarza mi się powiedzieć, że w tym wieku czegoś mi już nie wypada robić – w pewnym wieku nie wypada już nosić krótkich spódniczek czy fikać kankana, ale poza tym można wszystko. Starość u nas postrzegana jest jednak jako coś złego. Mówi się, że się starość Panu Bogu nie udała. Co to znaczy, że się nie udała? A jaka ona by miała być? Ja tego nie rozumiem. Dla mnie człowiek jest człowiekiem od początku do końca. Bardzo śmiesznym stworzeniem jest człowiek jako niemowlę, bardzo śmiesznym jest jako dorosły człowiek, który już wie, że wszystkie rozумы pojadł i też śmieszny jest stary człowiek. To też jest człowiek – to że on jest przygarbiony w karku, złamany w krzyżu, podpira się laską i jest jakoś powyginany – dla mnie to nie jest nic ani strasznego, ani brzydkiego. Ja go podziwiam, że jemu się chce jeszcze wyjść. Ten człowiek żyje, bo on coś chce. Przykrym zjawiskiem są za to problemy z rozumowaniem, ale takie rzeczy zdarzają się niekoniecznie w związku ze starością. W każdym wieku takie rzeczy są przykre. Podobnie jest, kiedy człowiek jest agresywny, ale to też może się zdarzyć i u dziecka, i młodego, i stary człowiek bywa agresywny. Myślę, że to bardzo dużo zależy od charakteru i jeśli ktoś ma jakieś usposobienie, to na starość go nie zmieni. Ja nie lubię ludzi, którzy postępują starych. Jak słyszę w towarzystwie, że ktoś lekceważy starsze osoby, to mnie to drażni. Ja właśnie od starszych osób usłyszałam największe mądrości życiowe, jak ta, że: „człowiek uczy się całe życie – a jak żeś już tak rozumny, to kładź się do trumny”. Może dlatego nie zamartwiam się za bardzo, kiedy okazuje się, że czegoś nie wiem.

Śmierć postrzegana jest w naszym otoczeniu jako jakaś tragedia. Tak się składa, że parę osób bliskich już od nas odeszło. Ale mi w takich przypadkach bardzo pomaga to, czego się na biologii nauczyłam. W przyrodzie śmierć jest obecna w każdym niemal momencie i na każdym etapie, i to nie jest nic nadzwyczajnego. Z ludźmi za bardzo nie można na ten temat dyskutować. Jeżeli powiem, że z każdej śmierci powinien być jakiś pożytek, to jest obrazoburcze – dla wiary, dla jakichś przekonań, dla naszych wyobrażeń. A przecież to tylko ciało umiera – opakowanie, a ten duch, ta energia z nas ulatuje, ubywa jej, nie wiem jak, ale bez tej energii jesteśmy tylko tym opakowaniem. I my z tego opakowania robimy świętość. Trudno mi się z tym pogodzić. Albo wozimy to ciało, wlecemy tu czy tam, żeby zrobić te obrzędy. Ja rozumiem, że to wszystko jest potrzebne tym, którzy zostają, tym którzy żyją. Dla

mnie śmierć jest – tak jak w przyrodzie – czymś zupełnie normalnym, naturalnym, oczywistym. Nie robiłabym z tego żadnych ceregieli. Nauczyliśmy się przez tysiące lat tych obrzędów, że jest to jakaś wielka tragedia. Owszem, jest to przykra historia, kiedy się musimy z kimś rozstać. Śmierć jest czymś nieodwracalnym, ostatecznym i moim zdaniem człowiek w każdym przypadku, jeśli staje wobec nieodwracalności, to jest mu żal, zwłaszcza jeśli dotyczy to bliskiej osoby. Jest to ogromny żal, jest smutno, ale ja nie umiem tak rozpaczać bezgranicznie, żeby się w tej rozpaczach zagubić. Nie wiem, życie jest chyba silniejsze w tym przypadku i trzeba żyć, trzeba rano wstać, trzeba pozamiatać. Jak już nie ma innych mądrzejszych zajęć, to proszę się wziąć za zwykłe zajęcia dnia codziennego: poodkurzać, pozamiatać – to się zawsze przyda i to zawsze uspokaja. Gdyby człowiek nie zamiatał, nie sprzątał, nie mył, nie czyścił, to by go przyroda zagryzła i zdlawiła. Rób porządek wokół siebie, póki żyjesz. Nie chcę powiedzieć, że życie to jest tylko robienie porządku, ale w sumie... Właściwie to tak, bo nawet jeśli masz kaprawę myśli, to zrób z nimi porządek.

Człowiek ma prawo wyboru i ma wolną wolę. My sobie nie zdajemy sprawy, że codziennie o czymś decydujemy, ale wszystkich się nie da przekonać do jednego modelu życia czy śmierci. Na całym świecie ludzie są jednakowi pod wieloma względami. Na całym świecie ludzie się różnią pod wieloma względami. Tak samo w przyrodzie: są mechanizmy, które zachodzą jednakowo u wszystkich, są i takie, które się różnią, bo te organizmy są różne. I musi tak być. Energia przepływa z jednego organizmu do drugiego. Być może reinkarnacja jest prawdziwa i jeśli mi brakowało sprawności w tym życiu, to w następnym będę małpą, żeby tę sprawność zdobyć. Być może geniusz to jest opakowanie, które dają rodzice, ale ta energia, która do tego opakowania została włożona, to jest ta najbardziej oczyszczona, genialna energia. To się rzadko zdarza i dobrze, ale wystarczająco często, żeby cywilizację pchać do przodu.

Człowiek się nie zmienia od epoki łupanego kamienia. Zmienia się tylko to, czym on dysponuje, zmieniły się narzędzia. Mentalnie człowiek naprawdę się nie zmienia, choć rozumie już tak wiele rzeczy, to i tak dzień w dzień musi w sobie przełamywać takie same opory. W epoce kamienia łupanego były dziewczyny, które nie lubiły myć garów i dzisiaj też nie lubią – nieważne, czy są gliniane, drewniane czy porcelanowe. I co z tego, że dzisiaj ludzie siedzą przy ładnych stołach designerskich, kiedy knują tak samo, jak wtedy w jaskini. Ewolucja wciąż trwa, ale mentalnie to bardzo wolno idzie, a mamy do dyspozycji coraz piękniejsze rzeczy. Zaskakujące jest dla mnie, że większość ludzi nie umie podziękować nieograniczonej mądrości kosmosu czy Bogu, czy jakiejś sile – co tam, kto uznaje – za to, że ktoś wymyślił coś, co mnie dziś ułatwia życie – nie umiemy tego docenić. Kupujemy różne sprzęty i nawet nie zastanawiamy się nad tym, że było gros ludzi, którzy nad tym myśleli. Nie pochylamy się nad ludzką pracą, nad osiągnięciami innych ludzi. Nie wiem dlaczego.

Zastanawiamy się za to nad przeludnieniem, nad zbyt szybkim postępem. Moim zdaniem, nie mamy się czego obawiać. Człowiek taki jest, że jeden weźmie

patyk i będzie nim łowił ryby, a drugi ten sam patyk wsadzi komuś między żebra i go zabije. I znów – zmieniają się narzędzia, ale mentalnie jesteśmy tacy sami. Nie mamy się czego obawiać. Przyroda na pewno ma nad tym pieczę. Zawierzmy Matce Naturze, że ona zrobi z tym porządek. Jeśli będzie już tak dużo ludzi, że Ziemia tego nie udźwignie, to się pojawi jakaś choroba, która zdziesiątkuje, to się wytworzą inne zjawiska, i one utrzymają pewną równowagę. Prawo entropii. Różne ekologiczne ruchy straszą nas i nawołują, że powinniśmy martwić się o naturę. Ty się o naturę nie martw, bo ona sobie świetnie poradzi, tylko martw się o siebie. Bardzo dobrze, że są podniesione pewne kwestie: zanieczyszczeń, ścieków, emisji gazów itd. – bezsprzecznie należy oddać hołd tym, którzy o tym mówią, bo powinniśmy o to dbać – dbając w ten sposób o siebie, bo przecież tak zabrudzamy swoje podwórko. Ale nie należy popadać w skrajną stronę, że człowiek jest taki straszny i niszczy tę naturę. Nie było człowieka na Ziemi i też bardzo dużo rzeczy zostało zniszczonych. Pewne procesy będą zachodziły, czy to się człowiekowi podoba, czy nie – takie są prawa natury i lepiej się im nie sprzeciwiać. Matka Natura jest wszechmocna i przemądra, i ona poradzi sobie ze wszystkim, co człowiek wymyśli.

Zofia Kaźmierczak

Mam na imię Zofia. Urodziłam się we wrześniu 1949 roku na wsi, na Dziwiniu Dużym. W tej chwili nie umiem powiedzieć, czy to było w domu, czy to było na polu. Wiem tylko tyle, że były wtedy wykopki i mama była na wykopkach, kiedy dostała bóle i ciotka przyszła odbierać poród. Także nie umiem powiedzieć, czy zdążyli doprowadzić mamę do domu, czy po prostu urodziłam się na polu. Bo i tak mogło być wtedy. Ciocia odebrała poród. Odbierała ileś już tam porodów i była w tej dziedzinie postrzegana za znawcę. Ciocia została zawołana do mamy. To była potrzeba chwili. Spontanicznie. Stało się. Ponoć to jeszcze nie był taki dokładny termin, ale mama zaczęła rodzić i się urodziłam.

To mama mi opowiadała, bo się dopytywałam. Pewnie, że przychodzi taki moment, kiedy dziecko się pyta: *Jak ja się urodziłam?* Wiem, że mój brat się tak samo urodził w czasie wykopków. Ja się urodziłam 26 września, a mój brat 15. I taka sama historia była z bratem, że też rodził się na wykopkach, też w polu. Byłam też przy narodzinach młodszej siostry, Steni. Już mieszkaliśmy w Świdnicy i mama rodziła w domu. Wiem, że nas wygonili do kuchni, a mama leżała w pokoju na łóżku. To już wtedy była akuszerka – ze szpitala przychodziła do rodzącej. Jak to wszystko się odbywało, to dokładnie nie pamiętam. Wiem tylko tyle, że strasznie dużo wody gotowali i było dużo szumu, biegania i krzyków. Miałam wtedy cztery latka. Jeszcze był Mirek, ale on się już rodził w szpitalu. To był rok 1958. A Stenia rodziła się jako ostatnia w domu, i to był 53. rok.

O żadnych rytuałach związanych z urodzinami nie pamiętam. Wiem, że kiedy ja się urodziłam, to tato był bardzo szczęśliwy, bo byłam ich pierwszą dziewczynką. I babcia (taty mama) też bardzo się cieszyła. Mówią, że jestem najbardziej do niej podobna – wypisz, wymaluj babcia i do ojca też jestem podobna. Przez to chyba byłam przez nich faworyzowana. Ale też przez to, że byłam pierwszą dziewczynką i dlatego że babcia nie miała żadnej córki. Dla niej to było bardzo ważne. Później mi zawsze mówiła: *Pan Bóg jak chce ukarać kobietę, matkę, to nie da jej miłości córki. I ja byłam też tak ukarana. I ja tego w jakiś sposób doświadczyłam.* Babcia miała trzech synów.

To babcia mnie uczyła od dziecka modlitwy i poświęcała mi bardzo dużo czasu, uczyła wartościowych rzeczy. Mama nigdy nie miała na to czasu, bo nas było pięcioro dzieci, w tym trzy dziewczyny. No to trudno jej było znaleźć akurat dla mnie tyle czasu, kiedy trzeba było innym go poświęcać. A babcia miała już starszych synów i ja byłam jej oczkiem w głowie od samego początku. I ona mnie uczyła tego pierwszego pacierza i wszystkiego innego po kolei. Mieszkała na dole i w związku z tym było to wszystko łatwe.

Zaraz po tym jak się urodziłam, babcia ściągnęła nas wszystkich do Świdnicy. Nawet miesiąca nie miałam, kiedy się przeprowadzaliśmy. Czekano na nas mieszkanie.

Wiem, że przyjechaliśmy tu pociągiem, z całą rodziną, bez mebli, ze wszystkimi tobołami, takimi jak pościel, bielizna, te rzeczy najważniejsze, a tutaj już nas babcia urządzała. Tu już miała przygotowane mieszkanie, bo babcia mieszkała na parterze, a myśmy mieli mieszkanie na pierwszym piętrze.

Potem, jak babcia przeprowadziła się już na Westerplatte, to ja już miałam około pięciu lat. A cztery latka miałam, jak tego palucha straciłam. Nie wiem, czy to było w czasie świąt, czy kiedy indziej, ale na pewno w zimie, bo w zielonym płaszczku mama mnie niosła do szpitala. Babcia kręciła wtedy bułkę tartą do kotletów i ja niechcący podleciałam do niej, i na taki stołeczek się wdrapałam, i mówię: *Babciu, ja ci pomogę*. Babcia nie zdążyła krzyknąć: *nie!* i w tym czasie ja włożyłam tego palucha do maszynki na mięso. No i cała tragedia. Wyrzuty sumienia miała, dokąd żyła, gdy spojrzała na moje ręce, to płakała, że to przez nią. Jak mi te palce wkręciło i ucięło, to mama mnie zanosła do szpitala, bo tato był w pracy. To były dwa palce, jeden trzymał się jakoś tak, że udało im się go złożyć, kość była tylko zgnieciona. A drugi palec wisiał tylko na skórcie, więc go obcięli. To, co mogli, pozszywali i mama niosła mnie z powrotem na rękach do domu. To naprawdę dobrze pamiętam. Mama niosła mnie na rękach ze szpitala, ja miałam zabandażowaną rączkę, a tato akurat wracał z pracy, bo to było po trzeciej. Zobaczył mnie i pyta się mamy, skąd wraca. A mama mówi, że ze szpitala, że palca obcięłam w maszynce od mięsa. I tato patrzy, patrzy na nas i po takim siatkowym płocie poleciał, zsunął się, bo zemdlał. I karetkę wezwali, i tym razem tato pojechał do szpitala. Mama i ja byłyśmy już w domu, a ojciec za dwie godziny wrócił.

Mieszkaliśmy w kamienicy. Oprócz nas, po sąsiedzku mieszkały jeszcze inne rodziny. Mieliśmy wszyscy jednopokojowe mieszkania. Był tam taki duży pokój, w którym mieszkały trzy panny. Obok mieszkał ogrodnik. I my. Wszyscy na pierwszym piętrze. A na dole mieszkała babcia i jeszcze taka pani z dzieckiem i mężem. To było na Mariana Buczki za mostem żelaznym. Tam mieszkałam do ósmego roku życia. Tam była szkoła czwórka, zaraz za mostem i tam chodziłam do pierwszej klasy. A już do drugiej klasy chodziłam do jedenastki, bo się przeprowadziliśmy na Wałbrzyską. Jak mieszkaliśmy jeszcze na Mariana Buczki, to hodowaliśmy świnię, to było normalne. Były chlewiki na podwórku. Mieszkaliśmy w kamienicy, a na podwórku każdy miał swoje chlewiki. Ubikacji przecież wtedy nie było, tylko był wychodek na zewnątrz. W nocy dzieci to robiły do nocników lub do wiader, ale w dzień używaliśmy wszyscy wychodka. My to mieliśmy super, bo mieliśmy duży przedpokój, więc te wiadra czy nocniki mogły tam stać. Natomiast wszystkie inne mieszkania były bez przedpokoju i wchodziło się do nich wprost do pokoju, a później do kuchni, więc to było niewygodne. My mieliśmy jeden duży pokój, przedpokój i kuchnię. Wszyscy spaliśmy w tym jednym dużym pokoju. Mieliśmy tam dwa łóżka, olbrzymi okrągły stół i sześć krzeseł, leżankę poniemiecką i dużą szafę w przedpokoju.

Myliśmy się w wannie, a latem pod studnią. Mama nas po kolei brała do góry i wsadzała do bali, która stała pod studnią z pompą. Tam też lalkę straciłam.

Miałam taką piękną dużą lalkę, którą ciocia chrzestna mi kupiła. Pamiętam, że kąpałam ją i nagle mi się rozleciała ta lalka. Jaki straszny płacz, bo ona była z papieru, a ja nie wiedziałam. Była zrobiona z masy papierowej i polakierowana, i tak pięknie malowana: oczy, usta. A ja ją jeszcze zostawiłam w tej wanience, bo o niej zapomniałam, więc jak przyszłam i chciałam ją wziąć, to ona mi się w rękach rozleciała. To była taka rozpacz, bo wszyscy mi zazdrościli, że mam taką piękną lalkę. A ona była taka duża, że ja ją ciągałam za sobą wszędzie. Poza tym nie przywiązywaliśmy wagi do przedmiotów, do rzeczy materialnych. To była bieda.

Byłam jakimś innym dzieckiem w tym domu, inaczej postrzeganym. Rodzice mnie wszędzie ze sobą zabierali. Może dlatego, że babcia mnie tak lubiła. Nie wiem. W każdym razie raz przyjechał wujek z Wrocławia i mnie wykradł. Najpierw to wiem, że były wielkie negocjacje w domu. Wujek przyjeżdżał co tydzień i przywoził paczki różnego rodzaju, ze słodyczami itd., bo wujek to był dyrektorem „Nowego Życia” – olbrzymi, słynny zakład krawiecki we Wrocławiu na rynku. I oni mieszkali we Wrocławiu na Leśnicy, to była taka dzielnica domków jednorodzinnych. Zanim mnie zabrali, to on przyjeżdżał i przywoził różne rzeczy, żeby mnie tato oddał na rok chociaż, bo ciocia dostaje wariacji. Bo im umarła dziewczynka właśnie w moim wieku, Ewa. No i chcieli koniecznie, żeby mnie tato oddał do Wrocławia. Tato mówił: *Absolutnie nie. Wiesz, jest jeszcze Krystyna, Stenia i je możesz wziąć, ale jej na pewno nie oddam.* Ale wujek się uparł na mnie. No i któregoś dnia przyjechał takim czarnym samochodem, dużym, z kierowcą i podjechał pod dom, na podwórko, a ja wyleciałam do niego i wujek zabrał mnie spod tego domu i wywioził. To była zima, a ja byłam w takim zielonym płaszczyku na podwórku. Dla mnie to był wujek, więc się go nie bałam – taki gruby był, wielki, olbrzymi miał brzuch. Jak tylko przyjechał to, jak to małe dziecko, wskoczyłam na niego, bo cieszyłam się, a jeszcze czekoladę wyjął i ja byłam pierwsza u niego. Tato się domyślił, co się stało. Nie zgłaszał na policję, bo tam ktoś widział, że wsiadałam do takiego samochodu i że był tam taki facet, który do nas przyjeżdżał, no i tato już wiedział, kto to był. Tato poczekał, aż będzie miał trasę do Wrocławia w pracy i któregoś dnia przyjechał. A ja tam miałam nianię, od razu zatrudnioną. Ciocia nie pracowała, ale jeszcze miała nianię, która mnie pilnowała. A jak tato przyjechał, to pogadali z wujkiem, tato go nawyzywał, ciotka płakała tak niesamowicie, żeby mnie tylko czasem nie zabierał, że ona zwariuje, że nie chce żyć, jak nie będzie miała mnie teraz przy sobie, że ona się do mnie przyzwyczaiła. No i ojciec ustąpił, ale na tej zasadzie, że powiedział: *Słuchaj, ale ty naprawdę musisz zacząć inaczej myśleć. Ja się zgadzam ze wszystkim, ale dotąd dopóki ona do szkoły nie idzie, to niech sobie tu będzie. Ale do szkoły jej tu nie zapisuj, bo ja jej nie dam wam. Ona nie może być u was, ona musi być u mnie. Ja ją do szkoły zapisuję, ona idzie do nas do czwórki i wybij sobie z głowy, że będzie tu dłużej.* A wujek mnie też zapisał we Wrocławiu do szkoły. Byłam tam pół roku. Tam miałam swój pokój, swój domek dla lalek. To był pokój na poddaszu, taki skośny i tam była taka skrytka, pokoik zrobiony dla lalek. Tam była bajka. Nie płakałam, nie tęskniłam, bo tam

miałam wszystko i to była moja rodzina, znałam ich. Ciocia Marysia to była taka spokojna, wrażliwa, wyciszona, a wujek był taki rubaszny i tak się głośno śmiał. A jak przychodziły wieczory, to ciocia taki fotel bujany miała i w nim siadała, i mnie bujała, i przytulała, zanim poszłam spać. Wujka to się bałam, bo on taki ten brzuch miał wielki i taki siarczasty głos, a ciocia była taka bardzo delikatna. Miałam wtedy 6 – 7 lat. 7 lat kończyłam we wrześniu i miałam iść do szkoły. Także stało się tak, że przez całe wakacje ojciec nie przyjeżdżał, a na koniec wakacji, tydzień przed rozpoczęciem szkoły, tak jak wujek mnie zabrał, tak teraz tato podjechał i zabrał mnie z ogródka spod domu. Wujek jeszcze przyjechał, ale już ojciec absolutnie nie pozwolił mnie znów zabrać i się pogniewali na siebie.

Mama była wtedy w domu, bo nas była trójka. Kobiety wtedy nie pracowały, zwłaszcza jak było więcej dzieci. Czasem mama z babcią brały do domu jakieś prace, jak pranie fartuchów z mleczarni. Pamiętam, jak prały przy studni w baliach na tarle, w rzece płukały, a potem na łące to rozwieszały i tak suszyły. Zapach krochmalu to zapach mojego dzieciństwa, bo to było wszystko krochmalone. Mama też szyla nam w rękach ubrania. Wszyscy mieliśmy ubrania przez nią uszyte. Jak byliśmy małe, sukienki przerabiała ze swoich rzeczy lub jak od kogoś coś dostała. To jedna po drugiej nosiła i ja zawsze miałam wszystko nowe, a Krystyna i Stenia się denerwowały, bo ja nosiłam pierwsza, a one po mnie musiały chodzić w tych samych ciuchach. Dopiero jak zaczęłam do szkoły chodzić, to babcia miała już swoją krawcową i ona mnie ubierała.

W niedziele i święta obowiązkowo chodziło się do babci. Nie pamiętam niedzieli, żebyśmy byli w domu. Byliśmy w domu tylko, kiedy do nas mieli przyjść goście, a tak, jak nie byliśmy u babci, to byliśmy u cioci Heli albo oni do nas przychodzili. A latem chodziliśmy z kocem do parku na pikniki z rodzicami, z ciocią i jej dziećmi i były tam łódki – jak chcieli nas nagrodzić za coś, to brali nas na te łódki i pływalismy po rzece. To była wielka frajda. I tam był też taki misiu, z którym się zdjęcia robiło. Pamiętam, że było tak kolorowo w tym parku. Były też pikniki organizowane przez zakłady pracy.

Zakłady pracy organizowały też kolonie. Nas była piątka, to nie mogliśmy jeździć co roku wszyscy, tylko na przemian, jednego roku jechała dwójka, drugiego kolejna para. To niby nie były płatne kolonie, ale to jednak obciążało budżet, bo do ubrania trzeba było coś kupić i jakieś kieszonkowe dać.

A na co dzień w domu trochę pomagaliśmy rodzicom, ale nie pamiętam, żebyśmy mieli jakieś wielkie obowiązki w domu. Gienek pomagał tacie drzewo rąbać, a my zbierałyśmy trawę dla królików. Mieliśmy wtedy króliki i świnię. Naszym obowiązkiem było na przemian chodzenie na pokrzywy i o to się zawsze kłóciliśmy, bo nikt nie chciał tego robić. Trzeba było narwać pokrzyw dla świń. Taka zielonka była potem siekana i to było dawane jako witaminy tym świniom, i tego nie lubiliśmy. Z trawą dla królików nie było problemu, a z tym tak. Dziewczyny też uciekały, jak trzeba było naczynia myć. Nie było tak jak teraz, trzy talerzyki umyć, tylko jak nas



było te sześć czy siedem gęb do wykarmienia, to i tych naczyń było trochę. Były kolejki, żebyśmy myły po kolei, a jak się kłóciłyśmy o to, to albo mama się denerwowała i sama myła, albo tato wkraczał i dał nam pasem w dupę, i wyrzucał z kuchni, i też mył te naczynia.

Tato pracował całe życie w transporcie (był bez zawodu) albo w budowlance, przewoził cegły i to wszystko, co się na budowę zawoziło. Wtedy to on pracował w PSSie (Powszechna Spółdzielnia Spożywców – Społem), czyli na wszystkie sklepy rozwoził towar i roznosił te skrzynki alkoholu. Oficjalnie pracował tylko ojciec, a mama zajmowała się domem, ale później też pracowała w hotelu, gdzie sprzątała i tak dorabiała. A jak jeszcze tam nie pracowała, to też musiała gdzieś czasem dorabiać, bo ojcu nie raz nie dwa zdarzyło się, że przepił pieniądze. A mama wtedy co? Nie rozpaczała, nie płakała, tylko do ogrodnika szła i pracowała za kromkę chleba, żeby do domu przynieść i przeżyć. Nie brała pieniędzy, tylko warzywa, jarzyny do zupy na obiad. W taki sposób sobie radziła. Zdarzało się to rzadko, ale się zdarzało. I zawsze ją za to podziwiałam, że nie siadała, nie załamywała rąk, co to teraz będzie, nie szła na skargę do babci. To ja nie raz nie dwa szłam do babci i skarżyłam na ojca, choć ten się wydierał na mnie, że jak pójdę naskarżyć, to dostanę. Babcia nas wtedy wspomagała, dawała na chleb, choć mama nigdy nie poszła ją o to prosić.

Tu jest ta historia. Moja mama jest siostrą mojego dziadka, to znaczy męża mojej babci (mamy mojego taty). A było tak, że na jakiejś służbie koło Witkowa, jak to było dokładnie to nie pamiętam, w którymś tam momencie dziadek przywiózł babcię – taty mamę przywiózł do swoich rodziców i oświadczył, że on się z nią żeni, żeby jakąś tam jedną izbę na wsi dla nich dali, że oni tam będą mieszkać, że się pobierają. I wtedy babcia przyjechała, no i wiadomo, jak to na wsi, wszystkiego muszą dociekać. A babcia pracowała w jakimś wielkim dworze i miała całą służbę pod sobą, była taką ochmistrzynią. Była zawsze taka bardzo czyściutka, tak tam była nauczona i w związku z tym, że ona była taka czysta i poukładana, to oni dociekali, kim ona jest i skąd ona pochodzi. I się okazało, że moja babcia nie jest aż taka czyściutka, jak się wydaje. Tylko ma dziecko nieślubne, do którego się nie przyznaje, a które wychowywali jeszcze inni ludzie. Syna babci (mojego ojca) wychowywała jej siostra, czyli ciocia Celina z Witkowa, bo ona już była mężatką. Moja babcia nie mogła się przyznać do tego, że ma dziecko, bo by straciła pracę i wtedy musiałyby iść na żebry, czy nie wiem, jak by się to potoczyło – bo to było dziecko nieślubne.

O tym babcia mi opowiedziała później, dopiero wtedy, kiedy ja sama urodziłam dziecko nieślubne. Babcia mi opowiadała, że tam wtedy u teściów na wizycie powiedzieli dziadkowi: *Ożenisz się, jak przywieziesz jej tego nieślubnego syna tutaj, bo już wystarczy tego, że on się tuła po obcych ludziach, a nie jest z nią.* I taki warunek dał teść (a zarazem mój dziadek, czyli mojej mamy tato) mojej babci. I jak babcia przywiozła mojego ojca, to on już został tam u nich na Dziewiniu, miał

wtedy 12 czy 13 lat¹. I tam już tato mój pracował, gdzie się dało, przy zwierzętach czy na roli, bo od dzieciństwa był nauczony bardzo ciężkiej pracy. Historia jego dzieciństwa to coś makabrycznego. Mając 6 – 7 lat zamiast iść do szkoły, to już pracował, był na służbie i pracował przy koniach, żeby na siebie zarobić. Bardzo kochał konie i w ogóle był takim stajennym dzieciakiem. Tato chodził do szkoły tylko trzy klasy, bo to była szkoła na wsi i mama też miała tylko trzy klasy. I kiedy tato już przyjechał na Dziewiń – został przywieziony przez swoją mamę – to tam poznał moją mamę i się w niej zakochał. W jednym domu się wychowywali. Mama była starsza od taty siedem lat i była siostrą dziadka – tego, który był drugim mężczyzną w życiu mojej babci i jej mężem. Na początku mama chodziła z innym chłopcem, swoją pierwszą wielką miłością, ale ten jej chłopak został zabrany do Niemiec na jakieś roboty i tak ich rozłączyli. A w międzyczasie powstała miłość pomiędzy moją mamą i tatą. Kiedy brali ślub, tato miał 19 lat, nawet mniej – bo wtedy jak tato szedł do wojska, to miał 19 lat i wtedy już urodził się Gienek, mój najstarszy brat, a jak wracał z wojska, to urodziłam się ja – a mama miała 26 lat. Jak mama była ze mną w ciąży, to dziadek, jej tato, umarł. Nawet są zdjęcia, jak mama jest w ciąży i jest z Gienkiem na rękę na pogrzebie.

Cztery pokolenia wstecz wiemy na pewno, że w naszej rodzinie kobiety co drugie pokolenie miały nieślubnych synów z pierwszych wielkich miłości, za każdym razem z mundurem. Mojej babci babcia tak urodziła nieślubnego syna i moja babcia mojego tatę miała z takiego związku, i ja urodziłam mojego syna bez ślubu. Teraz, jakby ten mój syn miał córkę, to jego córka zgodnie z tą zasadą będzie miała nieślubne dziecko.

I ja miałam dziecko nieślubne. Byłam tak zakochana strasznie i babci opowiadałam z taką euforią, że to jest takie cudowne, a wtedy pamiętam, że babcia wyszła do kuchni i tak bardzo zaczęła płakać, bo nie chciała mi tego powiedzieć: *dziecko, nie ciesz się, bo będziesz jeszcze strasznie płakała*. Jak tylko jego zobaczyła, a Roman był bardzo podobny do mnie, to tak jakby zaczęła sobie odtwarzać tę swoją historię, taką piękną, taką samą jak ta, którą ja jej teraz opowiadałam. Przyjechałam z nim i taka rozlatana jej o nim mówiłam, a ona nie wytrzymała i zaczęła płakać, bo widziała siebie i wiedziała, że nie może tak być, jak ja tego bym chciała. I rzeczywiście, nie trwało to długo, bo zaraz okazało się, że jestem w ciąży. A jak się dowiedziałam, że jestem w ciąży, to też mi się udało pięć miesięcy to ukrywać. Dopiero jak poszłam na podtrzymanie, to się moi rodzice dowiedzieli. Mama mówiła, że się domyślała, bo ja mówiłam często przez sen i ona tam nieraz podsłuchiwała, jak mówiłam: *Co to będzie? Co to będzie?* Nie wiedziałam, jak im to powiedzieć. Babcia też to ukrywała, ale tamci państwo, u których wtedy służyła, jak się dowiedzieli, że ona jest w ciąży i z kim jest w ciąży, to ją wysłali gdzieś tam na wieś do rodziny, żeby ona tam pracowała. Nie

¹ Babcia miała syna z francuskim oficerem, który kiedyś odwiedził dom, w którym ona pracowała jako służąca. Była w nim bardzo zakochana, ale on był tam tylko dwa, trzy miesiące i później wyjechał, i nigdy więcej się nie widzieli.

wyrzucili jej i zaopiekowali się nią na tyle, że pozwolili jej urodzić to dziecko, ale na innej posiadłości, w innym domu, a później ona do nich wróciła. Ale warunkiem było to, że ona nie wróci z dzieckiem, więc tym dzieckiem zaopiekowała się siostra babci. To wszystko babcia mi opowiadała, jak już się dowiedziała, że ja jestem w ciąży. To były zresztą już jej ostatnie chwile. I tylko mi powiedziała: *Dziecko, ty będziesz miała dziecko i będziesz je miała od samego początku. Będziesz na nie pracowała, będziesz widziała, jak się rozwija, czy choruje. Ja byłam tylko informowana i to jedynie listownie siostra mi pisała, że Janek jest chory na to i na to, że ona już nie ma sił i wiedziałam, że jest bardzo źle traktowany. Serce mi pękało, a ja nic nie mogłam zrobić. Nawet jak moje dziecko szło do komunii, to ja kupiłam mu garniturek i inne potrzebne rzeczy, ale nie mogłam być na tej komunii, tylko przesłałam to wszystko, mówiąc, że to dla mojego chrześniaka kupuję. Tak to zostało zakodowane wtedy we mnie, że nawet wtedy, kiedy już myślałam o małżeństwie z dziadkiem, to jakoś nie umiałam się przyznać i było dla mnie zaskoczeniem, kiedy rodzice mojego narzeczonego kazali mi przywieźć mojego syna i kazali mi się przyznać, że ja go w ogóle mam. A ty urodzisz, będziesz pracowała i będziesz uczestniczyła w jego życiu. A wszystko to, co jest w tej chwili, to niepokodzenie się z tym twoich rodziców, to przejdzie. Mama to zawsze się pogodzi, a tato przeżywa to tak bardzo, ale też się do tego przyzwyczai i kiedy twoje dziecko przyjdzie na świat, to będzie wszystko w porządku.*

Babcia wtedy była chora, była już umierająca, kiedy ta cała afera wynikła, że ja jestem w ciąży, że on mnie zostawił. Arek urodził się 23 marca, a babcia zmarła 7 marca. Babcia była zawsze taka elegancka i zawsze z klasą we wszystkim, czy to śniadanie, czy obiad, to wszystko było takie inne jak u mnie w domu. Babcia prowadziła dom inaczej, a moja mama inaczej. Warunki też były inne, bo mama miała czwórkę dzieci, rok po roku się rodziłyśmy, potem była piątka, bo jeszcze najmłodszy Mirek się dużo później urodził. A u babci chłopaki już byli odchowani, a ja tam bywałam często. I tam wszystko było takie inne. Tam, jak weszłaś, to było widać, u kogo jesteś. Babcia zawsze mi mówiła: *Pamiętaj, że jak cokolwiek robisz, to ma być wszystko tak zrobione, że jak ktokolwiek to zobaczy, to wie, że to na pewno robiłaś ty. Czy to będzie śniadanie zrobione i podane, czy w szafie poukładane, czy wypierzesz cokolwiek, to ma być wiadomo, że nikt inny tego nie mógł zrobić, tylko ty.* To były rzeczy, na które mnie bardzo uczulała. Pamiętam, ile razy płakałam, Krystyna też, bo kiedy przyszły święta, to mówiła nam mama: *Idźcie do babci, pomożecie.* No i szłyśmy do babci. Ja się godziłam z jej uwagami, choć czasem nawet na nas krzyknęła: *Tyle razy ci powtarzałam, że jak masz coś robić byle jak, to proszę, nie rób tego. Powiedz, że nie będziesz robiła, bo nie chcesz tego robić, bo nie masz ochoty. Ale jak już coś robisz, to nie oszukuj.* Prasowałam wtedy koszule, wtedy to były takie popelinowe koszule i jak miałam takich trzech: dziadek, Stefan, Heniek, to trzeba było się napracować. Najpierw się to zwilżało taką miotelką i wodą z talerza, a potem prasowało i składało w kostkę. To każda koszula miała swój czas,

bo tego się nie dało zrobić szybko. A jak zrobiłam szybko, to babcia tylko przyszła i mówiła, że tak się nie robi, nie wolno tego robić i trzeba było prasować jeszcze raz. Tak mnie uczyła babcia.

Tak samo jeśli chodzi o modlitwę. Cały pacierz mnie uczyła i w którymś tam momencie, jak miałam 6 czy 7 lat, mówię do babci tak: *Babciu, no mówiłyśmy razem pacierz, a ty jeszcze dalej mówisz, jeszcze klęczysz. Co ty jeszcze mówisz?* Najpierw nie chciała mi tego tłumaczyć, ale po jakimś czasie mi powiedziała: *Wiesz, ja jeszcze mówię taką piękną modlitwę: „Pod Twoją obronę”. I wiesz, nawet jak mi się nie chce mówić pacierza, bo jestem zmęczona, to nie umiem się położyć, żebym nie powiedziała tej modlitwy. Tyle rzeczy, co ja przeżyłam, tyle różnych upokorzeń, a popatrz, jak ja dzisiaj żyję, jakie ja mam szczęście. Ty też taka będziesz szczęśliwa. Ale nie opuszczaj tej modlitwy. Jak już cię jej nauczę.* I na tej modlitwie od tej pory już razem kończyłyśmy pacierz. *I proszę cię, jak będziesz miała swoją córkę, to też jej to powiedz, żeby nigdy, ale to nigdy nie opuszczała tej modlitwy, bo ona jest najpiękniejsza, najmądrzejsza i ta modlitwa daje ci wszystko.* I ja do dzisiaj nie umiem inaczej pacierza powiedzieć.

Babcia była dla mnie najważniejsza i zawsze była całym moim światem, ale jak odeszła, to odeszła i od tej pory nie ma jej w moim życiu. Sama się dziwię, że na grób do niej nie chodzę, bo nie chcę – jest taki obcy i daleki, nie wiem dlaczego, nie rozumiem tego. Na jej pogrzebie zemdlalam, bo byłam w ciąży i długo nie chodziłam na cmentarz potem do niej, i tak już zostało. Jak są święta, to idę, zapalę świeczkę, ale nie umiem z nią już rozmawiać. Jak idę do swojej mamy na grób, to z nią będę rozmawiała, a z babcią nie potrafię. A babcia była dla mnie bardzo wielkim autorytetem.

Po podstawówce został mi niesmak. Zawsze czułam się tam niedowartościowana, może byłam przewrażliwiona, ale czułam, że mną pogardzano. Tak jak w domu czułam się kochana, tak tutaj czułam się odrzucona. Przez nauczycieli. Choćbym nie wiem, ile się uczyła, ile pracy w coś włożyła, to zawsze było coś nie tak. Nie wiem dlaczego, może dlatego, że byłam z rodziny wielodzietnej, czy ojciec mój więcej czasem wypił – ale w szkole nikt ojca nie znał, nie wiedział, bo mama zawsze chodziła na zebrania. Mam ogromny żal do mojej wychowawczyni. Byłam tylko dzieckiem. Dziecko trzeba umieć za wszystko pochwalić, wytłumaczyć mu wszystko. A ona zdarzało się, że biła chłopaków linijką po rękach. Ja nie dostałam. Pamiętam, że później była awantura z tego powodu i już potem nie wolno jej było tego robić. Nagród nie pamiętam. Nigdy nie mogłam dostać więcej niż trójkę, choć starałam się, chodziłam na kółka. Z takim świadectwem z samymi trójkami nie mogłam pójść gdzie indziej jak do zawodówki. Nawet nie umiałabym uwierzyć w siebie, że mogę być gdzie indziej.

Dopiero w zawodówce byłam oceniana, na ile umiałam. Mielśmy tam wspaniałego nauczyciela, który do każdego podchodził indywidualnie. Chodziłyśmy do kościoła i modliłyśmy się razem z nim. Wtedy nosiliśmy też fartuchy i było wiadomo, kto jest z jakiej szkoły. Ty chodzisz do zawodówki, bo masz zielone lampasy,

a ty chodzisz do ogólniaka, bo masz czerwone lampasy. Tarcze obowiązkowo nosiliśmy. Myśmy w zawodówce miały taki przywilej, że mogłyśmy nosić buty na obcasie. Nigdzie więcej nie wolno było nosić butów na obcasie. Babcia zapytała mnie kiedyś, czy mogę chodzić w szpilkach do szkoły. Bardzo chciała, żebym nosiła buty na obcasie, bo brzydko chodziłam, stopami do środka, a w obcasach trzeba myśleć, jak się chodzi. Babcia kupiła mi takie kaczuszki, które były modne i wygodne.

A po skończeniu zawodówki chciałam iść do technikum, więc musiałam znaleźć pracę i podanie mogłam złożyć do technikum, dopiero wtedy, kiedy miałam pracę. A że nie miałam 17 lat, jak skończyłam zawodówkę, bo to był czerwiec, a ja we wrześniu kończyłam siedemnastkę, to nie mogłam iść legalnie do pracy. Ale sąsiad, po rozmowie z moim tatą, wziął mnie do siebie do wełnianki na gońca. I tym sposobem mogłam składać papiery do technikum. Bo wtedy nie było rannego technikum po zawodowej szkole, tylko wieczorowe.

Jeśli chodzi o urodę, to niby nie była ważna, ale mi często mówiono, że jestem ładnym dzieckiem, bo miałam piękne, grube, czarne długie włosy, zaplecione najczęściej w warkocze. Każda z nas natomiast była taka normalna. Nie byłyśmy nigdy chude, tak jak teraz dziewczyny są. Nikt nie mówił o tym, że ktoś jest za gruby. Starałam się być ładnie ubrana, dbałam o to. Kombinowałam sobie jakieś materiały i już w zawodówce szłam dla siebie spódnice. A jak przychodziłam do szkoły, to dziewczynom się tak podobały te moje kiecki, że mi je z tyłka ściągały, a za nie dostawałam jakieś piękne bluzki. Czy sukienkę szłam sobie, jak była jakaś okazja. Nigdy się nie malowałam. Jak szłam na randkę, to żeby pachnieć, miałam krem Nivea, który dawał zapach świeżości. Smarowałam buzię tym kremem, i to było wszystko. Ale tak na co dzień to nawet się nie kremowałam, bo nie było potrzeby. Moja siostra czy moje koleżanki to się trochę malowały. Rzęsy mocno malowały i paznokcie. Zdarzało się, że robiłam sobie kreski, miałam taką kredkę do kresek i to robiłam, ale tuszu nigdy nie używałam. Przez to, że od zawsze słyszałam komplementy na temat swojej urody, byłam nawet zarozumiała. I dopiero się ocknęłam, jak zaszłam w ciążę i ktoś mnie zostawił. To był cios dla mnie, ale i dla wszystkich. Moi najbliżsi nie mogli się z tym pogodzić. A ja dopiero wtedy zaczęłam zmieniać swój sposób myślenia. Wcześniej wszystko przychodziło mi łatwo, wszystko było dla mnie – było tak, jak chciałam. Widocznie dlatego dostałam tego kopa i tak Pan Bóg mnie sprowadził na ziemię, choć nie wiem, czy musiał to robić w tak bolesny sposób. Może musiał, żebym mogła zacząć myśleć inaczej, bo czegoś mniejszego bym nie zauważyła. Byłam bardzo zarozumiała, nie tylko ze względu na urodę, ale też miałam mnóstwo koleżanek, które bardzo mnie lubiły.

Jak urodził się Arek, miałam 19 lat. Wcześniej przerwałam szkołę, technikum i ciężko pracowałam na trzy zmiany. Zazwyczaj miałam drugą zmianę, więc bywało tak, że w ogóle cały tydzień nie widywałam się z moim dzieckiem. Wiedziałam, że muszę skończyć to technikum, bo inaczej będę tak cały czas pracowała. Więc się zwolniłam i poszłam do pracy do technikum mechanicznego do magazynu, gdzie

prowadziłam kartoteki towaru na magazynie i tam też kończyłam szkołę – technikum zaoczne. Najgorzej było zimą, kiedy zaprowadzałam wcześniej rano Arka do żłobka. Wstawaliśmy bardzo wcześnie, a jak tylko się odwróciłam czy poszłam do toalety, to on wskakiwał do łóżka i płakał, że nie chce iść do żłobka. Odkąd skończył roczek, prowadziłam go do żłobka, bo do roku mi go Stenia, moja siostra, bawiła. Ja tylko byłam cztery miesiące w domu. Tak samo było wiele lat później z córką. Też byłam tylko na macierzyńskim, potem moja mama ją bawiła, a od roku chodziła do żłobka, tylko wtedy już mąż ją zaprowadzał i ja nie słyszałam tych płaczów, bo mi było tak żal tych moich dzieci.

Miałam taką pierwszą piękną miłość, niewinną, trwała dwa lata. Chodziłam wtedy do szkoły, kończyłam zawodówkę, nie miałam jeszcze siedemnastu lat i był Heniek, który patrzył we mnie jak w obrazek. Marzyliśmy o sobie, ale to były takie marzenia dziecięce, takie niewinne. Chodziliśmy ze sobą rok czasu, a później on poszedł po technikum do wojska. A ja miałam zaczynać technikum i on mówił, że jak wróci z wojska, to ja akurat skończę szkołę i będziemy mogli myśleć o małżeństwie. To była przepiękna miłość. Ale nie doczekałam jego powrotu z wojska.

W tym czasie, to był rok 1966, cały czas wszędzie były zabawy. Gdzie byś się nie obróciła, gdzie byś nie poszła, wszędzie były zabawy. W szkole o niczym innym się nie mówiło. Chodziliśmy też na kółko recytatorskie, które odbywało się w internacie. To kółko prowadziła taka pani profesor z Warszawy, profesor Celichowska – myśmy ją nazywali profesor, no bo tak się nazywało nauczycieli w szkole średniej, to była taka nasza babcia. Było tam czworo chłopaków i sześć dziewczyn. I jak tylko kółko się kończyło, to chłopaki zabierali nas na górę na potańcówkę. Szło się na górę, puszczało się adapter i była godzina potańcówki. A my byłyśmy jedyną klasą dziewczyn w tej szkole, bo to był mechanik, więc dla chłopców to była atrakcja. Oprócz tego w poniedziałki i czwartki to były zabawy zakładowe. Wybieraliśmy tylko, gdzie lepsza orkiestra grała i tam chodziliśmy.

Zawsze miałam dom otwarty. Nie tak jak tutaj: cisza, spokój, a jak ktoś ma przyjść, to jest wielkie zapowiadanie. Ja byłam nauczona, że do mnie co chwilę ktoś wpadał. Mieszkaliśmy w centrum miasta i jak ktoś szedł do miasta, do rynku, to już samo to, że przechodził obok naszego domu, to wchodził zamienić dwa słowa. Dom na okrągło był otwarty. Która pierwsza wstawiała, robiła porządki, sprzątanie, bo zaraz ktoś może wejść. Przychodziła rodzina, ale też znajomi rodziców, nasze koleżanki, koledzy.

Nie miałam wielkich marzeń o domu w dzieciństwie, tylko żeby było tak jak u babci. Tak chciałam i tak miałam. Normalny dom, spokój, bo u mnie w domu nie było takiego spokoju, bo ojciec jednak nadużywał tego alkoholu. Nie raz nie dwa się buntowałam, zbyt dużo razy ojciec mamę bił i jak już byliśmy starsi, to pamiętam, że jednego dnia Gienek się zdenerwował i powiedział, że to już jest ostatni raz i wezwał policję, i powiedział, że od tej pory za każdym razem będziemy wzywać policję, bo mama sobie na to naprawdę nie zasługuje. Ojciec później zmienił pracę i przestał

tak pić, i był zupełnie inny. To było krótko, bo na cztery lata przed jego śmiercią – on wtedy był taki, jakby człowiek sobie wymarzył ojca, o wszystkich zatroskany, a najbardziej o mnie, bo przecież miałam dziecko nieślubne, a z moim obecnym mężem chodziłam bardzo długo bez ślubu. Tato więc mówił: *A jak cię znowuż ten zostawi i jakieś dziecko ci zrobi?*

A ja tak nie myślałam. Kochałam bardzo Jurka. Powiem szczerze, że tak jak marzyłam o mojej przyszłej rodzinie, to ta moja rodzina tak wyglądała. Ja z wieloma rzeczami się godziłam, bo tak byłam wychowana, że pewne rzeczy są świętością i mąż ma mieć zawsze rację. On pracował, był na wysokim stanowisku, co trochę zobowiązywało i ja cały czas robiłam tak, żeby jemu było dobrze. Ale mnie było tak samo dobrze, bo przecież on mi nigdy krzywdy nie robił, nigdy mi nie ubliżył, nigdy mi nie wypominał, że mam dziecko nieślubne. Zresztą ja powiedziałam mu już na początku, że jeśli miałby mi kiedykolwiek w życiu ubliżyć z tego powodu, to ja tego nie zniosę i to by był koniec. Robiłam wszystko, żeby nigdy nie było tak, że moje dziecko jest dla niego jakimś ciężarem albo żeby on mnie z litości wziął. Do tego nie miał prawa. Dziesięć lat miał czas do zastanowienia się nad tym i jeśli już doszło do tego, że bierzemy ślub, to nie ma prawa nigdy mi tego wypomnieć. Ja już swoje odpokutowałam i cały czas brałam wszystko na siebie, i sama do siebie miałam wystarczająco dużo żalu, więc nie miał prawa nikt inny mi tego wytykać. Wiele rzeczy sobie zabraniałam i uważałam, że mi nie wolno robić tego czy tamtego, bo ja już dużo złego zrobiłam. A to nie było nic złego, ale ja dopiero teraz to wiem. Teraz wiem, że powinnam walczyć, że powinnam mówić: „nie!” w odpowiednich momentach. Ale ja tak byłam wychowana, tak słyszałam od mojej babci. Chciałam się ze wszystkim godzić i godziłam się, i dzięki temu, miałam tak, jak ja chciałam i byłam z tego zadowolona. A jak urodziłam swoją córkę, to już było całe moje szczęście, świat już był mój. To tak jak mi babcia jeszcze mówiła, że jeśli matka nie zazna miłości córki, to Pan Bóg ją ukarał. A ja ją miałam.

Teraz czas wolny spędzam na kijkach, na czytaniu, jeśli mam potrzebę, gramy w karty. Już jestem stara, ale nie myślę o tej starości. Na razie nie czuję tego. Odkąd jestem na emeryturze, czuję się na wielkim luzie. Jak pracujesz, to jesteś jednak spięta, masz przedział tych swoich obowiązków, bo wszystko musi być poukładane i musi mieć swój czas, bo jak ci się to spiętrzy, to później nie dasz rady, a jak robisz to sukcesywnie, to masz wszystko uporządkowane i w domu, i w pracy. A teraz mogę robić wszystko, kiedy chcę i na wszystko jest czas. Musiałam się nauczyć tego, że ja nic nie muszę. Przejdzie z tego, że ja muszę, na to, że już nic nie muszę, jakiś czas mi zajęło.

Urodziłam się w socjalizmie i długo żyłam w tym ustroju, i wtedy marzyliśmy o kapitalizmie, ale nikt nie miał wyobraźni, co to znaczy. Jeśli kapitalizmem jest to, co jest teraz, to ja wolę socjalizm. Brzmi to teraz dziwnie, ale wtedy miałam zawsze pracę, opieka socjalna była dla wszystkich taka sama, nie zarabialiśmy dużo, ale nikt się nie czuł biedny czy gorszy, a teraz jest trudniej i nierówno.

Monika Więckowska

Urodziłam się 26 lat temu w Poznaniu. Ważyłam prawie 5 kilo, a mama urodziła mnie własnymi siłami. Byłam ruda jak marchewka i czerwona jak burak. Moją pamięcią, często bardziej niż własne przeżycia, rządzą opowieści innych i fotografie. Myśląc o moich narodzinach, „przypominam” sobie, że tata bardzo się przestraszył, kiedy zobaczył tak mało urodziwą dziewczynkę. Patrząc na zdjęcia, rzeczywiście trudno mu się dziwić i nigdy nie miałam mu tego za złe.

Rodzice poznali się na studiach, oboje skończyli medycynę. Byłam drugim dzieckiem. Mama, kiedy mnie rodziła, miała tyle lat, co ja teraz. Często o tym myślę w tym roku. Gdyby przeżywali młodość w tych czasach co ja, pewnie nie założyliby tak wcześnie rodziny. Ale wtedy nie było wielu możliwości spędzania wolnego czasu. O podróżowaniu nie było mowy.

Moje ulubione wspomnienia z dzieciństwa, to krótkie scenki, które trwale wyrły mi się w pamięci. W wakacje w Piasecznie pod Koszalinem łowiliśmy z bratem ryby, chodziliśmy z babcią na długie spacery z bańkami po mleko od krowy, a ja łapałam żaby, które potem wozilałam w wózku dla lalek. Od zawsze kochałam wodę. Nurkowanie, taplanie, akrobacje wodne były od dzieciństwa moim żywiołem. Jeździliśmy też na pełne przygód spływy kajakowe. W wieku 6 lat skutecznie miałam pierwsze zjazdy „na krechę” na nartach. Uwielbiałam niedzielne wieczory, kiedy była najlepsza wieczorynka, a później kąpaliśmy się z bratem w wannie. Najbardziej lubiłam Smerfy i Kubusia Puchatka. Miałam też ulubione słuchowiska na płytach gramofonowych, a później kasetach magnetofonowych. Babcia ze strony mamy uczyła mnie patriotycznych piosenek z czasów wojny. Do dzisiaj pamiętam wszystkie i czasami łapię się na tym, że nucę je pod nosem. Bardzo lubiłam też bajki na dobranoc i kołysanki, które układał dla nas tata. Pierwszą opowieścią, która zawładnęła moją wyobraźnią były *Opowieści z Narnii*. Uwielbiałam baśnie i smoki. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie *Niekończąca się opowieść* – to chyba pierwszy film, na którym byłam w kinie.

Moje wczesne dzieciństwo to były takie czasy, kiedy wszystkim żyło się mniej więcej tak samo ciężko. My mieliśmy może odrobinę lepiej. Dostawaliśmy paczki z Belgii. Do dzisiaj, kiedy otwieram paczkę, przypomina mi się tamta radość. Nie pamiętam już dobrze, co w nich było, jedno na pewno – belgijska czekolada ze słoniem, której smak doskonale pamiętam. Siostra mamy założyła rodzinę w Niemczech i ona też bardzo nam pomagała. Stamtąd miałam zachodnie ubrania i zabawki, z których byłam dumna.

Nie chodziłam do przedszkola, miałam opiekunkę, ciocię Irenkę. Ponieważ w wieku pięciu lat potrafiłam pisać i czytać, rodzice zdecydowali się posłać mnie rok wcześniej do zerówki. Pierwszego dnia w szkole wszystkie dzieci dostały zwierzątko z papieru ze swoim imieniem do przyklepienia do bluzki. Dla mnie był bocian,

któremu szybko odpadła noga. Tata zrobił mi więc nową plakietkę, która była zwykłą plastikową plakietką, taką jaką używają dorośli na konferencjach. Było mi bardzo przykro z tego powodu i to pamiętam najbardziej z pierwszych dni w szkole.

Boże Narodzenie spędzaliśmy na zmianę u dziadków w Koszalinie i w Poznaniu. Babcia w Koszalinie gotowała swoją najlepszą na świecie zupę grzybową z ręcznie robionymi łazankami. Dziadek ze strony mamy w Poznaniu zawsze nabierał nas z bratem na ten sam numer. Wychodziliśmy na spacer w poszukiwaniu pierwszej gwiazdki, a kiedy wracaliśmy, okazywało się, że akurat kiedy nas nie było, przyszedł Święty Mikołaj. Szkoda, że nas nie zastał, ale najważniejsze, że zostawił prezenty. Klika razy mieliśmy też karpie w wannie, którym przyglądaliśmy się z bratem godzinami. Pamiętam też święta, kiedy nie było z nami taty. Wyjechał na stypendium do Francji pisać doktorat. Przysłał mi zabawkę – pralkę, która tego dnia wydała mi się najlepszą rzeczą, jaką może posiadać człowiek. Pamiętam też, jak tata wrócił, a mama miała już innego pana.

Moja wychowawczyni w pierwszych klasach podstawówki była katechetką i miała duży wpływ na to, że jako dziecko byłam bardzo religijna. Pamiętam, kiedy modliliśmy się przed lekcjami i każdy miał wypowiedzieć intencję, a ja powiedziałam: *Żeby rodzice się nie rozwiedli*. Ale rozwiedli się i pewnie wtedy po raz pierwszy zazgrzytało między mną a Bogiem, któremu tak bardzo wierzyłam, że mi pomoże. Później zadawałam dużo pytań na temat Boga, na które nigdy nie uzyskałam satysfakcjonującej odpowiedzi. Aż przestałam chodzić do kościoła i uważać się za chrześcijankę. Dla mnie wyznanie jest kwestią zero-jedynkową – z pewnymi naukami Kościoła się nie zgadzam i dlatego nie mogę do niego należeć.

Mieszkaliśmy z bratem pół tygodnia z mamą, a pół z tatą, a w weekendy na zmianę. To był trudny czas. Przede wszystkim dlatego, że widziałam, jak oboje rodzice cierpią i nie mogłam zrozumieć, dlaczego to robią, dlaczego nie mogą po prostu być razem.

Na wakacje jeździliśmy osobno z mamą i osobno z tatą. Najczęściej chodziliśmy po górach. Bardzo dobrze wspominam tamte wycieczki. Kiedyś z tatą chodziliśmy po Wysokich Tatrach po słowackiej stronie. Wchodziliśmy po bardzo stromym zboczu, do skał były przymocowane łańcuchy. Nagle osunęła mi się noga i w ostatniej chwili udało mi się uratować przed groźnym upadkiem. Nie poleciałam, ale tak bardzo się przestraszyłam, że zaczęłam się dusić. Nie mogłam przez dłuższą chwilę złapać oddechu, a tata powtarzał tylko: *wdech, wydech, wdech, wydech*, aż w końcu się udało. Ja się przestraszyłam, ale to, co pamiętam dużo bardziej, to było przeżenie taty. Później jeszcze kilka razy widziałam ten rodzaj strachu na twarzach moich rodziców. Poczucie bycia bezgranicznie kochaną przez nich jest jedną z najcenniejszych rzeczy, które mam w życiu.

Tata nauczył mnie słuchać muzyki. Pamiętam adapter i piękne pykanie, które się z niego wydobywało. Wyrosłam na: Pink Floyd, Led Zeppelin, Deep Purple, Dire Straits, Queen. Jestem mu za to wdzięczna. Mimo, że nie mam muzycznego

talentu, to jednak muzyka na zawsze zajęła ważne miejsce w moim życiu. Pamiętam pierwszą własną kasetę, którą dał mi tata. To był Marek Grechuta. Do dzisiaj *Ocalić od zapomnienia* jest jedną z moich ulubionych piosenek, może nawet ulubioną.

Chodziłam do społecznej szkoły podstawowej. W klasie było 14 osób. Od zerówki uczyłam się angielskiego. Później stopniowo kolejne zajęcia dodatkowe. Całe życie miałam pasję, ale nie byłam im wierna. Uczyłam się grać na gitarze, uprawiałam judo, potem balet, gimnastykę artystyczną (w której byłam wyjątkowo kiepska), grałam w tenisa, a w liceum jeździłam konno.

Kiedy skończyłam podstawówkę, tata przeprowadził się do Warszawy. Od tego czasu zamieszkaliśmy z bratem na stałe z mamą. Dom jest za Poznaniem, nad jeziorem, zawsze pełen zwierząt, stanowiących pełnoprawnych członków rodziny.

Koniec podstawówki i dwie pierwsze klasy liceum to okres, w którym wcale nie zgadzałam się na kierunek, w którym kręci się świat. Mimo że to były piękne, intensywne czasy, za nic nie chciałabym wrócić do tamtego stanu świadomości. Podobnie jak przez większość mojego życia, pisałam wtedy pamiętnik. Myślę, że bardzo mi to pomogło. Pisanie to jedyna forma ekspresji, w której dobrze się czuję i od najmłodszych lat odnajdywałam w nim funkcje terapeutyczne.

Naturalnym kierunkiem moich upodobań muzycznych stał się rock, później punk rock, grunge i muzyka alternatywna. Chyba najbardziej kojarzą mi się z tamtymi czasami albumy Kultu: *Spokojnie* i *Posłuchaj to do ciebie*. Zaczęłam nosić glany, tak zwaną kostkę i w akcie buntu palić papierosy za szkołą. Moje towarzystwo to byli starsi ode mnie ludzie, mniej lub bardziej punkowo żyjący, których poznałam „pod operą”, czyli w miejscu, gdzie wieczorami przesiadywała poznańska zbuntowana młodzież. Myślę, że miałam sporo szczęścia, że w tym okresie szlajania się i poznawania dorosłego życia, nic złego mi się nie stało. Ale miałam też swój rozsądek i zaufanie mamy, którego nie chciałam nadużywać. Nigdy na przykład nie ćpałam, mimo że wokół mnie były narkotyki. Nie okłamywałam też mamy, co najwyżej pomijałam pewne fakty.

Kiedy szłam do liceum, stoczyłam przegraną batalię z tatą o profil klasy. Ja chciałam humanistyczny, tata uparł się na hiszpański. I ta pozorna porażka zaważyła znacząco i bardzo pozytywnie na moim życiu. Trafiłam do klasy, z którą przeżyłam przepiękne cztery lata; poznałam przyjaciół, którzy mam nadzieję, że będą już ze mną zawsze i nauczyłam się hiszpańskiego, co otworzyło przede mną wiele drzwi.

Moją największą pasją stała się jazda konna. Wszystkie wakacje spędzałam na wsi na Lubelszczyźnie. Pomagałam w gospodarstwie agroturystycznym: prowadziłam lekcje jazdy, jeździłam z grupami w teren, pomagałam przy obrzędach w stajni, a w zamian za darmo mogłam jeździć i trenować. Chętnie pomagałam też na roli – przy żniwach i zbiorach chmielu. Zafascynował mnie wtedy wiejski rytm życia. Mieliliśmy silną ekipę, z którą jeździliśmy na zawody, imprezowaliśmy,

paliliśmy w lesie ogniska. Lubelszczyzna to mój ulubiony kawałek Polski. Chyba najpiękniejsze wspomnienia to wyścigi, które urządzałyśmy sobie w porzeczkach, które były wymarzonymi torami i wieczorne galopy po ścierniskach. Opowieści o koniach zajmowały większość wieczorów. Niestety na pierwszym roku studiów miałam głupi wypadek. Nie powinnam była spaść, ale spadłam. Dość mocno się poturbowałam i złamałam bark w wyjątkowo parszywy sposób. Od tamtego czasu kilka razy jeździłam, ale już bez dawnej pewności siebie i beztroski. Konie wyczuwają niepokój i on się im udziela. Mam nadzieję, że kiedyś się go wyzbędę.

W trzeciej i czwartej klasie liceum nasza klasa bardzo się ze sobą żyła. Żał było opuścić dnia w szkole, bo każdy był pełen atrakcji. Rozrabialiśmy, ale mieliśmy w tym dużo uroku, nauczyciele nas lubili, mówili o nas: *inteligentna młodzież*. Uwielbiałam lekcje polskiego, pochłaniałam z zapalem wszystkie lektury i dużo więcej książek. Miałam w życiu kilku nauczycieli i wykładowców, którzy wywarli duży wpływ na mój sposób myślenia i czuję do nich duży szacunek i wdzięczność. Jest wśród nich moja polonistka, a jednocześnie wychowawczyni z liceum. To był okres, kiedy pochłaniałam wiedzę, ale tylko tę, która mnie interesowała – języki, literatura, historia – zupełnie bojkotując pozostałe. Gdybym mogła wrócić do tamtych czasów, chciałabym wiedzieć znacznie więcej z zakresu biologii, geografii, matematyki, a nawet fizyki. Czasami wstyd mi za te braki.

Doskonale pamiętam dzień ataku na World Trade Center. Wracalam ze szkoły i sąsiad wybiegł przerażony przed dom, żeby powiedzieć mi, że wybuchła wojna. Wtedy najmocniej w życiu poczułam, że historia dokonuje się na moich oczach. Wszyscy wgapili się w telewizory. Pierwszy widok samolotu wbijającego się w budynek wydawał się kolejnym osiągnięciem hollywoodzkich speców od efektów specjalnych. Baliśmy się, że to będzie seria zamachów, a jednocześnie to wszystko było kompletnie nierealne. 11 września 2011 roku jest datą, która stanowi przedziałkę w historii. To było jasne już wtedy.

Oficjalna część studniówki odbyła się w szkole, gdzie odtanńczyliśmy długo trenowanego poloneza. Ja w parze z moim chłopakiem. Byliśmy w sobie szaleńczo zakochani i to był mój pierwszy prawdziwy związek. Po oficjalnej części przenieśliśmy się do klubu, który zarezerwowaliśmy z jeszcze jedną klasą i tam celebrowaliśmy, już alkoholowo, do rana. Tego dnia zaczynały się ferie – z imprezy wsiedliśmy prosto do autokaru, który zabrał nas w góry, na narty. Wspominam ten dzień, bo było w nim wszystko, co piękne w tamtych latach.

Pochodzę z pokolenia, które nie miało przeciwko czemu się buntować. Pozostało nam afirmować życie i oddawać się przyjemnościom. Dość płynnie przeszedłam metamorfozę. Wszyscy zaczęliśmy słuchać house'u i chodzić do klubów. Jednocześnie muzyka, którą najbardziej pokochałam we wcześniejszym okresie – Radiohead, Nine Inch Nails, Nick Cave – nadal mi towarzyszy.

To był czas, kiedy telefony komórkowe stawały się coraz bardziej powszechne, stopniowo każdy w klasie zdobywał własny. W liceum nie korzystaliśmy dużo

z Internetu. Trudno powiedzieć, kiedy nastąpił moment, w którym stał się niezbędną i codzienną częścią życia. Mam wrażenie, że to stało się z dnia na dzień, gdzieś w trakcie studiów.

Maturę z polskiego zdałam celująco, byłam zwolniona ze zdawania angielskiego, bo miałam certyfikat językowy, a z hiszpańskiego dostałam 5. Byłam na tyle pewna swoich szans, że zdawałam tylko na jeden kierunek – na socjologię na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dostałam się. To, co zaczęliśmy w liceum, kontynuowaliśmy przez całe studia – ta sama ekipa, wspólne wakacje i wszystkie weekendy, które często inaugurowaliśmy już w środy. Życie towarzyskie, bycie częścią grupy, stanowiło dla mnie wtedy główną wartość. Nigdy nie zintegrowałam się z ludźmi ze studiów.

Mieszkałam nadal z mamą. Codzienne dojazdy za miasto były bardzo uciążliwe i wtedy rodzice kupili nam z bratem pierwszy samochód – Fiata Pandę. Prawo jazdy zrobiłam, kiedy miałam 17 lat. Od początku bardzo lubiłam prowadzić. Bycie w trasie, za kierownicą, z dobrą muzyką i towarzystwem do śpiewania, jest dla mnie jedną z większych przyjemności.

Po drugim roku studiów w wakacje razem z przyjaciółką skorzystałyśmy z możliwości darmowego przejazdu do Barcelony. Po 10 dniach mogłyśmy za darmo wrócić. Ale zostałyśmy. Polska była już wtedy częścią Unii Europejskiej, ale rynek pracy w Hiszpanii był dla nas nadal zamknięty. Byłyśmy tak zafascynowane Barceloną, że postanowiłyśmy szukać pracy, aż znajdziemy. Ostatecznie zatrudnił nas w swojej restauracji mafioso Paco. Bez wątplenia to miejsce było pralnią brudnych pieniędzy, ale nigdy nie chciałyśmy wiedzieć za wiele. To była też prawdopodobnie najgorsza restauracja w Barcelonie, a już na pewno najgorsza, w jakiej kiedykolwiek byłam. Dostałyśmy tam niezłą szkołę życia, po pierwsze dlatego, że ciężko pracowałyśmy: w kuchni, na zmywaku, jako kelnerki, barmanki i sprzątaczk. Po drugie przez naszą spelunę przetaczały się przeróżne typy ludzkie, ale przeważnie tak zwane świry z dzielnicy i kryminal. Druga strona medalu była taka, że Paco, mimo że surowy, opiekował się nami jak córkami. Wiedziałyśmy, że nie pozwoliłby, żeby włos spadł nam z głów i dlatego pracowałyśmy bez większego strachu. Poza tym dobrze płacił. To zabawne, ale wtedy zarabiałam najwięcej w życiu. I dzięki temu wychodziłyśmy z pracy i z kopciuchów przemieniałyśmy się w królowe życia. Rozkoszowałyśmy się życiem w Barcelonie i im ciężiej przychodziło nam zarobienie naszych pierwszych w życiu euro, tym przyjemniej było nam je później przepuszczać, bujając się po knajpach i kupując ciuchy, na które nigdy wcześniej nie było nas stać.

Rok później zadzwoniłyśmy do Paco, że wracamy i przyjął nas z otwartymi ramionami. Wtedy nie przepuszczałam już tak beztrudno pieniędzy. Planowałam zrobić na wyjazd i pobyt na Rodos, gdzie pracował w szkółce windsurfingowej mój – wtedy jeszcze nie – chłopak. Czasy barcelońskie były przepiękne. Rodos wspominałam jako czystą radość. Tam zaczął się trwający prawie pięć lat związek i trwająca do teraz pasja do windsurfingu.

Na trzecim roku wyjechałam na półroczne stypendium do Hiszpanii. Wykazałam się sporą determinacją w załatwianiu wyjazdu, ale kiedy ostatecznie się tam znalazłam, byłam nieszczęśliwa. Przede wszystkim dlatego, że wreszcie związałam się z facetem, w którym kochałam się od dawna i bardzo za nim tęskniłam.

Studiowałam tam na wydziale reklamy i public relations. I to wtedy studia zaczęły mnie naprawdę interesować. Tak już zostało po powrocie. Szczególnie zajmowały mnie teorie komunikacji i mediów. Pracę magisterską pisałam na temat zjawiska dzienników telewizyjnych i tego, jak odbierane i interpretowane są przez widzów. Żyłam tym tematem. Te poszukiwania pozwoliły mi rozwinąć zdolność krytycznego myślenia. Dały też sporą nieufność wobec mediów. I bardzo przydały się w pracy zawodowej.

Przez całe studia nie wiedziałam, czym chcę się zajmować. Myślę, że to największy problem polskiego systemu edukacji, że nie tylko nie przygotowuje do żadnego zawodu, ale też nie wskazuje na możliwości. Jako socjolog mogłam zostać badaczką rynku. Po czwartym roku odbyłam praktyki w firmie badawczej i zaczęłam pracować tam dorywczo jako moderatorka wywiadów jakościowych. Postanowiłam wziąć udział w konkursie *Grasz o staż*, bo wiedziałam, że wygrana to trampolina do kariery. W pierwszym etapie wybiera się dziedzinę. Planowałam rozwiązać zadanie z dziedziny badań rynkowych, ale przeglądając listę zadań, natrafiłam na strategię reklamową. Zadanie wydało mi się ciekawe i w zasięgu moich kompetencji. Mimo że można było rozwiązać trzy – ja postawiłam na to jedno. Pisałam pierwszą w życiu strategię z zapalem. Poczułam, że to coś, co chciałabym robić, mimo że zupełnie nie wiedziałam, czym tak naprawdę zajmuje się strateg w agencji reklamowej. Okazało się, że byłam mało oryginalna w wyborze, bo na to zadanie wpłynęło tamtego roku najwięcej zgłoszeń. Moje zostało wysoko ocenione, w związku z czym zostałam zaproszona na rozmowy kwalifikacyjne do dwóch agencji. Ze zgrozą myślę o tym, jak słabo przygotowana szłam na rozmowy w prestiżowych międzynarodowych firmach. Ale inni widocznie byli przygotowani jeszcze gorzej, bo wygrałam staż w jednej z nich.

Po obronie pracy magisterskiej spakowałyśmy się z dwiema przyjaciółkami ze sprzętem windsurfingowym w samochód i ruszyłyśmy na najbardziej południowe południe Hiszpanii. I to miał być ostatni oddech przed karierą zawodową. Było dużo prowadzenia z głośno nastawioną muzyką i jeszcze głośniejszym śpiewaniem.

Od sierpnia zaczęłam staż w Warszawie. W czasie tych dwóch miesięcy zrozumiałam, że chcę zajmować się strategią reklamową i że nie chcę spędzać życia w korkach, i wolę mieszkać w Poznaniu. Kontynuowałam staż, ale jednocześnie rozglądałam się za pracą. Okazało się, że w Poznaniu była tylko jedna agencja reklamowa, która odpowiadała moim ambicjom. Napisałam do niej, do wiceprezesa. I dostałam moją wymarzoną pracę stratega w Poznaniu.

Na to jak układa się moje życie, zawsze miała wpływ dobra sytuacja startowa. To kim są, jak wpłynęli i pomogli mi rodzice. Ale dużo zawdzięczam sobie. Zawsze

kierowałam się intuicją. Nauczyłam się mierzyć wysoko, ale też ciężko pracowałam, miałam determinację i wiarę, które są niezbędne, żeby sięgać wyżej.

Pierwsze miesiące w stałej pracy zniosłam ciężko. Miałam dopiero 23 lata i pretensje do siebie, że tak szybko skończyłam studia, że nie zrobiłam sobie gdzieś po drodze przerwy, nie wyjechałam i sama zapędziłam się w kierat. Codzienne wstawanie, ciemność w biurze, lęk, że sobie nie poradzę i schyłkowy okres w związku sprawiały, że wpadałam w stany depresyjne. W agencji pracowali prawie sami długodystansowcy, którzy ze sporą rezerwą traktowali nowych, świeżo po studiach, niedoświadczonych.

Z czasem przywykłam do tygodniowego rytmu. Praca mocno mnie pochłonięła. Wymagała nieustannej obserwacji rzeczywistości pod specyficznym kątem. To taka praca, której nie zostawia się za sobą w biurze, kiedy wychodzi się do domu. Często absorbowała moje myśli przez cały tydzień. W agencji dużo się nauczyłam. Tu uświadomiłam sobie, jak bardzo system edukacji i wychowanie blokuje kreatywność. Przez dotychczasowe życie nie czułam się kreatywna. W agencji nauczyłam się korzystać z wyobraźni i odwagi w wypowiadaniu swoich pomysłów i przemyśleń. Początkowo hermetyczne towarzystwo, z czasem stało się dla mnie coraz bardziej otwarte. Takie „zdobywane” relacje cenię bardziej niż płytką otwartość. Otaczający mnie ludzie inspirowali do przykładania się do pracy, do zgłębiania wiedzy, do poszukiwań kulturalnych, do rozwoju. Praca w zespole często frustruje, prowadzi do konfliktów, wymaga kompromisów, których nie znoszę, ale może przynosić też świetne efekty i bardzo zbliża. Pracowaliśmy dla dużych marek, tematy szybko się zmieniały, poznałam sporo obszarów funkcjonowania polskiego rynku i zawsze dużo się działo.

Rozstanie po kilkuletnim, intensywnym i dobrym związku, było trudne, ale potrzebne. Stworzyliśmy dobrą relację. Dzieliłymi pasje i nigdy nie byliśmy wobec siebie złośliwi, zawistni, nie było, krótko mówiąc, między nami złych emocji. Bardzo rzadko się kłóciliśmy. Mieliśmy dla siebie dużo cierpliwości, inspirowaliśmy się nawzajem. Kochaliśmy. Nadszedł jednak moment, kiedy nasze potrzeby rozwoju poszły w różnych kierunkach i zaczęliśmy się blokować. Wydawało mi się, że szybko związę się znowu. Trudno mi było wyobrazić sobie samotne życie po tylu latach bycia zawsze z kimś. Okazało się jednak, że wieczory, w których mogłam być sama, czytać, słuchać muzyki, stały się wartością. Zamieszkałam w kawalerce i bardzo dobrze się w niej czułam. Nauczyłam się radzić sobie z sytuacjami, których wcześniej nie przysłoby mi do głowy rozwiązywać na własną rękę. Dało mi to poczucie wewnętrznej siły. Bardzo polubiłam siebie. Po jakimś czasie zaczęłam utożsamiać się ze zjawiskiem wielkomiejskich singielek – kobiet, które nie dlatego są same, że nie chcą być w związku, ale dlatego, że czują, że współczesna męskość mocno się pogubiła. Jestem sama, bo potrafię dobrze ze sobą żyć. Jeśli mam być z kimś, to po to, żeby było mi lepiej. Nie widzę powodów, dla których miałabym obniżać poprzeczkę.

Ta siła i niezależność były dość kruche. W grudniu 2009 roku okazało się, że mama ma raka piersi z przerzutem do węzła chłonnego. Na raka piersi zmarła moja

prababcia, przechodziła go w wieku 83 lat babcia i siostra mamy. Ale mama miała nie zachorować. Odrzuciła myśl o tym, że może ją to spotkać. Kiedy wyczuła guza w piersi, poszła na mammografię. Obraz pokazał, że to nie rak, ale było wskazanie do rezonansu magnetycznego. Rezonans był zepsuty. Później stale nie było czasu, a później był już przerzut.

Z dnia na dzień zoperowali mamę. Okazało się, że od stycznia czeka ją długa i ciężka chemioterapia. W dniu Sylwestra razem pojechałyśmy wybierać perukę. Podczas przymiarek chichotałyśmy jak nastoletnie dziewczynki. Wieczorem poszłam celebrować Nowy Rok z przyjaciółmi. Wypiłam za dużo i pierwszy raz w życiu wpadłam w niekontrolowaną histerię. Głęboki ból spowodowany cierpieniem mamy i strach przed jej śmiercią zwałił mnie z nóg, sparaliżował.

W naszej kulturze nie potrafimy płakać przed innymi, nie rozmawiamy o śmierci i w pogoni za przyjemnościami odsuwamy od siebie cierpienia. Pamiętam świąteczne spotkanie z przyjaciółmi w tamtym czasie. Siedzieliśmy przy stole i rozmawialiśmy. O wszystkim, tylko nie o chorobie mamy. Nikt nie spytał, jak się czuje, co dalej. Kiedy już wychodziłam, powiedziałam, że to dla mnie przykre. Byli zdziwieni. Myśleli, że nie chcę o tym mówić, że potrzebowałam rozrywki. Ale jak nie mówić, jak się bawić, kiedy jest się w środku pękniętą? Cierpienia mają to do siebie, że nie dają spokoju, dopóki ich nie przeżyjemy. Pomogła mi praca: pozwoliła zajmować myśli i dawała poczucie, że Ziemia nadal się kręci. Tam byłam też otoczona ludźmi, którzy dali mi prawdziwe wsparcie. To była długa, wyjątkowo ciemna i lodowata zima dla mnie. Z wiosną mama dostawała już lepsze chemie, zaczęły odrastać jej włosy, a świat zaczął odzyskiwać kolory.

Wiedziałam to już wcześniej, ale teraz objawiło się z całą mocą, że kochamy się miłością absolutną. Mama jest wojowniczką. Świadczy o tym jej kariera zawodowa: specjalizacja w okulistyce dziecięcej, habilitacja, rzadka umiejętność ratowania wcześniaków przed utratą wzroku. Całe życie obserwowałam, jak osiąga coraz więcej, jak ją to pasjonuje, widziałam niezmierzoną wdzięczność pacjentów i podziw otoczenia. Zawsze wyznacza sobie kolejne cele, nigdy nie czuje się spełniona. I choroba nie była w stanie jej powstrzymać. Mama jest najbliższą mi osobą i życiową inspiracją. Nie odrzucam myśli o tym, że kiedyś wyczuję w mojej piersi twardą złowieszczą kulkę, ale nie spędza mi ona snu z powiek. Mama pokazała mi, jak się przez to przechodzi.

Po dwóch latach pracy w agencji uświadomiłam sobie, że to były najkrótsze dwa lata w moim życiu. Przeraziło mnie, jak szybko upływa, a właściwie ucieka, czas. Praca dawała mi dużo satysfakcji, ale z drugiej strony poczułam w życiu jakąś pustkę. Robiliśmy dobre kampanie, ale ostatecznie tyle z nich pożytku, że wzrastała sprzedaż produktu. 25 dni urlopu w ciągu roku niczym marchewka, ale tak naprawdę to jeden długi albo kilka krótszych wyjazdów. Urlopy, zamiast dawać nową energię, zwykle wpędzały mnie w depresję. Nie lubię zwiedzać, nie lubię być turystką, lubię poznawać miejsca, wnikać w nie. A kiedy tylko ten proces się zaczynał – nadchodził

czas powrotu. Nasza dawna ekipa też nie cieszyła jak kiedyś. Część wyjechała za pracą do Warszawy, część założyła rodziny, wzięli kredyty. Rozmowy przy piwie straciły dawny wigor na rzecz problemów w pracy. Zrozumiałam, że jeśli czegoś nie zmienię, to do końca życia będę ciułać na emeryturę. Żyć jakąś odległą wizją, której pewnie nigdy nie zrealizuję. Wiecznie czekać zamiast żyć. Postanowiłam się z tego wypisać.

Ameryka Łacińska była częścią świata, w którą zawsze najbardziej mnie ciągnęło. Znałam dobrze hiszpański, a literatura latynoamerykańska rządziła moją wyobraźnią od wielu lat. Pierwsza myśl: podróżować przez rok. Ale tak sama? I za co? Druga myśl: wolontariat.

Wszystko przemyślałam, przespałam się z myślą kilkakrotnie, a kiedy co rano budziłam się z przekonaniem, że tego właśnie chcę – zaczęłam działać. Google: wolontariat poznan ameryka lacinska. Wynik: Stowarzyszenie „Jeden Świat”. Po pierwszym spotkaniu z Anetą, koordynatorką projektów, poczułam, że szanse są 50 na 50. Bałam się przede wszystkim konkurencji – tego, że w organizacji są osoby, które udzielają się od lat. W moim wcześniejszym życiu, poza harcerstwem w dzieciństwie, nigdy nie należałam do żadnej organizacji pozarządowej.

Reakcja rodziców dobrze obrazuje nasze relacje. Mamę zawsze potrafiłam przekonać do wszystkich pomysłów, chyba nigdy kategorycznie mi niczego nie zabroniła. Tata to głos rozsądku. Wiele razy sprowadzał mnie na ziemię. Chociaż wierzyłam nogami, zwykle ostatecznie poddawałam się jego logice i dobrze na tym wychodziłam. Wiem, że mama była przerażona moim pomysłem, ale nigdy się nie sprzeciwiła. Zrozumiała moje motywacje, chociaż sama nigdy ich nie doświadczyła. Tata był zdecydowanie przeciwny. Co z pracą, niebezpiecznie, za daleko, będę umierał ze strachu. Ale przyjął postawę lekceważącą, bo to nie pierwszy mój szalony pomysł i na pewno mi przejdzie. Tata zawsze napędzał moją ambicję i tak też się stało w tym przypadku: postanowiłam mu udowodnić, że to nie kaprys.

Przez kolejne pół roku współpracowałam z Anetą, zaangażowałam się w działalność Stowarzyszenia w Poznaniu. Bycie wolontariuszką już wtedy zaczęło wносить nową wartość do mojego życia. Aneta uwierzyła we mnie. Wspólnie wybrałyśmy organizację w Gwatemali. Nie spodziewałam się, że będzie możliwa praca w moim zawodzie, ale znalazłyśmy fundację, która szukała osób z doświadczeniem marketingowym. I to ostatecznie umocniło mnie w przekonaniu, że dobrze robię: oto zyskuję możliwość połączenia pracy w tym, co lubię, w czym mam doświadczenie, z niesieniem pomocy, z rzucaniem kamyczków do ogródka lepszego świata.

Pisanie zgłoszenia do konkursu Wolontariat Polska Pomoc jest trudne z tego względu, że trzeba dość dokładnie opisać: tło sytuacyjne, cele wolontariatu, środki i zamierzone efekty. Podczas gdy tak naprawdę objawiają się one dopiero na miejscu. Pomagała nam holenderska założycielka fundacji w Gwatemali. Kiedy okazało się, że mój wniosek został przyjęty, straciłam panowanie nad ciałem: twarzą zawładnął dziwny grymas, poleciały łzy, ręce się trzęsły. Stan radości, ekscytacji i strachu jednocześnie.

Wyjazd miałam zaplanowany na połowę lipca, a dowiedziałam się o wynikach na początku maja. Ten czas przeznaczony był na to, żeby odejść z pracy, zlikwidować mieszkanie, sprzedać samochód, zorganizować się, pożegnać i wyjechać. W maju odbyło się trzydniowe szkolenie zorganizowane przez MSZ pod Warszawą. Odebrał mnie z niego tata. I tego dnia przekonałam go, że tym razem to ja miałam rację. Zrozumiał i poparł mój wyjazd, myślę, że nawet trochę mi pozazdrościł. Od tamtego czasu bardzo mnie wspiera.

Okres przed wyjazdem był dla mnie dobry. Wszystkie sprawy, które musiałam załatwić i wydawało mi się, że mogą być problematyczne, poszły gładko. Dało mi to poczucie, że świat mi sprzyja, że postępuję tak jak powinnam. W pracy spotkałam się z dużym zrozumieniem, a nawet wsparciem w realizacji mojego projektu. Przyjaciele zadbali o to, żebym za nimi tęskniła, wyprawiając mi wielokrotne i huczne pożegnania. Wyjechałam z poczuciem, że przed niczym nie uciekam, wręcz przeciwnie, że zostawiam za sobą świat, w którym mam swoje miejsce i będzie przyjemnie do niego wrócić.

Przed wyjazdem kilka osób zapytało mnie, dlaczego jadę do Gwatemali, skoro w Polsce jest tyle do zrobienia, tyle dzieci potrzebuje pomocy, taka bieda... My Polacy mamy skłonność do tego, żeby zawsze uważać się za poszkodowanych, biednych, wymagających pomocy. Ja czuję, że to wyjątkowo dobry czas i miejsce do życia. Należy cieszyć się pokojem i względny spokojem, wolnością i możliwościami. W historii takie okresy nigdy nie trwały długo. Z perspektywy Gwatemali Polska to kraj wysoce rozwinięty, bogaty. Tylko dość niekorzystnie położony, jeśli chodzi o warunki klimatyczne.

Człowiek nie ma żadnego wpływu na kluczową kwestię, która decyduje o jego życiu, czyli o tym gdzie, w jakim czasie, warunkach i okolicznościach się urodzi. Może tylko lepiej lub gorzej korzystać z szans, które mu to życie daje. Ja czuję się głęboko uprzywilejowana, tym kim się urodziłam i korzystam z tego, jak mogę, ale czuję się też dłużniczką. Kraje globalnej Północy od wieków żyją w dobrobycie, który odbywa się kosztem krajów globalnego Południa. Zwiększanie szans życiowych tych krajów uważam za obowiązek moralny. W przeciwnym razie niczym nie różnimy się od konkwistadorów, jesteście zwykłymi barbarzyńcami.

Trudno mi pisać o okresie gwatemalskim, bo nadal trwa i brakuje mi dystansu potrzebnego do tego, żeby wiedzieć, jakie znaczenie nada mojemu życiu. Piękne w tym doświadczeniu jest to, że przyjechałam z czystą kartą. Mam okazję określić się na nowo. Sprawdzić w innych warunkach i rolach. To dla mnie ogromna lekcja samodzielności, która daje mi poczucie wewnętrznej siły, sprawczości.

Praca z grupą kobiet – z kobietami tkającymi, haftującymi, szyjącymi i szedelkującymi – wymagała ode mnie przede wszystkim wrzucenia na luz. Kiedy przyjechałam i zorientowałam się w sytuacji, dość szybko obmyśliłam plan, zmierzający do poprawy sytuacji. Jednak myślenie kategoriami konkretnych działań, które w określonym czasie doprowadzą do zamierzonych efektów, doprowadziło mnie do

frustracji. Przeszkody – od banalnych po blokujące wszystko – piętrzą się nieustannie, a ludzie nie mają tu w zwyczaju radzić sobie z nimi.

Potrzebowałam, żeby jedna z kobiet wyhaftowała obrazek. Zaopatrzyłam ją w materiał, nici, obrazek do przerysowania. Po tygodniu pytam, czy zrobiła, o co ją prosiłam, na co ona odpowiada, że nie, bo nie miała ołówka i nie mogła przerysować tego obrazka.

Wyuczona bezradność, a do tego brak pewności siebie i przekonanie, że komunikowanie problemów sprawi drugiej stronie przykrość, wpędzi we wściekłość, często blokują działanie. Dużo pozwoliła mi zrozumieć praca z dziećmi. Podczas warsztatów kreatywnych szybko stało się dla mnie jasne, że są one wychowywane w sposób represyjny. *Narysuj swoje ulubione zwierzę. – Ale ja nie wiem, jakie jest moje ulubione zwierzę. – Zastanówmy się, może małpa? – Tak, małpa. Ale ja nie umiem narysować małpy.*

Pracę z kobietami utrudnia też bariera językowa, większość z nich nie mówi lub mówi słabo po hiszpańsku. Musiałam przyzwycząić się do analfabetyzmu, do tego, że większość kobiet podpisuje się odciskiem palca. Zdarzyło się raz, że jedna z nich zrobiła na szydełku kilkadziesiąt pileczek, mających służyć jako breloczki, z nazwą spółdzielni, tyle że jedna z liter była do góry nogami. To sytuacje, problemy, których nie potrafiłam przewidzieć.

Jednocześnie czuję ogromny szacunek do „moich kobiet”. Obawiałam się, jak zdołam się z nimi komunikować. Ale rozumiemy się dobrze. Często zadziwiają mnie mądrością, przenikliwością, sprytem. Są wojowniczkami, trzeba im tylko czasami o tym przypominać. Patrząc na nie, myślę, że tylko okoliczności urodzenia skazały je na nędzę ekonomiczną. To skrajnie niesprawiedliwe jak dużym brzemieniem jest tu już samo bycie kobietą.

Gdzieś po drodze wiele razy się łamałam. Będąc wolontariuszem nie należy nastawiać się na to, że ludzie będą okazywać wdzięczność za to, co się dla nich robi. Trzeba wykształcić w sobie głęboką wiarę w to, że to, co się robi, ma sens, bo potwierdzenia często nie widać w otaczającej rzeczywistości. Czasami mam wrażenie, że może się okazać, że jedyną beneficjentką tego całego zamieszania będę ja, bo zdobywam bezcenne doświadczenie. Zdarzają się też momenty, kiedy mam wyrzuty sumienia – dla mnie spółdzielnia stała się główną treścią życia, ale wracam do domu i mogę obejrzeć film, poczytać książkę, iść spać, a te kobiety często samotnie wychowują gromadkę dzieci, ręcznie piorą, same robią tortille, które smażą na ogniu, który same rozpalają. Myśl, że nie będę miała za co zjeść, przez całe życie była mi raczej obca – one zmagają się z nią codziennie.

Są widoki, do których nie mogę i nie chcę się przyzwyczajać: brudne, bose dzieci biegające po ulicach, kłęby spalin, środki transportu tak wypchane ludźmi, że niektórzy siedzą na dachu, psy – szkieletory, wszechobecne śmieci. Nie potrafię też przywyknąć do wszechobecnego rasizmu. Pisanie znowu okazało się dla mnie skuteczną terapią.

Wierzę, że udało nam się dużo zrobić. Kiedy przyjechałam, spółdzielnia chyliła się ku upadkowi. Jej liderka, która wyszkoliła się dzięki pomocy holenderskiej założycielki, zaangażowała się w kampanię polityczną i przestała wypełniać swoje obowiązki. Część się pokłóciła i odeszła. A te, które zostały, nie były w stanie radzić sobie same. Jestem jedyną wolontariuszką. Przeniosłam sklep do korzystniejszej położonego lokalu, przygotowałam materiały reklamowe, zatrudniłam wykształconą i doświadczoną koordynatorkę, która nawiązała dobry kontakt z kobietami i sprowadziła nowe. Opracowałam nowy produkt, mam też nadzieję zapewnić popyt. Chciałabym zostawić sprawy w takim stanie, żeby miały wszelkie warunki ku temu, żeby wyjść na prostą. A wyjeżdżając dać solidnego kopniaka na szczęście.

Czuję, że dodatkową moją misją stało się tu zgłębianie kultury Majów. To dla mnie piękna możliwość poznania innego wymiaru duchowości i przyswojenia nowej filozofii. A z drugiej strony cieszy świadomość, że moje zainteresowanie tematem podbudowuje samych Majów. Dyskryminacja i próby wypłenienia tej kultury trwają od czasu konkwisty. To zjawisko, przeciwko któremu aktywnie się buntuję. Jej śmierć byłaby niewybaczalną zbrodnią na ludzkości.

Wiem, że mój wolontariat to działanie zakrojone na mikroskalę. Ale każda mikroskala to cały świat dla tych, którzy w niej żyją. Cieszę się i czuję się dumna z tego, że państwo poprzez program Wolontariat Polska Pomoc umożliwia mi wspieranie tych ludzi i dawanie im nadziei. Staram się obalać stereotypy na temat tego, czym jest wolontariat i pomoc rozwojowa. Przekonałam się, że w Polsce pokutuje przekonanie, że wolontariusz to albo medyk, który szczepi w Afryce niedożywione dzieci, albo kaznodzieja, który nawraca.

Kiedy byłam młodsza, gorzej radziłam sobie z byciem z dala od domu. Tęsknota za domem i przyjaciółmi często nie pozwalała mi się cieszyć tym, co miałam. Teraz dobrze znoszę rozłąkę. Technologia pozwala na to, żeby codziennie rozmawiać z mamą, widzieć ją, a nawet wyczuwać, kiedy coś jest nie tak. Jest sporo osób, z którymi byłam w bliskiej relacji, a teraz nie utrzymujemy kontaktu i to mnie boli. Ale póki co nie przesłała mi przez głowę myśl, że żałuję albo że chcę już wracać. Ani razu. Chyba nauczyłam się wreszcie żyć, a nie czekać.

Nigdy nie miałam poczucia, że bycie kobietą mnie ograniczało. Nie lubię w sobie labilności nastrojów, drażni mnie to też w innych kobietach. Pewnym współczesnym wyzwaniem jest zachowanie powabu, delikatności, która w moim przekonaniu nadal konstytuuje kobiecość. Nie lubię być traktowana jak obiekt seksualny, nie lubię mierzenia mnie wzrokiem przez obcych mężczyzn, ich zaczepki. Jakąkolwiek nie przybierałyby one formę, rodzą we mnie agresję. Nie potrafiłabym w żaden sposób być z kimś, kto widziałby tylko moje ciało.

A moje ciało zawsze lubiałam. Nie celebruję go przesadnie, nie lubię zabiegów upiększających, a tydzień w spa jawi mi się jako kara, nieprzyzwoita strata czasu. Ale nie oznacza to, że je lekceważę. Dbam o to, żeby było mu dobrze, bardzo pomaga

mi w tym joga, staram się zdrowo odżywiać. Jestem pogodzona z tym, że nie będę coraz młodsza i liczę się z tym, że będzie mnie kosztowało coraz więcej, żeby utrzymać ciało w dobrej formie.

W projekcie *Głosy kobiet* wzięłam najpierw udział jako osoba zbierająca historie. Następnie zostałam poproszona o opisanie własnej. To doświadczenie, które pozwoliło mi zobaczyć, jak bardzo szczęśliwe i dobre jest moje życie. Ile w nim wolności, dobrobytu, przyjemności. Ale też rozprawić się z tym, co zamiotłam pod łóżko. W trakcie pisania miałam okazję poznać empirycznie kosmologię Majów. Bardzo mnie to wzmocniło i pozwoliło dużo zrozumieć, ale przede wszystkim uwierzyć, że na świecie nie ma przypadków. To, że jestem w Gwatemali, to efekt wielu moich wyborów i świadomych dążeń, ale też splotów okoliczności. Dzięki spisaniu tej opowieści, widzę je jak na dłoni. Cieszę się tym, dokąd doszłam i widzę wiele szczytów przed sobą. Z ekscytacją myślę też o kolejnych splotach okoliczności. Wierzę, że życie właśnie na tym polega: na dążeniu, na tym pięknym uczuciu niedosytu.

Chciałabym jeszcze zobaczyć kawał świata albo przynajmniej poznać Buenos Aires. Nie wiem, czy chcę żyć w Polsce. To, co kocham w Polsce, to bliscy mi ludzie – to dla mnie Polska. I za nią będę zawsze tęsknić, ilekroć znajdę się daleko. Ale kraj jest dla mnie stanowczo za zimny. Zima i ciemność mnie przytłaczają, męczą ciało i tłamszą ducha. Nie chcę już nigdy dopuścić do tego, żeby doskwierało mi poczucie pustki. Nie chcę przechodzić znowu w stan oczekiwania.

A moim marzeniem jest znaleźć sobie kiedyś kawałek świata, w którym będzie mi dobrze: blisko wody, z przewagą ciepłych i słonecznych dni. Tam chciałabym osiąść, założyć rodzinę i mieć przytulny dom. I takie życie w sam raz. Ale czuję, że jeszcze dużo będzie musiało się wydarzyć, zanim to marzenie spełnię.



Spis treści

Wstęp	3
Niebezpieczeństwo jednej opowieści	5
Ghana	
Anita N. Koomson	13
Monica Yankey Ansah	20
Mary Eshun Tawiah	30
Hannah Assifuah	35
Bridget Ruth Atterh	54
Gwatemala	
Josefa Perez Ajanel	75
Ruth Mendez	83
Odilia Elmida Guarcas Guarcas	96
Carmen de Vernura	107
María Jacinta Xón	116
Polska	
Helena Hanuszczak	135
Stefania Michocka	144
Zofia Kaźmierczak	161
Monika Więckowska	173

